



Leonid Kudriawcew

Prawo metamorfa

Przekład
Ewa i EuGeniusz Dębscy

SOLARIS

Olsztyn 2000

„Prawo metamorfa”

Tytuł oryginału „*Zakon oborołnia*”

Copyright © 2000 by Leonid Kudriawcew

All Rights Reserved

This edition published by arrangement with

Agencja Praw Autorskich „Aquarius”

Copyright © 2000 for the Polish translation by

Ewa i EuGeniusz Dębscy

Copyright for the first edition © 2000

by Agencja Promocji Książki „Solaris”, Olsztyn

ISBN 83-88431-07-2

Projekt graficzny serii *Tomasz Wencek*

Redaktor serii *Wojtek Sedeńko*

Redakcja *Tadeusz Lewandowski*

Korekta *Małgorzata Wencek*

Skład *Tadeusz Mieszko*

Wydanie I

Agencja Promocji Książki „Solaris”

ul. Generała Okulickiego 9/1, 10-693 Olsztyn

Box 933

Tel. (0-89) 541-31-17

e-mail apk~solaris@poczta.wp.pl

Nie, nędzy się nie bój,
Nie bój się nawet morza i nieba,
Bój się jedynie tego człowieka,
Co zawsze mówi: „Ja wiem, jak trzeba!”
A. Galicz

1.

- To co teraz będziesz robił? - zagał Hobbin.
- Nie wiem - odpowiedziałem. - Coś się wymyśli.
- No-no... - powiedział Nobbin.

W jego głosie słysząc było wyraźne zwątpienie.

Upór to dobra rzecz, i potrzebna. Może nie wtedy, kiedy nagle odkrywasz, że już dawno walisz głową w mur. W takim przypadku lepiej jest machnąć ręką na ambicje i poszukać objazdu.

Westchnąłem. Dziwnie zapragnąłem widoku szubienicy. Zamiast walić czołem w mur mógłbym pójść na spacer do najbliższego parku. Wybrać odpowiednie drzewko, wspiąć się na nie i przywiązać do gałęzi mocny sznur z pętlą. Następnie założyłbym pętlę na szyję i skoczył...

A potem długo czekałbym na kogoś, kto pomógłby uwolnić się z owej pętli. Niestety, tu w cyberze nie można się powiesić.

Umrzeć? Ha, nic trudnego. Ale nie przy pomocy sznura; można po prostu umrzeć, przestać istnieć, odejść do wykrotu. Proszę bardzo. Wystarczy trochę pokłapać jadaczką, i już jesteś na ścieżce, która zaprowadzi cię prosto w objęcia kostuchy. Może cię doprowadzić do niej zwyczajny brak infobucksów. Tych samych, których niedobór w tej chwili odczuwam. Ale to jeszcze pół biedy. Najgorsze, że nijak nie potrafię wymyślić, skąd je wziąć.

- Pamiętaj - przypomniał Nobbin. - Tawerna „Krwawa Mary” to nasze łowisko. Jeśli masz zamiar tu łapać turystów...

Skrzywiłem się.

Nie musiał wcale mi tego przypominać. Nie zamierzam na-

bierać tych jego turystów. W ogóle nie chcę się zajmować takimi rzeczami. Mam zawód, na zdobycie którego straciłem ostatnie pół roku. To dobry, moim zdaniem, zawód. Jestem prywatnym detektywem.

Szczerze mówiąc, to zakup niewielkiego domku, przeznaczonego na kwaterę główną dzielnego obrońcy prawa, tu, w cyberze-12, jak również półroczne konsumowanie podstaw zawodu, a w tym czasie nie zarobiłem ani grosza, wykończyły moje zasoby równie skutecznie jak trzytygodniowe szalone balety w rozrywkowych cyberach.

Co tam, miałem gdzie mieszkać, miałem też dyplom. Wyglądało, że nadszedł czas, by zastosować nabytą wiedzę w praktyce i zacząć zarabiać przy jej pomocy na życie. Tak sobie myślałem, póki nie nadszedł dzień, kiedy na drzwiach mojego domu pojawiła się niezbyt duża, odpowiednio skromna tabliczka: „Essutil Quack. Prywatny detektyw”.

Musiałem teraz tylko doczekać się chwili, kiedy do drzwi mojego domu zastuka pierwszy klient i, opowiedziawszy o nieszczęściu jakie go spotkało, zacznie wypychać moje kieszenie pieniędzmi, błagając, bym natychmiast zajął się jego sprawą.

Akurat! Guza tam!

Swój pierwszy dzień pracy spędziłem na miłym nicnierobieniu. Oczywiście, nie odbiło się to pozytywnie na moich zasobach finansowych.

Po kilku, spędzonych w identyczny sposób dniach, zaniepokoiłem się z lekka. Klienci wyraźnie mieli problemy z dotarciem do mnie. Może w naszym cyberze nastąpił okres powszechnego i skrupulatnego przestrzegania prawa?

Ależ skąd! Przejrzałem newsy i upewniłem się, że jest dokładnie odwrotnie. Turyści po staremu walili do naszego cy-

beru, do sąsiednich również. I tu, i tam musieli przecież wpadać w tarapaty, na przykład odkrywając, że ktoś przejął ich pieniądze. W ciągu ostatnich trzech dni w sąsiednim cyberze zdarzyło się nawet zabójstwo. A śledztwem gorliwie zajęli się gliniarze.

Po dokonaniu kilku dodatkowych badań i przetrząsnąwszy furę informacji, doszedłem do mało pocieszającego wniosku. Wyszło mi, mianowicie, że do prywatnego detektywa ludzie zwracają się dopiero wtedy, gdy wszystkie inne możliwości wykrycia przestępcy zawiodły, gdy przez jakiś długi czas nie potrafią go wykryć gliniarze, oraz gdy dla poszkodowanego odnalezienie sprawcy jest sprawą dosłownie gardłową. Do tego dochodzi jeszcze cała fura innych „gdysiów”. A nawet w takich przypadkach zwracają się z reguły nie do samotnych wojowników, a do agencji, podobnych do tej, jaką prowadził Serge, przyjaciel Glorii, albo - to już naprawdę w ostateczności - do jakiegoś znanego detektywa, który dorobił się już jakiejś marki i nazwiska. Prawdopodobieństwo, że ktoś zwróci się ze zleceniem do takiego nowicjusza jak ja, jest nikkzemnie małe.

Oczywiście, należało to wszystko zbadać zanim wydałem swoje pieniądze na przygotowanie się do nowego zawodu i własny dom. Ale jakoś wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Tam, w wielkim świecie, do którego należałem zaledwie pół roku temu, w świecie prawdziwych ludzi, prawdziwych domów, realnego życia, prywatni detektywi mieli się całkiem dobrze. Gliniarze, z reguły, spektakularnie i szybko rozpracowywali tylko te przestępstwa, które wiązały się ze sztucznymi ciałami. Dlaczego tak się dzieje zrozumiałem dopiero wtedy, gdy wybrawszy się na małą wycieczkę do cyberu-12, tego właśnie, w którym teraz mieszkam, żeby wypić piwo w miłym towarzystwie, odkryłem nagle, że zostałem pozbawiony wła-

snego, pozostawionego w wielkim świecie ciała?

Ktoś mi je ukradł. Właściwie była to sprawa niesłychana. Do tego nieznany mi złodziej uczynił wszystko, by wykreślić mnie z listy żyjących ludzi i zamienić w tułaczy program. Jedyna rzecz, jaka mu się nie udała, to zamordowanie mnie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalałem. I, rzecz jasna, przeprowadziłem własne śledztwo, które zakończyło się przykładowym ukaraniem przestępcy. Tyle, że nie udało mi się uratować mojego ciała.

Nie zostało mi więc nic innego, jak życie tu, w świecie cyberów. Zostałem oficjalnie i gruntownie przeproszony i nawet wypłacono mi pewną sumę pieniędzy. A jak ją rozdysponowałem - już wiecie.

Żeby tak wiedział, gdzie upadnę, to bym sobie to miejsce wymościł.

A wszystko przez tę Glorię...

To dziennikarka i naprawdę baba z ikrą. Poznałem ją akurat w chwili, kiedy szukałem własnego ciała. Przyznaję - pomogła mi wtedy niesamowicie. Ale potem... Dlaczego poradziła mi, żebym został prywatnym łapsem? I dlaczego ja wygłupiłem się idąc za jej radą?

Westchnąwszy ciężko popatrzyłem w kierunku baru.

Barman akurat uzbroił się w siatkę, przymierzając się widocznie do kolejnej próby upolowania gniezdzących się pod sufitem latających rybek. Usiłował jedną schwytać, ale jak zwykle nic z tego nie wyszło.

Usłyszałem jak zaklął pod nosem i wymamrotał:

- Skąd się te ścierwa tu biorą?

Rzeczywiście!?

Już zamierzałem zająć się dla treningu rozważaniem tego problemu, w końcu i tak nie miałem nic innego do roboty, gdy

Hobbin powiedział:

- Oto, jak mi się wydaje, klient.
- Tak, masz rację - zgodził się z nim Nobbin.

Wpatrywali się w przekraczającego właśnie próg tawerny klienta, którego wyraz twarzy, krok i cała postawa, niezbitcie świadczyły o tym, że należy do podgatunku „jelenź zwyczajny”.

Łyknałem z kufła i wyjąwszy z kieszeni papierosa zapaliłem.

No, zaraz się złączą jaja. Dwa cwaniaczki, Hobbin i Nobbin, zabiorą się do faceta. Znaczy to, dla mnie przynajmniej, że w najbliższym czasie nie będą mieli czasu na mnie. No to co mam robić? Nic. Dopić swoje piwko i opuścić progi „Blood Mary”. Nic więcej. Nie mam tu przed kim odsłaniać tajemnic swej duszy. Nie będę przecież przysiadł się do nieznanomych klientów i opowiadał im swojej historii. To poniżej mojej godności. Mam również nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Nie dojdzie? A kto dopiero co zamierzał skończyć ze sobą? Popatrując od czasu do czasu z jakim zapałem para moich wesołych koleśków obrabia zwiedzającego, dopiłem piwo i dopaliłem papierosa. W chwili kiedy w moim kufle nie została już ani kropla, a niedopałek swym niewielkim ciałkiem ozdobił popielniczkę, jelenź na całego już częstował Hobbina i Nobbina piwem.

Przy tym Hobbin, wytrzeszczając nań swe i tak ogromne oczy, z zapałem perorował o jakichś koszmarnie apetycznych laluniach, które potrafią bardzo wiele i z którymi, dzięki jego protekcji, można dość łatwo zawrzeć bliską znajomość. Nobbin wystukiwał swymi ogromnymi stopami jakieś energiczne rytmy po podłodze i bardzo zręcznie przytakiwał swemu druhowi. Zwiedzający, zgodnie z obyczajem, nieco się krępował i krygował, ale - jak się wydawało - był gotów poznać wszystkie zakazane przyjemności, jakie oferował mu nasz cy-

ber-12.

Westchnąłem.

Dalszy rozwój wypadków nietrudno było odgadnąć. Za jakiś czas, dostatecznie podhajcowany klient, poprosi o pomoc, a wspaniali dwaj kompani poprowadzą go na tak zwaną wielką wycieczkę... Przy czym, portfel turysty znacznie schudnie. Jednakże, i to jest mu zagwarantowane, otrzyma w zamian tyle wrażeń i odczuć, jak również słodkich wspomnień, że nie zwróci na to najmniejszej uwagi. Może leciutko się zmartwi, leciuteńko, albowiem posiada za te pieniądze coś znacznie ważniejszego - solidne, upajające wspomnienia.

A Hobbin i Nobbin, z procentów wypłaconych przez te lokale, do których turystę przyprowadzą, będą mogli spokojnie i zasobnie istnieć przez jakieś dwa-trzy tygodnie. Pod koniec tego okresu los z pewnością ześle im kolejnego tłustego cielca...

Tak to się mniej więcej odbywa.

Nie było sensu siedzieć tu dłużej. Szczególnie, że na drugi kufelek piwa już sobie dzisiaj pozwolić nie mogłem. Została mi tragicznie mała ilość infobucksów. Jeśli w ciągu kilku dni nie znajdę dla siebie klienta, przyjdzie mi przejść z trybu zaciskania pasa do trybu dokuczliwego głodu.

Cholernie miła perspektywa.

Odsunąwszy kufel na środek stołu, wstałem i podreptałem do wyjścia. Przy drzwiach dotarło do mnie, że wlokę się zgarbiony, z głową w ramionach. No tak - typowa postawa nieudacznika. Łajza jedna...

Wyprostowałem się i trzymając głowę wysoko opuściłem tawernę „Krwawa Mary”. Lwia głowa służąca tu za kłamkę wyraziła głośno nadzieję na moją powtórny wizytę. Też miałem taką nadzieję.

Właściwie to powinien teraz zdecydować, dokąd skierować swoje kroki. Mogłem powąłęsać się po mieście licząc na fortowne spotkanie twarzą w twarz z fortuną. Może podsunie mi szansę zarobku? Raczej nie. Wszystkie tego typu szczęśliwe przypadki zdarzają się wtedy, gdy wcale ich nie łakniesz.

Pójść do parku? Pointegrować się z przyrodą? Zastanowić się nad sytuacją, w jakiej się znalazłem? No nie. Może odpuszczyć, i tak głowa puchnie od różnych takich myśli. Co mi więc zostaje? Wrócić do domu i zająć się od dawna już niemiłym zajęciem, w którego końcowy wynik nie wierzyłem ani przez chwilę? Innymi słowy - wrócić do domu, walnąć się na kanapę i nudzić się, oczekując przybycia pierwszego upragnionego klienta.

Jeśli taki zjawi się w ogóle.

Ale co mi innego pozostało?

Skierowałem się do domu, zastanawiając się, czy nie należało poszukać Plotki. Może ten cwaniutki staruszek dałby mi jakąś sensowną radę? Tylko gdzie go szukać? Nikt nie wiedział, gdzie Plotka mieszka, skąd przychodzi i dokąd odchodzi. Po prostu zjawiał się - i już. Tak samo jak Gloria.

Gloria. Sprawiedliwości stałoby się zadość, gdyby osoba, która wciągnęła mnie w tę aferę, pomagała się z niej wykaraskać. Ale gdzie szukać tej nieokiełznanej dziewczyny? No i ten Serge. Może skontaktować się z nim, opowiedzieć, co się ze mną dzieje i poprosić o pomoc? E, nie. Jeszcze nie jest tak źle. Zresztą, czy będzie chciał pomagać takiemu osobnikowi, który sam nie może rozwiązać prostego życiowego problemu pod tytułem: „Gdzie znaleźć klienta?”

Obietnice? No tak, jakiś czas temu obiecał mi wsparcie. Jeśli trafi mu się odpowiedni dla mnie klient. Ale jakoś do tej pory nie podrzucił mi żadnego zamówienia. Co znaczyło, że taki

klient jeszcze się nie nawinął, a zatem nie ma co zawracać mu głowy.

Szedłem do domu.

Na niebie nie było dziś ani jednego obłoku. Nad słonecznym trójkątem szybował różanolicy pulchny cherubin. Przygrywając sobie na harfie półgłosem coś śpiewał. Co, nie dało się zrozumieć, ale wychwyciłem kilka słów: „hm... tam-pam... ydoru... karben... iletadzi... jeswa-jeswa... O, ma różanolica dziewczyno. O, nieszczęsna ma miłości... O, spadający na mą szyję, przy powszechnym milczeniu, topór”. Na jednym ze skrzydeł cherubina widoczny był wielkogabarytowy napis: „Grupa *Bełkociaki*”.

Wzruszyłem ramionami.

Nigdy nie słyszałem o takiej grupie. Zresztą tam, w wielkim świecie, w ciągu ostatniego półrocza mogło powstać kilkaset grup, o których ja, siedząc w świecie cyberów, nie miałem najmniejszego pojęcia.

Właśnie, w wielkim świecie...

Pomyślałem o nadzorcy zoologu. Może machnąć na wszystko ręką, zgłosić się do niego i poprosić, by pożyczył na kilka godzin sztuczne ciało? Pospacerować w prawdziwym deszczu. A jeśli nie będzie padało - popatrzeć na prawdziwe bezchmurne niebo, ponownie odczuć jego dziwną, wciągającą głębię. Oszukać samego siebie, uwierzyć na chwilę, że nie jestem tułaczym programem, a prawdziwym człowiekiem, którym w końcu byłem jeszcze sześć miesięcy temu.

Ech... Nic z tego nie wyjdzie. Ponieważ sztuczne ciało to sztuczne ciało. Nic dodać, nic ująć.

Zatrzymałem się, wyjąłem papierosa i, zapalając go, rozejrzałem się dokoła.

Na ulicy niemal nikogo nie było. Wyglądało, że tam, w wiel-

kim świecie zaczął się roboczy dzień. Większość turystów, wieczorami pojawiających się na ulicach cyberów, zajęła się zarabianiem pieniędzy.

A kiedy ja się tym zajmę?

Papieros, jasna sprawa, wykonany był w jakimś chińskim cyberze, na wyroby lepszej jakości już nie było mnie stać. Dym miał nie wiadomo dlaczego kolor bakłażana. Inną oznaką niedbałego wykonania było to, że spalał się za szybko - zbyt niska zawartość koncentratu.

Tu, w wirtualnym świecie, wszystko składa się z informacji i - odpowiednio - jakaś jej część nieuchronnie ucieka. To właśnie ta utracona bezwartościowa informacja tworzy negatywne pole informatyczne. Niczym kwas przeżera ono z czasem każdy program, wystarczająco długo znajdujący się w cyberze. I jest mu dokładnie obojętnie, temu negatywnemu polu informatycznemu, jaki jest ten pożerany program, żywy czy nie.

Walczyć z negatywnym polem można tylko w jeden sposób - wprowadzając w siebie podprogramy odtwarzające, w miejscowym żargonie zwane koncentratami. Z reguły znajdują się w żywności i napojach. W papierosach też są, ale w minimalnych ilościach. A te, wyprodukowane w kitajskich cyberach...

Sztachnąłem się jeszcze kilka razy i z żalem cisnąłem niedopałkiem o jezdnię. Pet normalnego papierosa powinien być z lekkim sykiem wyparować, a chiński niedopałek zostawił po sobie niewielką fioletową plamę.

Jezdnia pod moimi stopami odruchowo wzdrygnęła się i cicho zasyczała. Zrobiło mi się głupio.

Pół roku temu mógłbym z czystym sumieniem odruchowo zetrzeć plamę czubkiem buta, oczywiście - pomysł ten skazany był na fiasko. Natomiast teraz, w myślach udzieliwszy sobie nagany i obiecawszy po raz któryś z rzędu, że będę uważnie

postępował z kitajskimi petami, oddaliłem się z miejsca incydentu.

Po dziesięciu krokach obejrzałem się.

Nie wiadomo skąd pojawił się mały żuczek - zamiatacz, i brzęcząc z niezadowoleniem czyścił już cierpliwie pozostawioną przeze mnie plamę. Wiedziałem, że od tego jest, i że uda mu się zlikwidować plamę, ale i tak czułem się podle.

Przez te pół roku mogłem przyzwycząić się i nie robić takich głupstw. Przez pół roku? E tam, nie... Przecież póki miałem jakieś pieniądze to nie zniżałem się do chińskich fajek. Więc trwało to krócej...

A zresztą - co tam „krócej - dłużej”! Trzeba mieć mamonę. O! Tak jak wszyscy inni. Bo jak nie, to w najbliższym już czasie dobije mnie negatywne pole informatyczne. Z hukiem wpadnę do wykrotu. Do najprawdziwszego, takiego, w którym lądują zdefektowane programy, z którego już nigdy się nie wygrzebię.

Widziałem takie wykroty, i to nie raz. To gorsze nawet niż los nieboszczyka w wielkim świecie - leżenie w mogile i gnicie. Znacznie gorsze. Nieboszczyk w wielkim świecie nie wie co się z nim dzieje, a tu... Do ostatniej chwili, póki nie rozpadnie się definitywnie umierające ciało, delikwent wie, że umiera, myśli o tym, że nic nie może poradzić, i mimo wszystko czepia się uciekającego życia, mając nadzieję, że stanie się cud, chociaż nie ma najmniejszych podstaw do takich fantazji.

Koszmar!

Chociaż - może zupełnie niepotrzebnie wymyślam te wszystkie straszedełka? Może właśnie świadomość rozpada się w pierwszej kolejności i zostaje tylko ciało, nie rozumiejące niczego, niczego nie odczuwające, oziębiałe, po prostu rozpływające się w nicość? Uszkodzona informacja i nic więcej? Hm...

Pomyślałem, że cokolwiek by się nie działo, perspektywa poznania na własnej skórze odpowiedzi na te pytania jakoś mnie nie rajcuje. Tak więc wracając do domu postępuję słusznie. Może los ulituje się i podeśle mi klienta?

- Kochaniutki, nie powie mi pan, jak trafić do tawerny „Krwawa Mary”?

No tak. Turysta. Wyszedł z trafiki z pamiątkami, którą właśnie mijałem. Dysponował maską najwyższej jakości, nie wykonaną przez jakiegoś kukaracę, a przez prawdziwego mistrza. Taki kokon świadczy, że turysta jest przy kasie. Na dodatek kieruje się do „Krwawej Mary”, a to znaczy, że zamierza stracić tam swoje pieniądze.

Tak więc...

- Przepraszam, nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Westchnąłem. Nie, tego typu zabawa to nie dla mnie. Oczywiście, gdyby na moim miejscu był Hobbin albo Nobbin, to te zuchy załatwiłyby sprawę odpowiednio. Oni. Ponieważ zajmowali się takimi numerami nie raz. Poza tym oni wiedzą dokąd należy pójść z tego typu turystą, co mu powiedzieć, od kogo odebrać potem swoją dolę.

Nie, każdy powinien zajmować się tym, co potrafi. Ja, jak na razie, jestem jeszcze prywatnym detektywem, i mam jakieś resztki szans na to, że nawinie mi się jakiś klient.

- Powinien pan minąć jeszcze dwie przecznice i skręcić w prawo. Za następnym rogiem będzie tawerna „Krwawa Mary”.

- Dziękuję, kochany panie.

Ruszyliśmy, każdy w swoją stronę. Gdzieś po dziesięciu krokach nie wytrzymałem i odwróciłem się. Jeszcze mogłem dogonić faceta... Może nawet udałoby mi się namówić go na coś, udowodnić, że wielką podróż można odbyć niekoniecznie zaczynając od „Krwawej Mary”. I może by mi się udało...

Właściwie, to przez te sześć miesięcy poznałem cyber-12 wystarczająco dobrze, by wykonać z powodzeniem taki numer. Namówić? Phi, przecież tam, wielkim świecie byłem komiwojażerem. Mogę przy odrobinie szczęścia namówić każdego i na wszystko.

Turysta oddalał się. A ja ciągle się wahałem. Powstrzymała mnie jedna myśl. Doganiając turystę i proponując mu kurs po grzesznych miejscach cyberu-12 przekreślę swoje ostatnie pół roku. Postawię na nim gruby krzyż. Na wszystkim. Na swoich nadziejach. Na straconych pieniądzech, i na tej energii, którą włożyłem w opanowanie zawodu prywatnego detektywa.

Duma? Pewnie tak, pewnie to ona. Duma, przez którą zginął nie jeden już człowiek i pewnie nie jeden jeszcze zginie. Przekłęta duma człowieka, nie chcącego przesunąć się o szczebel niżej w hierarchii społecznej, choćby za cenę ewentualnej śmierci.

Śmierci.

Wzdrygnąłem się. Co jak co, ale ta perspektywa mnie nie kusiła. Co oznaczało, że do diabła z dumą. Trzeba przeżyć. Ale i tak nie ruszyłem się z miejsca, patrzyłem tylko jak oddala się turysta, którego portfel mógł być moim ratunkiem. Nie zrobiłem w jego kierunku ani kroku.

Duma.

W końcu turysta skręcił za róg, a ja westchnąłem sobie ciężko i powlokłem się do domu. Czułem się fatalnie, mniej więcej tak, jak człowiek, który sprezentował dla żartu los przygodnemu znajomemu, a potem dowiedział się, że na ten właśnie los padła główna wygrana.

Mój dom znajdował się przy krótkiej, dość wąskiej uliczce, powstałej za ślepyimi murami kilku wielkich budynków.

Wśród nich był sklep w hologramami wątpliwej kondyty, centrum rozrywkowe, biuro jakiejś tajemniczej firmy, obszar działania której pozostawał dla mnie tajemnicą, oraz kilka prywatnych budynków bogatych właścicieli, odwiedzających cyber tylko od czasu do czasu.

Przez ostatni miesiąc oszczędzałem na wystroju i ściany mojego domu, pierwotnie wyróżniające się soczystą niebieską barwą teraz nieco spłowieły. Pierwsze stadium oddziaływania negatywnego pola informatycznego. W drugim stadium kolor zniknie całkowicie, a ściany zaczną się kruszyć. Programy serwisowe natychmiast, rzecz jasna, ulegną rozpadowi i dom stanie się zwyczajnym pudełkiem, składającym się ze ścian i dachu, a w tym pudełku za skarby nie da się żyć.

Ale to się nie stanie tak szybko. A gdy już się stanie, gdy dojdzie do drugiej fazy zniszczenia, ja będę już się wylegiwał na dnie wykrotu, i niewątpliwie los tego domu będzie mi kompletnie zwiślał. Taki był wariant przyszłości, w którym przez najbliższy tydzień nie zdobędę pieniędzy.

Przyłożyłem do drzwi dłoń, a te, rozpoznawszy właściciela, otworzyły się. Miły kobiecy głos przywitał mnie:

- Witaj w domu, mój panie!

Pomyślałem kolejny raz, że powinienem zmienić powitanie na jakieś bardziej demokratyczne, coś w stylu „Witaj, włóczęgo!”, i jak zwykle odłożyłem to na kiedy indziej. Wszedłem do domu.

Drzwi zamknęły się za mną.

Od wewnątrz dom był, to jasne, znacznie większy niż z zewnątrz. W świecie cyberów takie rzeczy były na porządku dziennym. Wewnętrzna przestrzeń budowli zależała wyłącznie od ilości pieniędzy, jakimi dysponował jej właściciel, wyłącznie od tego.

Być może gdybym się ograniczył do jednego tylko pokoju, stan moich finansów w danej chwili nie byłby taki opłakany. Jednakże, zamawiając dom nie przewidziałem, że nadejdą dla mnie tak niedobre czasy. Wtedy wydawało mi się, że przyszłość jest stabilna i syta. W końcu, myślałem wówczas, mam znakomity zawód, i w ogóle - od tej chwili wszystko będzie cacy, ponieważ najgorsze, co mogło się wydarzyć już się wydarzyło.

O, słodkie wy moje marzenia... Nie wszystkie, jak się okazało, słodkie. Utrata ciała i przejście do kategorii program tułaczy w rzeczywistości nie były takim dramatem jak brak pieniędzy i możliwości ich zdobycia.

Przeszedłem przedpokój i znalazłem się w pokoju, który nazywałem gabinetem. Stało w nim duże biurko z polerowanym blatem udającym czarny dęb, wygodny fotel, przypominający tron, a także kilka mniejszych krzeseł, dla klientów. Na ścianach gabinetu wisiało parę pejzaży, wykonanych w klasycznym stylu, był też obraz przedstawiający człowieka w średnim wieku, o zmęczonym i przenikliwym spojrzeniu, w czarnym nieprzemakalnym płaszczu. Na głowie osobnik miał wysoki kapelusz z szerokim denkiem. W prawym ręku ścisnął rewolwer z długą lufą, wyglądał przy tym tak, jakby zamierzał kogoś zabić.

Kolejnym pokojem była sypialnia, umeblowana bardziej delikatnie i przytulnie. Jednakże czas snu jeszcze nie nadszedł, dlatego nie przyszło mi do głowy nic oryginalniejszego, jak zwalić się w fotel-tron, zapalić - rzecz jasna - papierosa, i wpić się wzrokiem w portret.

No bo co mi jeszcze zostało? Ach, oczywiście, mogłem przejrzeć najświeższe wydanie kroniki kryminalnej. Tylko po co? Żeby się dowiedzieć, że gdzieś tam, w sąsiednich cyberach

dokonano znowu kilku przestępstw, którymi zajęli się gliniarze. I co potem? Jedyna rzecz, jakiej tak naprawdę w tej chwili potrzebowałem to ogłoszenie typu: „Bogaty, hojny klient poszukuje kompetentnego detektywa, który góry przenosi za odpowiednie wynagrodzenie”. Tyle, że nic podobnego w kronice kryminalnej nie mogło się pojawić. Nie widziałem zatem potrzeby przeglądania jej. Przynajmniej w tej chwili.

Popatrzyłem jeszcze raz na portret i spróbowałem zrozumieć dlaczego wybrałem akurat ten z wielkiej ilości propozycji, które miały ozdobić ścianę mojego gabinetu. Może był jakimś symbolem zawodu prywatnego detektywa? Takiego rycerza bez skazy i strachu, potrafiącego samotnie przeciwstawić się każdemu i wszystkiemu, takiemu, co to święcie strzeże interesów klienta i dokonuje arcycudów przenikliwości i sprytu...

Ech, do licha!

Zgasiłem peta w zastępującym popielniczkę spodeczku, pokrytym już całkowicie fioletowymi plamami, i, opuściwszy fotel, przespacerowałem się po gabinecie.

Czekać i jeszcze raz czekać. Mieć nadzieję.

Może plunąć na wszystko i walnąć się spać? Jeśli jakiś klient się pojawi dom mnie zbudzi.

Sen. Niewątpliwie tu, w cyberze, łatwo mogłem uwolnić się od tego przyzwyczajenia prawdziwych ludzi. Tułacze programy nie mają pojęcia o śnie, tylko drobiazg - ja nie byłem klasycznym prawdziwym programem tułaczym. Pół roku temu byłem najprawdziwszym człowiekiem. Dlatego, gdy Hobbin poradził mi, bym się wyzbył tego szkodliwego przyzwyczajenia, a w tym celu należało tylko kupić pewien tani podprogramik, postanowiłem, że nie posłucham jego rady.

Wydawało mi się, że uwalniając się od snów, zdradzę swoje

ludzkie jestestwo, stracę kawałek pamięci o wielkim świecie, o czasach, kiedy bywałem w cyberach wyłącznie w charakterze turysty. Oczywiście, potrzeba zasypiania co jakiś czas, mogła przeszkadzać mi w wykonywaniu obowiązków prywatnego detektywa. Ale z rozwiązaniem tego problemu nie powinno być trudności.

W czasie kiedy usiłowałem odzyskać ukradzione mi ciało, dozorca ZOO dał mi tabletkę, dzięki której mogłem nie spać przez trzy doby. Zdobywszy za jego pośrednictwem całe pudełko takich pastylek, uznałem problem snu za rozwiązany. Teraz dysponowałem środkiem, przy pomocy którego mogłem czuć ile tylko dusza zapragnie.

A tak w ogóle to sen jest niezłym sposobem na zabicie czasu. I właśnie teraz walnę się spać. Może przyśni mi się coś miłego, no a gdyby co, to dom mnie obudzi, oby tak się stało. Niech mi zakomunikuje, że czeka na moje usługi tuzin majątnych klientów!

Posłałem w stronę sypialni zamyślane spojrzenie. I już nawet zrobiłem w jej stronę jeden niepewny krokczek...

Ale w tym momencie rozległ się czuły głos domu:

- Mój panie, przyszedł do pana klient.

2.

Klient.

Mniej więcej tak go sobie wyobrażałem.

Jego kokon był wysokiej jakości, odpicowany w każdym najmniejszym szczególe, z najmniejszymi zmarszczkami na obliczu. Ubranie z pewnością wykonane zostało w pracowni dobrego dizajnera, odpowiadało wszelkim wymogom ostatniego pisku mody. Więcej - w ręku klient trzymał laseczkę, będącą dokładną kopią muzealnego eksponatu z dziewiętnastego wieku. A ja wiedziałem, że na taką kopię mógł sobie pozwolić tylko prawdziwy krezus.

Tak więc mój klient jest niewątpliwie bogaty. Teraz powinienem się tylko dowiedzieć, jaka sprawa przywiodła go do mnie, a potem uczynić wszystko, co możliwe, by sprawa ta mi nie umknęła. No, jak na razie wszystkie atuty były w moich rękach. Ten, kto tak długo w wielkim świecie był komiwojażerem, powinien wiedzieć, jak przypodobać się klientowi, jak również udowodnić mu, że jest się jedynym człowiekiem, z którym warto prowadzić interesy.

Właśnie z tego powodu przywitałem swego klienta siedząc w fotelu tronowym, z napięciem wpatrując się w umieszczony w blacie biurka wizjer informacyjny, przez który przebiegały linijki ostatnich wiadomości.

Chwył to stary, może nawet starszy od egipskich piramid, ale i tak skuteczny. Najważniejsze w takiej scenie, to nie przegiąć pały. Gdy klient zrobił kilka kroków i znalazł się przed moim biurkiem, oderwałem się od swego zajęcia. Wystarczająco życzliwie uśmiechnąwszy się, wskazałem mu jeden z fote-

li i powiedziałem:

- Proszę siadać. Czym mogę służyć?

Rozsiadłszy się w fotelu klient położył w poprzek kolan swą drogocenną laseczkę i przedstawił się:

- Bong Shetter. Mam sprawę.

Skinąwszy głową, uśmiechnąłem się ujmująco. Ciepło, ciepło... Teraz trzeba zaciąć i pilnować, by rybka nie zerwała się z haczyka.

- Na czym polega pański problem?

- Muszę odnaleźć pewnego turystę. Przy czym wiadomo mi dokładnie, w jakim cyberze powinien się znajdować. Ale nie jestem w stanie go tam zlokalizować.

- Cóż - pozwoliłem sobie wytrzymać pewną pauzę, jakoby poświęconą na zastanawianie się, i oświadczyłem: - Akurat teraz dysponuję nieco wolniejszym czasem. Sądzę, że mogę zająć się pańską sprawą.

- W takim razie angażuję pana - powiedział Shetter. - Czy może pan przystąpić do wykonywania zlecenia od razu?

- Oczywiście - odparłem. - Ale powinniśmy wcześniej omówić pewne warunki.

- Opłatę?

- To też.

Shetter zaproponował cenę. Uniosłem z lekka brew. Powiniennem raczej zmarszczyć się, ale nie wystarczyło mi tupetu.

- Czy to wynagrodzenie pana nie urzęda? - spytał klient.

- Nie, dlaczego. Urzęda - odpowiedziałem. - Jednakże muszę pana z góry uprzedzić, że jeśli w trakcie poszukiwań powstaną pewne komplikacje, to będzie pan musiał je zwiększyć.

- Co ma pan na myśli?

- Jak rozumiem, turysta, losem którego jest pan tak zainteresowany, mógł zostać porwany.

- Nie, to wykluczone.
 - W takim razie mógł popełnić jakieś przestępstwo. Moje zadanie w takim wypadku bardzo się skomplikuje. Jeśli nie został porwany, to powinien istnieć jakiś powód, dla którego postanowił się ukrywać, prawda?
 - Całkiem możliwe.
 - W takim przypadku...
 - Tak, zgadzam się. Wynagrodzenie może ulec zmianie na pana korzyść. Jednakże uprzedzam, że jeśli zamierzą pan wykorzystać jakieś fakty, które pan odkryje w trakcie dochodzenia, w celu żądania nieusprawiedliwionego podniesienia honorarium, to będę zmuszony do wykonania bardzo nieprzyjemnych posunięć.
 - To jest wykluczone - pośpiesznie go zapewniłem. - Jeśli ma pan na myśli szantaż, to mogę pana zapewnić, że o niczym takim...
 - Gdybym dopuszczał najmniejszą możliwość takiego zakończenia sprawy, to - zapewniam pana - noga moja by tu nie stała.
- Powiedziawszy to Shetter uśmiechnął się. Jego uśmiech przypominał mi nieco uśmiech głodnego tygrysa, spoglądającego obiecująco w stronę stada spasionych antylop. I nie zapowiadał niczego dobrego. Jednakże nie miałem innego wyjścia, jak brać to zlecenie. Pierwsza sprawa, jakąkolwiek by nie była, z reguły musi być przyjęta. Szczególnie jeśli detektyw znajduje się na skraju finansowej przepaści.
- W takim przypadku - powiedziałem - możemy uważać, że w tej kwestii jesteśmy już umówieni.
 - Bez wątplenia - zapewnił mnie Shetter. - Jeśli wystąpią naprawdę wielkie problemy i będzie pan zmuszony do wykonywania jakichś działań, nie dotyczących wprost poszukiwań

interesującego mnie turysty, wynagrodzenie może ulec zwiększeniu.

- Biorę tę sprawę - oświadczyłem suchym oficjalnym tonem. - I na początek chciałbym otrzymać wszelkie możliwe dane dotyczące obiektu poszukiwań.

- Otrzyma je pan.

Shetter wyciągnął przed siebie prawą rękę, a z jego dłoni, niczym motylek, wyfrunął mały tęczyowy kwadracik. Wykonawszy w powietrzu zgrabny obrót, wylądował na wizjerze informacyjnym i, błyskawicznie rozwinąwszy się, całkowicie go przesłonił.

Przystąpiwszy do zapoznania się z danymi, po pierwsze zerknąłem na hologram przedmiotu poszukiwań. Był to mężczyzna mniej więcej czterdziesto-, może czterdziestopięcioletni, lekko otyły, łysiejący, z mocno zarysowaną żuchwą, bez wątplenia wskazującą na jego wrodzony upór. I oczy - szare, przenikliwie patrzące i jakby zmęczone, pozbawione wiary w kogokolwiek i cokolwiek. W każdy razie ja odniosłem takie wrażenie. Załączony do hologramu tekst składał się z jednej linijki. Informowała ona, że turysta nazywa się Lanny Word. To mnie nieco zaskoczyło.

Zapytałem Shettera:

- Wygląda z tego, że o obiekcie poszukiwań nic nie wiadomo?

- Dlaczego? - odpowiedział, wcale nie skonfundowany pytaniem. - Wie pan jak wygląda. Dla prawdziwego profesjonalisty to już informacja wystarczająca. Czy może się myłę?

- Nie, to wystarczy. Jednakże chciałbym parę rzeczy sprecyzować... Wygląda, że nie wie pan nawet czym zajmuje się ów Word tam, w wielkim świecie i gdzie mieszka?

- Żeby się tego dowiedzieć musiałbym zwrócić się do firmy,

której własnością jest portal, przez który wszedł on do cyberów. Przy tym na pewno odmówią mi tych danych, ponieważ zobowiązani są do ujawniania ich tylko czynnikom oficjalnym.

- Rozumiem - skinąłem głową. - Chce pan odnaleźć obiekt, że tak powiem, nieoficjalnie.

- Oczywiście. Gdybym chciał oficjalnie, zwróciłbym się do gliniarzy.

- Czego pan oczekuje ode mnie, gdy odnajdę Lanny'ego Worda?

- Niczego. Po prostu ma pan natychmiast podać mi adres jego zamieszkania. Cała reszta już pana nie dotyczy. Otrzyma pan należne honorarium i wróci do swego cyberu.

I to już mi się nie podobało.

- Ale muszę wiedzieć, co właściwie pan zamierza przedsięwziąć w stosunku do przedmiotu poszukiwań.

- To pana prawo - odparł Shetter. - Odpowiedź: nic. Muszę mu tylko zadać kilka pytań. Obiecuję, że nie dojdzie przy tym do żadnego złamania prawa. Czy to wystarczy?

Nie wiadomo dlaczego, ale byłem przekonany, że stanie się dokładnie inaczej. Jednakże kto i co stało na przeszkodzie, by wykonawszy swoje zobowiązania i wzięwszy wynagrodzenie od Shettera, zaproponować swoje usługi obiektowi poszukiwań? Oczywiście, o ile mu się takie usługi przydadzą.

- Oczywiście, to wystarczy - powiedziałem.

- Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

- Nie.

- W takim razie może pan uważać, że zleciłem panu zadanie, i przystąpić do poszukiwań natychmiast.

- Jeszcze jedna sprawa... - przypomniałem mu.

- Zaliczka?

- Otóż to.

Wstawszy Shetter wyciągnął z kieszeni niewielki plik banknotów i podał mi go. Jeśli była to połowa umówionej kwoty, to znajduje się w niej tysiąc infobucksów. Nie jest to niezmierne bogactwo, ale zawsze... Nie przeliczałem pieniędzy. Bałem się, że zaczną mi drżeć ręce. Po prostu wsunąłem je do kieszeni, starając się okazać, że nie jestem tą forszą przesadnie zainteresowany.

Ha, gdybyż tak naprawdę było!..

Oto jest, ratunek! Wydaje się, że pomysł zostania prywatnym detektywem nie był aż tak głupi. W każdym razie widmo śmierci głodowej na dzień wykrotu dla odpadów odsunęło się w niebyt. Jeśli pojawił się jeden klient, to będzie i następny. Najważniejsze to nie dać plamy przy pierwszej sprawie, a przyszłość będzie się rysowała w pastelowych kolorach.

- Teraz możemy ruszać.
- Tak, możemy. Ale będę musiał zaopatrzyć się w pewne drobiazgi.
- Czekam na pana. Byłoby nieźle, gdyby przystąpił pan do poszukiwań natychmiast.

Pewnie. Oczywiście, że byłoby nieźle. Mnie, szczerze mówiąc, też korciło, żeby wreszcie zastosować nabyte w ostatnim półroczu umiejętności.

Pakowanie nie zajęło mi wiele czasu. Wyjąłem z szuflady pistolet, bardzo przypominający te armaty, którymi perforowali swoje ciała kowboje w przedpotopowych filmach. Właściwie, tu, w świecie cyberów, gabaryty nie miały wpływu na skuteczność broni. To, co przypominało damską zabawkę z wielkiego świata, mogło okazać się czymś w rodzaju bazooki. Ale nabywając właśnie ten pistolet, wcale nie planowałem używania jej przy każdej najmniejszej okazji, jeśli natomiast miałem korzystać z niego rzadko, musiał wyglądać przekon-

jąco i groźnie. Po pistolecie przyszła kolej na uniwersalny diagnozer. Bardzo pożyteczny drobiazg, liczyłem na jego pomoc. Potem wsunąłem do kieszeni opakowanie odpędzających sen pastylek. Przykleiwszy informacyjny wizjer na przegub lewej ręki przeniosłem nań hologram obiektu poszukiwań. Poupychawszy resztę przedmiotów po kieszeniach, zameldowałem raźnie:

- Gotów.
- Świetnie - pochwalił mnie Shetter. - Skoro tak, to musimy się udać do najbliższego portalu. Kolejna sprawa - ponieważ od tej chwili pracujesz dla mnie sądzę, że powinniśmy przejść na „ty”.

- Zgoda - powiedziałem.

Co prawda podstawowe kompendium wiedzy, podręcznik zawodu prywatnego detektywa, monumentalne „Podstawowe metody i specyfika prowadzenia prywatnego dochodzenia” nie zalecało przechodzenia z klientem na „ty”. Ale zaraz potem podręcznik dopuszczał taką możliwość w pewnych sytuacjach. Należało więc uznać, że pewna sytuacja ma właśnie miejsce.

- Dobra, a teraz powiedz mi uczciwie - odezwał się Shetter, kiedy wyszliśmy na ulicę kierując do portalu - czy masz nadzieję odnaleźć Worda w ciągu kilku najbliższych godzin?

- Możliwe, całkiem możliwe - odpowiedziałem. - O ile, rzecz jasna, nie wynikną jakieś dodatkowe okoliczności.

- Yhm... Pewnie nie jesteś w stanie podać jakichś precyzyjnych prognoz, czyż nie?

- Przede wszystkim muszę zapoznać się z sytuacją w tym cyberze, w którym będę musiał prowadzić dochodzenie - powiedziałem.

- Nie da się powiedzieć o niej, że jest sprzyjająca. Ale jestem pewien, że taki spec jak ty, poradzi sobie z każdym pro-

blemem.

Akurat w tym momencie usiłowałem wyobrazić sobie, co powiedziałby Hobbin widząc mnie w towarzystwie klienta. Pierwszego klienta. Pewnie zzieleniałby z zazdrości. A jakże! Mam oficjalny, dozwolony przez prawo zawód. Nie muszę ukrywać się przed gliniarzami, nie muszę przymilać się ufnym turystom, udawać cool-facia, znawcę okolicy i uciech. Nie, moje stosunki z nimi oparte są na oficjalnych interesach.

Ale, mimo to, w słowach Shettera znajdowała się pewna informacja, która nie mogła mnie nie zaniepokoić. Bo co to znaczy „nie da się powiedzieć, że jest sprzyjająca”? Co to za cyber? Nagle uprzytomniłem sobie, że nawet nie zapytałem klienta w jakim cyberze przyjdzie mi pracować. Oczywiście, najprościej byłoby zapytać go o to teraz, ale czy Shetter nie uświadomił sobie, że wynajął jakąś sierotę, która zabrała się do roboty nie mając pojęcia, gdzie właściwie będzie popisywała się swoją wiedzą i talentem?

Takie przypuszczenie miało ręce i nogi. Postanowiłem trochę poczekać. Tym bardziej, że wkrótce znaleźliśmy się przed portalem. A tam wszystko miało się wyjaśnić.

Tak też się stało i wszystko się rzeczywiście stało się jasne. Ten portal miał postać niskiego pomalowanego w pasy słupka, podobnego do tych, jakimi w starożytności zaznaczano granice państwowe. W górnej części słupka znajdowała się mała klawiatura z cyframi od zera do dziewięciu i małym ekranikiem.

Oto za chwilę Shetter wystuka na niej numer cyberu i wszystko stanie się zrozumiałe.

Wystukał numer 122.

Coś mi zaczęło świtać. Coś o tym cyberze słyszałem...

Ze słupka wynurzyła się gardziel odbiornika. Nie pozostało mi nic innego, jak wkroczyć do środka i przenieść się do inne-

go cyberu. Oczywiście, podczas przenoszenia zostanie poddany kontroli. Jeśli okaże się, że jestem na celowniku gliniarzy, albo, że jestem nieusankcjonowanym programem tułaczym, to trafię nie tam, gdzie się kierowałem, a prosto do ciupy. Ale mnie to nie grozi. Jestem oficjalnym programem tułaczym. Mam nawet licencję prywatnego detektywa, więc nie muszę się niczego obawiać. Mogę śmiało ruszać do odbiornika.

- Nad czym się zastanawiasz? - zapytał Shetter.

No właśnie - nad czym?

Już miałem zrobić ten krok, kiedy przypomniałem sobie czym jest cyber-122. To mnie nieco zaskoczyło, ponieważ cyber o tym numerze był cyberem chińskim. Jedna z fundamentalnych rad podręcznika „Podstawowe metody i specyfika prowadzenia prywatnego dochodzenia” głosiła, że na prowadzenie dochodzenia w chińskim cyberze może sobie pozwolić tylko szaleniec.

Po plecach przeleciały mi ciarki, jakby ktoś tuż obok mnie otworzył i zaraz zamknął drzwi prowadzące w zimową wyziębłą noc. Rzuciwszy spojrzenie na Shettera zobaczyłem, że ten krzywo się uśmiecha. To wyjaśniało mój zadziwiający fart. Ten typas na pewno cholernie potrzebował prywatnego detektywa. Każdy specjalista bez namysłu odrzuci propozycję prowadzenia dochodzenia w chińskim cyberze. Mimo każdego pieniądzy.

Co w tej sytuacji zostało Shetterowi?

Oczywiście, musiał znaleźć kogoś, kto się zgodzi na takie śledztwo. Kogoś kompletnie bez doświadczenia, jak ja. Więc znalazł. Przy czym nie mogłem mu teraz odmówić, ponieważ zawarłem umowę i nawet otrzymałem zaliczkę. Prywatny detektyw, który odmówił wykonania zawartego kontraktu nigdy i w żadnych okolicznościach nie znajdzie klienta. Nigdy.

Znowu popatrzyłem na gościa, który tak zręcznie mnie wyrolował. Shetter rozłożył ręce:

- Proszę, powóz czeka. Należy dotrzymywać umów.
- Słuchaj - powiedziałem. - Jaki będziesz miał ze mnie pożytek? Po co ci prywatny detektyw, którego każdy może wykiwać?

- Nie jęcz - powiedział Shetter. - Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że zanim zjawiłem się u ciebie, obwąchałem twoją kandydaturę dość szczegółowo. Zgodnie z posiadaną wiedzą, jesteś zdolnym, choć zupełnie niedoświadczonym detektywem. Doświadczenie to rzecz nabyta. Najważniejsze jest to, do czego jesteś zdolny, a zdolny jesteś do wielu rzeczy. Pół roku temu, na przykład, zrobiłeś taki kipisz w tym właśnie cyberze, że aż obłoki się podsmażyły. Przy tym wyszedłeś z tego bałaganu cały i zdrowy a nawet udało ci się zgarnąć niezły pieniądz. A to, że nie zapytałeś o jaki cyber chodzi w tym zleceniu... Następnym razem zapytasz o to w pierwszej kolejności.

„Jeśli przeżyję i uda mi się wrócić do domu w jednym kawałku”.

- A jeśli mimo wszystko nie zgodzę się na wykonanie kontraktu?

Shetter wzruszył ramionami:

- Znajdę sobie innego początkującego detektywa, a tobie cofną licencję. Staniesz się nieusankcjonowanym programem tułaczym. Bez pieniędzy, bez perspektyw na przyszłość. Dokładniej rzecz ujmując - z jednym tylko wariantem przyszłości. Wiesz oczywiście, że wszystkie tułacze programy kończą wcześniej lub później na dnie wykrotu?

„Nie wszystkie. Hobbin i Nobbin są tego potwierdzeniem”. Tyle, że nie powiedziałem tego na głos. Ponieważ częściowo Shetter miał rację. Hobbin i Nobbin są wyjątkami od reguły,

które tę regułę potwierdzają. Nie uda się powtórzyć ich drogi życiowej, chociażby dlatego, że oni sami nie dopuszczą do konkurencji na swoim terenie. A ja, zostawszy się programem tułaczym, nie będę mógł nawet przenieść się do innego cyberu.

Gdybym jednak miał w danym momencie jakikolwiek kapitał - odmówiłbym. Ale w tej sytuacji...

- No to jak? - zapytał Shetter.

Och, jaką miałem ochotę przywalić mu czymś ciężkim. Albo, jeśli nie, to przynajmniej powiedzieć mu co o nim myślę, o nim i jego rodzinie, o metodzie, jaką zastosowano, w celu wywołania go na ten świat, i tak dalej.

Zamiast tego popatrzyłem do wnętrza odbiornika i powiedziałem:

- Dobrze, podpisałem zgodę. Wykonam zlecenie.

- Widzę, że rzeczywiście nie pomyliłem się w ocenie pana. Chociaż był taki moment, kiedy ogarnęły mnie lekkie wątpliwości. - W głosie Shettera słychać było wyraźną drwinę. - W takim razie - naprzód, mój zuchwalcze.

Pomyślałem, że mógłbym zaproponować, by pierwszy wkroczył do odbiornika, ale odrzuciłem od razu tę myśl. Tacy jak Shetter nie dają się łatwo wykiwać. W odróżnieniu od niektórych początkujących prywatnych detektywów.

Shetter wykonał zapraszający gest w stronę czarnego leja.

Cóż, za błędy należy płacić. Wkroczyłem w gardziel odbiornika.

3.

Niebo w cyberze-122 miało kolor ciemnego fioleto, jakby zanosiło się na burzę. Nad samym horyzontem widniała owalna zielona plama, zajmująca znaczną powierzchnię, plamę tę zdobiły srebrne, w niezwykle sposób splecione kontury pawianów. Jakby ktoś, kto nosił się z zamiarem ozdobienia tym ornamentem całej niebieskiej sfery, wykonał tylko część pracy, postanowił na jakiś czas się od niej oderwać, i już do niej nie wrócił.

Słońce było najzwyczajszym ze słońc, z kształtu i wielkości niemal takie samo jak w wielkim świecie. Obok niego na niebie wisiał duży cyferblat zegara. Na doczepionym doń ekraniku widniał komunikat kalendarza - w wielkim świecie mamy dziś czwartek, dwunastego. Zapewne dla mieszkańców chińskiego cyberu miało to jakieś znaczenie.

Portal znajdował się na peryferiach city; przyjrząwszy się niebu zwróciłem oczy na samo miasto. Nie widziałem na pierwszy rzut oka niczego szczególnie chińskiego. Zwyczajne domy, różniące się od tych z cyberu, z którego przybyłem tylko szarymi, nadżartymi zębem czasu ścianami.

Czasu?

Ale nie, to musiało być negatywne pole informatyczne. Niczym kwas zżerało mury. A nikomu nie przyszło do głowy, że należy trochę się wysilić, by powstrzymać czy przyhamować proces zniszczenia. Nie chciało się, czy nie można było? Może właściciele tych budynków, jak i ja, znajdowali się na granicy dopuszczalnej w świecie cyberów nędzy?

- Ho-ho! Rozglądasz się?

To był Shetter.

Wynurzył się z gardzieli odbiornika, a ten, wydawszy z siebie cichy odgłos, podobny do dźwięku otwieranego parasola, zniknął w pasiastym słupku.

Wzruszyłem ramionami. Jak mogłem odpowiedzieć na takie pytanie? Oczywiście, że się rozglądam. Co mogę jeszcze zrobić?

Widocznie odgadłszy moje myśli Shetter powiedział:

- Oczywiście, powinieneś się rozejrzeć. Ale pamiętaj, że sprawa jest na pierwszym miejscu listy priorytetów. Potrzebuję tego faceta. Chcę wiedzieć, gdzie się ukrywa. Im prędzej go znajdziesz, tym szybciej otrzymasz swoje wynagrodzenie i wrócisz do domu.

Ponownie wzruszyłem ramionami. Wszystko, co powiedział mój zleceniodawca było jasne i oczywiste. Ale czy nie za wcześnie i nie za mocno naciska na mnie? Do jakich nacisków może dojść w przyszłości?

Hm... Mało tego, że rzuciło mną do chińskiego cyberu, to jeszcze klient jest małym tyranem. Ale czyż nie tak znowu dawno nie rozważałem ewentualności pracy jako przewodnik dla bogatych turystów? A teraz, kiedy w kieszeni spoczywa przyzwoity plik banknotów, obudziła się we mnie duma! Nie za wcześnie, co? Te pieniądze, w końcu, muszą być odpracowane. Dlatego - pokora i jeszcze raz pokora.

- Tak więc, znajdź go - mędził dalej Shetter.

- Oczywiście - zapewniłem go. - Natychmiast przystępuję do wykonywania zlecenia.

- No to świetnie - oświadczył Shetter, podając mi mały kwadracik w kolorze cytrynowym. - Kiedy go znajdziesz, natychmiast daj mi znać. Gdy ściśniesz mocno ten gadget do-
wiem się, gdzie jesteś.

- Tak właśnie zrobię - oświadczyłem, chowając kwadracik do kieszeni.

- Jeszcze raz powtarzam: po prostu znajdź go i tyle. Nie nawiązuj kontaktu.

- Jasne.

- No to świetnie.

Powiedziawszy to, Shetter spokojnie wystukał na pasiastym słupku kod i wkroczył w błyskawicznie otwarty odbiornik. Chwilę potem urządzenie, którego gardziel połąkła mego zleceniodawcę, zwinęło się w słupek, a ja pomyślałem z pewną taką zawiścią, że oto skończył się okres aktywności Shettera. Może sobie teraz wparować do jakiejś knajpki i skosztować smakowity obiadek. Albo nieco się rozerwać.

A z drugiej strony - co on ma właściwie innego robić? Zaliczkę przekazał, dostarczył do miejsca przeznaczenia jelenia, który nie zamierza zrezygnować z wykonania swoich obowiązków... Idylla, jednym słowem.

Westchnąwszy ciężko, wydłubałem z kieszeni papierosa i zapaliłem. Nie pozostało mi w gruncie rzeczy nic innego do roboty, jak przystąpić do poszukiwań. Może mi się poszczęści. Może nawet uda mi się wyjść stąd żywym, całym i zdrowym? Od czego powinienem zacząć? Od penetracji wizualnej. W tym zaś celu nie należy stać jak słup soli, tylko przejść się po mieście. Rozejrzeć się. Może znajdzie się ktoś, kto wyjaśni mi właściwości prawa i specyfikę tego, różniącego się od innych, cyberu.

Innymi słowy - potrzebuję miejscowego pomocnika. Ochotnika? Och, zapewne nie. Ale mam pieniądze, i pewnie uda mi się wynająć jakiegoś tubylca, a potem zacząć poszukiwania. No to cel numer jeden: pomocnik.

Pałac papierosa zacząłem oddalać się od portalu po wąskiej,

niemal pustej ulicy. Od „całkowicie pustej” dzieliła ją tylko staruszka, wyposażona w najprymitywniejszą maskę, jaką udało mi się w swoim życiu zobaczyć. Siedziała całkowicie nieruchomo pod ścianą standardowego, przypominającego zniszczony dziecienny klocek, domu. Podeszedłem do niej bliżej i ogarnęło mnie zwątpienie, czy w ogóle należy ona do świata istot rozumnych. Być może jest to, w nieznanym mi celu wykonany, produkt miejscowego kukaraczy?

Ale myliłem się.

Stało się to jasne w chwili, kiedy zrównałem się ze staruchą. Z godną podziwu szybkością, niczym długo czający się w zasadzce tygrys, rzuciła się na zdobycz i mocno chwyciwszy mnie za rękę zaczęła jazgotać:

- A któż to taki do nas w gościnę przybył, taki urodziwy i taki bogaty? Czyżby tuż przed śmiercią szczęście uśmiechnęło się do mnie i mogę popatrzeć na tak mądrego, pięknego i szacownego młodego człowieka? Niechże sprzyjają ci wszystkie bóstwa cyberów, niechże ześlą na ciebie powodzenie i wypełnią kieszenie brzęczącymi infobucksami. Oczywiście, takiego mądrego młodzieńca jak ty, powinno zainteresować, kiedy to nastąpi. A ja jestem gotowa poinformować cię o tym ze wszystkimi najdrobniejszymi i należnymi szczegółami. Miej na uwadze, że pewne osoby życzą ci źle i bez mojej pomocy wszystkie twoje ambitne plany i marzenia pyłem się staną.

Na takie prymitywne sztuczki mnie się nie nabierze. Zręcznym, wyćwiczonym ruchem uwolniwszy swoją rękę, w milczeniu poszedłem dalej.

- Stój! - krzyknęła starucha.

Tak naprawdę, to powinienem, nie zwracając uwagi na jej okrzyk, iść sobie dalej. Jednakże w głosie tej startej wróżbiarki rozbrzmiało coś dziwnego, jakby chciała powiedzieć mi coś, co

nie wchodziło w zakres jej zawodowych obowiązków. Poza tym, była pierwszym poznanyim mieszkańcem tego cyberu. Kto wie, może uda mi się wyciągnąć z niej coś interesującego?

Zatrzymałem się i odwróciłem do wróżki. Roześmiewszy się z satysfakcją, błyskawicznie znalazła się obok mnie i jak kleszcz wpiła w moją rękę.

- Babuniu - powiedziałem. - Przestań z tymi numerami. Nie uda ci się mnie capnąć w ten sposób. Nawet nie próbuj.

- A to się zobaczy - zaskrzybiała starucha, marszcząc długi i, rzecz jasna, haczykowaty nos tak, że przesunął się na bok. Zresztą, mogło być i tak, że dziwne zachowanie jej nosa było tylko defektem fatalnie wykonanej maski.

- Jeśli zamierzasz mnie kiwnąć, babciu, to daj sobie spokój - rzuciłem. - Jeśli zaś masz do powiedzenia coś sensownego, to wysłucham cię z przyjemnością.

- Kiwnąć - prychnęła wróżbiarka. - Wiedz, synciu, że kiwałam bez trudu nie takich jak ty. Ale nie będę tego z tobą robić, ponieważ spłynęło na mnie olśnienie.

Pozwoliłem sobie na ironiczny uśmiech.

- Tak-tak, prawdziwe olśnienie, iluminacja - zakrakała starucha. - Większa część tego, co mówią wróżbiarki swoim klientom, to bezpardonowe kłamstwo. Ale od czasu do czasu u tych, co zajmują się czytaniem losu, następuje moment prawdziwego wizjonerstwa.

- A ile będzie mnie kosztowało to „prawdziwe wizjonerstwo”? - zapytałem.

- Nic. Nie wezmę pieniędzy - odparowała wróżbiarka. - Za iluminację nie bierze się pieniędzy.

- To lepiej - powiedziałem. - Ale, pamiętaj, że nie zamierzam, w celu jej wysłuchania, zawijać swoich włosów w banknot, a potem wręczać ci go. I inne tego typu sztuczki też

nie przejdą.

Babunia wściekle tupnęła nogą i oświadczyła:

- Skoro powiedziałam, że nie wezmę od ciebie pieniędzy, to nie wezmę. A tak w ogóle - zamierzasz wysłuchać przepowiedni, czy nie?

- Tak. Tylko błagam - nie przeciągaj. Mam mało czasu.

Mówiąc te wsunąłem rękę do kieszeni i na wszelki wypadek ścisnąłem w dłoni plik banknotów.

- No to słuchaj i milcz, baranie jeden!

Pokręciłem tylko głową. Może jeśli wysłucham jej bajdurzenia, to odczepi się ode mnie?

Odsunąwszy się o kilka kroków wróżbiarka wyciągnęła przed siebie rękę. Z palców prawej dłoni wyrosły jej kastaniety. Staruszka szczęknęła nimi kilka razy i niskim nosowym głosem zaczęła śpiewnie:

- I widziałam ja, przemierzając pustkę, jak spotkałeś sam siebie, i byłeś tym zaskoczony. Siebie, ale innego, jakbyś przeszedłszy przez szkło, w cień się zmieniłeś. I stanąwszy przed sobą, skrzyżowawszy miecze, zrozumieliście co słyhać w nocnym wyciu.

- Koniec? - zapytałem, gdy umilkła.

- Koniec - raźnie przytaknęła babunia.

- Ale, rzecz jasna, nie wytłumaczysz mi, co to oznacza?

- No pewnie. Co by ze mnie była za wróżbiarka, gdybym interpretowała własne przepowiednie! - Powiedziawszy to, wróżbiarka cofnęła się i usiadłszy pod ścianą najbliższego domu znieruchomiła jak posąg.

Wzruszyłem ramionami. Wariatka. Bezapelacyjna wariatka. Szkoda, że zmarnowałem na nią tyle czasu. Niedopałek parzył mnie w palce. Cisnąłem go na jezdnię. I natychmiast opamiętawszy się, popatrzyłem sobie pod nogi. No tak... Plama zosta-

ła. Ale która z milionów plam pokrywających jezdnię była pozostałością właśnie po moim niedopałku nie dało się określić.

Wszystko się zgadza. Chińskie papierosy. Chiński cyber.

Jeszcze raz zerknąłem na starą i pomyślałem, że mógłbym jednak podejść do niej i zażądać wytłumaczenia jej dziwnej przepowiedni, ale jednocześnie nie bardzo chciałem usłyszeć interpretację. Nawet nie bardzo - wcale. I w ogóle - czy był to najlepszy czas na wbijanie sobie do głowy jakichś bzdur? Miałem zadanie do wykonania. To był priorytet.

Ruszyłem przed siebie, ulicą prowadzącą do centrum tego dziwnego miasta. Ulica wciąż była kompletnie pusta. I nagle, z okrutną bezwzględnością, zrozumiałem jak to jest być ostatnim człowiekiem na Ziemi. Sam, kompletnie sam. Tylko opustoszałe miasta i przedmioty, będące dowodami na nie tak odległe znowu w czasie istnienie tu skupiska ludzi. Pustka i dziwna, przygniatająca, wysysająca energię z duszy cisza. Obca i dlatego bezlitosna, kryjąca w sobie nieznanne, a więc i straszniejsze przez to jeszcze bardziej koszmary. Pustka i cisza, od których nie da się uwolnić nigdy, z którymi można tylko spróbować się zżyć, a i to resztkami sił, mając świadomość, że próba ta jest skazana na niepowodzenie...

Potrząsnąłem głową. No nie, tak łatwo się nie poddam. Pustka... Cisza... Pluję na nie. Praca. Oto czym muszę się zająć. Bo co mi cisza? Tu, w zamieszkałym mieście? Jakaś tam cisza...

Już przysła. Słyszałem jakieś ciche dźwięki, jeszcze nieokreślone. Można było tylko wskazać ich źródło. Znajdowało się za zakrętem, dwie przecznice dalej, a to znaczyło, że było jeszcze ukryte przed moim wzrokiem. Zatrzymałem się i przysłuchiwałem.

W pierwszej chwili dobiegające do mnie dźwięki przypominały mi ciche, ledwo odróżnialne mamrotania leśnego

strumienia, albo szelest łap dużego zwierza, biegnącego po suchej, spalonej słońcem trawie. Bardzo dużego zwierza, niebezpiecznego, szukającego zdobyczy, głodnego, żądnego...

Och, co za bzdury!

Znajduję się w środku zaludnionego miasta, przy tym nie w wielkim świecie, a cyberprzestrzeni. Skąd by się tu miały wziąć duże drapieżniki? Wiatrem przywiane? Co za brednie! Po prostu tam za zakrętem znajduje się ruchliwa ulica. Dobiegający mnie szum, to odgłos szurania wielu kroków i głosów rozmawiających ze sobą przechodniów. I tyle. I nic więcej.

Jednakże, ruszywszy dalej, przyłapałem się na tym, że odruchowo wsunąłem rękę do kieszeni i mocno chwyciłem rękojeść rewolweru. Tak, jakby za chwilę miała pojawić się okazja do jego użycia. I odkrywszy to, oczywiście, uśmiechnąłem się. Mam jednak pewne obawy co do szczerości tego uśmiechu. Chyba był odrobinę krzywy, i troszeczkę nieszczerzy.

Jak to pisano w starych księgach? „Oczekując w każdej chwili strzału, kapitan Zuchwały krokiem gimnastyka ruszył w kierunku zarośli, w których ukrywali się wrogowie”.

Z boku moje zachowanie wyglądało pewnie cholernie głupio. Ale aż do zakrętu nie wyjąłem ręki z kieszeni. Tak sobie maszerowałem, lekko przekrzywiony, ściskając w kieszeni rękojeść rewolweru. Dotarłem. Zobaczyłem. Odetchnąłem z ulgą. Wyjąłem rękę z kieszeni.

Uf...

Oczywiście, po pięćdziesięciu krokach ulica wciną się w skrzyżowanie. Przy tym ta ulica, która ją przecinała, była dość mocno zaludniona. Zaludniona? Hm... Turystów jakoś na niej nie było widać. Same tułacze programy. Takich prymitywnych i niezdarnie wykonanych masek turyści nie noszą. Nawet ci najbiedniejsi, ciułający infobucksa do infobucksa przez długi

czas, tylko po to, by odwiedzić w końcu świat cyberów.

I - z pewnością - nie było to przypadkiem. Jaki turysta odważy się zajrzeć do chińskiego cyberu, skoro nikt nie jest w stanie zagwarantować mu ochrony prawnej w postaci naszych wspaniałych nieustraszonych gliniarzy? Dlaczego? A to dlatego, że w chińskich cyberach po prostu się nie pokazują. Co by tu mieli do roboty? Zamykać wszystkich po kolei? Kasować wszystkie domy? Likwidować wszystkie przedsiębiorstwa, zajmujące się wytwarzaniem słynących ze swej jakości towarów. A konsekwencje?

W sumie, dawno temu, kiedy jeszcze byłem zwyczajnym mieszkańcem wielkiego świata, słysząc plotki o chińskich cyberach, zapytałem kiedyś Hobbina, dlaczego tych siewców podziemnej produkcji po prostu nie zamknie się raz i na zawsze. W odpowiedzi wygłosił niewielki wykład o istocie podziemnej wytwórczości, o pozytywnym jej wpływie na rozwój ekonomiki i co za tym idzie o podniesieniu dostatku stróżów porządku oraz licznych państwowych urzędników. W prelekcji tej mało było szacunku do jego wysokości prawa, ale logiki i życiowej mądrości - sporo.

Dobra, w tej chwili nie jest to najważniejsze. Mam tu znaleźć tego... Właśnie - turystę!

Jednakże, co mogło skłonić turystę do przybycia do cybera-122? Czego potrzebował w świecie, wypełnionym wyłącznie tułaczymi programami? Może Shetter mnie oszukał i Lanny Word wcale nie jest turystą? Ale po co by mnie oszukiwał? Po to, by skierować mnie od razu na fałszywy trop? Jaki miałby w tym interes? Chyba żadnego.

Doszedłem do skrzyżowania, oparłem się o mur najbliższego domu i, obserwując przechodzące obok mnie tułacze programy, spróbowałem uporządkować myśli. Albo Shetter mnie

oszukał i ów Lanny Word jest zwyczajnym tułaczym programem, albo przyjdzie mi mieć do czynienia z turystą, którego przywiodły do chińskiego cyberu jakieś bardzo-bardzo ważne okoliczności.

Kim jesteś, Lanny Word?

Odruchowo wsadziłem rękę do kieszeni i wymacałem kwadracik otrzymany od Shettera. Może przywołam tu swego zleceniodawcę i zapytam go, jakim sposobem trafił do chińskiego cyberu ów turysta? Ale Shetter po prostu może powiedzieć, żebym mu naskoczył. Że niby po co mnie wynajął? Nie po to przecież, bym go niepokoił z byle powodu i zadawał pytania, na które wcale nie muszę poznać odpowiedzi. W takim wypadku wcale nie muszę sobie nad nimi łamać głowy. Muszę wykonać zobowiązanie. I wcale nie jest ważne...

- Aha, mamy tu turystę. Jak ci się podoba nasz cyber?

Miałem przed sobą niziutkiego, ledwie sięgającego mi do pasa tubylca, bardzo podobnego do diabełka. Stojąc przede mną, uśmiechał się i czekał na odpowiedź. Uśmiech miał, trzeba przyznać, dość radosny. Gdyby nie sterczące z ust ostre kły, można byłoby powiedzieć nawet, że uśmiech był dość naiwny.

- W porządku. Bywałem w gorszych miejscach - odpowiedziałem, uważnie przypatrując się rozmówcy.

Przy niewielkim wzroście wyróżniał się przekonującą tuszą. Pojemny bandzioch czynił go bardzo podobnym do kuli. Na głowie widniała para niewielkich rogów, zamiast stóp miał kopytka. A ogon? Oczywiście, że był - zakończony małą kitką.

Diabełek! Jakiż to kukaracza wpadł na pomysł, by wyposażyć tułaczy program w kokon diabełka? O ile mnie pamięć nie myli moda na takie maski tułaczycy programów minęła strasznie dawno temu.

- Wątpię - odezwał się diabełek.
- Bo? - zapytałem wyzywającym tonem.
- Bo na twoim obliczu jest napisane, że po raz pierwszy trafiłeś do jednego z chińskich cyberów. Masz taki specyficzny wyraz twarzy.

- Chcesz powiedzieć, że widziałeś tu wielu turystów?
- Wielu czy niewielu, ale bywają tu - odparł diabełek.
- A po co tu przybywają?
- A ty?

Prychnąłem. Dobra taktyka - odpowiadanie pytaniami na pytania. Najważniejsze, że działa.

- Mam tu sprawę.
- No i oni mieli tu jakieś sprawy. Kumaszą?
- Yhm - powiedziałem w zamyśleniu. - Jakieś sprawy. To znaczy, że turyści tu bywają?

- Często. Wielu z nich potrzebuje przewodników.

Aluzja była więcej niż przejrzysta. Miałem przed sobą miejscowego przewodnika. Dobra, to jasne, ale po co chiński cyber odwiedza turyści? Czego potrzebują? Czyżby było tu coś, czego nie ma w innych zwyczajnych cyberach?

- Tak więc, jesteś przewodnikiem? - sprecyzowałem.
- Tak właśnie określa się mój zawód - z godnością odparł diabełek.

Uśmiechnąłem się. Niechby to usłyszał jakiś prawdziwy przewodnik! Nie pozbierałby się diabełek. Ale nie warto mu o tym mówić. Po co mam psuć sobie stosunki z kimś, kto najprawdopodobniej może mi się przydać? Co takiego - przyda się? A właściwie, dlaczego nie? Właśnie doszedłem do wniosku, że po prostu pomocnik jest mi niezbędnie potrzebny. I oto jest! Sam przybył i nawet nie muszę szukać. Pewnie zna cyber-122 jak swoje pięć palców.

- Dobra - powiedziałem. - Jak się nazywasz?
- Drobny Bies.
Skinąłem głową. Miano odpowiadało wyglądowi.
- Tak się nazywasz?
- Tak. A co - nie podoba ci się moje imię?
- Czy powiedziałem, że mi się nie podoba?
- Nie, ale tak dziwnie się uśmiechnąłeś... Dobra, niech będzie. Jak ty się nazywasz?
- Essutil Quack.

Drobny Bies podejrzliwie przyjrzał mi się i oświadczył z niezachwianą pewnością:

- Łżesz.
- Niby dlaczego?
- Nie ma takiego imienia. Essutil Quack! Co za jaja? Nie słyszałem nic podobnego przez całe swoje życie. Może bym uwierzył, gdybyś powiedział, że nazywasz się, na przykład, Kulawa Noga albo Zezowaty Hipopotam. Ale Essutil Quack!

Coś mi zaczęło świtać.

- Mimo to, tak właśnie się nazywam - oświadczyłem. - Jeśli chcesz dla mnie pracować musisz mnie tak właśnie nazywać. Chcesz?

- Pewnie - pociągnął nosem Drobny Bies. - Ale nie za darmo. Pamiętaj, że jestem markowym specjalistą i mój taryfikator jest odpowiednio wysoki, szczególnie dla turystów z dziwnymi imionami.

- Ile więc sobie wieszujesz? - zapytałem.
- Sto infobucksów za dzień wielkiego świata.
- Aha... - powiedziałem znaczącym tonem.
- No-o-o... - po chwili milczenia uzupełnił diabełek. - Jeśli to dla ciebie za wysoka cena, to możemy się potargować.

Popatrzyłem w oczy Drobnemu Biesowi, przy tym postara-

łem się, by było to najcięższe z możliwych spojrzeń. Sam się zdziwiłem, ale podziałało. Diabełek natychmiast odwrócił wzrok i, wpatrując się w ziemię, zaczął prawym kopytkiem kreślić na jezdni jakieś skomplikowane rysunki.

Westchnąłem ciężko. Moje domysły potwierdzały się, ale chciałem dokonać ostatecznej weryfikacji.

- Mógłbym cię wynająć - powiedziałem kusząc diabełka - ale tylko za dziesięć infobucksów dziennie, nie więcej.

Uradowany czart machnął ogonem i oświadczył z przejęciem:

- W życiu! Przestałbym sam siebie szanować, jeśli zgodziłbym się na pracę za takie pieniądze!

- Pamiętaj, kolego - ostrzegłem go - że jeśli jeszcze raz wydasz z siebie taki oburzony wrzask, to proponuję ci pięć infobucksów dziennie.

Teraz westchnął diabełek.

- Dobra, zgadzam się - wydusił z siebie. - Krwiopijco!

Skinąłem zadowolony głową, i wyjąwszy z kieszeni papierosa zapaliłem. Wszystkie moje domysły, jak mi się wydawało, potwierdzały się.

- No to jak - przybite? - zaniepokoił się moim milczeniem Drobny Bies. - Pamiętaj, że jeśli nawet zwiejesz stąd za kilka godzin, to i tak będzie się liczyło, że przepracowałem cały pełny dzień. I powinieś mi dać zaliczkę. Pięć infobucksów. Taki jest zwyczaj.

- Zanim przybiję chciałbym ci zadać pytanie - powiedziałem.

- Wal śmiało. Nawet dziesięć pytań.

Zaciągnąłem się kilka razy, popatrzyłem jak rozwiewa się w powietrzu chińskiego cyberu dym chińskiego papierosa, i zapytałem:

- Przyznaj - jestem twoim pierwszym klientem. Tak czy nie?

- Wiedziałem - mruknął zmartwiony diabełek i chlasnął ogonem w bruk ulicy. - Pewnie już mnie nie wynajmiesz?

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo kto potrzebuje niedoświadczonego przewodnika? A jak mam zdobyć doświadczenie, jeśli nikt mnie nie wynajmuje?

Znakomicie rozumiałem jego rozgoryczenie. Wszak jeszcze rano, kiedy wybierałem się do „Krwawej Mary”, myślałem właściwie o tym samym, niemal tymi samymi słowami.

- Może cię wynajmę - obiecałem. - Pod jednym warunkiem.

- Jakim? - ożywił się diabełek.

- Nie potrzebuję przewodnika po barach i miejscach rozpusty i takich innych. Ja po prostu mam odnaleźć w tym cyberze pewnego człowieka, a ty miałbyś mi w tym pomóc. Ale bez popisywania się, bez żadnych tricków reklamowych i bez przeciągania czasu, w celu otrzymania większych nieco pieniędzy. Pasuje?

- Stop, stop - rzucił diabełek. - Czy ty może jesteś gliniarzem?

- Nie. Prywatnym detektywem. Wynajęto mnie w celu odnalezienie pewnego turysty. Nie mam zamiaru zażywać rozrywek, ponieważ jestem tu niejako w pracy. Potrzebuję pomocnika, znającego dobrze te okolice. Kumasz?

- Wiadomo!

- No to jak - zgoda?

- Pod warunkiem, że moje wynagrodzenie wzrośnie.

Dodałem do niezliczonych plamek po niedopałkach na jezdni jeszcze jedną i powiedziałem:

- I tak jest wysokie. Według moich szacunków taryfa ta-

kiego, jak ty, „przewodnika” wynosi tu najwyżej piątkę dziennie. Zgadza się?

- Hm... Ale chciałeś mi dać dychę.

- Prawda, ale proponując tyle wiedziałem jakiego typu pomocy od ciebie potrzebuję i dlatego od razu zwiększyłem dwukrotnie stawkę. Ale ty usiłujesz urwać mi jeszcze dodatkowe kwoty. Miej więc świadomość, że za dziesięć infobucksów mogę wynająć dwóch innych przewodników. I jeśli się nie zgadzasz, to tak właśnie zrobię.

- Jeszcze raz powiadam, żeś krwiopijca - posepnie stwierdził Drobny Bies.

Wzruszyłem ramionami.

- Dobra, zgadzam się - oświadczył czart.

- W takim razie wynajmuję cię do pracy.

- W takim razie musisz mi dać zaliczkę. Teraz. Pięć infobucksów.

Oczywiście, istniało pewne prawdopodobieństwo, że wzięwszy pieniądze mój cicer o natychmiast da w długą. Ale - piątka nie jest przesadnie wielką kwotą. Można zaryzykować. Podałem mu banknot o nominale pięć infobucksów.

No, chyba pierwsze kroki mam za sobą. Otrzymałem odpowiednię i wynająłem pomocnika. Mogłem przystąpić do poszukiwań.

4.

- To kogo szukamy? - zapytał diabełek.

Pokazałem mu holo i wyjaśniłem:

- Zwą go Lanny Word. Trzy dni temu pojawił się w tym cyberze i wyparował. Nic więcej o nim nie wiem.

- To wystarczy - radośnie zatarł łapki Drobny Bies. - Nie tak znowuż wielu jest tu turystów.,

- A po co w ogóle tu przybywają? - zapytałem.

- Naprawdę nie wiesz?

- Nie.

- Żeby się rozerwać.

- Jakie rozrywki masz na myśli?

Drobny Bies uniósł i opuścił ramiona.

- Takie, jakich nie mogą znaleźć w innych cyberach. Kapujesz?

- Nie. Co tu może być takiego, czego nie ma tam?

Diabełek rzucił mi zdziwione spojrzenie i powiedział znacząco:

- Coś tam zawsze się znajdzie... coś... Nie domyślasz się?

- Nie. Wszystko, co może jeden człowiek zrobić drugiemu, można, jeśli się poszuka, znaleźć w innych cyberach.

- I nawet, na przykład, zabicie programu?

- A kogo to może zainteresować? Czym to się różni od zwyczajnej strzelnicy?

- Różni. Jeśli program jest dostatecznie dobrze wykonany. Jeśli może myśleć, czuć, cierpieć jest niemal takim samym tworem, jak mordujący go turysta. Zwróć uwagę - można zabijać na setki sposobów. Można po prostu wygarnąć ze spluwy

i rozpylić taki program na strzepy, a można powoli, wolniutko, tak jak się spodoba. I pamiętaj, że program może mieć postać dziecka albo - na przykład - kobiety w ciąży.

Wyobraziłem sobie, jak się to może odbywać i, wzdrygnąwszy się w myślach, zapytałem:

- A czy nie można przeszkodzić w takim zabójstwie?
- Jak? Z punktu widzenia prawa, każdego prawa, taki mord nie jest przestępstwem. To jest zwyczajna rozrywka.
- Czyżby gliniarze nie wiedzieli o tego typu zabawach?
- Skąd mieliby wiedzieć? Myślisz, że oni tu zagląдают? O nie, wolą udawać, że chińskie cybery w ogóle nie istnieją. - Powiedziawszy to, diabełek uśmiechnął się ironicznie.
- Ale jakoś można by z tym skończyć - upierałem się. - Na przykład, podając do wiadomości publicznej nazwiska miłośników tego typu rozrywek.

Po tych słowach ironiczny uśmiech Drobego Biesa skierowany był do mnie.

- Jakbyś chciał to zrobić? - zapytał. - Kto się tym zajmie? Ktoś miejscowy? Po co? Musisz pamiętać, że to tylko jedna z form biznesu, dzięki któremu w ogóle istnieje ten cyber. Jeden z wielu, i nic więcej. Za istnienie cyberu należy płacić: potrzebuje on energii elektrycznej, serwisu. A jak sądzisz, ile kosztuje niewiedza gliniarzy w temacie istnienia takich cyberów? Nie wiesz?

No właśnie. Kogo więc obchodzi, jak ludzie zdobywają swoje infobucksy? Możemy produkować tanie papierosy i inne towary, możemy też handlować programami przeznaczonymi na rzeź. Najważniejsze, żeby otrzymane w ten sposób pieniądze szły na podtrzymanie istnienia naszego świata. Rozumiesz teraz?

Pokiwałem w zamyśleniu głową. Wszystko to było jasne i

zrozumiale. Nawet jakieś takie zwyczajne, powszednie. Mniej więcej takie, jak zgon jakiegoś szprycera, który przedawkował na klatce schodowej kilka pięter od twego mieszkania. Albo śmierć człowieka, którego widziałeś kilka razy w życiu, a potem dowiedziałeś się, że tydzień temu wybrał się na spacer po dachu wieżowca, nie zabezpieczywszy się należycie. Zwyczajne i proste. Może dlatego, że wszystko odbywa się jakby obok, ale jednak w innym świecie, z którym nie masz właściwie kontaktu.

- Hej, co się tak zamyśliłeś? - rzucił Drobny Bies. - Wydawało mi się, że masz tu coś do roboty...

Ach tak... Oczywiście... Zlecenie. Potarłem czoło i postarałem się wyrzucić z pamięci wszystko, o czym dopiero co rozmawialiśmy.

Oczywiście, byłem nieco zaskoczony, patrząc na świat cyberów z innej jeszcze perspektywy, dającej dość obrzydliwy widok. Ale czyja po to tu przybyłem, czy może mam do wykonania jakąś robotę, co? Muszę wykonać zlecenie Shettera, otrzymać za nie pieniądze i uniknąć dzięki temu śmierci w wykrocie. Czas najwyższy zacząć działać. Gdzieś tu ukrył się turysta, jeśli nie został zwyczajnie zabity, to w każdej chwili może przeskoczyć do innego cyberu. Ten zaś cyber wcale nie musi być chińskim z natury i budowy, a wtedy mój zleceniodawca może spokojnie zrezygnować z moich usług. A konsekwencje tego...

Wyprostowałem się i wypiąłem pierś. „Trąbki dźwięk porywa mnie... tra-ta-ta... czas najwyższy zbierać się!” Tylko gdzie się zbierać? Od czego mam zacząć poszukiwania? Cała wiedza i reguły przyswojone w czasie szkolenia tutaj, jak mi się wydaje, psu na budę się zdadzą. To zupełnie inny świat, żyjący według swoich własnych reguł. Poszukiwania zatem

należy prowadzić zgodnie z tymi właśnie normami.

- Co, nie ma lekko? - zapytał Drobny Bies.
- Co masz na myśli?
- Mam na myśli, że nie masz pojęcia, od czego zacząć?

Chcesz mojej rady?

- No, gadaj.

Diabełek zachichotał.

- Najpierw moje pięć infobucksów.
- Niby z jakiej mańki?

- Za radę. Nająłem się jako przewodnik, innymi słowy mam cię prowadzić tam, gdzie sobie zażyczysz. Ale, mogę się założyć, że nie wiesz dokąd należy pójść. A ja wcale nie mam obowiązku ci podpowiadać. Przecież jestem przewodnikiem, a nie doradcą. Tak więc, sprawiedliwym byłoby dodatkowe wynagrodzenie za dodatkowe usługi.

Widzieliście, jaki ptaszek? Popatrzyłem na diabełka niemal z sympatią.

- Uważasz więc, że powinienem ci płacić za każdą radę?
- Nie za każdą, ale za te szczególnie ważne - tak. Mniej ważnych rad udzielam za friko.

Nie było wyjścia. Musiałem dać szelmie jeszcze piątała.

- No, to dawaj tę radę - powiedziałem. - Zobaczę, czy jest warta tej sumy.

- Pewnie że warta - uśmiechnął się zadowolony z siebie Drobny Bies. - Musisz udać się do starosty cyberu i nabyć u niego saver, taką saver. Bez niej nie uda ci się nic osiągnąć w tym cyberze. Więcej - będziesz miał bez niej spore kłopoty.

- Ile mnie to będzie kosztowało? - zapytałem.

- Nie wiem, jak się dogadacie. To ekstraordyriaryjny przypadek. Nigdy wcześniej nie odwiedzał nas prywatny detektyw. Zwyczajny turysta, co to przybył się rozerwać płaci sto info-

bucksów. Ale ty jesteś przypadkiem szczególnym.

- Rozumiem - powiedziałem. - W takim przypadku nie traćmy czasu. Prowadź mnie do starosty. Mam nadzieję, że ta usługa nie wymaga dodatkowej opłaty?

- Jak to? - pisał oburzony Drobny Bies. - Ja swoje obowiązki wykonuję uczciwie. Idź za mną.

Dość raźnie przeciął zatłoczoną tułaczymi programami ulicę i ruszył tą, na której nie było widać ani jednego tubylca. Starając się nie zostawać z tyłu ruszyłem za nim.

- To dość blisko - oświadczył diabełek żwawo przebierając kopytkami.

- Powiedz mi, dlaczego idziemy tą ulicą? - zapytałem.

- Bo tędy jest znacznie bliżej.

- Dlaczego, nie ma na niej ani jednego przechodnia?

- To proste. Na tej ulicy mieszkają ci, co mieli szczęście nająć się do pracy w jakiejś fabryczce produkującej papierosy czy artykuły żywnościowe. W tej chwili wszyscy są w pracy. O, za kilka godzin to tu będzie prawdziwy tłok.

- Rozumiem - sapnąłem.

Muszę przyznać, że nie było łatwo nadążyć za diabełkiem. Przemieszczał się, mimo swego niskiego wzrostu i otyłości, zadziwiająco szybko. Nie zwalniając przemknęliśmy przez kilka przecznic, skręciliśmy w wąski, powyginany zaułek, zawalony wielkimi pudłami, na które musieliśmy się wdrapywać niczym alpinieści. Zaułek kończył się ścianą, w której znajdowały się niewielkie, zielone drzwi.

- Tutaj - poinformował mnie Drobny Bies, otwierając drzwi.

Za nimi widniał podziemny tunel, podobny do tych, w jakie wyposażano w średniowieczu każdy, nawet najbardziej pluwawy zameczek. Wszystko było jak należy, z wyjątkiem ciem-

ności. Sufit tunelu emitował słabe światło, zresztą, wystarczyło go by przyjrzeć się fakturze ścian i pełzającym po nich ślimakom.

- Po co to? - zapytałem.
- Tak trzeba.
- Ale ja chcę wiedzieć, dlaczego chcąc dostać się do starosty muszę czołgać się po jakichś podziemiach?

- Dlaczego-dlaczego?! Dlatego, że jesteś jeszcze nie objęty ochroną - wyjaśnił diabełek. - Póki nie spotkasz się ze starostą i nie otrzymasz savera może ci przydarzyć wiele rzeczy. Rozumiesz?

- Niezupełnie - przyznałem.
- Mogą cię zwyczajnie okraść, a mogą też ograbić do cna i nawet zabić. Nie wszyscy mieszkańcy tego cyberu zarabiają na życie w fabrykach. A turysta bez savera - to łakomy kąsek.

- No to jak sobie radzą turyści, którzy przybywają tu dla... hm... szczególnych rozrywek?

- To co innego. Gdzieś tam, w którymś z legalnych cyberów, jest ktoś, kto ich tu kieruje. Oczywiście, troszczy się o bezpieczeństwo swoich klientów. Otrzymując zapłatę, wręcza klientowi wykupioną wcześniej u starosty płytkę. Posiadaczy saverów nikt w cyberze nie tknie palcem. Jeśli więc chcesz otrzymać taką płytkę...

- No tak.
- No to szoruj za mną i nie zadawaj głupich pytań. Im szybciej dotrzemy do starosty tym lepiej.

Może opowiedział mi czystą prawdę. Może prowadził mnie w pułapkę. W obu przypadkach, pożyjemy - zobaczymy. Diabełek runął w czeluść tunelu. Poszedłem za nim. Za mną zamknęły się, głośno trzasnąwszy, drzwi.

- Zaraz będą tu rozgałęzienia. Dlatego trzymaj się mnie

blisko i nie trać z oczu - poradził Drobny Bies.

- To tu jest cały labirynt. Po co go zbudowano? - zapytałem.
- To długa opowieść.

Drobny Bies nagle zatrzymał się i zaczął wsłuchiwać się w ciszę. Jego spiczaste uszy wolno obracały się wokół osi, niczym radary. Ja też zacząłem nasłuchiwać. Żadnych dziwnych, a tym bardziej groźnych odgłosów nie usłyszałem. W podziemnym królestwie panowała niemal zupełna cisza. Chociaż nie... Co to było?

W pobliżu dało się słyszeć skrzypienie, wydawane przez otwierane drzwi z nie posmarowanymi zawiasami, a zaraz potem cichy tupot kilku par nóg. Nawiasem mówiąc zbliżający się tupot.

- Za mną - tchnął niemal niesłyszalnie diabełek i zupełnie bezszelestnie ruszył na spotkanie tajemniczym odgłosom. Starając się iść możliwie najciszej rozważałem możliwe warianty jego planu. W zasadzie, usiłując uniknąć niepotrzebnego spotkania winniśmy byli poruszać się w przeciwnym kierunku, a jeśli towarzystwo tak wesoło maszerujące ku nam po podziemnym korytarzu nie zagraża nam w żaden sposób, to dlaczego się tak skradamy?

Zresztą, mój przewodnik coś chyba mówił o odnogach?

W tym momencie dotarliśmy do takiego pierwszego odgałęzienia, ci, co szli nam na spotkanie, zbliżyli się tak wyraźnie, że słyszałem już nie tylko kroki, ale i głosy. Co prawda, jeszcze nie mogłem zrozumieć, o czym rozmawiają. Drobny Bies chwycił mnie mocno za rękaw i pociągnął w odnogę. Po jakichś dwudziestu krokach korytarz skręcał, za zakrętem zatrzymaliśmy się.

- Żeby tylko nie zawrócili - szepnął diabełek.
- Yhm - odpowiedziałem równie cicho.

Przywarliśmy do ściany i czekaliśmy. Ściana, nawiasem mówiąc, wcale nie była śliska i zimna. Ucieszyło mnie to. Kimkolwiek był ten szaleniec, który zbudował labirynt, wystarczyło mu rozumu, by nie przeginać z naturalizmem. A może po prostu nie wiedział jakie są w dotyku ściany tego typu konstrukcji? Możliwe też, że po prostu nie potrafił nadać im odpowiedniej faktury?

Kroki rozlegały się tuż-tuż. Oto jeden z miłośników spacerów po labiryncie odezwał się:

- A jeśli wróżycha się pomyliła?

- Nie, nie mogła się pomylić - odparł drugi. - Turysta jest tu, w naszym cyberze.

Głos miał wysoki, a każde słowo kończyło się cichym piśnięciem. Wyszło mi, że tak mógłby mówić obdarzony umiejętnością mowy pies.

- Żeby tak jeszcze wiedzieć, gdzie się teraz znajduje...

- Ha, Starą Wiedźmę to akurat nie bardzo interesuje - powiedział typek z „psim głosem”. - Ona swoje procenty zarabia w każdym przypadku. Jak nie od nas, to od kogoś innego.

Popatrzyłem na diabełka. Rozłożył ręce. Na jego pyszczku wyraźnie widniało: „Przecież ci mówiłem?” Owszem, mówił. I miał rację. Pięknie.

Wysłuchałem się w odgłosy.

Kompania tułaczych programów, która wyruszyła na poszukiwania mojej osoby, oddalała się. Posiadacz „psiego głosu” wyraził przypuszczenie, że wróżycha mogła się pomylić i turysta saver jednakowoż posiada. Na to reszta towarzystwa zaczęła przekonywać go, że o pomyłce nie może być mowy, ponieważ Stara Wiedźma jak dotąd nie pomyliła się ani razu - zawsze precyzyjnie określa czy zwiedzający ma saver czy nie.

- No, rozumiesz teraz? - cicho zapytał Drobny Bies.

- Jasne. Oczywiście.
- Dlatego trzymaj się mnie. Ze mną nie zginiesz. A właśnie - nie chciałbyś jako wyraz wdzięczności podarować mi kilka infobucksów?

No, to należało zdecydowanie ukrócić. Inaczej skończy się tak, że będę musiał płacić swojemu przewodnikowi dosłownie za każdy krok, jaki wykona.

- Dopiero gdy znajdziemy się u starosty.

Po chwili zastanowienia diabełek powiedział:

- Trafiła kosa na kamień, co?
- Staram się. Ale nie wiem, czy ciebie przeskoczę.

Uśmiechnęliśmy się jednocześnie. Po kilku minutach drużyna polujących na nieostrożnych turystów dotarła do drzwi, przez które weszliśmy do podziemi. Usłyszawszy ich trzaśnięcie diabełek zatarł z zadowoleniem łapki i powiedział:

- To dobrze, że wróżycha nie widziała, jak wynajmowałem się u ciebie do pracy. Gdyby wiedzieli, że masz przewodnika nie byłoby tak łatwo ich wykiwać. Na pewno przeszukaliby tu każdy kąt. Spadajmy stąd.

- A nie korciło cię wydać mnie tym miłośnikom kontaktów trzeciego stopnia z turystami? - zapytałem, gdy wyszliśmy z odnogi i kontynuowali przerwana na chwilę drogę.

- Oczywiście, że korciło - zupełnie spokojnie odparł Drobny Bies. - Ale nie mam zamiaru tracić członkostwa w gildii przewodników, ponieważ w przeciwnym wypadku pozostanie mi tylko zostać bandziorem. A widziałeś gdzieś bandytę z widokami na przyszłość? Nigdy w życiu. Natomiast ja ciągle mam nadzieję dokonać czegoś, zbić majątek, i, może nawet, wyrwać się stąd do jakiegoś legalnego cyberu. Powiadają ludzie, że tam wszystko jest inaczej.

- No, nie powiem, żeby wszystko było całkowicie inaczej... -

bąknąłem.

- Ale jest lepiej?
- To prawda - potwierdziłem.
- No właśnie. Postawię na swoim. Już taki jestem.

Pomyślałem, że może właśnie tak się stanie. Chociaż życie jest okrutną grą, a ulubioną jej rozrywką jest łamanie kręgosłupów tym, co chcą się wdrapać na szczyty.

- Przy okazji - powiedziałem. - Skoro tacy turyści jak ja trafiają do waszego cyberu bardzo rzadko, to jak zarabiają na życie przewodnicy?

- Zarabiają na tułacznych programach, które pojawiają się u nas z innych cyberów. Jak sam rozumiesz, produkowane u nas towary cieszą się popytem przede wszystkim z powodu swojej niskiej ceny. Codziennie w cyberze pojawiają się handlarze z innych cyberów, po to, by podpisać kontrakt na dostawę tego czy innego towaru. To są właśnie klienci przewodników.

- I na nich właśnie polują takie typy, jak te, z którymi tak fartownie się rozminęliśmy?

- Właśnie. Przy czym handlarze wiedzą o grożącym im niebezpieczeństwie, ale to ich nie powstrzymuje. Dla zysku prawdziwy kupiec może nawet zaryzykować własną skórą. No i nasi handlarze również nie szlajają się po innych cyberach bez przewodników.

Teraz odnogi trafiały się dosłownie co kilka kroków. Jakimś cudem orientując się w tym labiryncie Drobnny Bies bez wahania prowadził mnie to w prawo, to w lewo, to w korytarz, którego ściany pokrywały przegniłe drewniane płyty, to w odgałęzienia, w których widziałem nisze ze szkieletami przykutymi do ścian zardzewiałymi łańcuchami.

- Rozumiem, że do każdego turysty urządza się wyścig. Kto pierwszy? Przewodnik czy bandyci? - zapytałem.

- Koniecznie - przytaknął Drobny Bies. - Przewodnicy są na ogół szybsi, ale i dla bandytów wystarcza łupów.

- Moim zdaniem można by łatwo temu zaradzić. Wystarczy by wasz starosta zamieszkał blisko portalu, i wszyscy odwiedzający będą trafiali prosto do niego, nie ryzykując spotkania z bandytami.

- Nic z tego - odparł diabełek. - Z czego by wtedy mieli żyć bandyci?

- A co to kogo obchodzi?!

- Podobnie rzecz by się miała z przewodnikami. Bo co by mieli robić, skoro odpadłaby konieczność oprowadzania turystów? Cicho, nie wzbudzając zamieszania wymrzeć?

- Nie wiem.

- Daję stuprocentową gwarancję, że i bandyci i przewodnicy okazaliby swoje niezadowolenie staroście, który odważyłby się na taki nieprzemyślany krok. W krótkim czasie na jego stanowisku nastąpiłby wakat, a nowy starosta już nie powtórzyłby błędu poprzednika.

- To znaczy, że starosta jest u was kimś nietykalnym? - zapytałem.

- Nietykalnym. Póki nie zacznie przeszkadzać innym mieszkańcom cyberu uczciwie zarabiać na życie.

Aha. Tak więc w chińskim cyberze również obowiązują jakieś prawa. A jednym z nich jest - żyj i daj żyć innym. Niegłupie, jeśli się zastanowić. Ale sposób jego realizacji...

- Już niedługo - powiedział diabełek.

- Znajdziemy się u starosty?

- Nie, skończy się labirynt. Do starosty jeszcze kawał drogi. Myślisz, że pozwolono by mu zamieszkać blisko portalu? Nie, przecież musimy uczciwie zarabiać swoje honoraria.

- Jak również - uzupełniłem - mieć pewność, że jakiś

szczególnie cwany turysta nie dotrze doń samodzielnie, bez waszego pośrednictwa.

- Podobasz mi się - uśmiechnął się diabełek. - Łapiesz wszystko w lot. Gdyby ci się znudził twój zawód, to możesz zwrócić się do mnie, a ja z przyjemnością postaram ci się pomóc. Sądzę, że wyszedłby z ciebie niezły przewodnik po naszym cyberze.

Jeszcze zastanawiałem się, jak można skwitować taką propozycję, podziemny korytarz, który przemierzaliśmy, skończył się - na jego końcu były drzwi, takie same, jak te, przez które weszliśmy do labiryntu.

Pchnąwszy je diabełek czujnie wyjrzał i, rozejrzawszy się, powiedział:

- Wychodzimy. Wygląda, że nikogo tu nie ma.

Pomylił się. I wyszło to na jaw w bardzo krótkim czasie.

Za drzwiami było coś na kształt magazynu, zawalonego jakimimiś urządzeniami, maszynami i pakami. Cała ta maszyneria była mocno nadszarpnięta zębem negatywnego pola informacyjnego, ale na razie jeszcze nie straciła swoich kształtów ostatecznie. Nie zrobiliśmy z Drobnym Biesem nawet kilku kroków, jak zza najbliższego warsztatu wyszło pięciu bandytów, o koszmarnych obliczach, na dodatek uzbrojonych.

Jeden z nich, mocno przypominający usiłującego kroczyć na dwu nogach nosorożca, wycelował w nas gigantyczną strzelbę, bardzo podobną do szybkostrzelnej armaty i zapytał:

- Wpadliście, co nie - gołąbeczki?

5.

Co tu gadać? Pewnie, że wpadliśmy. I to jak...

Ciekawe, czy te pacholey zamierzają tylko mnie oskubać, czy tego będzie im mało? Może w ich zawodowej działalności kierują się starym dobrym pirackim hasłem: „Martwi nie kásają”? W chwili, kiedy to pytanie zakiełkowało w mojej głowie, Drobnny Bies zaczął działać:

- To jest mój klient - oświadczył zdecydowanie i wyszedł przed nasz dwuosobowy szereg. - Łapy precz od niego. Jeśli odważycie się podebrać mi pierwszego klienta, to przypomnę to wam już przy najbliższej okazji. A wiecie jakie ja mam kontakty?

- Spadaj - wycedził Nosorożec. - Nie kituj nam tu, koleś.

Następnie dźgnął armatą powietrze, najwyraźniej wskazując Drobnemu Biesowi, w jakim kierunku ma trzymać kurs.

To był jego błąd.

Właśnie doszedłem w swych myślowych spekulacjach do wniosku, że liczyć na litość zwycięzców nie ma najmniejszego sensu. Nie wyglądali mi oni na takich, co to potrafią wykazać się najmniejszą porcją litości w stosunku do zwyciężonego. Wykorzystawszy fakt, że lufa broni Nosorożca skierowana była nie we mnie, szybko odskoczyłem w bok, za potężny korpus jakiejś skorodowanej negatywnym polem maszyny, tak mocno pokancerowanej, że nie wiadomo, do czego kiedyś służyła.

Wyszarpnąłem z kieszeni pistolet i wsłuchałem się w słowa Drobnego Biesa, a ten skamlał:

- Ale powinniście uwzględnić... Przeprowadziłem swojego podopiecznego przez większą część drogi, a więc...

Nie zdążył dokończyć swojej kwestii, ponieważ w tym momencie któryś z bandytów ryknął:

- W tyralierę! Daleko nie ucieknie.

Skinąłem głową. Nie miałem do czynienia z nowicjuszami. Rozumieją, że stojąc w miejscu postępują głupio. Lepiej jest, wykorzystując maszyny i urządzenia za osłony, okrążyć mnie. A potem zaproponować albo poddanie się, albo rozstrzelać z zimną krwią. To drugie - prawdopodobniejsze.

Raczej nawet się nie zaniepokoił - w końcu jest ich pięciu na jednego. Wcześniej czy później ta przewaga stanie się decydującym czynnikiem. Wyjrzałem zza maszyny. Drobnny Bies ciągle stał w tym samym miejscu. Na pyszczku miał wypisane zdumienie. A bandytów już nie widziałem. Może właśnie któryś zachodzi mnie od tyłu?

- Niepotrzebnie tak postąpiłeś - powiedział Drobnny Bies. - Może byśmy się z nimi dogadali.

Aha, dogadało się jagnię z wilkami!

- Kryj się - powiedziałem do diabełka. - Wiej stąd.

- Dobra, zwieję - odparł. - Ale zaraz wracam. Wytrzymaj kwadrans. Postaram się zdążyć.

Nie odpowiedziałem, nie miałem już czasu. Nieopodal mnie, zza agregatu przypominającego starożytny gramofon, wysoki na jakieś trzy metry, wysunęła się lufa armaty Nosorożca. Zdążyłem jeszcze kątem oka zobaczyć, jak Drobnny Bies, niczym uciekający przed lisem zając, czmychnął z widoku, potem ukryłem się za maszyną i gorączkowo obmyślałem plan działania.

Drobnny Bies zniknął z teatru działań. Może ruszył po pomoc? Ale kto może mi przyjść z pomocą w tym cyberze? Raczej więc nie ma co na niego liczyć. Będę liczył na swoje siły, swoją szybkość, i - rzecz jasna - na swój fart. Żeby poradzić sobie z

pięcioma przeciwnikami potrzebny mi będzie nie zwyczajny, a ogromny fart. Oto, w czym pokładałem nadzieję.

Przeciwnicy wiedzą, gdzie się kryję, i zaraz zaczną zamykać okrążenie. Należy więc opuścić tę kryjówkę i ruszać się, zmieniać pozycję. No i pamiętać, że najlepszą obroną jest atak. Fajne hasło. Zapadające w pamięć.

Spróbujmy więc zastosować je w praktyce.

Pochyliłem się i skoczyłem za sąsiednią obrabiarkę. Akurat w dobrym momencie - huk wystrzału poinformował mnie, że przeciwnicy przeszli do fazy działań zdecydowanych. Obejrawszy się zobaczyłem ognisko, płonące w miejscu, które dopiero co opuściłem.

To nie było mądre ze strony napastników. O ile dobrze rozumiałem powstałą sytuację bandytów interesuje nie tyle mój zgon, co zawartość moich kieszeni. Gdyby mnie trafili, to byłby to koniec mnie, ale i mojej forsy też.

Tak samo rozumował przywódca tej bandy - Nosorożec. Usłyszałem jak ryczy oburzony:

- Kicek, jeszcze raz tak palniesz, to ci uszy oberwę!

Hm... Tak więc, jeden z moich wrogów zwie się Kicek. Fajne imię. Całe to towarzystwo bardzo przypomina zwierzynę. Może stworzył je jakiś kukaracza - miłośnik fauny? Kicek! Długo się musiał wysilać!..

Szybko przeskoczyłem za następną urzędnicę i, wyrzawszy na króciutką chwilę, dokonałem przeglądu sytuacji. Trzech wrogów widziałem, ale gdzie byli pozostali dwaj? Gdzie się przyczaili? Może za tym szpalerem skrzyń? Albo za tym czymś, co przypomina przedpotopową prasę? A może już są za moimi plecami i teraz tylko wybierają dogodny do strzału miejsce?

Kiepsko, bardzo kiepsko.

- Hej, ty! Dogadajmy się! - usłyszałem głos Nosorożca. -

Twoje życie nie jest nam do szczęścia potrzebne. Dawaj pieniądze i spadaj stąd gdzie chcesz!

Akurat! Czekaj tatka latka! Zastawił niezdarną pułapkę, akurat dla cymbodebila. Przemknąłem przejściem między dwoma stosami skrzyń, z powodu upływu czasu niekształtnych już i bezbarwnych. Były tak zmurszałe, że jedno pchnięcie...

O, niezły pomysł!

Obok paneli znajdowała się jakaś machina, coś jak okrągły piec. Od mojej strony miała na ściankach żelazne klamry, prowadzące na samą górę urządzenia i, tak mi się wydawało, można było przy ich pomocy wdrapać się na dach „pieca”.

Czemu nie? Będę miał przynajmniej dobry widok, a ataku z góry bandyci się nie spodziewają. Starając się nie wywoływać najmniejszego hałasu, zbliżyłem się do maszyny i zacząłem wspinać. Trzymany w dłoni pistolet nieco mi przeszkadzał, ale nie schowałem go - jeśli bandyci mnie zobaczą nie będę miał czasu na wyciągnięcie go z kieszeni.

Byłem w połowie drogi, kiedy usłyszałem głos Nosorożca:

- No dobra, dość tego. Widzimy, że fajny z ciebie gościu. Oddaj nam połowę swojej forsy, i damy ci spokój. Ale wierz mi, że jeśli dojdzie do draki, będziemy musieli cię zabić. A tak - zachowasz życie i połowę szmalu.

Kontynuując wspinaczkę uśmiechnąłem się ironicznie.

Połowę pieniędzy... Życie... Bujda na resorach. Wszystko to tylko po to, bym się odezwał, wtedy już będą mogli mnie zlokalizować bez trudu. I znowu mnie okrążą. W końcu - ile czasu będę mógł ganiać po tym magazynie? Wcześniej czy później zapędzą mnie w jakiś kąt, z którego już nie będę miał wyjścia, i wtedy - bye-bye!

Jeden dokładny strzał w głowę i... Dobra, może nie należy

samemu się dołować.

W końcu udało mi się niezauważonym wspiąć na cały ten piec. Jego wierzch był płaski, co mnie bardzo, ale to bardzo urządało. Popatrzyłem do góry. Od dachu magazynu dzieliła mnie trzymetrowa przestrzeń. Gdybym dobrze podskoczył może udałoby mi się go sięgnąć.

Ale co by mi to dało?

Nie znajdowaliśmy się w wielkim świecie, gdzie pod dachami takich budowli znajdują się różne krokwie, rusztowania, poprzeczne belki, otwory wentylacyjne i kupa innych rzeczy. To był dach magazynu w świecie cyberów, a więc i z zewnątrz i od wewnątrz był on idealnie gładki. Całkowicie równa powierzchnia, w którą nie wczepiłby się nawet pajak, a poza tym - brakowało w nim otworów, przez które mógłbym wydostać się na zewnątrz.

Opadłem na kolana i ostrożnie przysunąłem się do krawędzi urządzenia. Miałem wspaniały pomysł z tą wspinaczką. Widziałem stąd połowę powierzchni magazynu, a na niej swoich wrogów.

Wszystkich?

No tak, są gołąbeczki moje, cała piątka. Nosorożec przez cały ten czas nawet nie ruszył się z miejsca. Wiadomo - szef. Nie jego rola skradać się do przeciwnika, który może przedziurawić kokon, nie - on rozkazuje. Najbliżej znajduje się typek ze sterczącymi na czubku głowy długimi zajęczymi uszami. Znajdował się o kilka kroków od skrzyń, między którymi chwilę temu się skradałem.

Pewnie to jest ten Kicek. Najbardziej ruchliwy zapewne. Po pierwsze, tylko on zdążył do mnie strzelić, po drugie - już tu był, najbliżej. To znaczy, że należy go unieszkodliwić w pierwszej kolejności. Jeśli zaryzykuje i wejdzie w przejście między

panelami, to znajdzie się w pułapce. A wtedy najważniejsza sprawa - trafić w odpowiednie miejsce.

Dobra, gdzie reszta?

Nieco z boku od Kicka, na szeroko rozstawionych nogach, bokiem, jak krab, skradał się krępy bandycha z prosięcym kółeczkiem w miejscu nosa. Nazwałem go w myślach Świń. W ręku Świń trzymał nabijaną kolcami pałę. Jego teoretycznie mogłem się nie bać. Póki zbliży się na taką odległość, żeby uruchomić swoją broń... Ale tu, w cyberze, dowolna rzecz może się okazać wcale nie tym, na co wygląda. Tak więc Świnia nie należy lekceważyć do końca.

Najpowolniejsi w całym tym towarzystwie byli dwaj ostatni bojownicy. Jednego nazwałem Buldogiem, drugiego - Bawołem. Ci dwaj dreptali w miejscu nieopodal swego szefa; może postanowili poczekać na chwilę, kiedy zostanie odkryta moje kryjówka. Dopiero wtedy runą do boju i pokażą, co są warci. Hm... Mam więc przeciwko sobie całe ZOO. Nie będzie łatwo pokonać tę grupę.

- Hej, turysto. Nie połknąłeś czasem jęzora ze strachu? Nie bój się, nie jesteśmy tacy straszni. Pogadajmy! - krzyknął Nosorożec.

Ostatnim słowem towarzyszył taki uśmieszek, że straciłem natychmiast wszelkie co do jego szczerości złudzenia. Żadnych pertraktacji, tylko bój. Zwycięży lepszy. A skoro bój, to czas walczyka zacząć.

Kicek mimo wszystko zaryzykował przejście między skrzyniami. Nie można było z tego nie skorzystać. Gorliwość, której nie towarzyszy rozum i pewna porcja ostrożności nie jest wiele warta. Przymierzyłem się i wystrzeliłem w odpowiedniej chwili z pistoletu.

Los mi sprzyjał. Ściana powykrzywianych, rozpływających

się skrzyń drgnęła i zaczęła walić się na Kicka. Ten zdążył tylko pisnąć niemrawo i nawet skoczył w bok, ale tu zderzył się z drugą ścianą skrzynek. Ta drgnęła...

Nie miałem czasu na rozkoszowanie się widokiem przywalanego bandziora. Najważniejsze, że już nie się nie wygrzebie, jednego przeciwnika mam z głowy. Muszę zająć się innymi, bo już za chwilę skapują co się dzieje...

Ale nie zdążyłem. Refleks Nosorożec miał wspaniały. Mimo dużych gabarytów zdołał odskoczyć, jakimś cudem odgadując, że drugi strzał pójdzie w jego kierunku. Zmarnował się pocisk. A trzeci raz już nie miałem szans, ponieważ Nosorożec wiedział, gdzie się zacząłem. Lufa jego broni zaczęła podnosić się do góry.

Przeturlałem się na drugi brzeg pieca, przewaliłem się przez krawędź i czepiając się klamer zacząłem szybko schodzić na dół. Chwilę potem całe urządzenie drgnęło. Na poły zżarta przez negatywne infopole klamra, w jaką wczepiłem się w tym momencie, nie wytrzymała i wypadła ze ściany. Spadając udało mi się przyjąć właściwą postawę, dlatego nabawiłem się tylko kilku sińców.

Nim wstałem na nogi zerknąłem w górę i zobaczyłem, że dach urządzenia spowijają kłęby gazu w kolorze jajecznego żółtka. Obłoczek wisiał nieruchomo, jakby wcale nie zamierzał się rozplýwać czy znikać. Przynajmniej - na razie. Aha, to tak strzela armata Nosorożca. Dym ma działanie paraliżujące. Nosorożec wcale nie musi dokładnie celować, żeby mnie załatwić. Wystarczy, że z jakimś przybliżeniem określi rejon, w jakim się znajduję i wpakuje weń kilka pocisków.

Fatalnie. Gorzej niż fatalnie. Pomysł, polegający na tym, że będę skakał z kryjówki do kryjówki i po kolei wykańczał przeciwników właśnie odszedł do lamusa. Co prawda, jakiś tam

wynik został osiągnięty. Kicek, na przykład, tak szybko nie wygrzebie się spod lawiny skrzynek, a więc mam jednego przeciwnika mniej. Ale i tak powinienem był najpierw strzelać do przywódcy. Bez niego i jego broni łatwiej by mi było poradzić sobie zresztą. A teraz moja szansa na wyjście cało z opresji znacznie się zmniejszyła. Może powinienem się zbliżyć do szefa bandy i zaryzykować atak czołowy? Ryzyk-fizyk, i niech się dzieje co chce? Bo i tak muszę zacząć działać.

Poderwałem się i przywierając plecami do ściany urzędnika szybko rozejrzałem się. Niby na razie nic mi nie zagrażało. Nowe granaty gazowe z armaty Nosorożca? Chyba nie w tej chwili. Pewnie sądzi, że już zwiąłem z tego miejsca gdzie pieprz rośnie. Po co więc miałyby marnować naboje? Całkiem możliwe, że to kosztowna zabawa.

Nie, ten cwaniak będzie czekał na tę chwilę, kiedy natknie się na mnie któryś z jego druhów, wtedy będzie wiedział dokładnie w jakim kierunku ma strzelać i na pewno z tej wskazówki skorzysta. Jeśli nawet razem ze mną trafi pod ogień któryś z podwładnych to co za zmartwienie?! Najważniejsze, by jeden z tych jajecznych obłoczków walnął we mnie.

Rozmyślając tak, przemknąłem do innego aparatu, podobnego do wywróconej do góry nogami wanny, ustawionej na postumencie z porowatego, przypominającego piankę poliuretanową, materiału. Całość była wysoka na jakieś pięć metrów, na długość - dobre piętnaście. Pobieglem wzdłuż „wanny”, skręciłem za róg i... niemal zderzyłem się ze Świniem.

- Jest tu! - wrzasnął bandyta i natychmiast spróbował przyłoić mi swoją kolczastą łagą.

Gdyby trafił pewnie zmacerowałby mi czaszkę, ale musiał się w tym celu zamachnąć, a ja musiałem tylko nacisnąć na spust. Nacisnąłem. Nie sposób było nie trafić. W brzuchu Świ-

nia pojawiła się wielka, okrągła dziura, a ciało odrzuciło ode mnie na kilka kroków. Musiałem wiać. Możliwie szybko. Przebiegając obok wijącego się na podłodze Świnia, usłyszałem jak krzyczy do mnie:

- Coś ty, gadzino, narobił? Wiesz ile mnie będzie kosztowała restauracja ciała?

A co mnie to mogło obchodzić? Niechby, kiedy przymierzał się do wykonania wkłęsłości w moim czerepie, pomyślał, że istnieją i takie warianty przyszłości, w których mogę stawiać opór! Nie pomyślał? No to czyja to wina?

Za plecami rozległ się huk.

Nawet się nie odwróciłem. I tak wiadomo było, że to Nosorożec wali do mnie ze swej armaty. Zaraz potem rozległ się drugi odgłos strzału, a za nim trzeci. Krzyki Świnia ucichły. Wywnioskowałem stąd, że jeden z obłoczków musiał go pacnąć. Mnie ta czara goryczy ominęła. Jeszcze byłem mobilny, uzbrojony, a więc mogłem stawiać opór. A liczebność moich wrogów spadła o dwie pozycje.

Wiwat! Kto wie, może nawet dam im bobu?

Akurat...

Pocisk wielkości mojej pięści wywalił odpowiedni do swych gabarytów otwór w okrągłym kontenerze, obok którego pędziłem. Skończyły się żarty? Musiałem czmychnąć za ów kontener i - odczekawszy kilka sekund - wyjrzeć zza niego.

Skąd przyleciał ten suvenir?

Zobaczyłem nadawcę. Nie ucieszyło mnie to. Jeden z bandziorów, mianowicie Bawół, którego ochrzciłem tak z powodu pary przekonujących rogów umiejscowionych na łbie, postanowił wykorzystać moje pomysły. Wdrapawszy się na jedną z machin otrzymał bonus w postaci wspaniałego przeglądu sytuacji oraz możliwości ostrzelania mnie.

Dobra, zaraz mu zafunduję małe co nieco. Już miałem otworzyć doń ogień, gdy pokazał w moją stronę palcem i polecił:

- Strzelaj tam. Jest za tą wielką kulą.

Nie miałem wątpliwości, do kogo skierowany był ten zamiar.

Coś grzmotnęło blisko! Uratowało mnie tylko to, że Nosorożec strzelał po łuku i tym razem nieco spudłował. Brzeg błyskawicznie powstałego żółtego obłoku wyrósł dosłownie o krok ode mnie. Dobrze wiedziałem, że zaraz padnie się drugi strzał. Czmychnąłem stamtąd.

Teraz moje położenie niezmiernie się skomplikowało. Nosorożec miał korektora-celowniczego, i wystarczyło bym na chwilę się zatrzymał, by dostawszy od Bawoła zamiar zaczął walić do mnie jak do tarczy. Wcześniej czy później któryś z granatów wybuchnie wystarczająco blisko by zaczepić o mnie, a wtedy nastąpi koniec pewnego początkującego prywatnego detektywa.

Co robić?

Po pierwsze musiałem ukryć się w jakimś kąciku, wyjść z pola widzenia Bawoła. Siedział, cwaniak, na dość wysokim urządzeniu, ile mógł stamtąd zobaczyć? Kąt?! Właśnie - kąt! Może być tak, że w jednym z kątów magazynu zniknę mu z oczu i będę miał czas na chwilę odpoczynku i może coś nawet wymyślę.

Był też drugi wariant. Mogłem miotać się po magazynie unikając gazowych granatów aż znajdę z niego wyjście. W końcu jakieś musi być, bo po co w innym razie przyprowdziłby mnie tu Drobny Bies? No nic, mamy drugie wyjście. Czy warto szukać go, biegając po hali, unikając pocisków Nosorożca, ryzykując co i rusz, że nadzieję się na Buldoga albo Kicka, który wygrzebał się spod zawaliska?

Oczywiście - obmyślając to wszystko, krążyłem po magazynie, wiłem się między konstrukcjami, przeskakiwałem przez natrętnie wpadające pod nogi skrzynie.

W końcu te przeszkody skończyły się, przebiegłem obok jakiegoś agregatu, który leżakując w magazynie stał się bezkształtną grudą, z lekka przypominającą gruszkę. Przedemną był jeszcze jeden stos skrzyń.

Minąwszy go usłyszałem jak Bawół krzyczy:

- No, niech go zaraza!

Najpewniej znaczyło to, że stracił mnie z oczu. Minąłem jeszcze kilka konstrukcji, zobaczyłem ścianę hali i pozwoliłem sobie na krótką odsapkę.

Może właśnie za chwilę...

Jednakże nie słychać było ani radosnego okrzyku Bawoła, ani jego namiaru. Widocznie naprawdę znikłem mu z oczu. Teraz warto było przemyśleć sytuację.

Oparłem się plecami o ścianę jakiegoś kontenera i łapczywie głęboko oddychałem. Ech, powinienem był jednak zmodyfikować swoje ciało. Nie miałbym teraz problemów z przykrótkim oddechem. Ale wtedy, kiedy miałem możliwość przebudowania swego ciała, wydawało mi się, że dokonując tego w jakiś tam sposób zdradzę to swoje ludzkie sedno, ostatecznie odżegnam się od wielkiego świata.

A trzeba było się zgodzić.

Westchnąłem.

Palić chciało mi się niemożliwie. Ale teraz nie mogłem. Kto wie, może Bawół zlokalizuje mnie po smużce dymu? Nie, zapalę sobie przy innej okazji, nie warto dla jednego papierosa ryzykować życia. Dalej, może by tak ruszyć się i wyjść w końcu z tych opałów?

Znaleźć wyjście z magazynu? Ale jak? Trzeba było, kiedy

siedziałem na dachu tego pieca, przyjrzeć się dokładnie okolicy, może bym zobaczył przekłete wyjście? Nie warto, oczywiście, katować się teraz za błędy z przeszłości; przerwa w działaniach wojennych nie będzie trwać wiecznie. Nie będę tu siedział w nieskończoność, może już podkrada się do mnie Bulldog. Nie mam wszak pewności, jak skończy się z nim potyczka.

Westchnąłem i pomyślałem, że być może nie wybrałem sobie najlepszego na świecie zawodu. Weźmy na przykład takiego Hobbina czy Nobbina, nikt nawet nie zamierza do nich strzelać. Jedyne czym ryzykują to to, że nie spodobają się klientowi, a więc zarobią mniej niż szacowali. Kto mi przeszkadzał iść w ich ślady? Może nie w tawernie „Krwawa Mary”, ale gdzieś w innym miejscu... Na pewno w jakimś cyberze można się urządzać tak, jak ta para pieczeniarzy.

Po diabła mi był ten zawód detektywa? Co mną kierowało - fałszywa duma? Czy może to, że zabierając się do interesu Hobbina i Nobbina stałbym się nieusankcjonowanym programem tułaczym? Czy zadecydowała utrata określonego statusu? Utrata możliwości przejścia z cyberu do cyberu? Czy to jest takie cenne? Czy nie płacę zbyt wysokiej ceny za ten status? Jakiej? Ano takiej, że muszę się kontaktować z tymi miłymi okazami fauny, które marzą właśnie o tym, by wysłać mnie do innego świata.

Oto w czym tkwi problem.

Duma, moja cholerna duma. Ech, gdybym teraz mógł rozebrać to wszystko jeszcze raz... Ale nie mogłem, ponieważ nie znajduję się w jakiejś przedpotopowej komputerowej zabawce. Jeśli mnie zabiją, to zabiją naprawdę. Nie da się załadować gry jeszcze raz i zacząć jej od nowa.

Dobra, trzeba uciec z magazynu i dać drapaką. Może uda się urwać prześladowcom; pół roku temu takie sztuczki wycho-

dziły mi bez trudu. Ale najpierw drzwi... Stop. Wiem tylko, gdzie się znajdują te, przez które tu weszliśmy z Drobnym Biesem. Może to jest pomysł - uciec przez nie do tunelu?

Nie, nie uda się. Bandyci na pewno znają świetnie labirynt, a w odróżnieniu od nich ja po prostu w nim zabłądzę i stanę się łatwym łupem. Nie, muszę poszukać innego wyjścia...

Popatrzyłem w stronę podobnej do gruchy konstrukcji. Jej powierzchnia była tak nadzarta negatywnym infopolem, że wspinaczka na szczyt nie powinna sprawić mi trudności. Trzeba to tylko zrobić od tej strony, od której Bawół mnie nie zauważy. Jeśli wszystko pójdzie gładko, to będę mógł znad jej krawędzi wystrzelić z zaskoczenia. Co prawda była to prze-waga na jeden strzał. Jeśli spudłuję, to znowu przyjdzie mi Uciekać, ale jeśli trafię, to moja sytuacja ulegnie znacznej Po-prawie. Przynajmniej nikt nie będzie mógł korygować ostrzału Nosorożca, i zostanie mi tylko dwóch Przeciwników.

No, kto nie ryzykuje ten nie wpada!

Wsunąłem pistolet do kieszeni, podskoczyłem do „gruchy”, i mocno wczepiając się w krawędzie kawern na jej ścianie, zacząłem ostrożnie wspinać się na górę. Kiepski ze mnie alpini-sta, ale kiedy stawką jest własne życie... Wspinałem się i wspinałem. O, ten występ, ta dziura, tu oprę się stopą...

Tam, gdzie kryli się moi wrogowie miała - jak mi się wyda-wało - miejsce poważna kłótnia. Nie miałem czasu wsłuchiwać się w nią, może bandyci omawiali nowy plan działania, może przeklinali mnie najcięższymi słowy, może usiłowali ustalić, kto jest winien dotychczasowym niepowodzeniom.

Nieważne. Oto wejść jeszcze trochę wyżej i będę mógł ode-tchnąć kapkę, przygotować się do strzału. Najważniejsza sprawa, to nie spudłować, bo jeśli od jednego strzału sięgnę Bawoła może uda mi się nawet strzelić jeszcze raz. Na przy-

kład do Nosorożca.

Marzenia, jak ptaki...

Wlazłem. Odetchnąłem. Wyciągnąłem z kieszeni pistolet. Nadstawiłem uszu. Sprzeczka między moimi przeciwnikami skończyła się. Albo się dogadali, albo pozabijali się wzajemnie. To drugie bardziej by mi pasowało, ale było mało prawdopodobne.

Tak więc - czas na show!

Już przymierzałem się do realizacji wymyślonej sekwencji działań, gdy od strony, gdzie rozlokowali się bandyci, rozległ się głos. Należał do Drobneho Biesa.

- Essutilu, wszystko załatwione. Nikt już cię nie zaatakuję. Możesz się ujawnić.

6.

Uśmiechnąłem się.

Dość żałosny chwyt, skierowany do skończonych imbecyli. Może Drobnny Bies przyprowadził mnie do tego magazynu nie przypadkowo. Najprawdopodobniej nigdzie nawet nie uciekał, a tylko ukrył się gdzieś w pobliżu. Kiedy dotarło do nich, że zdobycz jest rześka jak cholera, bandyci kazali mu wyciągnąć mnie z kryjówki. Stara się więc. Wystarczy, że wysunę nos i po mnie. Z drugiej strony, jeśli już na starcie naszej pięknej znajomości planował, że wciągnie mnie w pułapkę, to dlaczego nie zdradził mnie wtedy w labiryncie, kiedy obok nas tupał inny oddział bandytów?

Odpowiedź nie nastęczała trudności.

Może Drobnny Bies pracował właśnie dla tej bandy? Może ci inni, przed którymi kryliśmy się w labiryncie, nie zamierzali dzielić się z nim łupem? Z tymi miłymi zwierzątkami mógł prowadzić interesy od dawna i mieć pewność, że go nie wystrychną na dudka.

- Essutilu. Wychodź, wszystko jest załatwione. Nikt nie będzie do ciebie strzelał. Obok mnie stoi starosta. Wziął cię pod swą ochronę.

Coś mi tu nie gra.

Starosta, mieszkający w pewnej odległości od portalu, żeby nie wchodzić w drogę bandytom, nie wiadomo dlaczego przychodzi mi z pomocą. I to nie lenił się, a przydreptał osobiście do magazynu, dogadał się z bandziorami, przekonał, żeby zostawili mnie w spokoju. Jakieś bzdury, na które może się nabrać tylko skończony dureń. Albo...

Czy rzeczywiście Drobny Bies, chcąc mnie wyciągnąć z kryjówki, wciskałby mi taki kit? Pewnie wymyśliłby coś bardziej przekonującego. Może...

- Essutilu Quacku, jeszcze raz powtarzam: nic ci nie grozi. Starosta ma dla ciebie bardzo sympatyczną propozycję. Twoje saver jest w moich rękach. Musisz tylko wyjść i wziąć ją.

Chcąc sprawdzić jego słowa musiałbym na mgnienie oka wysunąć głowę i rozejrzeć się. Broń Nosorożca raczej nie może być wycelowana w moją stronę. Jeżeli Drobny Bies jest w komitywie z bandytami, to zdążę sturlać się z „gruchy” i zwieję.

A może nie zdążę. Tu jest pies pogrzebany. Z drugiej strony, naprawdę muszę rozeznąć się w sytuacji. Muszę zaryzykować. Kto nie ryzykuje nie pija szampana. Inna sprawa, że stosunkowo często ci, co ryzykują, tracą więcej niż łyk tego szlacheckiego trunku.

Ech, ryzyk-fizyk! Wyjrzałem.

Nosorożec stał zupełnie się nie kryjąc. Jego armata, z której sypał do mnie gazowymi granatami, tkwiła wprawdzie w jego ręku, ale jej lufa patrzyła w podłogę. Obok niego stali Buldog i Bawół, który porzucił swoje stanowisko obserwacyjne. Wyglądało, że nie zamierzają do mnie strzelać. Nieco z boku stał Drobny Bies. Na jego obliczu widniał szeroki uśmiech. Obok niego stał jakiś staruszek, siwobrody, w okrągłej czapeczce bez szwów, w długim, obszernym chałacie, haftowanym w złote smoki. Najwyraźniej to był starosta.

- A nie mówiłem ci, że ten cwaniura będzie próbował załatwić najpierw ciebie - powiedział Nosorożec i dźgnął palcem Bawoła w bok. - Widzisz, już nawet zajął odpowiednie stanowisko.

- To by się jeszcze zobaczyło, kto by kogo załatwił - mruk-

nał Bawół. - Wiedziałem, że tego spróbuje i byłem przygotowany.

Westchnąłem z ulgą. Wyglądało, że Drobny Bies nie oszukał mnie. Tak wyglądało. Ale co będzie, kiedy zbliżę się do bandytów? Może wtedy wyjdzie szydło z worka i capną mnie?

- Oto ona! - krzyknął diabełek, pokazując mi małą żółtą, otoczoną paskiem złota, płytkę. - Mam ją. Musisz tylko podejść i przymocować ją na piersi.

- Tylko? - uśmiechnąłem się.

- Oczywiście, jak tylko się dogadamy - odezwał się starosta. - Jeśli do tego nie dojdzie, zabiorę saver i pozwolę obecnym na dokończenie tych podchodów.

Miał niski, nieco chropawy głos.

- Czyli jeszcze musimy się dogadać? - sprecyzowałem.

- Bez wątpienia - odezwał się starosta. - Mam dla ciebie propozycję, i to nader poważną. W innym przypadku po co bym się tu turlał i cię ratował?

- Ratował? - parsknąłem. - A mnie się wydawało, że dałem bobu panom bandziorem. Czy może się mylę?

- Oczywiście, że się mylisz - odparł oburzony Nosorożec. - Zapędziliśmy cię w kąt. W chwili, kiedy wszedł starosta i twój przewodnik właśnie miałem cię obrzucić granatami. Cały kącik, kapujesz?

Co mam nie kapować! Ale nie zamierzałem się poddawać.

- A straty?

Nosorożec wzruszył ramionami.

- Po tym, jak podziurawiłeś jednego u moich chłopaków, to zakończenie tej afery stało się sprawą honorową. A poza tym, mam szczere podejrzenie, że w twoich kieszeniach znajdzie się tyle forsy, by pokryć nawet takie straty.

W tym punkcie miał rację. Ale nie zamierzałem mu tego

mówić. Już miałem dalej ciągnąć dyskusję z przywódcą bandytów, gdy wtrącił się starosta:

- Tak więc, Essutilu, mam dla ciebie propozycję. Jeśli się na nią zgadzasz, to otrzymujesz płytkę i bez najmniejszych przeszkód odchodzisz ze mną. Jeśli nie - odchodzę sam, a ty możesz własnymi siłami wyplątywać się z przykrego położenia.

Bezsprzecznie zawsze podobali mi się tacy doświadczeni życiowo starszuszowie, którzy potrafią wykorzystać powstałą sytuację na swoją korzyść, a przy tym precyzyjnie werbalizują swoje wymagania.

- Co mam robić?

- Dowiesz się, po tym jak stąd odejdziemy. Nie zamierzam rozgłaszać pewnych informacji.

Hm... Ostry dziadunio.

- Innymi słowy - dowiem się co mam zrobić dopiero wtedy, gdy zawrzemy umowę i już nie będę mógł wycofać się z wykonania nałożonych przez nią obowiązków?

Starosta uśmiechnął się leciutko:

- Dokładnie tak.

Chciało mi się palić tak mocno, że aż uszy zwijały mi się w rurki. Wyciągnąłem papierosa i rzuciłem pytające spojrzenie na bandytów. Chyba naprawdę mogłem zapalić bez obawy, że wykorzystają ten moment żeby mnie ustrzelić. Zaciągnąwszy się z rozkoszą kilka razy, zapytałem starostę:

- Jak rozumiem, saver kosztuje tylko sto infobucksów?

- Dokładnie - odpowiedział. - Ale w mojej rezydencji. Nie tu, i nie w tych okolicznościach. Dociera?

Bandyci, jak na komendę obdarzyli mnie pełnymi nadziei spojrzeniami. Chyba łudzili się, że odmówię. Zaciągnąłem się jeszcze raz i zapytałem:

- Czy mam sądzić, że wiesz kim jestem?

- Wiem, Drobny Bies mnie oświecił - oświadczył starosta.

Drobny Bies uderzył się pięścią w pierś i dumnie zadarł do góry głowę. No tak, ma się z czego cieszyć. Uratował klienta z sytuacji praktycznie bez wyjścia.

- Czy to zlecenie ma jakiś związek z moim zawodem?

- Tak.

- Ale Drobny Bies powiedział ci chyba, że mam już jeden kontrakt.

- Mnie to nie obchodzi. Ale skoro uważasz, że moje zlecenie może przeszkodzić ci w wykonaniu zawartej wcześniej umowy, to mogę się wycofać i oddalić.

Bandziory pokiwały głowami. Wyglądało, że tłąca się dopiero co nadzieja zaczyna przybierać realne kształty. W każdym razie tak sądzili.

- Czy mogę się zastanowić?

- Dwie minuty - zgodził się starosta.

Dwie minuty. Akurat skończę papierosa. Jeśli więc nawet się nie zgodzę, to przynajmniej spokojnie popalę. Ale, czy jeden papieros jest wart dobrej pozycji i szansy na zwrot akcji w pomyślnym dla mnie kierunku? Hm... Zresztą, może nad czymś innym warto się zastanowić. Czy korzystne jest przyjmowanie zlecenia starosty? Innymi słowy, czy warto, nie wykonawszy zlecenia Shettera, pakować się w inne zobowiązania?

Zerknąłem na bandę.

Bawół pomachał do mnie prawą ręką, i zaczął robić jakieś znaki, które dość łatwo było zrozumieć. Mniej więcej chciał powiedzieć: „Nie zgadzaj się, chłopie. Jeszcze możemy się fajnie zabawić”. Pewnie. Z jego punktu widzenia - tak. I Nosorożec raczej nie bluffował. Jak tylko starosta oddali się, użyją granatów, a jeden z nich musi trafić gdzie trzeba. Potem bandyci odczekają aż opadnie dym, oczyszczą moje kieszenie, a

mnie samego odeślą w niebyt.

Taka to zabawa. Nie da się powiedzieć o niej, że radosna dla wszystkich stron. Z kolei - skąd mam wiedzieć, w jaką kabałę pakuje mnie starosta? Może to coś jeszcze gorszego? A zapłaci mi nie pieniędzmi, a jakąś płytką, wartość której wynosi zaledwie sto infobucksów. No to co mam wybrać? Nawet nie tak - czy mam w ogóle jakiś wybór?

Pstryknąłem niedopałkiem, dochodząc jednocześnie do wniosku, że wyboru nie mam. Nie ma rady - muszę się pakować w skórę Truffaldino z Bergamo. Innymi słowy - służyć dwóm panom.

- No to jak? - zapytał starosta.
- Dobrze, zgadzam się - powiedziałem.

Rozkwitające już na gębach bandziorów róże gwałtownie zwiędły.

- E tam, nie trzeba mi było tyle gaworzyć tylko przywalić ci zza węgła - powiedział rozczarowany Nosorożec.
- Wypróbujesz ten sposób na kimś innym - poradziłem mu.
- Ho-ho! - krzyknął Drobny Bies. - Górą nasi! Zachowałem życie klienta!

Wywrzeszczawszy to rzucił się do mnie jak błyskawica. Zanim zlałem z „gruchy” już dreptał przy niej, nawet podskakując z niecierpliwości.

- Masz! - powiedział, gdy tylko postawiłem stopę na podłodze magazynu.

Przyczepił mi do piersi saver i, przyjrzawszy się mu jeszcze raz z satysfakcją, pocmoktał w zachwycie. Rzuciłem okiem na płytkę i prychnąłem sceptycznie. „No to zostałem wyceniony”.

- Czyli teraz nikt z miejscowych nie prawa na mnie napaść? - zapytałem diabełka.
- Tak jest - zapewnił mnie. - Ten saver nie obroni cię przed,

na przykład, złodziejami i oszustami, ale nikt cię nawet palcem nie tknie. W każdym razie póki sam nie wpakujesz się w bójkę, bo w takim przypadku, przepraszam, ale nawet saver ci nie pomoże.

Pomyślałem, że to nie jest zła rzecz. W każdym razie przynajmniej bandyci już mi nie grożą, a z innymi jakoś sobie poradzę.

- Dobra, chodźmy pogadać ze starostą - powiedziałem, chowając pistolet do kieszeni i kierując się w stronę swojego chlebowawcy numer dwa. - Nie wiesz przypadkiem, czego ode mnie chce?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - oświadczył Drobnny Bies, drepcząc obok mnie. - Ale coś się musiało wydarzyć. Za mojej pamięci nic się takiego jeszcze nie stało.

- Masz na myśli - sprecyzowałem, przekraczając jakieś element zrujnowanego urządzenia - że nie pamiętasz takiego przypadku, by starosta ruszył wręczyć płytkę jakiemuś gościowi cyberu, który wpadł w tarapaty w połowie drogi do jego rezydencji?

- Ani jednego.

- A jak się do tego mają te wszystkie opowieści o tym, jak to starosta nie powinien przeszkadzać bandytom w zarabianiu na życie?

- Oczywiście, że nie powinien. Jednakże, w pewnych usprawiedliwionych przypadkach, ma prawo wziąć gościa pod swoją opiekę. Ale nawet nie to jest najważniejsze.

- A co? - zainteresowałem się.

- To, że przyszedł tu w czasie potyczki. Przy tym, ty już zdążyłeś zranić jednego z napastników. Zgodnie z naszym prawem, jeśli starosta powstrzymuje tego typu awanturę, to sam bierze na siebie obowiązek wynagrodzenia bandytom

wszelkich poniesionych przez nich strat. W danym przypadku, odtwarzanie ciała postrzelonego przez ciebie bandyty odbędzie się za jego pieniądze.

Ho-ho! Z trudem powstrzymałem się przed gwizdnięciem. Wygląda, że uratowanie mnie będzie dość drogo kosztowało starostę. A skoro nie liczy się z wydatkami, to jakież ważne zadanie zamierza mi powierzyć?

- Coś mi to w twojej opowieści nie pasuje - powiedziałem do Drobniego Biesa. - Nie pasuje, choć przykładam i tak i siak.

- Co mianowicie?

- Wygląda że nie wiedziałeś o tym, iż starosta ma dla mnie jakieś zadanie, i nie mogłeś przewidzieć jego zbawczej interwencji. Ale pobiegłeś do niego. Po co?

- No, rozumiesz, jesteś moim pierwszym klientem - powiedział diabełek. - Nie mogłem pozwolić, żeby mojego pierwszego klienta złupiono. Po prostu nie mogłem.

- A co do tego ma starosta?

- Miałem nadzieję, że go oszukam - przyznał się Drobny Bies. - Wymyśliłem nawet bajkę o starym przyjacielu, któremu na gwałt potrzebna jest saver, i gotów byłem zaręczyć, że zapłacę za nią za pół godziny.

Popatrzyłem nań z zainteresowaniem. Potem wyobraziłem sobie, jak usiłuje wcisnąć kit staroście. Czym to się skończyło, nie trudno odgadnąć.

- Oczywiście, nie udało ci się go oszukać - powiedziałem.

- Nie udało się - przyznał diabełek. - Musiałem wszystko mu opowiedzieć.

- Rozumiem.

Akurat w tym momencie ominęliśmy kolejny mocno sfatygowany przez negatywne infopole agregat i znaleźliśmy się o jakieś dziesięć metrów od starosty i bandytów.

Odruchowo zwolniłem i, wsunąwszy rękę do kieszeni, wyciągnąłem w niej kolbę pistoletu.

Na wszelki, acz niespodziewany... Oczywiście, mało to prawdopodobne, ale może całe to gadanie miało na celu tylko jedno - wpakowanie mnie w łapy bandytom? Gapili się na mnie bez krzty przyjaźni w oku, ale napadać, jak się wydawało, nie zamierzali. Zatrzymawszy się przed starostą zapytałem:

- Tak więc, co mam zrobić?
- Wolę wprowadzić cię w sedno zlecenia w mojej rezydencji - oświadczył mój nowy pracodawca.
- No to jestem gotów.
- Świetnie - powiedział starosta. - Idziemy.

Odwrociłem się do bandytów.

- Idź sobie, idź - burknął Nosorożec. - Ale jakbyś się wybrał do naszego cyberu innym razem, to daj wcześniej znać. Zorganizujemy ci uroczyste powitanie.

- Uprzedzę - obiecałem i, nie mogąc się powstrzymać, uśmiechnąłem się szeroko i kpiąco.

- Jeszcze się spotkamy - obiecał mi Buldog.
- Yhm - zgodziłem się. - Tylko nie zapomnijcie przedtem zacerować swojego kołosa, a tego drugiego wyciągnijcie spod skrzynek.

Bandyci, jak na komendę, zaczęli powarkić. Chciałem jeszcze dodać im coś do słuchu, ale starosta już ruszył i pośpieszyłem za nim, nie mając specjalnie nic więcej do roboty w tym magazynie. Drobny Bies wesoło dreptał przy mnie, jego kopytka radośnie stukały o podłogę magazynu, od czasu do czasu podskakiwał. Mogłem się założyć, że w ciągu najbliższych pięciu minut zażąda ode mnie przynajmniej pięciu infobucksów za uratowanie życia. Tak też się stało. Kwota owa została Drobniemu Biesowi przekazana, ponieważ naprawdę so-

bie na nią zapracował.

7.

- Tego typu rozmowy przeprowadzam w sali konferencyjnej - oświadczył starosta.

Zatrzymaliśmy się przed wejściem do jego rezydencji. Drobny Bies, nagle przycichł i ustawivszy się przy staroście zrobił przymilną minkę.

Chyba go rozumiałem. Po prostu za skarby świata nie chce wchodzić do tej rezydencji. Nie zamierzał niepotrzebnie kręcić się przed oczyma starosty, bo może ten przypomni sobie, że usiłowano go oszukać i wymyśli nawet w odwecie jakąś karę?

- Mój przewodnik poczeka na zewnątrz - rzuciłem niedbale.

Starosta zerknął na Drobnego Biesa, potem, skinąwszy lekko głową, jakby do swoich myśli, rzekł:

- Zgoda. Nie ma tam nic dla niego do roboty. Niech poczeka tutaj.

Po czym odwrócił się i wszedł do rezydencji, a ja za nim. Teraz, kiedy starcie z bandytami miałem za sobą, okropnie nie chciało mi się pracować dla starosty. Kto normalny wieza sobie na szyję dodatkowe chomąto?.. Ale umowa to rzecz święta. Przyjdzie mi wykonać zlecenie.

Och, jak się grzeszy, to się diabeł cieszy...

Przemierzyliśmy długi korytarz, na ścianach którego wisiały całkiem znośne kopie startych gobelinów. Potem dotarliśmy do drzwi, a za nimi znajdował się niewielki pokój, umeblowany mniej więcej tak, jak mój gościnny. Pewnie starosta traktował go właśnie jako living-room. Obok drzwi do następnego pomieszczenia stali dwaj olbrzymi, podobni do siebie jak dwie

krople wody, odziani w szare, najprawdopodobniej należące kiedyś do prawdziwej i funkcjonującej armii, mundury. Stali nieruchomo, założywszy ręce za plecy. Nie widziałem przy nich broni. Ale kto ich tam wie? Tu, w świecie cyberów, można ukryć na sobie cały arsenał i nikt tego nie zauważy.

- To moi pomocnicy - wyjaśnił starosta, gdy minęliśmy dwa kolosy i znaleźliśmy się w następnym pokoju. - Pewnie już wiesz, że gliniarze w chińskich cyberach to wielka rzadkość?

- Bo i po licho będzie się pchał gliniarz do chińskiego cyberu? - mruknąłem.

- Właśnie. Po jakie licho? Ale porządek musi być - powiedział starosta.

Pokój, w którym się znaleźliśmy, najwyraźniej pełnił rolę sali narad. W każdym razie tak był umeblowany i wyposażony. Całą podłogę pokrywał gruby dywan z mięsistym włosem. Na środku pokoju znajdował się niziuteński stolik, na którym stał czajniczek, filiżanki i popielniczka. Dokoła stoliczka leżało kilka szerokich poduszek. Usiadłszy na jednej z nich, starosta gestem zaprosił do pójścia w jego ślady. Przysiadłem i wyciągnąwszy papierosa, popatrzyłem pytająco na starostę.

- Pal, oczywiście - łaskawie zezwolił i przestawił popielniczkę na krawędź, żeby mi było wygodniej strzepywać popiół.

- Coś nie zauważyłem, by panował u was przesadny porządek - zaatakowałem go, zapaliwszy papierosa. - Bandydzi, napadający na każdego, komu wpadnie do głowy pomysł odwiedzin w waszym cyberze...

- Bandydzi byli i zawsze będą - rzucił starosta. - A porządek określony jest gotowością społeczeństwa do podporządkowania się ustanowionym prawom. A bandyci, nawiasem mówiąc, wchodzą w skład terminu „społeczeństwo”. I, jak zapewne

zauważyłeś, nie kosztowało mnie wiele trudu przekonanie tychże bandytów, bo zrezygnowali z usiłowania skrócenie twego żywota.

- Poprzez przebicie stawki? - zapytałem.

- O nie - uśmiechnął się starosta. - Ja im tylko obiecałem zwrot kosztów jakie ponieśli podczas próby pozbawienia cię życia. Zgodnie z naszym prawodawstwem to jest sprawiedliwe.

Skinąłem głową.

Starosta uśmiechnął się.

- Essutilu, domyślam się, co pomyślałeś. Popatrz na nasze prawo z czysto pragmatycznego punktu widzenia. Po co w ogóle jest potrzebne? Reglamentuje określone normy moralności, reguły zachowania. Jakie jest przeznaczenie prawa? Podtrzymywanie tych norm zachowania, dzięki którym każdy poszczególny członek społeczeństwa otrzymuje maksymalną szansę przeżycia. Czyż nie tak?

- Jakiego społeczeństwa?

- Społeczeństwa tego, konkretnie, chińskiego cyberu.

- A jeśli normy zachowania, działające w waszym cyberze, nie sprzyjają zachowaniu życia przez gości z innych cyberów?

- No to co? - rozłożył ręce starosta. - Co nas to obchodzi? Dokładnie tak samo nic nie obchodzą gości nasze problemy z przeżyciem.

- Nawet, jeśli pewnego pięknego dnia zdecydują, że będą omijać wasz cyber dużym łukiem...

- O nie - oświadczył starosta. - Większość pojawiających się tu turystów świetnie wie, z czym mogą się zetknąć. I mimo to przybywają. Jeśli natomiast ich liczba się zmniejszy i to odbije się negatywnie na obrotach naszego cyberu, to przyjdzie nam, oczywiście, zmienić pewne nasze prawa. Przeżycie cyberu -

ponad wszystko. Cała reszta może być rozpatrywana jako coś wspomagającego lub przeszkadzającego w tym procesie.

- A prawa moralności? - zapytałem.

- Moralność? - w zamyśleniu powtórzył starosta. - Tak, oczywiście, moralność jest ważna. Ale tylko dla każdej myślącej istoty oddzielnie. Jeśli zaś ten, kto określa taktykę przeżycia cyberu, zacznie ustawiać jego kontakty z innymi cyberami, kierując się ogólnie przyjętymi zasadami moralności, to nic dobrego z tego nie wyjdzie.

- Dlaczegoż to?

- Dlatego, że w zakres ogólnie przyjętej moralności wchodzi, na przykład, miłosierdzie. Czy mam prawo żywić miłosierdzie do przedstawicieli innego cyberu? Niby mogę. Ale, jeśli to uczucie zmniejsza szansę przeżycia mojego własnego cyberu? Czy mogę więc żywić miłosierdzie? Bardzo wątpię. Chyba nawet nie jest to w zgodzie z moralnością - takie przekazywanie obcemu cyberowi szans na przeżycie, jednocześnie zmniejszając je w stosunku do własnego?

Strząsnąłem popiół do popielniczki i bąknąłem:

- Wygląda, że okazując odrobinę miłosierdzia przedstawicielowi innego cyberu zdradza się interesy własnego narodu?

- Bezwarunkowo - potwierdził starosta.

Hm, to ciekawe...

Popatrzyłem na jego spokojne, niemal niewzruszone oblicze i nagle zrozumiałem, że ma, być może, rację. Nie, nie tak. Nie miał racji i nie było w tym jego winy. Miał swoisty, niezrozumiały dla innych, nie do przyjęcia przeze mnie, sposób myślenia. Ale czy mogłem, czy miałem prawo uważać ten sposób myślenia za błędny? Mogłem czy nie? Dlaczego? Czy tylko dlatego, że był rozumnym programem, a ja - człowiekiem? A jeśli tak, to czy nie przykładam do niego tej właśnie logiki, którą

przed sekundą odrzuciłem?

No, rzeczywiście...

Usiłuję osądzić jego sposób myślenia z pozycji zwyczajnego człowieka, ale kto mi dał prawo sądzić, że moje zasady, mój sposób myślenia są właściwe, a jego nie? Świadomość, że należę do określonej grupy myślących? A to znaczy, że mam zawsze rację, a on, należący do innej grupy, odpowiednio zawsze racji nie ma? Uff, czy nie nazbyt to wszystko proste? Może rzeczywistość jest bardziej złożona? No i czyja sam należę w tym momencie do grupy ludzie, czy jestem człowiekiem?

O, to jest śmieszne pytanie, na które raczej nie znajdę w tej chwili odpowiedzi. Łatwiej byłoby odpowiedzieć „tak”, i natychmiast o wszystkim zapomnieć. Ale co począć z zaczajonym głęboko, gdzieś na granicy podświadomości, uczuciem niepewności?

- Chyba odeszliśmy od sedna sprawy - rzekł starosta. - Może zajmiemy się konkretami?

- Dlaczego nie? - powiedziałem. - Rozumiem, że teraz przejdziemy do sedna tego zlecenia, które powinienem wykonać?

- Właśnie.

- Słucham i jestem posłuszny.

- Innej odpowiedzi nie oczekiwałem - uśmiechnął się starosta.

Pewnie! Czy ptaszek, który wpadł w pułapkę, może wyrwać się na wolność? Szczególnie, jeśli pułapka jest mocna i na pewno nie uda się jej zniszczyć? Czy nie prościej, by ptaszek okazał całkowite podporządkowanie się ptasznikowi? Do czasu, rzecz jasna, do czasu...

- Cóż więc takiego ekstraordynaryjnego wydarzyło się w twoim cyberze?

- Zabójstwo - odpowiedział starosta.
- Tylko? Wydawało mi się, że w chińskim cyberze to dość rozpowszechniony incydent?
- Bezwarunkowo. Ale tym razem został zamordowany turysta.

Chciałem zapytać co w tym jest niezwykłego, ale nagle dotarło do mnie... Milczałem chwilę, a potem zdecydowałem, że muszę sprecyzować przeczucia.

- Czy to z tej grupy turystów, którzy zjawiają się tu w poszukiwaniu... hm... określonych rozrywek?

- O tym też wiesz?

Wzruszyłem ramionami.

- Taką mam pracę.
- Czy może taki trafił ci się przewodnik?
- Może. Jednakże, by się o tym dowiedzieć, musiałem najpierw zadać mu odpowiednie pytania. Nieprawdaż?

- Tak - zgodził się starosta. - I przewodnik winien odpowiedzieć na pytania klienta. W każdym razie - rozumiesz teraz co tu się dzieje.

- Śmierć tego turysty zagraża istnieniu cyberu?

- Na razie sam jeszcze tego nie wiem. Może jego śmierć jest tylko przykrym przypadkiem, a może nie. Wszystko zależy od planów zabójcy. Jeśli zabije jeszcze jednego turystę, będziemy w nielichych tarapatach.

Teraz zaczynałem wszystko rozumieć.

- A więc, zanim zabójca postanowi, że może jeszcze trochę się zabawić mam go wykryć i unieszkodliwić?

- Oczywiście.

- A ponieważ gliniarze tu nie zagląдают, a twoi pomocnicy nie są w stanie przeprowadzić dochodzenia...

- To nie jest do końca tak - zmarszczył się starosta. - Nie-

zupełnie tak. Moi pomocnicy mogą przeprowadzić dochodzenie, i będą je prowadzić. Ale przy pomocy własnych metod. Zapewne będą skuteczniejsze od innych, ale chciałbym mimo to się zabezpieczyć dodatkowo.

- Asekurować?

- Tak. Tym bardziej, że akurat mam pod ręką rasowego specja.

O, to było powiedziane nie ot tak sobie! Może starosta zdążył nawet poinformować się co do mojej osoby i mojej przeszłości? Spojrzeniem sięgnąłem dna duszy starosty.

Nie zobaczyłem tam nic złego. Zwyczajne, bardzo spokojne, nieźle zrobione oczy. Oblicze starosta miał równie niewzruszone. Zresztą, czego się tam spodziewałem? Przecież to program. Dlaczego miałby reagować jak człowiek? Dlaczego miałby się wstydzić, z powodu okłamywania kogoś? Nawet nie wiem, czy on wie, że kłamstwo to rzecz naganna!

W tym momencie przeszedł mnie dreszcz. Chyba po raz pierwszy tak naprawdę dotarło do mnie, gdzie przyszło mi pracować. W chińskim cyberze. W cyberze zasiedlonym wyłącznie przez tułaczę programy. Usiłowania zmierzające do przyłapania ich na kłamstwie, na podstawie wyrazu twarzy, ruchów, głosu, określenie z mimiki i gestów kiedy mówią prawdę - to bezsens.

Tak więc nie powinienem sądzić, że skoro myślą tylko ludzie, to wszyscy myślący muszą się trzymać ludzkiej moralności. Ludzi. Już ci! Myślący, czujący, ale kierujący się swoją własną logiką, zgodnie ze swym rozumieniem etyki i moralności.

A powinienem był wpaść na to od razu po wejściu do chińskiego cyberu, zaraz za portalem. Następnie trzeba było szybko oddać Shetterowi zaliczkę i wrócić do domku. Niechby nawet ten bogacz kusił mnie znacznie większą sumką. Nieważne,

jaki obiecują ci zarobek, skoro nie ma najmniejszych szans by te pieniądze zarobić.

Czego mogę dokonać w cyberze, zasiedlonym przez istoty myślące, których logika zachowania nie jest mi do końca zrozumiała? Jak mogę schwytać przestępcę, skoro w odpowiedzi na swoje pytania będę słyszał coś, sensu czego nie będę potrafił wychwycić? Czy mogę pojmać złoczyńcę, skoro nie są mi znane motywy jego działania, skoro nie jestem w stanie zrozumieć co myśli, czego naprawdę chce, dlaczego postępuje tak, a nie inaczej?

- Chyba się zamyśliłeś - skonstatował starosta.
- To też wchodzi w zakres moich obowiązków - odparłem.
- Ale zanim zaczniesz myśleć, musisz poznać fakty.
- Niewątpliwie.
- W takim razie, może byś obejrzał miejsce przestępstwa?
- Może.
- Wydam polecenie, by ktoś cię tam zaprowadził.
- Będę wdzięczny. A przy okazji - mam nadzieję, że nic tam nie zostało zmienione?
- Oczywiście. Przestępstwo zostało dokonane w pewnym... hm... domu. Postawiłem przy jego drzwiach swego pomocnika. Możesz mi wierzyć lub nie, ale naprawdę przeczynałem, że znajdzie się prawdziwy spec, który zgodzi się zająć tą sprawą.
- Przeczynałeś?
- No, może niezupełnie tak. Dokładnie rzecz ujmując - podpowiedziano mi to.
- Wróżka?
- Nie, mam pewnego znajomego... zresztą, jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że powinieneś udać się do tego domu, rozejrzeć się na miejscu, a potem schwytać zabójcę.

Znajomy? Hm... Znajomy, który lubi podpowiadać. Czy nie

pachnie mi tu Plotką? Ale nie, co on by robił w chińskim cyberze? Rozłożyłem ręce.

- Czy mogę odmówić?

- W takim razie powinieneś starannie obejrzeć miejsce zbrodni - powiedział starosta. - A potem bezzwłocznie przystąpić do poszukiwań zabójcy. W razie konieczności możesz zwracać się bezpośrednio do mnie i liczyć na każdy rodzaj pomocy, jaką będę ci w stanie okazać.

Oho! Carte blanche co się zowie! Rób co chcesz, ale zabójcę znajdź i przekaż mi żywego lub martwego.

Niezłe.

Starosta podniósł się z poduszki i ruszył ku drzwiom. Pokonałem pokusę ciśnięcia niedopałka na dywan, wsadziłem go do popielniczki i ruszyłem za swym chlebodawcą. A właściwie, dlaczego tak panikuję? No zgoda, tułacze programy nie są ludźmi. Niewątpliwie, żyją według własnych reguł honoru, li-tości, celowości metod. I dlatego diabelnie trudno jest z nimi współpracować. Ale ludzie i one mają jednakowoż coś wspólnego. Mianowicie umiejętność logicznego myślenia. Oto niteczka, której powinienem się trzymać. To może mi dać możliwość znalezienia zabójcy. Oczywiście, w tym przypadku, jeśli jego działania można logicznie wyjaśnić. Jeśli przestępcą nie jest jakiś uszkodzony tułaczy program, który popełnił zbrodnię tylko dzięki kiksowi twórcy.

Twórcy? Nie, twórcy programów nie popełniają takich błędów, które mogłyby prowadzić do zabijania turystów. Już prędzej zabójcę przygotował jakiś kukaracza. Ale wariant ze zdefektowanym programem jest zbyt prosty, a mam podstawy do przypuszczania, że wpadłem w poważniejszą, bardziej skomplikowaną aferę.

Skąd to przekonanie?

Po pierwsze, ten zaginiony trzy dni temu turysta, do którego odszukania wynajął mnie Shetter. Czyż można wykluczyć, że nie padł ofiarą tego samego programu? Czy starosta wie o nim? A jeśli wie, to dlaczego nic nie powiedział? Logiczne by było powiadomić, że nie jest to pierwsze przestępstwo tego typu. Albo zabójca za pierwszym razem zatarł lepiej ślady zbrodni? Dopiero teraz coś mu nie wyszło i ciało zostało znalezione.

Stop. Czy nie za szybko powstają takie konstrukcje myślowe? Może by tak najpierw obejrzeć miejsce zbrodni? Znalazłszy się w gościnnym pokoju starosta zatrzymał się i tknąwszy palcem w jednego z pomocników polecił mu:

- Ty! Odprowadzisz Essutila Quacka tam, gdzie został zabity turysta. Wykonuj wszelkie jego polecenia.

- Tak jest - głuchym metalizowanym głosem odparł pomocnik.

Poruszał się również na sposób roboci, jak mechaniczny człowiek ze starego filmu.

- Idź za nim - polecił starosta. - Zaprowadzi cię na miejsce zbrodni. Po zakończeniu oględzin możesz od razu przystępować do śledztwa. Przy okazji, jak radzisz sobie ze snem?

- Wspaniale - zapewniłem go. - Nie zagraża mi.

- No to świetnie. Ruszajcie.

Przez moment miałem ochotę wyprężyć się do postawy „na baczność” i zsalutować staroście. Nie wiedziałem tylko czy doceni moje poczucie humoru, więc nie bawiłem się w wygłupy. Skinąłem tylko głową i wyszedłem za pomocnikiem na ulicę. Mój przewodnik poruszał się wolno, zacząłem więc zastanawiać się, jak też będzie łapał oszusta czy - dajmy na to - bandytę. Wyglądałoby to pewnie bardzo zabawnie. Ale, być może, pomocnicy starosty nie spełniają takich funkcji? Po co

mają chwytać przestępców, skoro ci zapewniają dobrobyt rodzimemu cyberowi?

Na ulicy, obok drzwi rezydencji starosty, stał nieruchomy jak posąg Drobny Bies. Zawsze mnie dziwiła i nawet nieco przerażała ta umiejętność nieruchomienia tułaczych programów w chwili, kiedy nie musiały wykazywać się aktywnością. Zamierały wtedy jak rzeźby. Mógłbym przysiąc, że Drobny Bies stał w tej samej postawie przez cały czas, kiedy znajdowałem się w rezydencji starosty.

Zresztą, gdy tylko pojawiłem się na ulicy ożywił się i, wesoło przytupując kopytkami, podbiegł do mnie.

- No i jak tam? Co masz zrobić dla starosty?
- Nic, co by wychodziło poza ramy mojej profesji - odpowiedziałem.
- No to świetnie! - zakrzyknął Drobny Bies.
- Czy ja wiem?
- A dokąd teraz idziemy?
- Za pomocnikiem starosty. Odprowadzi nas w miejsce, skąd zacznie się śledztwo.
- A co się tam znajduje?

Poczułem, że jestem zmęczony jego pytaniami. W końcu to ja powinienem je zadawać, a nie mój przewodnik. Dlatego odpowiedziałem:

- Przyjdziemy - zobaczysz. Kapewu?
- Jasne - odparł Drobny Bies.

W jego głosie słychać było zdenerwowanie. Pewnie myśl o tym, że będzie uczestniczył w najprawdziwszym śledztwie, spodobała mu się. Być może hołubił nadzieję na zdobycie doświadczenia w niuansach pracy detektywa i otwarcie z czasem w tym cyberze własnej firmy? A właściwie - dlaczego nie? Do otwarcia takiej firmy Drobny Bies nie będzie potrzebował

kursów, pozwoleń, tylko zgody starosty. A ten może mu jej udzielić, mając nadzieję, że własny detektyw podnosi szansę przeżycia oddanego jego pieczy cyberu.

Przyjrzałem się jeszcze raz diabełkowi i pomyślałem, że tam, w pokoju narad, niepotrzebnie wpadłem w panikę. Tułaczce programy tworzą ludzie. Powinny zatem działać zgodnie z założoną przez ludzi logiką. Czy może jakiś kukaracza, albo i twórca stworzyć coś co kieruje się nie ludzką logiką? Z pewnością - nie. Tworząc taki program, sam autor musiałby kierować się nieludzką logiką, innymi słowy - przestać być człowiekiem. Ponieważ jest to niemożliwe, więc takiego programu stworzyć się nie da. Skoro zatem programy, z którymi przyjdzie mi mieć do czynienia podczas śledztwa, kierują się ludzką logiką, to już jakoś te wiadomości, które są mi potrzebne do schwywania przestępcy, z nich wyciągnę.

- Proszę za mną - oznajmił pomocnik starosty.

Uśluchaliśmy go, rzecz jasna.

Szedłem za nim i myślałem, że od chwili, kiedy wynająłem Drobneho Biesa, przez cały czas zmuszany jestem to maszerowania za kimś. Najpierw był to przewodnik, potem - starosta. Teraz - jego pomocnik. Zresztą, co w tym złego?

Wkrótce nie będzie za kim iść, trzeba będzie samemu wybierać, w którą stronę należy ruszyć, dokąd skierować swoje kroki. To może być znacznie trudniejsze.

8.

Po drodze do miejsca zbrodni uznałem, że miasto zajmuje najprawdopodobniej całą powierzchnię chińskiego cyberu. Niby racja - po co tułaczym programom, które nigdy nie były w wielkim świecie, na przykład park? Z ich punktu widzenia ogród będzie nieustającym źródłem stałego rozdrażnienia, ponieważ jest czymś nieznanym, a więc i potencjalnie niebezpiecznym. Szczególnie, że bezużytecznym. Jeśli przeżycie cyberu było sprawą nadrzędną, to park zupełnie w takim cyberze nie był potrzebny i zajmował zbyt wiele miejsca, a co tym idzie - szkodził.

Poza takimi celnymi myślami, po drodze opanowało mnie przeświadczenie, że ktoś się na mnie gapi. No bo niby czemu nie! Turysta, spacerujący sobie z przewodnikiem i pomocnikiem starosty. W gronie przechodniów musieli być również bandyci, ale saver, jak również eskorta honorowa utrzymywały ich na dystans i nie pozwalały na poprawę swoich finansów kosztem zawartości mojej kieszeni.

Co innego oszuści, ci za nic mieli i płytkę i asystę. Nie zdążyliśmy przejść kilkadziesiąt kroków, jak zaproponowano mi zakup gwarantowanego hasła dostępu do osobistych rachunków centralnego banku cyberu. Na moje, chyba usprawiedliwione pytanie, dlaczego sprzedający sam nie wykorzysta owego hasła by wzbogacić się w mgnieniu oka, uraczono mnie tak kunsztownie posplataną opowieścią, że cokolwiek z niej zrozumieć mógłby tylko nader zręczny kabalista.

Nie zamierzałem kupować żadnego hasła, rzecz jasna, ale uprzytomniłem sobie, że wyobraźnia miejscowych oszustów

nie zna granic. Dlatego też i na kolejne podobnego typu propozycje krótko odpowiadałem odmową i maszerowałem dalej. Drobnny Bies, który chyba obawiał się, że zamierzam wysłuchiwać wszystkich tych historii, jakimi raczyć mnie będą napotkani krętacze, wyraźnie poweselał. Wyglądało nawet pod koniec naszej wędrówki, że odczuwa coś na kształt dumy z powodu klienta, któremu udało się nie wpaść w sieci żadnego matacza.

A właśnie, gdzieś w połowie spaceru przyszła mi do głowy wspianiała myśl. Zaproponował mi, że za kolejne pięć infobucksów będzie biegł przede mną i wyjaśniał wszystkim tym blagierom, że z jego klientem nie warto się wdawać w dyskusje.

Oczywiście, nie skorzystałem z tej propozycji; wyszło mi bowiem, że jeśli będę realizował każdy wspianiały pomysł swojego przewodnika, to za jakieś dwa dni nie zostanie mi z zaliczki Shettera ani grosz.

Ostatni drań napadł mnie w chwili, kiedy do domu-celu naszej wyprawy, zostało jedynie kilkadziesiąt kroków. Kanciarz wyglądał jak niezbyt starannie wykonany, ale jednak straszliwie czarujący Santa Claus i usiłował opchnąć mi sztuczne ciało z jakimś niewyobrażalnie dokładnym balansem możliwości seksualnych. Uwolniłem się od niego zwrotem, w jakimś miejscowym narzeczu, który stosowałem już tak wiele razy, że nauczyłem się go na pamięć, a potem, a pomocnikiem starosty i Drobnym Biesem podszedłem do domu, w którym dokonane zostało zabójstwo.

O tym, że jest to ten dom można było poznać po stojącym na baczność obok drzwi innym pomocniku starosty. Mój przewodnik zamienił z nim kilka słów, po czym pozwolono nam wejść do domu i przystąpić do pracy. Były to pierwsze oglę-

dziny w moim życiu. Szczerze mówiąc, nieco inaczej to sobie wyobrażałem.

Ale kogo to...

Najczęściej to, co się z nami dzieje po raz pierwszy ma paskudną właściwość dziania się nie tak, jak to sobie Wcześniej wyobrażaliśmy. I reguła ta działa praktycznie bez wyjątków. Teraz ja prowadziłem i wszedłem do budynku pierwszy. Drobnny Bies i obaj pomocnicy podążali za mną. Poprosiłem wszystkich, by zostali przy drzwiach, a sam przystąpiłem do oględzin.

Wnętrze budynku nie imponowało wielkością - zaledwie dwa pokoje. Pierwszy był czymś w rodzaju pokoju gościnnego, w którym stały tapicerowane meble, bar z mnóstwem butelek oraz ekran do przeglądania newsów i holovideofilmów. Krótko rzecz ujmując, pokój wyraźnie przeznaczony był do przyjemnego spędzania czasu. Drugim pomieszczeniem była sypialnia. Po wejściu do niej szybko rozejrzałem się i niemal od razu zobaczyłem zwłoki.

Właściwie, nie były to zwłoki w takim znaczeniu tego słowa jakie funkcjonowało w wielkim świecie. Raczej przypominały wielką plamę szarej farby, przypadkowo podobna do zarysu ludzkiego ciała. To znaczy, że w świecie cyberów można umrzeć w taki również sposób.

Nie, nie tak - gdzieś tam, w wielkim świecie, znajduje się ciało tego turysty. Można go nawet obudzić. Wszystkie jego organy są w porządku, poza świadomością. Ta była przeniesiona do cyberu w całości, z najmniejszymi kęsami informacji, z najbardziej utajonymi myślami, z podświadomymi pragnieniami. Zostało to zrobione zgodnie z przyjętym bardzo dawno temu, w czasie, kiedy dopiero powstawały pierwsze cybery, prawem „O niedopuszczalności dublowania osobowości”.

Po co zostało przyjęte? No bo wyobraźcie sobie, że w czasie, kiedy wasza świadomość znajduje się w cyberze, zajdą pewne wydarzenia, w wyniku których wasze ciało obudzi się. Co się stanie? Będziemy mieli do czynienia z dwiema, absolutnie jednakowymi, osobowościami. Jedna będzie posiadała ciało, druga - nie. Ale czy posiadanie ciała jest z punktu widzenia prawa czynnikiem decydującym o tym, która z osobowości ma prawo do istnienia? Szczególnie, jeśli jedna i druga strona zaprzęgą do roboty sensownych adwokatów. A co się stanie, gdy pozostawionej w cyberze osobowości przyjdzie do głowy jeszcze jedno powielenie?

Aby nie dochodziło do takich sytuacji zostało przyjęte prawo, zgodnie z którym dublowanie osobowości jest wykluczone we wszystkich okolicznościach. Innymi słowy, jeśli jakimś sposobem w czasie pobytu w cyberze wasza świadomość zostanie uszkodzona, to w takim samym stanie wróci do swego ciała. Jeśli zginie, to będzie to waszym nieodwoalnym i nieodwracalnym zgonem. A co do ciała takiego wędrowca to możliwe są następujące warianty postępowania: jeśli delikwent ma rodzinę czy spadkobierców, to oni zdecydują o jego losie. Ciało albo zostanie pokawałkowane na transplantaty, albo wynajęte, a najprawdopodobniej serce zostanie zatrzymane, a ciało przekazane ziemi. Jeśli krewnych nie ma, to ciało staje się własnością państwa.

I koniec... Ale co mnie napadło? Co za znaczenie ma przechowywane gdzieś tam ciało turysty? Mnie nic do tego, ja mam się zająć tylko resztkami jego świadomości, jego prawdziwym trupem, ponieważ nieodwoalnie umarł, i to umarł tu właśnie.

Zająć się zwłokami... Wyjąłem z kieszeni uniwersalnego diagnostę i w zamyśleniu przyjrzałem się zwłokom wizytanta. Nie, jakkolwiek bardzo chciałem się zająć w pierwszej kolej-

ności ciałem, by potwierdzić pewne swoje domysły, to w pierwszej kolejności należy zająć się miejscem zbrodni. Dopiero potem dojdziemy do zwłok.

Wróciwszy do salonu powiedziałem:

- Proszę mi wyjaśnić jedną rzecz. O ile dobrze rozumiem, to ten turysta przybył do waszego cyberu w celu oddania się określonym, zabronionym w legalnych cyberach uciechom. Dlaczego zginął w tym domu? Co on tu robił?

Jeden z pomocników, widocznie ten, który był moim przewodnikiem, wyjaśnił:

- Zabawy, dla jakich tu przybywają trwają na ogół bardzo długo. A wizytanci mają zwyczaj ucinania sobie drzemek co jakiś czas, w tym celu przybywają do domów wypoczynku.

- Ten dom zatem jest przeznaczony do relaksu turystów?

- Tak.

Nie mogłem nie zadać kolejnego pytania.

- A co się dzieje z przedmiotem uciech, w czasie, kiedy klient odpoczywa?

- Przecież to jest program stworzony do określonych celów. Jego funkcjonowanie w tym czasie ustaje, po prostu. Okresy relaksu wizytantów to dla niej zaledwie mgnienie oka.

- No to dlaczego wizytanci nie korzystają z tabletek odpędzających sen?

- Niektórzy używają ich, ale prawdziwi koneserzy tego typu rozrywek uważają, że tabletki przytępiają przyjemność.

- Ach, to tak...

- Właśnie tak.

Twarz pomocnika była całkowicie nieruchoma.

Wiele bym dał, żeby się dowiedzieć o czym tak naprawdę myśli. Czy jest w stanie osądzać tych „amatorów zakazanych rozkoszy”? Czy dla niego, jak i dla starosty, nie ma żadnego

znaczenia jak ich ojczysty cyber znajduje środki na podtrzymanie swego istnienia? Może te wizyty nie są w ogóle dla nich niczym szczególnym? Skąd niby ma wiedzieć, że pojawiający się tu ludzie są czasem gorsi od zwierząt, skoro nie widział nigdy innych? Skoro od samego początku zaszczepiono mu taki sposób myślenia, w którym zaspokajanie takich żądź jest normalne i istniejące od zarania dziejów?

- Masz jeszcze pytania?

- Tak - powiedziałem. - W czasie relaksu turysta jest pod ochroną?

- Nie. Po co? Drzwi są wyposażone w solidny zamek, którego nie otworzą nawet nasi miejscowi mistrzowie wytrycha.

- A przenikanie przez ściany?

- Ściany tego domu są zbudowane tak, że o każdej próbie przeniknięcia przez nie dowiaduje się natychmiast starosta. Wysyła wtedy nas, a my podejmujemy odpowiednie kroki. Wszyscy mieszkańcy cyberu o tym wiedzą, dlatego przez ostatni rok nie było ani jednej próby okradzenia wizytanta w domu wypoczynku.

- Kto znalazł zwłoki?

Teraz odezwał się drugi pomocnik:

- Ja. My wiemy, ile czasu relaksują się turyści. Kiedy więc nie pojawił się w odpowiednim czasie, by dokończyć zabawy, starosta pomyślał, że postanowił przedłużyć sobie relaks. Ale minęło kolejnych kilka godzin, a wizytant nie pojawiał się, starosta zaniepokoił się więc i wysłał mnie, żebym się dowiedział czy coś się z nim nie stało.

- Rozumiem, że w pokoju nie było nikogo?

- Nie. Tylko trup.

- A zamek?

- Zamek, podobnie jak ściany, wyposażony jest w system

powiadamy. Jeśli ktoś spróbuje go sforsować to starosta natychmiast zostanie o tym powiadomiony. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie. Na razie nie - odparłem i włączyłem uniwersalny diagnoster.

Drzwi i zamek były całkowicie sprawne i nie nosiły śladów włamania. Przekonawszy się o tym, zacząłem sprawdzać diagnosterem ściany salonu. Właściwie, to takie poszlaki, jak odciski palców czy ślady, tu, w cyberze, nie istnieją. Ale ślady przenikania przez ściany, niechby nawet przestępca potrafił oszukać system powiadamy, powinny pozostać. Jeśli natomiast ich nie znajdę, to będzie to niemal stuprocentowy dowód na to, że przestępca znał kod zamku.

Jeżdżąc diagnosterem po ścianach prychnąłem.

Przestępca?

Czy można nazwać przestępcą istotę, która przerwała żywot zbrojeńca, znajdującego rozkosz w dręczeniu innej istoty myślącej? Oczywiście, to tylko nieprawomocny program, stworzony wyłącznie po to, by w męczarniach umrzeć, ale ten program myśli i odczuwa tak samo jak zwyczajny człowiek, jest istotą myślącą. No więc, czy można uważać za przestępcę tego, co zabił sadystę, co być może przerwał żywot nie jednej już istoty myślącej? Z punktu widzenia prawa - tak, jest przestępcą i winien być ukarany. A z mojego prywatnego punktu widzenia?

Westchnąłem i odsunąłem diagnoster od ścian.

Może już dość tych rozmyślań i rozterek?

Z punktu widzenia prawa, zabójca tego turysty jest przestępcą. Ja w chwili obecnej jestem przedstawicielem prawa. Moim zadaniem jest wykrycie owego przestępcy i, niewykluczone, zapobieżenie innym podobnym aktom przemocy. Nie

powinno mnie obchodzić, że w tym cyberze nie istnieje prawo w normalnym tego słowa rozumieniu. O nie. Najważniejsze, że dla mnie istnieje, a ja muszę się mu podporządkować. Natomiast kiedy zakończę pracę, będę sobie siedział w „Krwawej Mary”, pił piwo i przeklinał siebie ostatnimi słowami za to, że ująłem tego, kto dokonywał niemal szlachetnych czynów.

Na dodatek, nie wiem z jakiego powodu zostało dokonane zabójstwo. Najpewniej mordercę interesowały posiadane przez turystę pieniądze. Może jutro, o ile nie uda mi się go schwytać, przestępca ów przeniesie się do legalnego cyberu i zabije innego turystę, nie mającego już nic wspólnego z nieusankcjonowanymi „zabawami”? Może już wie o moim przybyciu i teraz przygotowuje się, żeby w sprzyjających okolicznościach pozbawić mnie życia.

Bo niby czemu nie mogłoby tak być? Bez problemu. Dlatego dobrze by było wyrzucić z głowy wszystkie te gadki o etyce i moralności swojego działania i dokończyć sprawdzania ścian.

Do roboty.

Sprawdziwszy ściany w salonie przeszedłem do sypialni. I niemal natychmiast natknąłem się na ślad przenikania. Osobnik, który go dokonał, działał sprytnie i ostrożnie - szczywanym, potrafił unieszkodliwić system powiadomiania. Ale ślad pozostał. Nie mógł nie pozostać, ponieważ każde przeniknięcie zmienia strukturę ściany, nieznacznie, ale diagnosterowi to wystarcza. No, tyle już wiemy - zabójca przeszedł przez ścianę. W jakiś chytry przy tym sposób, wyprowadziwszy w pole system alarmowy. Tak więc pomocnicy starosty, jak również inni, którzy w jakiś sposób mają do czynienia z „zabawami” turystów raczej nie brali w tym udziału. Wcale nie musieliby przenikać przez ściany, oni znali kod zamka.

Zbyteczne więc będą wszelkie z nimi rozmowy, pytania,

wywiady, ich alibi na czas przestępstwa. Wszystko jest proste jak świński ogon. Ktoś z mieszkańców cyberu, nie wszczynając alarmu, jakimś sposobem przeszedł przez ścianę i dokonał tego aktu zbrodni. Może nawet nie chciał zabijać wizytanta, może chciał go tylko okraść, a ten, na przykład, obudził się w najbardziej niesprzyjającym momencie i chciał ująć złodziejaską. A złodziej nie znalazł innego wyjścia, jak zamordować turystę.

Klasyczna, można powiedzieć, sprawa. Bez powodów do radości, jeśli mam być szczerzy - przyjdzie się przy tym namęczyć co niemiara. Przy tym szansę na sukces mam nikłą, jeśli starosta uruchomił oprócz mnie swoich pomagierów - w końcu oni znają ten cyber jak własne pięć palców, i powinni wiedzieć kto i do czego jest zdolny.

Czy więc mam się w ogóle tym zajmować, czy może lepiej markować tylko śledztwo? A sam w tym czasie zajmę się poszukiwaniem zaginionego turysty?

Zerknąłem na denata. Nadszedł czas, by zająć się i nim. Jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą, to wkrótce będę mógł się stąd wynieść.

Dobrze by było.

Podszedłem do łóżka i już miałem uruchomić uniwersalnego diagnostera, kiedy przypomniałem sobie, że istnieje jeszcze jeden sposób przenikania przez ściany. Zetknąłem się z nim jakiś pół roku temu, kiedy usiłowałem odzyskać własne ukradzione przez pewnego drania ciało. Poznałem ten sposób, pozwalający przenikać w dowolne miejsce... Ale nie, nie może tak rzadki gadget trafić w łapy mieszkańców tego cyberu. Poza tym ten sposób nie pozostawia żadnych śladów, zupełnie żadnych. A tu jednak ślad pozostał. Nie ma co przerabiać niemożliwych wariantów. Praca czeka.

- Essutilu, możemy sobie popatrzeć?

No tak, Drobny Bies. Nie mógł wytrzymać z ciekawości. W zasadzie powinienem był go zostawiać obok drzwi, ale pomyślałem, że nie byłoby źle pokazać swoje znalezisko pomocnikowi starosty, niech opowie szefowi, że ja... jak to się mówi?., ach tak - trafiłem na ślad.

- Dobrze - odezwałem się. - Chodźcie tu wszyscy. Tylko nie zbliżajcie się do łóżka.

Przyszli. Pierwszy, oczywiście, dreptał diabełek. Zanim, poruszając się krokiem nurka głębinowego, tupali pomocnicy. Kiedy cała trójka stanęła pod drzwiami i rozejrzała się, zdecydowałem, że nadeszła pora na demonstrację swojego znaleziska.

- Patrzcie - powiedziałem kierując diagnoster na ścianę. - Właśnie tu przestępca przeniknął do domu.

- To ci drań - z nieukrywanym zachwytem odezwał się Drobny Bies. - I nawet zdołał oszukać system powiadamiania?

- Zgadza się - potwierdziłem.

- A to jest to, co zostało z wizytanta? - Diabełek wskazywał na łóżko.

- Tak. Zaraz się nim zajmę. Muszę wiedzieć, jak wyglądał.

- Pewnie! - poparł mnie rozentuzjasmowany przewodnik. - Trzeba. A gdzie można zdobyć to urządzenie, którym dopiero co dźgałeś ściany?

- W wielu legalnych cyberach. A bo co?

- Nie, nic.

Drobny Bies oklapł, ale zaraz przyszła mu do głowy inna myśl, więc podskoczył z radości.

- A możesz kupić mi takie coś i przynieść tutaj?

- Po co?

- Potrzebuję. Możesz?

Uśmiechnąłem się.

Nie da się ukryć, diabełek postanowił zostać w swoim cyberze prywatnym detektywem. No-no... Niech się szkoli, zobaczymy.

- To zależy od twojego zachowania - oświadczyłem.
- Och, będzie doskonałe.

Chciałbym w to wierzyć. Pomocnicy starosty w czasie tej wymiany zdań stali całkowicie bez ruchu, jak posągi. Twarze mieli nieruchome. Jednak dałbym sobie uciąć to i owo, że zapamiętują każde słowo, by je potem przekazać swojemu szefostwu. No i dobrze. W końcu, o to mi chodziło. Pora się zabrać do zwłok.

Przyłożyłem diagnoster do denata.

Tym razem aparatura potrzebowała nieco czasu, by dokonać analizy, ale w końcu wyprowadziła hologram zabitego.

O r-r-rany!

Pokręciłem z rozczarowaniem głową i zacząłem szukać papierosów. Turystą był łysy staruszek, z kocią bródką i nieprzyjemnym obliczem. Nie, nie wyglądał na potwora, ale miał coś odpychającego w lekko zmrużonych oczkach, w chytrym uśmiešku. Ale, co najważniejsze, wcale nie przypominał tego turysty, którego miałem odnaleźć zgodnie z kontraktem zawartym z Shetterem.

Niefart. A już zaczynałem hołubić nadzieję ustrzelenia jednym strzałem dwóch zajęcy. No bo niby dlaczego zabity nie miałby być jednocześnie Lanny Wordem? Niby wszystko pasuje. Pojawił się w tym cyberze trzy dni temu. Zabity - mniej więcej w tym samym czasie. I to by mogło być logiczne...

Ale nie, nie złożyło się.

- To ten? - zapytałem.
- Tak, to on - potwierdził jeden z pomocników - wybrał się,

by wypocząć w tym domu.

Dobra, niech tak będzie. Teraz dobrze by było wiedzieć, czym został załatwiony. Pewnie jakimś egzotycznym bajerem. Przyjrzałem się danym z diagnostera. Bezpośrednio przed zgonem denat nie spał. Zgon miał miejsce pięć godzin temu i był błyskawiczny, ponieważ użyty został zwyczajny ręczny corvector.

Corvector? Ho-ho? Zaiste, rzadka broń. Zwykle uzbrojeni w corvectory są gliniarze, a i to tylko wtedy, gdy udają się na poważną akcję.

- W jaki sposób corvector mógł trafić do tego cyberu? - zapytałem pomocników.

- W naszym cyberze nikt nie ma corvectora - odpowiedział jeden z nich.

Czy był to ten, co mnie tu przyprowadził, czy pilnujący domu - nie wiedziałem. Nie miało to, zresztą, nic do rzeczy. Ale miało co innego. Mimo beznamietnej twarzy, mimo jego obojętnych oczu, jakimś cudem wiedziałem, dosłownie wyczuwałem, że łąe. Ktoś w chińskim cyberze posiadał tę broń. Najprawdopodobniej pomocnik wiedział, kto to jest, ale nie zamierzał się tą wiedzą dzielić ze mną. W związku z czym może stało się właśnie tak, że dałem chwilę temu staroście nitkę, pociągnąwszy za którą znajdzie zabójcę przede mną. A ja tylko się z tego ucieszę, ponieważ mam ciągle do wykonania inne zadanie.

Zapaliłem papierosa i skinąłem w stronę łóżka:

- Zaraz sobie pójdę, a wy możecie go stąd zabrać. Czy w waszym cyberze wykonywany jest obrzęd pogrzebowy?

- Takiego obrzędu nie wykonujemy - odpowiedział pomocnik. - Ale sprzątniemy, to nie jest problem.

Z papierosem w ustach popatrzyłem jeszcze raz na ścianę,

przez którą zabójca przeniknął do budynku. Nie mógł przecież zrobić tego na oczach całej ulicy. Nawet gdyby nikt mu nie przeszkadzał, to mógłby ktoś zapamiętać jego kokon. Choćby po to, by przy okazji zarobić na tym kilka infobucksów. Zabójca musiał to uwzględnić. Za murem musi zatem coś być, jakiś budynek. Dobrze by było nań zerknąć. Może znajdzie się jakiś trop?

- To by było na tyle - oznajmiłem strząsając popiół na podłogę. - Przekażcie staroście, że przystępuję do poszukiwania zabójcy.

- Tak właśnie zrobimy - odpowiedział jeden z pomocników.

Skrzywiłem się. Mimo wszystko starosta powinien był ich jakoś ponumerować, czy co. W każdym razie, żeby rozmawiając z nimi człowiek wiedział, który właściwie się odzywa. A może wcale nie trzeba? Może w warunkach chińskiego cyberu jest to nawet wygodne? Taki, powiedzmy, wariant anonimowości. Jeśli jeden z pomocników potraktował kogoś z mieszkańców zbyt brutalnie, to ten nie miał żadnych szans poskarżyć się na konkretnego sprawcę krzywdy, znakiem tego nie było ani sprawy, ani urazy.

- Idziemy - przypomniałem Drobnemu Biesowi.

- Jasne - odpowiedział i pomknął przede mną do wyjścia z domu, w którym amator zakazanych rozkoszy znalazł kres swego żywota.

9.

Miałem rację.

Dom, mający wspólną ścianę z tym, w którym dokonano zabójstwa, naprawdę istniał. Przez tę właśnie wspólną ścianę przeniknął morderca. Powiniennem teraz wejść do tego domu i porządnie wypytać każdą myślącą istotę, jaką uda mi się tam spotkać. Może ktoś coś widział, zauważył albo przynajmniej usłyszał. Gdyby więc szczęście mi sprzyjało... Zresztą, nie ma co gdybać.

- Mamy tam wejść? - zapytał diabełek.

- Tak. - Szukałem właśnie miejsca, gdzie mógłbym spokojnie cisnąć niedopałek.

Zmarnowałem na to kilka sekund. W końcu starannie wycelowałem i cisnąłem. Jedna plama na jezdni więcej. Świat od tego nie zadygotał.

- Nie uda ci się - oświadczył nagle Drobny Bies.

Zerknąłem nań z zainteresowaniem.

- Przecież to jest kino ciekawych filmów - wyjaśnił diabełek.

Co mu mogłem odpowiedzieć - wzruszyłem ramionami i rozejrzałem się jeszcze raz.

W czasie, jaki spędziliśmy w domu, przechodnie jakby się rozmnożyli, a oszuści, widocznie, zwołali naradę produkcyjną i wypracowawszy jednolitą opinię co do mojej osoby, jakby się zmyli. Nawet ten typek podobny do Santa Clausa, choć nie zniknął z widoku, to jednak stał w odległości dziesięciu metrów, gapił się na mnie jak kot na świeżą rybkę, ale nawet nie usiłował wcisnąć mi, na przykład, najlepszego na świecie

sztucznego ciała, wyposażonego w kupę udogodnień i funkcji dodatkowych.

Pomyślałem, że cwaniactwo albo uznało mnie za całkowicie odpornego na pokusy i postawiło gruby krzyżyk na podejściach do mojej osoby, albo posłało za wsparciem, po jakiegoś superspryta, który jest w stanie wcisnąć Jezusowi krzyż, na którym sam wisiał, i na dodatek zedrzyć z niego dwadzieścia procent dodatku za gwoździe, którymi go do krzyża przybito.

Pewnie ten drugi wariant jest bardziej prawdopodobny. Dlatego też należy jak najszybciej zniknąć w sali kinowej i zacząć działać, co wydaje się najrozsądniejsze.

- Chcesz powiedzieć, że w tym budynku wyświetlają halo-filmy z jakimiś tam chłopcami i dziewczynkami, którzy wyczyniają różne hocki-klocki? - zapytałem Drobniego Biesa.

Popatrzył na mnie zdziwiony:

- A kogo to bawi?

Odchrząknąłem. Niby prawda - tułacze programy winny mieć swój swoisty stosunek do takich rzeczy. Nie panuje nad nimi instynkt przedłużenia rodu ludzkiego. Może zainteresowanie nagimi ciałami i łózkowymi scenami wydaje im się po prostu śmieszne? Choć może i niewykluczone jest, że istnieje w ich środowisku coś na kształt miłości. Coś typu „Może byśmy połączyli nasze najintymniejsze programy?”

Przyszli mi na myśl Hobbin i Nobbin. Odkąd ich znam udało im się ani razu nie poruszyć tego tematu. Wiedzieli, że jestem z wielkiego świata i mogę się obrazić, jeśli zaczną wyśmiewać się z turystów i ich wędrówek po grzesznych okolicach.

- No to co takiego ciekawego dają w tym kinie? - zapytałem.

- Jak to co? Wielki świat. Nie wiedziałeś?

Wzruszyłem ramionami:

- Dobra. Zobaczymy.

- Chodźmy. Wejście kosztuje jednego infobucksa.

Oceeniłem, że według stawek chińskiego cyberu to naprawdę wysoka cena, i zapytałem:

- Dlaczego tak drogo?

- Bo to są filmy o wielkim świecie. Prawdziwe filmy. Rozumiesz?

To już mnie naprawdę zaintrygowało. Prawdziwe filmy. Co to są prawdziwe filmy? I jakie filmy są w takim razie nieprawdziwe?

Opłatę pobierał chudy staruch z długim kinolem i na dodatek porośnięty gęstym siwym włosiem. Dałem mu dwa infobucksy, za siebie i Drobego Biesa, otrzymałem w zamian dwa żetony i weszliśmy do środka. Sala kinowa podzielona była na kilkadziesiąt małych kabin. Przypominało to pszczele komory. Po lewej stronie każdych drzwi znajdowała się plamka wielkości piłki tenisowej. Na niektórych drzwiach plamka ta miała kolor niebieski, na innych - czerwony.

- Jeśli plama jest niebieska to kabina jest wolna - wyjaśnił Drobny Bies. - Jeśli czerwona, ktoś w niej jest.

- Rozumiem - powiedziałem.

Na razie kino jota w jotę przypominało mi dość popularne w przeszłości salki, w których leciały pornosy. Teraz dobrze by było dowiedzieć się co znaczy „prawdziwe filmy dla tułaczych programów”.

Podszedłem do kabinki, przy której widniała niebieska plamka, otworzyłem i zajrzałem do wnętrza. Wewnątrz znajdowała się szeroka ława, na której mogły się rozsiąść - w zależności od wielkości - dwa albo i trzy tułacze programy. Poza tym na ścianie wisiał ekran. Po lewej stronie była szczelina, do której widocznie należało wrzucić żeton.

Usiadłem na ławce, poczekałem aż obok mnie umości się

Drobny Bies, a potem wrzuciłem żeton i przygotowałem się na emocje. Film był najzwyklejszy na świecie, nawet nie holograficzny. A poza tym, był to film o życiu szpaków. Najprawdziwszych, zwyczajnych szpaków. Przez pierwsze pięć minut lektor, dysponujący bardzo męskim głosem, opowiadał gdzie żyją i w jaki sposób odżywiają się szpaki. Na ekranie w tym czasie ptaszki rzeczywiście pracowicie się posilały.

Popatrzyłem na Drobno Biesa. Gapił się w ekran jak zaczarowany, jakby zobaczył coś cudownego, jakieś nieziszczalne marzenie. No pewnie, dla tułaczego programu, który ani razu nie opuszczał cyberu, wielki świat może jawić się czymś w rodzaju pięknego mitu, odległego, nieosiągalnego raj.

- Wszystkie inne filmy są tego typu? - zapytałem.

Drobny Bies drgnął, jakbym wyrwał go ze snu i odpowiedział:

- Oczywiście. Ja widziałem tylko trzy. „Piękne futra jentów”, „Intrygi podwodnego świata raf i „Tropikalna żaba”. Filmy - super!..

No tak, wszystko jasne.

- Chodźmy - powiedziałem. - Mamy jeszcze trochę roboty.

- Popatrzmy jeszcze trochę, co? - poprosił diabełek. Błagalnie.

- Nie, nie mamy czasu.

Drobny Bies westchnął ciężko, wstał i wyszedł za mną na korytarz.

- Posłuchaj - powiedział tam. - Czego chcesz się tu dowiedzieć? Od kogo? Przecież ten morderca nie jest taki głupi. Na pewno wszedł do jakiejś kabiny i stamtąd przeniknął do domu, gdzie dokonał zbrodni. Raczej nikt go nie widział, a już tym bardziej nikt nie zapamiętał.

Najprawdopodobniej miał rację, ale musiałem się co do tego

upewnić. Nie kosztowało mnie to wiele trudu. Wzdłuż ściany, wspólnej do domu, w którym doszło do mordu, ciągnął się szereg pięciu kabin. W tym momencie wszystkie były puste.

Wyciągnąłem uniwersalny diagnoster i przystąpiłem do poszukiwań. Ślady przenikania odkryłem w czwartej od lewej kabynie. Obejrzawszy ją, przekonałem się, że niczym nie różni się od poprzednich. Nie było tam żadnych przedmiotów, które mogłyby ułatwić identyfikację zabójcy.

Ot i wszystko. Drobnny Bies miał rację. Niczego nowego ta wizyta w kinie nie przyniosła. Może powinienem kogoś przesłuchać? Ale dlaczego ten ktoś miałby zapamiętać zabójcę? Co to - ma na czole napisane, kim jest?

- Ile czasu trwają seanse w tym kinie? - zapytałem Drob- nego Biesa.

- Jakies półtorej godziny.
- A ile filmów przeciętny widz ogląda za jednym razem?
- Co to - kpisz sobie?! Oczywiście, że jeden! Kto ma tyle ma- mony, żeby oglądać dwa filmy pod rząd?

A zgon wizytanta nastąpił jakieś pięć godzin temu. Czyli w kinie nie ma już nikogo, kto był tu w chwili, gdy zabójca naci- snął spust corvectora. Chyba że ten długonosy typ, pobierający opłaty za wejście? No, z nim warto by pogadać. Tułaczych programów przechodzi obok niego mnóstwo i przestępca nie zapadł mu w pamięć - wszak nie miał na czole napisane, że zamierza wykończyć relaksującego się za ścianą sąsiedniego budynku amatora znęcania się nad programami. Ale gdyby tak przypuścić, że ten zaginiony turysta, którego szukam na zlece- nie Shettera, ma z tym coś wspólnego...

- Idziemy - rzuciłem i ruszyłem ku wyjściu z kina.
- Może przynajmniej dokończmy ten film o szpakach? - jęknął diabełek.

- Masz żeton? - zapytałem.
- Tak, został mi.
- No, to kiedy zakończę tu swe sprawy wrócisz i obejrzysz sobie film. A na razie nie mamy na to czasu.

Po wyjściu z kina okazałem długonosemu kontrolerowi hologram poszukiwanego turysty, odpowiedział mi, że nikogo podobnego dziś nie widział. I w ogóle, gdyby jakiś turysta odwiedził jego przybytek, to na pewno by go zapamiętał. Nie zostało nam nic innego, jak pójść sobie.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Drobny Bies.

Wzruszyłem ramionami.

Dobre pytanie, na które nie znałem na razie odpowiedzi. Po prostu miałem znaleźć jednego turystę i schwytać zabójcę innego. W danej chwili wiedziałem tylko, że ten, którego mam znaleźć, nie jest ani ofiarą, ani sprawcą. Wynik mizerny, jeśli się nad tym zastanowić, ale najgorsze, że nie wiedziałem, co mógłbym dalej robić.

Mogłem szlajać się po ulicach cyberu, opędzając się od usiłujących wyszabrować jakieś pieniądze tułacznych programów aż do końca świata. Raczej mnie to nie zbliży ani na krok do zakończenia przynajmniej jednej z prowadzonych spraw. Mogłem również łązić po mieście, pokazując każdemu napotkanemu hologram poszukiwanego i usiłować dowiedzieć się, czy nie słyszał kto czego o zabójstwie innego turysty. Wynik pewnie będzie taki sam.

Zatrzymawszy się, wyszperałem w kieszeni paczkę papierosów, ale - ku mojemu rozczarowaniu okazała się pusta. Muszę znaleźć jakąś trafikę i kupić szlugi. Ale w zasięgu wzroku nie widziałem takiego punktu, a specjalnie szukać... Nie, potem. Na razie muszę wymyślić, jak ugryźć stojące przede mną zadania.

Podszedłem do najbliższej ściany i oparłem się o nią, jednocześnie przypominając sobie co w takiej sytuacji radzą czynić podręczniki.

Tak więc... Co tam się zaleca?

„W przypadku, kiedy - rozpoczynasz śledztwo - nie znalazłeś żadnego tropu, przy pomocy którego mógłbyś schwytać złoczyńcę, nie trać nadziei. Zawsze jest jakiś punkt zaczepienia. Jeśli go nie widzisz, to znaczy, że szukasz w niewłaściwym miejscu”.

Ostro.

Może machnąć ręką na zawód detektywa i zabrać się za pisanie podręczników? Ciekawe, ilu przestępców posadził ten gościu, co napisał powyższy akapit? Ja, w każdym razie, mógłbym takimi perłami intelektu sypać dziesięć razy dziennie.

- No więc co robimy dalej? - zapytał Drobny Bies.

- Moja praca nie polega na tym, żeby pędzić gdzieś na łeb na szyję, a na tym, żeby myśleć, a dopiero potem działać - powiedziałem, w myślach pokazując nieznanemu mi twórcy podręcznika język: „Widziałeś? Chyba już nie wątpisz, że też tak potrafię?”

- Łe-e-e... - jęknął diabełek. - To znaczy, że jeszcze nie wymyśliłeś, co powinniśmy zrobić?

- Nie - przyznałem.

- A wymyślisz?

- Na pewno.

- Dobra, poczekam.

Powiedział to z miną niewiniątka. Zerknąłem na niego i nagle przypomniałem sobie, że zupełnie wypadł mi z głowy stary, dobry, sprawdzony przez czas wariant. Przecież mam pewną kwotę pieniędzy; jeśli nie wykonam zlecenia Shettera, to zapewne każe mi te pieniądze zwrócić. Innymi słowy -

stracę je. Nie lepiej więc podzielić się nimi z kimś, kto pomoże mi w wykonaniu przynajmniej jednego ze zleceń? To nie powinno sprawić trudności.

- Posłuchaj - odezwałem się do diabełka. - Czy mogę ogłosić, że dam nagrodę, za pewne, interesujące mnie informacje?

- Lekko. Ale nic dobrego z tego nie wyjdzie.

- Dlaczego?

- To proste. Zamierzasz ogłosić, że wypłacisz określoną kwotę temu, kto przekaże ci informacje o zabójcy?

- To też.

- O jakiej kwocie mówimy?

- No-o-o... Powiedzmy, sto infobucksów.

- Duża forsa - oblizał się Drobny Bies. - Przez cały czas będziesz się opędział od tych, co będą usiłowali sprzedać ci kit i przechwycić forszę. Mając w pamięci, że w naszym cyberze jest mistrzów oszustwa co niemiara, można przyjąć, że któremuś z nich się powiedzie. Tym sposobem stracisz tylko pieniądze, a informacji nie otrzymasz.

- A jeśli trafi się ktoś, kto coś wie o zabójcy?

- No to jeszcze gorzej. Myślisz, że przyjdzie do ciebie, wyjawia, gdzie jest zabójca, i, otrzymawszy stówę, da sobie spokój? W życiu. Po pierwsze, poleci do zabójcy i zaproponuje mu, żeby zapłacił dwie setki. Ten się zgodzi. Wtedy informator przyleci do ciebie, i oznajmi, że za trzy setki sprzeda ci dane zabójcy.

- Rozumiem - powiedziałem. - Potem znowu uda się do zabójcy.

- Oczywiście! Będzie tak krążył póki obojgu wam nie skończy się forsa.

- A potem?

- Potem załatwi tak, żebyście przypadkiem nie odzyskali

swoich pieniędzy - tobie zdradzi kryjówkę przestępcy, a jemu powie, że jakimś cudem trafiłeś na jego ślad. Wtedy wy postrzelacie do siebie w jakimś opuszczonym magazynie, takim jak ten, w którym już wojowałeś z bandytami. Jeśli nawet przeżyjesz, to mamony na pewno nie odzyskasz.

Schwytalem się na tym, że słuchając wyvodu Drobneho Biesa szukam w kieszeniach papierosów. Nie, tak być nie może. Albo łapy przy sobie, albo idziemy szukać trafiki.

Tak właśnie zrobię, ale za chwilę.

- Muszę jeszcze znaleźć pewnego zaginionego turystę. Co się może stać, kiedy ogłoszę, że wynagrodzę za wiadomości o nim?

- Wątpię, żeby z tego coś wyszło sensownego.

- A to dlaczego?

- No dobra, rozważmy co się mogło stać z tym turystą. Najlepszym dla ciebie wariantem byłoby, gdyby został zabity przez bandytów. W tym przypadku wypłacisz nagrodę i zaprowadzą cię do miejsca, gdzie został załatwiony. Ale raczej ten twój turysta dobrze się ukrył przed gościem, który chce go odnaleźć. Znalazł tu kryjówkę, wlaźł do niej i siedzi cichutko, czekając na chwilę, kiedy przestanie być poszukiwany.

- No i?

- Ta kryjówka należy do kogoś. Gdy tylko stanie się głośno o nagrodzie, to wszystko będzie się odbywać tak, jak już ci powiedziałem. Znajdziesz tego turystę, ale stracisz wszystkie swoje pieniądze. Czy to do ciebie dociera?

Hm... Może i racja... Co odpowiedzieć, skoro odpowiedź jest znana. Ale od czegoś muszę zacząć? Może są jakieś inne, punkty zaczepienia? Może w ogóle zacząć od zbierania informacji o miejscu, w jakim się znalazłem?

To chyba nie jest specjalnie trudne. Potrzebuję tylko mapy

cyberu. Potem, z Drobny Biesem musimy gdzieś się ulokować, może w jakiejś knajpcie. Rozpytam go dokładnie o wszystkie dzielnice cyberu, wynotuję te najbardziej kuszące, co do poszukiwania i zabójcy, i zaginionego turysty...

- Przygotuj się - powiedział Drobny Bies. - Zaraz się zacznie.

- Co mianowicie? - zapytałem.

Zamiast odpowiedzi przewodnik wskazał palcem coś z boku. Popatrzawszy we wskazanym kierunku, zobaczyłem kilkadziesiąt tułaczych programów, zdecydowanym krokiem kierujących się w naszą stronę. Przy tym, większość tych programów była tymi oszustami, którym nie udało się wykiwać mnie na trasie od rezydencji starosty do miejsca popełnienia przestępstwa. Na czele szedł jakiś typek bardzo przypominający żabkę. Miał grube, okrągłe ciało, długie krzywe nogi, małe łapki i duże wytrzeszczone oczy.

- Oho, to jest sam Wielki Przełyk - powiedział Drobny Bies.
- Kiepsko stoją twoje akcje.

- Oszust? - zapytałem.

- I to jaki. Sprzeda wszystko i każdemu. Nie pudłuje. Teraz zabierze się do ciebie. Radziłbym nie kusić losu i wiać.

- Akurat.

Nie będę uciekał przed jakimś oszustem. Zbytek łaski.

- Pożyjemy - zobaczymy - powiedziałem.

Uczciwie mówiąc, pewne niedobre przeczucia miałem.

Z drugiej strony, tam, w wielkim świecie, byłem komiwojażerem i, co z tego wynika, miałem doświadczenie w dziedzinie kupna i sprzedaży.

Zobaczymy, czy zawodowy oszust poradzi sobie z komiwojażerem, z dziesięcioletnim doświadczeniem. Zobaczymy, zobaczymy.

Wielki Przetyk zatrzymał się o kilka kroków przed nami, i, wpiwszy się we mnie spojrzeniem, znieruchomiał. Idący za nim oszuści, zachowując pełen szacunku dystans, stali półkolem w pewnym oddaleniu.

- Uprzedzałem cię - powiedział Drobny Bies.
- Tak, oczywiście - powiedziałem z roztargnieniem. - A teraz milcz trochę.

Wielki Przetyk milczał. Oczy nieruchomo wpijały się we mnie, jakby widział ogromną tłustą muchę, którą zamierzał zjeść.

Uśmiechnąłem się. Jeśli zamierza wyprowadzić mnie z równowagi przy pomocy takich taniutkich chwytów, to znaczy to, że ten wielki przywódca oszustów chińskiego cyberu nie jest wcale taki mocny. Właściwie co powinienem zrobić? Tylko odpowiedzieć na wszystkie propozycje odmową, nawet na te najbardziej kuszące. Tylko tyle...

- Ty! - odezwał się nagle Wielki Przetyk, wskazując mnie palcem. - Wiem, czego potrzebujesz.
- Czyżby? - uśmiechnąłem się ironicznie.
- Szukasz - powiedział Wielki Przetyk. - Kogoś szukasz. A to oznacza, że po prostu niezbędny ci jest...

Nie zdołał dokończyć.

Ognista kula, nie większa od pięści, uderzyła w ścianę budynku, obok którego stanąłem. Strzelec, o ile celem byłem ja, spudłował tylko o szerokość dłoni. Rzuciło mną w bok. Padając, zobaczyłem, jak ognista kula napęczniała i, spłaszczona uderzeniem o ścianę, stała się małym przypominającym grzyb obłokiem, podobnym w sumie do miniaturowego wybuchu atomowego. Już leżąc na ziemi, usłyszałem gwałtowny trzask, jakby mi nad głową pękł żagiel. Po ścianie rozpełzły się cienkie niczym pajęczyny pęknięcia, rozgałęziały się błyskawicznie,

obejmując coraz większą powierzchnię.

- Uciekamy! - wrzasnął nad uchem Drobny Bies.

A zygzaki pęknięć wydłużały się z każdą sekundą, łączyły się i rozjeżdżały. Zrozumiałem, że muszę przynajmniej odpełznąć od ściany, ale nie mogłem tego zrobić - wpadłem w stupor, zaczarowany powstającym przed moimi oczami wzorem.

A potem szczeliny przestały rosnąć, zaczęły się natomiast rozszerzać, w oczach tworząc drobnokomórkową sieć, która wyrzucała na zewnątrz małe kawałki muru, usiłując zwalić te odłamki na mnie. Z jednej strony te drobiny nie mogły wyrządzić mi krzywdy, z drugiej - nie wiadomo skąd wiedziałem, że gdy tylko pierwszy z nich mnie dotknie - umrę.

- Uciekaj! - znowu wrzasnął diabełek.

Ten okrzyk jakoś wyrwał mnie z osłupienia, i oderwawszy w końcu wzrok od kruszącej się ściany, poderwałem się i zacząłem uciekać.

10.

- Ale numer - wybełkotał Drobny Bies. - Jeszcze chwila i zostałbym bez klienta. To ci numer. Jakiś podlec usiłował pozbawić mnie przysługującego wynagrodzenia.

W końcu przypomniałem sobie, że fajki dawno mi się skończyły, przestałem szamotać się z kieszenią, zerknąłem na ścianę, spod której dopiero co dałem dyla. Oczywiście, dziura wcale nie była ogromna. Może półtora metra średnicy, nie więcej, a odłamki, których dotknięcie jeszcze chwilę temu wydawało mi się śmiercionośne, leżały na jezdni i już zaczynały topnieć, znikać, rozplýwać się na owej jezdni. Nie było w nich nic straszego, a tym bardziej niczego śmiertelnie niebezpiecznego.

Chociaż...

- Czy to był corvector? - zapytał Drobny Bies.

Popatrzyłem na pryskających na boki oszustów.

Przebierali nogami jak zawodowcy. Wielki Przełyk wyprzedzał kolegów o trzy długości. Stałe ćwiczenia sztuki ratowania własnej skóry przydają się w niektórych momentach.

- Czy to był corvector? - powtórzył diabełek.

- Tak - odpowiedziałem. - To był on. Nastawiony nie na największą moc. Do turysty zabójca strzelał...

Zabójca!

Nagle przyszło mi do głowy, że od chwili strzału upłynęła dopiero minuta. Jeśli strzelec ma wystarczająco mocne nerwy i po strzale nie zażył ucieczki, to ciągle jeszcze jesteśmy ma celownika jego broni. Może właśnie naciska na spust?

- Ale armata! - odezwał się Drobny Bies. - Ech, żeby tak

zdobyć taką!

- Najpierw pomyśl sobie, że ta armata może palnąć jeszcze raz - powiedziałem, pośpiesznie rozglądając się.

- Chcesz powiedzieć... O!

Oczy Drobneho Biesa zrobiły się wielkie jak księżyce. Chyba dopiero teraz dotarło do niego, co powiedziałem.

- Skąd mógł strzelać? - zapytałem, wymacawszy w kieszeni rękojęść pistoletu.

- A skąd mam wiedzieć? - odparł rozglądając się nie mniej nerwowo. - Może z dachu tego domu?

Rzeczywiście, dwie przecznice od nas stał piętrowy budynek, dość niezwykły widok w cyberze - w miejscu, gdzie z łatwością buduje się domy większe wewnątrz niż na zewnątrz mało kto bawi się w stawianie piętra.

A tu stał budynek, jakby specjalnie postawiony po to, by można było wygodnie walić do prywatnych detektywów.

- Co w nim jest? - zapytałem, wyciągając w końcu z kieszeni pistolet.

- A, to jednego zwariowanego bogacza - chętnie odpowiedział diabełek. - Jakiś czas temu przeprowadził kilka drobnych loterii w całym cyberze, wzbogacił się i trochę z tego powodu ześwirował.

- Myślisz, że zabójca jest na tamtym dachu?

- A niby skąd by jeszcze mógł strzelać?

Rzeczywiście, wykreśliwszy w umyśle trajektorię kuli, doszedłem do wniosku, że zabójca spokojnie mógł strzelać właśnie stamtąd. Zresztą, w świecie cyberów ogniste kule mogą lecieć nie tylko po prostej.

- Może byśmy spróbowali go schwytać? - zaproponował diabełek.

- Raczej dawno już dał w długą - powiedziałem. - Tylko

idiota zdecyduje się na drugi strzał z tej odległości, i to do ruchomych celów. Pamiętaj, że strzelił tylko dlatego, że jak głupi stałem nieruchomo pod ścianą.

Gdy tylko to powiedziałem zza krawędzi dachu piętusa wyleciała druga kula. Tym razem miała kolor niebieski i leciała nie po prostej, a miotając się na boki, jakby niuchała niczym gończy na tropie zająca.

Qj-joj-joj!

- A to co? - zapytał Drobny Bies.

- Wiej, i to jak najszybciej! - wrzasnąłem. - Bliskie kontakty z takimi bajerami źle wpływają na całość organizmu.

Zareagował wspaniale - zamiast zadawać mi pytania, a potem z głupim wyrazem twarzy znieruchomieć na środku ulicy, diabełek błyskawicznie odwrócił się i pomknął przed siebie. Taki refleks musiał wzbudzić szacunek.

Odruchowo odnotowałem, że przewodnik trafił mi się rzeczywiście niezły, potem zerknąłem na zbliżającą się kulę. Za jakieś trzy sekundy najdzie się obok mnie, a wtedy... Może by tak zająć się własną osobą? Teoretycznie powinienem runąć do ucieczki, ale - jak mi się wydawało - to właśnie ułatwi sprawę kierującemu kulą zabójcy. Zamiast więc uciekać, uniosłem pistolet i wycelowałem w kulę. Zdążę nacisnąć spust pięć razy. Może trafię? W zasadzie sprawę powinien załatwić jeden celny strzał. A jeśli nie trafię ani razu, to powinienem zapłacić za taką indolencję.

Na chwilę kula zawisała w powietrzu, potem nagle gwałtownie zmieniła trajektorię ruchu i zaczęła wypisywać w powietrzu koła. A to coś nowego. O co jej chodzi?

Długo nie musiałem czekać. Na obwodzie kuli pojawiła się wąska krecha, rozszerzyła się i zmieniła w usta.

- Pogadamy? - zaproponowała kula krążąc.

- Dlaczego nie? - powiedziałem, nie zdejmując jej z muszki.
- Ale, zastrzegam, nie strzelamy póki rozmowa się nie skończy.

Dobiegający z kuli głos skrzypiał niczym nie nasmarowane zawiasy, i oczywiście, zawdzięczał to synteзаторowi. Zabójca nie był taki głupi, żeby dawać mi w przyszłości szansę rozpoznania go.

- Zgoda - powiedziałem, opuszczając lufę w dół.

Mogłem sobie na to pozwolić - gdyby ta zabawka przysunęła się przynajmniej o metr, to zdążyłbym podnieść broń i wypalić. No, może nie pięć razy, a cztery, ale zawsze. Mogę zrezygnować z jednego strzału dla rozmowy z kimś, kto przed chwilę usiłował mnie usmażyć, to dość ekwiwalentna wymiana, przynajmniej dla mnie. Może ktoś inny... Ale niech sobie ten ktoś postępuje jak mu się podoba, a ja po swojemu.

- Brawo - powiedziała kula znieruchomiawszy w powietrzu. - Podobasz mi się.

- A co mogę jeszcze zrobić? - prychnąłem. - Przecież właśnie po to tu przybyłem, żeby się podobać różnym zabójcom.

- Nie, ja poważnie - powiedziała kulka. - Dlatego proponuję, żebyś się wyniósł z tego cyberu po dobroci. Nie będę cię ścigał.

- Fajnie by było, ale mam kontrakty i muszę je wypełnić.
- Ile ci zapłacono schwytanie mnie?
- Wcale. Po prostu zaoszczędziłem na tobie sto infobucksów, opłatę za saver.

- No to się poszkapieś, wzięłeś za tanio.
- Może.
- A ile powinieneś dostać według drugiego zlecenia?
- Dwa tysiące infobucksów.
- Proponuję ci dwa razy tyle. Pod warunkiem, że natychmiast się stąd zmywasz.

- Nie - odpowiedziałem.
- Trafił mi się zdecydowany i pewny siebie prywatny detektyw? - sprecyzował zabójca.
- Po prostu nie chcę wkrótce skończyć w wykrocie. Prywatny przekupny detektyw długo się nie utrzyma w interesie.
- A jeśli podniosę cenę?
To zrobiło się interesujące.
- Pewnie ten turysta, którego załatwiłeś miał przy sobie cały swój majątek?

- Nie twoja sprawa. No to co mi odpowiesz?

- Oczywiście, że nie.

Kulka odetchnęła z ulgą:

- No to się zabawimy?
- Co masz na myśli?
- Urządzimy starą dobrą zabawę pod tytułem „Kto kogo”?
- A może zaproponujesz inny wariant?
- Nie. Szczerze mówiąc, na ten właśnie liczyłem.
- No to świetnie - odparłem. - Może czas zacząć?
- Czas. Przygotuj się - atakuję.

Zanim kulka runęła w moim kierunku uniosłem pistolet. Ledwo-ledwo zdążyłem, ale zdążyłem. Nie musiałem strzelać pięć razy, trafiłem ją za czwartym strzałem. Huknęło tak, że gdybym się znajdował w cyberze ludzi sfiksowanych na punkcie naturalności, szkła w większości domów sypnęłyby na wszystkie strony. Ale do chińskiego cyberu ta moda jeszcze nie dotarła, a może i nie dotrze nigdy. Właśnie dlatego szyby w oknach zostały całe, i nie ucierpiał nikt z tubylców. Szczególnie, że gdy tylko eksplodowała pierwsza kula wszyscy zmyli się z ulic.

A poza tym nie miałem czasu myśleć o aborygenach - ile sił darłem w kierunku tego piętrowego budynku. Ogniste kulki

corvector może wywalać z siebie nawet seriami, ale żeby stworzyć niebieską i jeszcze utrzymać ją przez pewien czas potrzebna jest masa energii. Zgodnie z moimi obliczeniami corvector nie odtworzy jej tyle, by huknąć najzwyczajszym pociskiem w przeciągu najbliższych dwóch minut, co najmniej.

Właśnie dlatego pędziłem jak kot z przypalonym ogonem. Szkoda mi było każdej straconej sekundy, ponieważ musiałem, po prostu musiałem, w ciągu tych dwu minut dopaść domu, jakoś przedostać się na jego dach i capnąć zabójcę. Jeśli fortuna nie pokaże mi niechętnych pleców, to powinno mi czasu wystarczyć na styk.

I tak się stało - starczyło.

Domek stał na skrzyżowaniu, gdy ominąłem jego róg okazało się, że na jego dach prowadzi metalowa drabina. Tego właśnie oczekiwałem. Jak inaczej zabójca przedostałby się na dach? Niczym wiewiórka wdrapałem się na dach, przewaliłem się przez krawędź dachu, przeturlałem w bok, zgodnie z zaleceniami wszystkich podręczników, i dźgając pistoletem we wszystkie strony ryknąłem:

- Rzucaj, gadzino pokrętna, broń, bo ci zrobię kołnierz z mózgu!

Akurat!

Dach był pusty, żeby się o tym przekonać nie potrzebowałem wiele czasu. Nie zdobyłem niczego prócz dobrego punktu obserwacyjnego. Przyjrzałem się z dachu najbliższym uliczkom i przekonałem się, że są puste, o ile nie liczyć Drobneho Biesa, który wesoło sobie dreptał w kierunku budynku, na dachu którego się znajdowałem.

Koniec. Kropka. Nikogusieńko więcej. Zero.

Widocznie mieszkańcy cyberu przyswoili sobie odruch: strzelają, to kryj się w budynku. Bez tego pewnie wystrzelaliby

siebie jak muchy. Usiadłem na skraju dachu, zwiesiłem nogi na zewnątrz i zacząłem szukać papierosa. Oczywiście - nic z tego nie wyszło, ponieważ papierosów tam nie było.

Tak więc nie zostało mi nic innego, jak dokonać przynajmniej jakiegoś podsumowania. Miałem za przeciwnika kogoś, kogo nie należało lekceważyć: podczas, gdy ja prowadziłem głupią i niechlubną rozmowę, by zmarnować maksymalnie dużo czasu na załadowanie jego broni, on nie marnował czasu. Ponieważ niebieska kula została już wystrzelona, to zabójca mógł sobie spokojnie ze mną rozmawiać i obserwować każdy mój ruch, a przy tym spokojnie zejść z dachu i ruszyć byle dalej stąd. A ja, wyobrażając sobie, że jestem strasznie sprytny, w rzeczywistości grałem do własnej bramki.

Jeśli zaś nie tak to się odbyło, to nie pozostawało mi nic innego, jak przyjąć, że mam do czynienia z kimś po prostu piekielnie szybkim. Jako jeden z wariantów można było przyjąć i taką wersję, ale tylko jako wariant. Wydawało mi się, że propozycja mojego przeciwnika i cała rozmowa przy pomocy niebieskiej kulki były tylko grą na zwłokę. Czyli jednak mam do czynienia ze spryciarzem.

Hm... Spryciarz. I pierwsza runda skończyła się remisem. Mogło być nawet gorzej. A właśnie - siedząc tak sobie na dachu niepotrzebnie ryzykuję. Może facet walnie we mnie jeszcze jedną kuleczką? Nie pora aby zejść na ziemię?

Zszedłem.

Drobny Bies już dreptał w miejscu i od razu zapytał:

- Zabiłeś go?
- Nie - odpowiedziałem.
- Jak mu się udało uciec?
- To długa opowieść - rzuciłem. - Może byśmy poszukali miejsca, gdzie moglibyśmy coś przekąsić i kupić fajki?

- Dobra. - Oczy diabełka rozjaśniły się blaskiem. - Ale pamiętaj, klient ma obowiązek żywienia swojego przewodnika.

- Zgoda - powiedziałem. - Ale zaprowadź mnie do takiego lokalu, gdzie sprzedają jedzenie i papierosy nie tutejszej produkcji. Są tu takowe?

- Oczywiście, że są - radośnie wykrzyknął Drobny Bies, w jednej chwili zrozumiał, że w tym przypadku i jego czeka obiad nie miejscowej produkcji.

Taki lokalik znalazł się nieopodal, pięć przecznic stąd. Po drodze diabełek dosłownie zarzucił mnie pytaniami, a ja opowiedziałem mu, w jaki sposób zabójcy udało się zwiać.

- No, nic to - pocieszał mnie Drobny Bies, kiedy ulokowaliśmy się przy stoliku restauracji „Gościnną Zmora”. - Teraz to on już się od ciebie nie odczepi.

- Na to wygląda - zgodziłem się.

- To i dobrze. Nie musisz go szukać. Po prostu, kiedy zaatakuje cię następnym razem, wykażesz się większym sprytem i zgarniesz chłoptasia.

Prychnąłem sceptycznie. Pewnie. Nic więcej - wykazać i zgarnąć... Gdyby to było takie łatwe. Inna sprawa, że jakiś racjonalny element w paplaniu Drobego Biesa jest. Gdyby całe to gadanie o zabawie z tym typkiem było tylko gadaniem dla zabicia czasu, to naprawdę mógłbym się nie miotać. To on mnie znajdzie. Ale czy nie dowiem się o tym za późno, kiedy będzie już blisko?

Dobra, zaczną bić, będę płakać. Na razie trzeba przemyśleć rozmowę z zabójcą. Można przyjąć, że wdał się w dyskusję nie tylko po to, żeby zyskać na czasie, a w takim razie... Do naszego stolika podeszła kelnerka, zamówiłem obiad dla siebie i Drobego Biesa i poprosiłem o paczkę papierosów. Nie minęła nawet minuta, jak nasz stolik był już nakryty. Diabełek bez

namawiania zabrał się do pałaszowania, a ja najpierw otworzyłem paczkę i zapaliłem.

No, tak lepiej. Teraz mogę zastanawiać się nad naszą z zabójcą rozmową. Bo jeśli nawet przyjąć, że po prostu plótł sobie, co mu ślina na język przyniosła, to z tej rozmowy też można coś dla siebie odcedzić. Weźmy, na przykład, pieniądze... Zaproponował mi kwotę dwukrotnie przewyższającą tę, którą gwarantował mi kontrakt z Shetterem. Jeśli zabójca składał poważną propozycję, to skąd wziął tę mamonę? Ach, przecież wcześniej zabił i obrabował wizytanta!

Ale ileż mógł mieć przy sobie gotówki ten biedak? Raczej nie nosił w kieszeniach czterech tysięcy infobucksów. Ale dobrze, niech będzie, że zabity miał tyle pieniędzy, a nawet trochę więcej. To i tak nie wyjaśnia, dlaczego zbój proponował większą ich część mnie?

Gdyby chciał po prostu kupić sobie spokój... Nie, to bez sensu. Kupuje sobie co najwyżej trochę wytchnienia. Wkrótce może się tu pojawić nowy prywatny detektyw, wysłany jego tropem. To co, od tego też ma się wykupić? Takie pieniądze za dzień na odsapnięcie? Może ten dzień jest mu potrzebny jak tlen? Ale po co? Może rzeczywiście podłapał jakąś niesamowitą transakcję? Ale jaką? Ile szmalu? Czy wybierając się do chińskiego cyberu wziął ze sobą walizkę gotówki? Po co?

Ale... ale!.. Po co walizka? Zabity na pewno miał kartę kredytową, a na koncie mogła leżeć przyzwoita sumka. Jeśli tylko zabójca potrafił zhakować kod tej karty... Nie, ponosi mnie fantazja - zhakować kod karty kredytowej! Nie każdy to potrafi. Jednakowoż ten cwaniak zdołał przeniknąć przez ścianę, nie uruchamiając systemu powiadamiania...

- Dlaczego nie jesz? - zapytał Drobny Bies. - Nie marnuj czasu.

Pewnie, należało coś wrzucić na ruszt. Cisnąłem niedopałek do popielniczki i zabrałem się za jedzenie.

- Nie powinno się podczas jedzenia myśleć - instruował mnie Drobny Bies. - To przeszkadza w rozkoszowaniu się naprawdę dobrze przygotowanym pożywieniem.

- Jeśli nie będziesz myślał - burknąłem - to nigdy nie zapracujesz na naprawdę dobrze przygotowane jedzenie.

- A co to ma do rzeczy? - zaoponował diabełek. - Myślisz, czy nie myślisz, jak nie masz fartu, to samo myślenie nic ci nie pomoże. A jeśli fortuna ci sprzyja, to nikt nie da ci rady.

- A co z przysłowiem, że cierpliwością i pracą ludzie się bogacą?

- Daj se luzu z takimi gadkami. Wymyślili to pechowcy, żeby się jakoś pocieszyć.

- Fajnie - powiedziałem, celując widelcem w jeden z kawałeczków mięsa. - Dam ci jednak przykład...

- No?.. - sceptycznie skrzywił się Drobny Bies.

- Jesz dobry posiłek?

- No masz!

- Zapracowałeś nań wytrwałą pracą, kiedy zdobywałeś kwalifikacje przewodnika, a potem godzinami wyczekiwałeś na klienta. Podążałeś do określonego celu, i oto w końcu cierpliwość i praca dały wyniki. Spotkałeś mnie, a ja poczęstowałem cię obiadem. Gdzie tu jest uśmiech fortuny?

- Rozumiesz jak dziecko - wesoło odparł Drobny Bies. - Wszystkie moje wysiłki i upór można by było wsadzić psu pod ogon, gdybym nie znalazł się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. Jak więc pojmujesz, wszystko zależy od fartu.

- Nie zgadzam się - rzekłem. - Gdybym ja ci się nie napatoczył, to może jutro zahaczyłbyś jakiegoś bardzo, ale to bardzo

bogatego klienta, który za nieocenioną pomoc zasypałby się pieniędzmi.

- Myślisz, że hojni klienci trafiają się często? - zapytał diabełek. - W życiu. Od wszystkich tych bogaczy, co się tu pojawiają w celach specyficznie rozrywkowych nie dostaniesz nigdy ani jednego banknotu ponad taryfę. O nie, ci wujkowie wiedzą ile kosztują pieniądze i dlatego niechętnie się ich pozbywają.

To było nawet dość zabawne.

- A ile, jak sądzisz, biorą gotówki tacy bogacze, kiedy przybywają do waszego cyberu? - zapytałem.

- Skąd mam wiedzieć? - wzruszył ramionami Drobny Bies. - Raczej niewiele. Po co im duże kwoty? Żeby kusily bandytów? Nie, system jest wypracowany i sprawdzony - pieniądze za usługi, sam wiesz jakie, płaci się z góry. Właśnie dlatego bogacze przybywając tu posiadają już savera. Sam więc widzisz, że gotówka nie jest im tutaj potrzebna. Może mają w kieszeniach pięćset infobucksów, może tysiąc, ale i to mało kto.

Pokiwałem głową.

Naprawdę zabawne. Skąd w takim razie te niesamowite sumy, jakimi kusił mnie zabójca? Czy po prostu bluffował? O, to jest temat do zastanowienia. I czas by kończyć ten posiłek. Ten ostatni wniosek przyszedł mi do głowy, gdy zobaczyłem, że Drobny Bies wyczyścił swoje talerze i łakomie wpatruje się w moje.

Kończąc posiłek spróbowałem dokonać podsumowania wiedzy o swoim przeciwniku.

Przede wszystkim kim jest? Wizytant czy tułaczy program? Właściwie - powinien być tułaczym programem. Turyści są tu zjawiskiem raczej rzadkim. Z drugiej strony nie jest trudno odróżnić turystę od tułaczego programu. A to znaczy, że gdyby

zabójca był turystą, to już dawno powinni - po prostu musieliby - znaleźć go pomocnicy starosty.

Oczywiście, mógł zmienić swoją maskę, wleźć w nowy kokon. Kiedy pół roku temu byłem bohaterem epopei, której celem było ratowanie własnego ciała, byli tacy, którzy umożliwili mi skorzystanie z takiej możliwości. Ale nie jest łatwo zdobyć urządzenie do zmiany kokonu, zmienia ono tylko rysy twarzy, a i to nieznacznie. Nie da się przemienić turysty w tułaczy program. Tak więc nie pozostaje nic innego, jak uznać, że zabójca jest tułaczym programem. Ale i tu jest pewien haczyk.

Gdzie tułaczy program mógł zdobyć corvector? Nawet dla prawdziwego turysty to wielki problem. Może to zrobić ktoś w typie Serge'a, ale nie tułaczy program. Dalej, ten tułaczy program jakimś cudem potrafi przechodzić przez ściany, nie wzbudzając systemów alarmowych. I - na koniec - można założyć, że ten tułaczy program potrafił w jakiś sposób znakować kod karty kredytowej zabitego wizytanta. A jeśli pamiętamy, że to jest jeszcze trudniejsze niż zdobycie corvectora, to nie czy nie za dużo wiedzy siedzi w tym tułaczym programie ze zwyczajnego chińskiego cyberu?

Tylko czy z chińskiego cyberu? Może za dużo w ogóle zbiegów okoliczności? Pewien krezus wynajmuje mnie, prywatnego detektywa, w celu odnalezienia zaginionego turysty Lanny'ego Worda. Zniknął on, zdaniem Shettera, trzy dni temu. Przy tym ani kim jest ten Lanny Word, ani czym się zajmuje i jakie ma możliwości, zleceniodawca nie mówi.

Dalej zaczyna się już coś zupełnie zabawnego. Gdy tylko zjawiam się w chińskim cyberze okazuje się, że ktoś zabił turystę, przy tym w dość skomplikowany sposób, wymagający od przestępcy sporej wiedzy i zręczności. Potem zabójca, jakimś cudem dowiedziawszy się, że obiecałem go ująć, urządza

polowanie na mnie. I to jakie! Znakomicie zaplanowane, z przewidująco zaplanowanymi drogami ucieczki.

Wszystko mu wychodzi. Cudem nie zabił mnie, ale zdołał zwać, zagrawszy mi na nosie. Czy nie za bardzo zawodowo działa ów zabójca? Nie za bardzo jest przebiegły jak na kogoś zrodzonego w chińskim cyberze?

Och, żebyś ty, życie miało nóżki...

Odsunąłem pusty talerz na bok, pociągnąłem serdecznie z kufła i zapaliłem nowego papierosa. Tak więc, mamy do czynienia z przestępcą, który nijak nie może być turystą, ale działa tak, że nie każdy wizytant by tak mógł. Dokładniej rzecz ujmując - mało który turysta mógłby wykonać nawet jedną ze sztuczek, jakich dokonuje ten program. Może ten Lanny Word jest zdolnym twórcą? Może nie dogadał się z Shetterem, o coś się pożarli. A ten, bogaty i ustosunkowany, postanowił dać mu nauczkę. Co więc robi Lanny? Ukrywa się w chińskim cyberze i dobrze wiedząc, że Shetter pośle kogoś jego tropem, wykonuje bardzo dobry, nawet genialny program, wyposażony w pewne specyficzne właściwości.

W wyniku tego Lanny Word siedzi sobie w jakimś ukryciu i ma wszystko w nosie. A jego program szaleje na całego. Potrzebne są pieniądze - proszę bardzo. Pojawił się prześladowca, jakiś tam prywatny detektyw - no to spróbował go załatwić. Do licha, naprawdę mi się to podoba. Prawdziwy twórca to niejaki tam kukaracza. Twórca jak już coś robi, to robi. Dla prawdziwego twórcy zdobycie corvectora dla swojego programu, wyposażenie go w umiejętność przenikania przez ściany bez wszczynania alarmu, albo łamania kodu karty kredytowej nie jest co prawda betką, ale leży w zasięgu możliwości.

- Może się zabierzemy do roboty? - zaproponował Drobny

Bies.

- Jeszcze chwila - powiedziałem, strząsając popiół. - Daj mi pomyśleć.

- No to przynajmniej zamów dla mnie kufel piwa - jęknął diabełek.

Nie miałem na to czasu. Musiałem się skoncentrować. Wyglądało, że po raz pierwszy od chwili kiedy wpakowałem się w tę sprawę, w otaczającej mnie mgłę zamajaczył jakiś prześwit. W milczeniu podsunąłem diabełkowi własny, nie ruszony kufel i pogрузyłem się znowu w rozmyślaniach.

Tak więc - to muszą być sztuczki twórcy. Założenie, że jest nim Lanny Word wyjaśnia niemal wszystko. I jest cholernie wygodne dla mnie. Jeśli Word jest twórcą, to, dobierając się do niego załatwiam obie swoje misje. Starosta otrzyma swojego zabójcę, a Shetter przy mojej pomocy znajdzie zaginionego turystę.

A czy nie za łatwo się wszystko wyjaśniło, czy nie za bardzo leży mi ta teoryjka? Twórcy to ludzie szczególnie, klasa uprzywilejowana. Kukaraczy dokoła mamy do obrzygania, a twórców jest mało. Hołubi się ich, pieści, głaszczce. Na nich opiera się świat cyberów. Co miałyby zrobić Lanny Word, by być zmuszonym do ukrywania się w chińskim cyberze, niczym ścigany zając? W jaką aferę się wplątał? A czy ja nie wpakowałem się w aferę, zgadzając na propozycję Shettera? Co on robi, kiedy znajdę Worda? Zapłaci mi drugą połowę honorarium? A może ukatrupi mnie na miejscu? Nie tylko po to, by zaoszczędzić tyśiąć infobucksów, a przede wszystkim, by zachować tajemnicę.

No to kto będzie się dopytywał, gdzie zniknąłem? Kogo interesuje mój los? Może Glorię? Ale ta jest zajęta jakimiś swoimi sprawami i zupełnie nie podejrzewa gdzie i po co się wybrałem.

- Na jeszcze jeden kufelek dla mnie nie starczy, co? - jęknął Drobny Bies.

Chciałem go zbesztać, ale powstrzymałem się. Nie ma co dalej pocić mózgu. Mam dość zgrabną i prawdopodobną teorię. Zamiast wróżyć i domniemywać, jak się ta historia skończy, należy się przekonać, czy to, co sobie umyśliłem nie jest zwyczajną projekcją marzeń. Zatem przyjdzie mi jeszcze trochę się nachodzić, oj przyjdzie.

A potem, kiedy wszystko skończy się szczęśliwie, zanim wezwę Shettera, będę musiał wszystko przemyśleć i zabezpieczyć się jakoś dla własnego bezpieczeństwa. Ale to potem. Najpierw muszę ocaleć, jakoś załatwić stworzony przez Worda tułaczy program, a jeszcze później znaleźć tę norę, w jakiej przycupnął twórca.

Nie takie to wszystko łatwe. A Drobny Bies, jak się okazuje, miewa rację, jak choćby teraz, kiedy mówi, że szkoda czasu na myślenie. Czas wziąć się do roboty. Do czynu.

11.

Zapłaciłem i - ku wielkiemu rozczarowaniu diabełka, który chciał jeszcze wycyganąć jeden kufelek piwa - wyszliśmy z restauracji.

Zatem - działamy. Tylko... Uświadomiłem sobie, że nadal nie wymyśliłem jak mam zacząć działać. Gdzieś w tym cyberze ukrywa się twórca. Gdzieś w tym cyberze, może tuż obok, chodzi sobie świetnie uzbrojony, wyposażony w znakomity refleks i kupę sprytu tułaczy program. Co powinienem zrobić w pierwszej kolejności, żeby wykryć twórcę i zneutralizować tułaczy program?

Czekać aż ten znowu na mnie napadnie i wtedy go załatwić? A jeśli to się nie stanie najbliższym czasie? Jeśli po pierwszym ataku program uzna, że cel został osiągnięty: przeciwnik wystraszony, gdziekolwiek pójdzie będzie oczekiwał ataku, będzie przesadnie ostrożny, co oznacza, że nie będzie działał efektywnie. Czy warto więc go zabijać? Po co? Po to, by na jego miejsce pojawił się nowy detektyw, może efektywniejszy i bardziej doświadczony wojownik?

- Dokąd idziemy? - zainteresował się Drobny Bies.

Rzuciłem mu niemal złe spojrzenie. Ten też mnie zaczyna wkurzać... Ale jego pytanie i moja reakcja zrodziły pewien ciekawy pomysł - może warto by było rozgryźć tę historię od początku? Twórca pojawił się w cyberze mniej więcej trzy dni temu. Jeśli nie przybył z wielkiego świata, a z jakiegoś innego cyberu, to można przyjąć, że skorzystał z tego samego portalu, co i ja. A to oznacza...

- Patrz - powiedział Drobny Bies, szarpiąc mnie za rękaw. -

Sługa starosty. Chyba nas szuka. Coś się musiało stać.

Rzeczywiście - pomocnik był blisko i wyraźnie kierował się do nas. Może dowiem się czegoś naprawdę ciekawego, a może starosta wysłał tylko swego pomagiera, by się dowiedział, czy nie mamy jakichś nowin. Może powinienem udać się do starosty i zreferować mu wyniki swoich przemyśleń? Powinien pojąć, że obecność w cyberze twórcy oraz tułaczego programu, mającego zwyczaj korzystania z broni w celu rozwiązywania swoich problemów, nie wróży niczego dobrego.

Całkiem jednak możliwe, że nie warto. Mam tylko hipotezy, i żadnych dowodów. Kto wie, może się mylę i wszystkie te obawy są niczym innym jak owocem mojej bujnej fantazji?

- Starosta kazał, byś natychmiast przybył do niego. Odprowadzę was tam, gdzie się w tej chwili znajduje.

Oho, już się zaczęły rozkazy? Popatrzyłem badawczo w oczy pomocnikowi. Z równym skutkiem mógłbym przeszywać wzrokiem marmurowy posąg. Oczy pomocnika były, jak należało się spodziewać, nieruchome i nie miały w sobie za grosz wyrazu.

- Musimy iść - powiedział Drobny Bies, chyba domyślając się o czym myślę. - Nie warto psuć sobie z nim stosunków, może nam bardzo zaszkodzić.

Prychnąłem. Ma, oczywiście, rację. Sprzeczką ze starostą zupełnie mi się nie przyda. Ale „kazał”?

- Starosta powiedział, że musi pokazać ci coś, co ma związek ze sprawą, jaką się w tej chwili zajmujesz.

- Dobrą, prowadź mnie, Susaninie - powiedziałem. - Ale pamiętaj, że nie jestem polskim oficerem. ¹

¹ Iwan Susanin, bohater wojny z polskimi interwentami na pocz. XVII w. Zmuszony do prowadzenia polskiego oddziału do wioski, gdzie znajdował się car, Susanin umyślnie wpro-

wadził oddział w bagna, za co został zabity.

- Jesteś prywatnym detektywem - równym głosem skwitował moje słowa pomocnik. - Starosta powiedział, że jeśli będziesz mówił coś, czego nie będziemy rozumieć, mamy nie zwracać na to uwagi.

No i rzucaj tu, człowieku, perły swego dowcipu przed rozmówców! Co prawda Drobnny Bies zachichotał. Lepsza taka reakcja niż żadna...

Najpierw szliśmy po dość szerokiej, może jednej z głównych, ulicy cyberu. Maszerując za pomocnikiem starosty, nie żałowałem sobie i gapiłem się na miejscowych ile mogłem. Gapie, oszuści, śpieszące się dokądś z zaaferowanymi minami wyraźnie lepiej wykonane programy, może miejscowi biznesmeni... Kilka razy natknęliśmy się na niewielkie oddziały bandytów. Widząc płytkę bezpieczeństwa tracili zainteresowanie moją osobą. Potem skręciliśmy w węższą i mniej ludną uliczkę. Budynki przy niej stojące, nie były tak nadzarte negatywnym infopolem, widocznie przy niej mieszkali ci, którym fortuna sprzyjała częściej niż pozostałym.

Patrząc na te budowle, na których nawet gdzieś tam zachowały się plamy kolorów, pomyślałem nagle, że przecież to nic więcej jak tylko fikcja. Domy, programy rozmawiające ze sobą, wykonujące jakieś czynności, to nic innego jak złuda, miraż, blichtr. Wszystko to być może wcale nie istnieje. Właściwie - inaczej, wszystko to istnieje, ale jest nie tym, na co wygląda.

Przecież my, ludzie, wypełniliśmy cybery odciskami swojego świata, przenieśliśmy tu kopie domów, ulic, nieba nad głową a nawet Słońca. My zasiedliliśmy ten świat istotami myślącymi, które wyglądają tak, jak nam się wydawało, że powinny wyglądać. Innymi słowy - usiłowaliśmy je stworzyć na

wzór i podobieństwo swoje. Wygląda, że się nam udało. Nawet sztucznie stworzone słońce porusza się po sztucznym niebie, a stworzone przez nas istoty myślące, wzorując się na nas, kłócą się, smucą, usiłują przeżyć, i - rzecz jasna - zarabiają pieniądze.

Być może wszystko to zostało stworzone tylko po to, by zaspokoić tkwiącą gdzieś na dnie duszy, niemal nie uświadamianą potrzebę stania się Bogiem. Kto by nie chciał... W końcu - kto może stworzyć cały świat na obraz i podobieństwo swoje, jak nie Bóg?

Tylko, czy aby nie mamy zbyt wielkiego mniemania o sobie? Nie za wcześnie mierzymy się z bogami? Mamy spore możliwości, ale czy wystarczają one by stać się nimi, by usiłować kreować światy, nie ryzykując, że wychodzi z tego zupełnie nie to, co chciało się stworzyć?

Czy mieliśmy prawo tworzyć światy cyberów takimi, jakimi nam się podobało, i czy nie spotka nas za to nieuchronna kara? Czy nie otrzymaliśmy świata, tylko zewnętrznie przypominającego ten, który chcieliśmy mieć, a tak naprawdę będącym zupełnie czymś innym, całkowicie obcym i niezrozumiałym? Jak się one będą rozwijać? W co przekształcą? Czy nie stanemy się w tym świecie tak obcy, że wyrzuci nas kiedyś na zewnątrz, pozbawi do siebie dostępu?

Nie, oczywiście, istnieje stara dobra droga rozwoju. Jeśli świat się zmienia, należy się do niego przystosowywać. Tylko pytanie - czy przystosowując się do cyberów pozostaniemy ludźmi? Czy twór nie pożre stworzyciela?

A może to już się dokonuje? Może właśnie ci turyści, którzy przybywają tu w interesach albo po prostu zrelaksować się w świecie cyberów, już zaczęli się przepoczwarzać, już nie są ludźmi w każdym calu?

Potrząsnąłem głową.

Nie, tego mi w tej chwili nie potrzeba. Nie powinienem myśleć o losach świata cyberów. Szczególnie teraz, zwłaszcza w tej sytuacji. Powinienem się martwić, jak przeżyć i otrzymać obiecane wynagrodzenie. Już to będzie sukcesem. A świat cyberów... Cóż, pożyjemy-zobaczymy. W końcu, to już jakby nie moje zmartwienie, bo kto jak kto, ale ja na pewno człowiekiem już nie jestem. Nie mam swojego ciała, więc jestem w tym świecie zamknięty na wieki. Cokolwiek z tym światem się stanie, ja tego nie uniknę. Jaki więc sens ma wróżenie z fusów i ustalanie jakichś planów? Trzeba walczyć o istnienie, wyżyć i przystosować się. A potem... Niech się dzieje co chce.

- On nas prowadzi nie tam, gdzie trzeba - powiedział Drobny Bies. - Hej, kolego, nie pomyliłeś się aby?

Nie odwracając głowy pomocnik starosty odparł:

- Idziemy tam, gdzie jest starosta.

Oderwałem się od swych myśli i rozejrzałem w pośpiechu. Szliśmy po innej już ulicy, i - mimo że wcale nie znałem dobrze tego cyberu - to już pierwszy rzut oka wystarczył by się zorientować, że kierujemy się wszędzie tylko nie do rezydencji starosty.

- A gdzie on jest? - zapytał diabełek.

- W labiryncie - odparł przewodnik.

- W labiryncie? Co on tam zgubił?

- Wszystko się na miejscu wyjaśni.

Oho, wyglądało, że coś się naprawdę stało. Nie sądziłem, by w zwyczajach starosty, niechby i chińskiego cyberu, leżało szlajanie się po labiryntach. O ile, rzecz jasna, nie wydarzyło się coś ekstraordinaryjnego. Pomocnik skręcił w wąski zaułek, oczywiście - kończący się po pięćdziesięciu krokach znanymi mi już drzwiami. Wchodząc do tunelu pomyślałem, że takich wyjść na powierzchnię pewnie jest całe mnóstwo. Cał-

kiem też możliwe, że labirynt ma rozmiary umożliwiające przechodzenie z jednego krańca cyberu na drugi pod ziemią.

Kto go wymyślił? Po co go zbudowano? W cyberach nie powołuje się raczej do życia rzeczy zbędnych. Musi przynosić mieszkającym tu tułaczym programom jakieś korzyści. Jakie? Nie sądzę, by idący przed nami pomocnik starosty mógł dać odpowiedź na to pytanie. Ale Drobny Bies...

- Po co wam ten labirynt? - zapytałem diabełka.
- Nie domyślasz się? - zdziwił się ten.
- Nie. Więc po co?
- Na wypadek wielkiej czystki. Nie wiesz, jak się to odbywa?
- Nigdy nie widziałem.
- No to lepiej, żebyś nie widział. Zresztą, jesteś oficjalnym programem tułaczym. Ty się nie masz co bać wielkiej czystki.
- Ale co to jest? - nie ustępowałem.

Pojawiły się odnogi, niektóre, jak zauważyłem, prowadziły w dół. Może labirynt ma jeszcze jeden poziom? Może kilka poziomów?

- To się odbywa dość prosto - powiedział Drobny Bies. - Cała masa gliniarzy zamyka wszystkie oficjalne portale. Po czym rozwijają się w tyralierę i zaczynają ściśle według planu przeczesywać cyber. System jest prosty: każdy nieoficjalny program tułaczy powinien zostać skasowany. Każdy nie usankcjonowany budynek albo konstrukcja - też. Czasem wychodzi tak, że nieoficjalne, to znaczy kupione w podziemiu jest niebo i słońce. Zabierają je też, tylko, rzecz jasna, w ostatniej kolejności.

- A labirynt?
- Przy pomocy labiryntu można, nie pokazując się na oczy gliniarzom, przenieść się z jednej części cyberu do drugiej i

znaleźć za tyralierą, na tym obszarze, który jest już jakoby sprawdzony. Albo przeskoczyć do innego nieoficjalnego portalu i, o ile masz tam przyszykowane wcześniej sztuczne ciało, w ogóle bryknąć do wielkiego świata.

- Ale labirynt też jest nie usankcjonowaną budowlą?

- Zgadza się. Podczas naprawdę wielkiej czystki zostanie zniszczony. Ale nie cały od razu, prawda? Krótko mówiąc, labirynt podnosi szansę pozostania przy życiu przy tego typu inicjatywach glin. A w normalnych warunkach, o ile się w nim orientujesz, można przejść z jednej części cyberu do drugiej, nie pakując się nikomu w oczy. Tak nawiasem mówiąc, to mówi się, że w legalnych cyberach, też macie coś podobnego? To się nazywa kule reklamowe.

- Mamy - przyznałem. - Ale to trochę inna sprawa i nie w tym celu wykonana.

- A po co?

- Długo by opowiadać. Zasada jest taka, że nie wolno u nas wstawiać reklamy gdzie się komu podoba. Właśnie dla niej zostały wydzielone kule reklamowe. No i one kuszą, żeby być skuteczne, różnymi usługami, na przykład możliwością przenoszenia się z jednej kuli do drugiej. Można wejść do takiej kuli na jednym końcu cyberu i po kilku krokach znaleźć się w innej, na drugim końcu.

- Klawo! - powiedział Drobnny Bies. - Przydałoby się nam coś takiego. Ale kto by u nas stawiał takie kule reklamowe? Nikt na tym nie zarobi.

- Fakt - zgodziłem się. - A właśnie, jak wy się orientujecie w labiryncie?

- Nie mogę ci powiedzieć. To wielka tajemnica, pilnie strzeżona przed turystami.

- A ja dlaczego nie mogę wiedzieć?

- Jeśli każdy wizytant będzie wiedział, jak pokonać nasz labirynt, to może to zrobić sam, bez przewodnika. Rozumiesz, co mam na myśli? Poza tym - jesteś prywatnym detektywem. Kto wie, może od ciebie dowiedzą się gliniarze? Nie możemy do tego dopuścić.

Popatrzyłem nieco zdziwiony na Drobniego Biesa.

Proszę-proszę, niby przyjaciele, a jak co do czego, to każdy pali swoje. Chociaż, przyznajmy to otwarcie, diabełek ma jakąś rację. Kim ja dla niego jestem? Zwyczajny klient. A tajemnica szlaków w labiryncie to skarb całego cyberu. Kiedy tak sobie rozmyślałem, skręciliśmy w kolejne odgałęzienie, ponownie kończące się skrzyżowaniem. Na tym właśnie skrzyżowaniu zobaczyliśmy starostę. Obok niego stali trzej uzbrojeni w krótkie karabinki pomocnicy.

Nie widziałem u nich wcześniej takiej broni. Czym one tak naprawdę są? Fluxatory? Fyrnice? Struggery? Dobra, nie jest to takie ważne. Póki te bambetle nie wypalą nie dowiem się, co mogą.

Starosta stał do mnie plecami, zgarbiony i wpatrywał się w coś pod swoimi stopami.

Podeszliśmy i zatrzymaliśmy się o kilka kroków od niego. Drobny Bies trochę odsunął się ode mnie, jakby podkreślając w ten sposób, że jest tylko siłą najemną i jako taki nie zamierza się wtrącać do stosunków zleceniodawcy i zarządcy swego cyberu. Towarzyszący nam pomocnik zatrzymał się obok swoich towarzyszy i zamarł, jak ołowiany żołnierz. Nie pozostało mi nic innego, jak przybrać minę i postawę niezależną, choć nie wyzywającą. I czekać aż starosta raczy się odwrócić.

W końcu to uczynił. Jego oblicze nic nie wyrażało, to było oczywiste. Ale poruszał się starosta nieco szybciej, niż zazwyczaj, jakby w jego stawach pojawiły się sprężyny, zmuszające

go do wykonywania gwałtowniejszych ruchów. Sprężyny? Do ciała, jakie znowu sprężyny w tułaczym programie? Nie, to coś innego. Może ta gwałtowność ruchów jest oznaką stopnia rozdrażnienia? Nie ucieszył mnie ten wywód. Nie sądziłem, że usłyszę za chwilę komunikat o zniszczeniu przestępcy. Raczej coś mało dla mnie przyjemnego.

Starosta w tym czasie wpatrywał się we mnie, jakbym był jakimś rzadkim okazem motyla, a on - zawziętym entomologiem. Nagle pstryknął palcami i powiedział jakby do siebie:

- Nie. To nieprawda.

Milczeliśmy.

Pomocnicy starosty - dlatego, że w zakres ich obowiązków nie wchodziło zadawanie pytań. Drobny Bies uważał pewnie, że to, co się tu dzieje jego nie dotyczy. Ja zaś, ponieważ nie widziałem powodu do zadawania pytań. Przywódca cyberu miał ochotę coś powiedzieć, no to powiedział. Dlaczego miałbym reagować na każde jego słowo? Poza tym miałem takie odczucie, że za chwilę wszystko się wyjaśni.

Tak też się stało.

Wskazawszy palcem Drobniego Biesa starosta zapytał:

- Hej, zostawiałeś swojego klienta samego choćby na jakąś chwilę?

Diabełek błyskawicznie wyprężył się na baczność i cienkim głosem odpowiedział:

- Nie. Byłem z nim przez cały czas.

- Nie okłamujesz mnie? Może dostałeś pewną dodatkową kwotę? Pamiętaj, że jeśli klient dał ci pieniądze, to nie znaczy to jeszcze, że powinieneś bronić go nawet na szkodę rodzimego cyberu. Mów! Pamiętaj, że jeśli łżesz, to szkodzisz naszemu cyberowi.

- Nie - pisał Drobny Bies. - Przez cały czas znajdowałem

się z nim, prócz tej chwili, kiedy walczył z zabójcą turysty. Ale nie trwało to dłużej niż minutę.

- Gdzie to miało miejsce? - zapytał starosta.

- Na ulicy Dziękczynnych Pokłonów. Zabójca usiłował zastrzelić mojego klienta, a ten starał się trafić zabójcę. W sumie zabójcy udało się zbiec, a mojemu klientowi pozostać przy życiu. Kiedy klient rzucił się do zabójcy, straciłem go z oczu, ale zaraz potem zobaczyłem znowu.

Powiedziawszy to Drobny Bies opuścił głowę. Widocznie to, że stracił mnie z oczu, nawet na minutę, było w jego oczach przewinieniem.

- A przez resztę czasu byłeś z nim?

- Tak.

Miałem ochotę zrugać starostę i pójść sobie. Nie lubię, kiedy traktuje się mnie jak mebel i w mojej obecności prowadzi się rozmowy, których sedno nie bardzo do mnie dociera. Powstrzymała mnie tylko świadomość, że takie przesłuchanie urządził starosta zapewne w wyniku bardzo ważnych okoliczności. Prócz tego, miałem wyraźne odczucie, że wcześniej czy później przyjdzie i moja kolej odpowiadać na pytania.

- Co robiliście potem?

- Chodziliśmy po ulicach. Weszliśmy do restauracji i zjedli obiad. Potem znalazł nas twój pomocnik.

- To wszystko?

- Tak.

- Pamiętaj, że każę przepytąć wszystkich mieszkańców ulic, które przemierzaliście i jeśli mnie okłamałeś, to bez trudu to odkryję.

- Nie okłamuję cię. Wszystko było właśnie tak, jak powiedziałem.

Przez jakiś czas starosta wpatrywał się w diabełka, potem

przeniósł spojrzenie na mnie. Pomyślałem, że teraz wszystko się zacznie. Zaraz wszystko się wyjaśni. Ale starosta z niezrozumiałego mi powodu nie śpieszył się. Patrzył na mnie, jakby chciał mnie przejrzeć, przyskrzynieć, przyłapać na jakimś fałszywym ruchu, co podpowie mu, jak ze mną postąpić. W końcu wolno wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

- Daj no mi swój saver.

No, to mi się wcale nie spodobało, ponieważ nie zapowiadało niczego dobrego.

- Po co? - zapytałem.

- Daj mi swój saver.

- Nie dam - powiedziałem. - Póki nie dowiem się, do czego ci jest potrzebny.

Wyglądało, że starosta nie wykonał żadnego ruchu, ale zaraz po tym, jak wypowiedziałem te słowa, jego pomocnicy, jak na rozkaz, podnieśli swoje karabiny i wzięli mnie na muszkę.

Powinienem, według wszelkich prawideł westernów, wyszarpnąć swoją armatę, wykonać przewrót, jednym wystrzałem ściąć wszystkich pomocników, którzy, oczywiście, też będą do mnie grzali, ale też i pudłowali haniebnie. A potem, kiedy to się skończy, powinienem dźgnąć starostę lufą w pierś i sięgając do sformułowań typu, „ty stary capie”, zażądać wyjaśnień.

Nawet nie chciało mi się chcieć.

Miałem wyraziste przeczucie, że wystarczy mój jeden ruch w kierunku kieszeni z pistoletem, by pomocnicy zaczęli strzelać. Nie wiadomo dlaczego, ale nie wierzyłem, że spudłują. No i te ichnie armaty. W wąskim na trzy kroki korytarzyku, trzy lufy wystarczą by mnie sięgnąć, jakkolwiek bym się nie turlał czy uchylał, niech bym nawet biegał po suficie.

Ale nie uśmiechało mi się też oddawanie savera. Jeśli dobrze

rozumiałem, dla mieszkańców chińskiego cyberu był to tak mocny nakaz ochronny, że nawet starosta nie potrafił przełamać tego tabu. Oddając go pozbawiam się szans na ratunek.

- Dawaj płytkę - powiedział starosta. - Przysięgam, że jeśli jesteś tym, za kogo się podajesz, nie stanie ci się najmniejsza krzywda.

O, a to była kolejna zagadka. Nie miałem, niestety, czasu na zastanawianie się nad nią. Musiałem zdecydować - oddać płytkę, czy nie. A przecież nie poczuwałem się do żadnej winy. Ale kto wie, jakie prawa są stosowane w chińskim cyberze? Może, sam o tym nie wiedząc, popełniłem jakieś straszne przestępstwo, jednoznacznie i nieodwołalnie karane śmiercią?

Drobny Bies trącił mnie dłonią w bok i powiedział:

- Oddaj mu ten saver. On go tylko sprawdzi.

I oczywiście w tym samym momencie mój stary dobry przyjaciel - instynkt samozachowawczy natychmiast wyskoczył z kąta, w jakim siedział, pilnie przyglądając się wszystkim moim poczynaniom, i zaczął szeptać, że nie należy tego robić w żadnym wypadku. Jak więc mogę wierzyć Drobnemu Biesowi, pełniącemu przy mnie nie tylko rolę przewodnika, ale również obserwatora?

Zresztą, już zdecydowałem. Nie miały tu zastosowania ani odwaga, ani pogarda śmierci. Po prostu dotarło do mnie, że wyboru, tak naprawdę, nie mam. Niech będzie, że popełniłem jakiś przestępstwo, i że ta płytka mnie broni. Ale kto przeszkodzi staroście, jeśli zechce mnie przyskrzynić, wymyślić jakiś podstęp? A ja nawet nie mogę zwać z tego cyberu, bo moje zadanie jeszcze nie zostało wykonane. Prędzej czy później wpadnę w jakąś pułapkę starosty...

Do licha z tym, niech się zdecyduje raz i od razu. Chwyciłem za płytkę i usiłowałem ją odczepić od swej piersi. Oczywiście -

nie udało się.

Drobny Bies podpowiedział:

- Ściśnij krawędzie, wtedy się odczepi.

Postąpiłem zgodnie z jego radą i zrobiłem krok w kierunku starosty. W piersiach czułem nieprzyjemny chłodek, kiedy kładłem mu na dłoni swoją płytkę.

I nic się nie stało.

Starosta nadal stał nieruchomo. Saver leżał na jego dłoni. Pomocnicy celowali do mnie ze swych karabinków. Wszystko to mocno przypominało gabinet figur woskowych. A trwało minutę, nie krócej. Przy tym przez cały czas strasznie mnie korciło, żeby jakoś zadziałać, żeby tylko nie stać jak słup na polu i czekać na nieuchronne.

Potem starosta poruszył się. Miałem wrażenie, że odetchnął z ulgą, chociaż nie mógł tego zrobić, bo nie był wizytantem. Cokolwiek jednak się stało - stało się. Otrzymał jakiś wynik, wyprowadził jakiś wniosek. Zrozumiałem, że zaraz dowiem się, co oznaczają te dziwaczne manipulacje. Pomocnicy starosty jak na komendę opuścili karabiny. A sam przywódca cyberu podał mi płytkę i powiedział:

- Mówiłeś prawdę. To oryginał.

A Drobny Bies zatupał z radości kopytkami i wrzasnął ucieszony:

- A nie mówiłem?!

Ja zaś, zgadzając się z nim, zażądałem:

- Może mi w takim razie wyjaśnicie, co znaczy ten dziwaczny rytuał?

- Przede wszystkim muszę cię przeprosić za podejrzenia - powiedział starosta. - A dopiero potem wyjaśnię, co je wywołało.

- Co się więc stało? - zapytałem.

Zamiast odpowiedzi starosta lekko pochylił głowę i powiedział:

- Proszę mi wybaczyć te nieuzasadnione podejrzenia.

Westchnąłem. Dobrze, grajmy według ich reguł.

- Przyjmuję te przeprosiny i komunikuję, że nie żywię do ciebie urazy. Co zatem się dzieje?

- Patrz.

Starosta odsunął się z widoku i zobaczyłem to, co do tej chwili kryło się za jego plecami.

Właściwie, to wcale mnie to nie zaskoczyło. Na podłodze, o kilka kroków od nas leżały zwłoki. Od pierwszego spojrzenia można było określić, jakiej broni użył zabójca, chociażby na podstawie tego, że zwłoki były właściwie czymś w rodzaju plamy po szarej farbie, mającej kształt ludzkiego ciała.

- Wizytant? - zapytałem.

- Nie - odparł starosta.

- No to o co chodzi? Co się tu dzieje?

- Masz przyrząd. Zobacz, kto to był.

Pokiwałem głową. Och, te tułacze programy. Nie potrafią gadać po ludzku! Ciągłe jakieś tajemnice i sekrety.

Przymocowałem saver do piersi, wyjąłem z kieszeni uniwersalny diagnoster. Teraz wystarczyło tylko podejść do plamy i wykonać test. Wynik wskazywał, że ofiarą był pomocnik starosty. Dokładnie taki sam jak ci, co jeszcze chwilę temu mierzyli do mnie z karabinów.

- Rozumiesz teraz? - zapytał starosta.

Wzruszyłem ramionami. Co tu rozumieć? Nasz zabójca nie lubi siedzieć bezczynnie. Nie udało się załatwić prywatnego detektywa. No to co? Szedł tak długo aż trafił na pierwszego lepszego pomocnika starosty. Może, zresztą, nie tak to się odbyło? Pomocnicy starosty przecież też tropią zabójcę. Może

akurat trafił na niego. A ten, niewiele myśląc, uruchomił corvector. Nic w tym niezwykłego.

- W takim razie może zainteresuje cię fakt, że pomocników było dwóch. Jednego zabójca załatwił i zwiął. A ten drugi, który ocalał, powiedział, że to byłeś ty.

- Ja?

Wreszcie starosta osiągnął zamierzony efekt.

- Tak, ty. Identyczny co do najmniejszej kreseczki kokonu. Nawet miałeś płytkę na piersi. Rozumiesz teraz?

No, teraz to już co nieco rozumiałem. I powitanie starosty stało się zrozumiałe, i pytania Drobneho Biesa, i wycelowane we mnie karabiny pomocników starosty, i test savera.

To ci zabójca! Co za cwaniak?! Tak mnie wkopać! Dokładnie sobie obliczył i zaplanował. Przypilnował parkę pomocników. Jednego załatwił, drugiego zostawił przy życiu, żeby opowiedział, kto jest zabójcą. W dobrym dla niego układzie starosta mógł kazać otworzyć ogień od razu na mój widok. Miałem więc cholernie dużo szczęścia, że postanowił wszystko dokładnie sprawdzić. Po to wziął płytkę, żeby upewnić się, że jest oryginałem.

- Jak mu się udało tak dobrze mnie skopiować?

- Metamorf - odpowiedział krótko. - Najprawdziwszy metamorf.

No tak. Tylko tak. Tułaczy program odmieniec, metamorf. Zdarzają się takie. Bardzo rzadko, ponieważ lokują się daleko za granicami praworządności.

Dlaczego? Ponieważ... Dobra, zaczniemy od jaja. Od turystów. Tu wszystko jest jasne. Dla nich wykonuje się kokon zgodnie z ich prawdziwym wyglądem, przy tym starając się dokładnie go odtworzyć. Po co? To proste. W świecie, gdzie nie istnieją odciski palców i wiele innych, funkcjonujących w

kryminalistycy cech, dość często zdarza się, że identyfikację przestępcy umożliwia tylko jego kokon, maska. Gdyby zaś ci, co pojawiają się w cyberach, mogli na własne życzenie zmieniać wygląd... To jak, w sumie - rozumiały? Wtedy gliniarze mogliby co najwyżej bezsilnie rozkładać ręce.

Aby do tego nie dochodziło zostało przyjęte „Prawo o podobieństwie wyglądu zewnętrznego”, którego złamanie karane jest bardzo surowo. Oczywiście, pewne odchylenia się zdarzają. Na przykład kobiety-wizytantki korzystają dość często z nieco przestarzałych kokonów, bo te wyglądają młodziej. Ale żaden kukaracza, za żaden szmal nie zgodzi się wykonać kokonu kardynalnie różniącego się od waszego wyglądu. Zresztą, gdyby się nawet zgodził, to i tak nic by z tego nie wyszło, ponieważ wykonanie masek jest nadzorowane i kontrolowane przez gliniarzy.

Teraz trochę o programach tułaczach. Tułacze programy są wykonywane również przez kukaracze. Mogą im nadawać dowolny wygląd, zgodnie ze swoją wyobraźnią. Jedyny wymóg, przestrzeganie którego jest kontrolowane dokładnie, to niezmienność wyglądu. Kukaracza może zrobić nie wiadomo jak paskudny tułaczy program - nie pozostaje mu nic innego, jak istnienie w tej postaci, nie ma prawa wyglądu swego zmieniać.

Co więc z programami nieusankcjonowanymi, typu Hobbin i Nobbin? To jest jeszcze prostsze. Wszystkie były niegdyś stworzone jako programy prawne, usankcjonowane, ich twórcy przestrzegali tegoż „Prawa o podobieństwie wyglądu zewnętrznego”. Potem, w jakiś sposób, tym programom udało się uzyskać wolność, stały się więc nieusankcjonowanymi. Pewnie, mogą się doskonalić, dokupując sobie te czy inne podprogramy, zwiększając swoją pamięć, szybkość myślenia i

inne pożyteczne właściwości. Ale nikt i nigdy nie sprzeda im podprogramu, przy pomocy którego mogliby zmienić radykalnie swój wygląd. Na przykład z powodu takiego, że sprzedaż tych podprogramów kontrolowana jest przez gliny.

Jasne?

Dobra. Teraz o programach - metamorfach.

Taki programy może stworzyć tylko prawdziwy twórca. Jakiś tam kukaracza w życiu nie da rady. Ale twórca, jeśli jest mu to do czegoś potrzebne, może stworzyć podprogram, przyjmujący dowolny wygląd, praktycznie każdy jaki zechce, nawet jakiegoś turysty. Twórca nie musi nawet przechodzić przez wszystkie te kontrole gliniarzy. Nie musi kupować pracujące z wyglądem podprogramy, skoro łatwo może je stworzyć sam. Tak więc twórca, żeby wykonać program-metamorf, musi tylko udać się do jakiegoś chińskiego cyberu, wymknąć się spod kontroli glin.

Aha, prawie zapomniałem. Istnieje jeszcze jeden warunek konieczny. Ten program-metamorf musi być twórcy do czegoś potrzebny. Bo po co normalnemu twórcy taki podprogram, skoro i bez niego - jak wspominałem - żyje sobie jak pączek w maśle? Ale - proszę, znalazł się taki. Akurat ja musiałem się wpakować w taką historię.

Zapaliłem i popatrzyłem na starostę.

- Dotarło w końcu? - zapytał.

- Musiało - przyznałem.

Nie było szans, żeby nie dotarło. Tak więc, jak się okazało, zabójca ma jeszcze jedną cechę. I to jaką! Czy dam radę temu miłośnikowi rozwiązywania problemów przy pomocy corvec-tora? Nie odgryzłem aby kęsa, którego nie zdołam połknąć? Nie zadławię się aby nim?

12.

- Zdecydowałem - powiedział starosta.

Pomyślałem, że to dobrze, i cisnąłem niedopałek na podłogę. Dobrze, że ktoś przynajmniej ma jakieś pomysły i decyduje. Ja, na przykład, nie byłem do tego zdolny od j jakichś pięciu minut.

- Jak pamiętasz - ciągnął starosta - w zamian za saver, i to przekazany ci w chwili odpowiedniej, by wykaraskać się z nie-lichych kłopotów, zobowiązałem cię do wykrycia zabójcy turysty. Tak więc - zwalniam cię z tego obowiązku.

Ha! Coś dziwnego się dzieje w państwie duńskim.

- Dlaczegoż to?

- Dlatego, żebyś nie pętał się nam pod nogami. Sytuacja się zmieniła. Teraz muszę znaleźć zabójcę własnymi siłami i środkami. I - szczerze mówiąc - najlepiej by było, gdybyś po prostu natychmiast opuścił nasz cyber.

- A saver?

- Saver zostaje w twoich rękach. Nie mogę zażądać jego zwrotu, ponieważ to ja pierwszy odstąpiłem od przestrzegania naszej umowy. Tak więc nie mogę również przeszkodzić ci w pobycie w naszym cyberze. Ale rozumiesz chyba, że metamorf to nie na twoje siły?

- Może - odparłem spokojnie. - Ale jakoś do tej pory żyję.

- W zasadzie tylko dzięki nadzwyczajnemu szczęściu.

No, w tym starosta mógł się mylić. Miałem w tym temacie pewien taki śmieszny pomysł...

- Kto wie? - powiedziałem. - Szczęście na ogół nie sprzyja tym, co nie wkładają wysiłku, żeby mogło zadziałać.

- Coś mi się widzi, że ty nadal nie rozumiesz, jaka awantura się tu szykuje - powiedział starosta. - Uwierz mi, że najrozsądniejszą dla ciebie rzeczą będzie natychmiastowa ewakuacja z naszego cyberu. Przez najbliższy dzionek, czy dwa będzie tu naprawdę gorąco.

Nie wątpiłem w to. Ale...

- Mam swój kontrakt - przypomniałem mu. - Muszę odnaleźć pewnego zaginionego turystę. Nie mogę z tego zrezygnować.

- No tak...

Starosta zamyślił się. A to właśnie mi się nie podobało. Kto wie, co przyjdzie do głowy temu tułaczemu programowi? Może zdecyduje, że najlepszą metodą pozbycia się upierdliwego prywatnego detektywa, którego obecność w cyberze nie jest w tej chwili pożądana, jest wysłanie go do Krainy Wiecznych Łowów przy małej pomocy oddanych sobie pomocników? Wolno odsunąłem się o krok, wsunąłem rękę do kieszeni i wymacałem w niej rękojeść pistoletu.

- Chyba nic na to nie można poradzić - oświadczył w końcu starosta. - Musisz wykonać zlecenie, nie mogę ci w tym przeszkadzać. Uprzedzić? Uprzedziłem. I to tyle. Może wiedząc, że nie chcesz go zabić metamorf zapomni o tobie? Poza tym w najbliższym czasie nie będzie miał do ciebie głowy. Jeśli więc obiecasz, że nie będziesz go ścigał zostawię cię w spokoju.

Odetchnąłem z ulgą. Wyglądało, że miałem o staroście niezasłużenie złe zdanie. Co do obietnicy, że nie będę ścigał odmieńca? Proszę bardzo!

- Dobrze, obiecuję, że nie będę już ścigał metamorfa.

- No to klawo. Pamiętaj jednak, że jeśli złamiesz obietnicę to będę musiał przedsięwziąć jakieś kroki. Powodzenia, prywatny detektywie.

Starosta machnął ręką do swoich pomocników. Natychmiast ustawili się dokoła niego, chroniąc go ze wszystkich stron.

- Tobie też życzę powodzenia - powiedziałem nawet dość szczerze.

Wszystko się jakoś nieźle się układało. Pozbyłem się jednego zlecenia. Pomocnicy starosty przyduszą metamorfa, ten będzie musiał mi odpuścić. A ja w tym czasie spróbuję sięgnąć twórcy. Starosta ze swą świtą ruszyli przed siebie. A ja i Drobny Bies odprowadzaliśmy ich spojrzeniami póki nie znikli za w jakimś odgałęzieniu.

Popatrzyłem w końcu uważnie na plamę, pozostałą po pomocniku starosty i prychnąłem. Stary dobry obrzęd pogrzebu tu w cyberze zastosowania nie miał. Po kilku dniach pod wpływem negatywnego infopola nic nie zostanie po tym konturnie. Ani wieńców nie będzie, ani mów pogrzebowych, ani nagrobka.

Ech...

- Słuchaj, a dlaczego starosta tak się rozeźlił? - zapytałem Drobniego Biesa.

- Nie rozumiesz? - zdziwił się zapytany.

- Nie. W każdym razie kiedy został zabity turysta, a przez to został poniesiony uszczerbek przez jedno ze źródeł dochodów cyberu, to nie przejął się tym tak bardzo jak teraz... A w końcu co się stało wielkiego? Zamówi sobie u jakiego kukaraczy nowego pomocnika.

- Nie o to chodzi - powiedział diabełek. - Tak, rzeczywiście, zabijając wizytanta, znajdującego się pod ochroną płytki, metamorf zaszkodził cyberowi. Starosta był bardzo zaniepokojony. Tak zaniepokojony, że skorzystał z okazji i wynajął prywatnego detektywa, żeby wykryć sprawcę tego zabójstwa. Ale teraz stało się coś innego. Metamorf zabił jego pomocnika, a

tym samym dokonał zamachu na władzę starosty. A ten, by ją zachować, koniecznie musi ukarać bezczelnego typa. Bo inaczej mieszkańcy cyberu mogą sobie pomyśleć, że nie jest w stanie utrzymać w cyberze władzy. A starosta, który nie potrafi utrzymać władzy... Sam rozumiesz, długo nie będzie piastował urzędu starosty.

Przyznałem mu rację kiwając potakująco głową. Proste jak świński ogon. Jeszcze trochę i Akela spudłuje. Dlatego tak ważne jest dla niego udowodnienie, że jest w stanie zabić antylopę bez postronnej pomocy. Właśnie dlatego starosta uwolnił mnie od zlecenia. Trzeba przyznać, że czego jak czego, ale charakteru przywódcy wariatkowa po nazwą „chiński cyber” nie brakuje.

- Dokąd idziemy? - zapytał Drobny Bies.

Ba! My, póki Akela dokłada heroicznych wysiłków by nie spudłować, będziemy rozgrywali swoje klocki.

- Na razie idziemy do najbliższego wyjścia z labiryntu - proponowałem.

- Jak chcesz. Jeśli tak, to kierujemy się tam.

Wskazał jedną z odnóg.

Po kilku minutach kolejny korytarz zakończył się drzwiami prowadzącymi na powierzchnię. Przekroczyliśmy ich próg i znaleźliśmy się w jakiejś ślepej uliczce, w jednej z dzielnic cyberu. W jakiej nie potrafiłem określić, ponieważ niczym specjalnym się nie wyróżniała. W każdym razie ulica, przecinająca naszą ślepą, była całkowicie wyludniona, więc nie dało się nawet określić jej standardu po wyglądzie przechodniów. Może znowu znaleźliśmy się w dzielnicy robotników, produkujących tanie i marne papierochy, może w innej - nie wiedziałem. Ale nie miało to dla mnie żadnego znaczenia.

Słońce już zgasło i, zerknąwszy na wiszącą wciąż na niebo-

skłonie zegar, przekonałem się, że w wielkim świecie zapanaowała noc - samo niebo cyberu jednak tylko nieco ściemniało, a poniżej cyferblatu widniał długi, wijący się jak wąż z łapkami, azjatycki smok. Jego ciało pokrywały wspaniałe, opalizujące wzory. Pomyślałem, że pewnie kiedyś ten cyber naprawdę należał do Chińczyków. W każdym razie pewne dowody na to były jakby widoczne na pierwszy rzut oka. Potem coś się wydarzyło, i cyber stał się nieprawomocnym. Kto wie, może właśnie od niego zrodził się obyczaj, nazywania wszystkich cyberów, zasiedlonych przez same tułacze programy - chińskimi?

- A co dalej? - zapytał Drobny Bies.
- Dalej, to mam dla ciebie jedno zadanie.
- Zadanie, to dobrze - ożywił się diabełek. - Wyciągnę z tego pięć infobucksów?

Skrzywiłem się. Mówi się, że nie ma na świecie niczego niezmiennego. Przed spotkaniem z Drobnym Biesem sam byłem tego pewien niemal na sto procent. Teraz w poszyciu mojej niezachwianej pewności zarysowała się wyraźna szczelina.

- Dobra, dostaniesz te swoje pięć infobucksów - zgodziłem się. - Jeśli wykonasz to wystarczająco szybko.

- Wykonam - zapewnił mnie diabełek. - Jakie zadanie zamierzasz mi powierzyć?

- Niespecjalnie proste - powiedziałem. - Masz porozmawiać ze swoimi kumplami przewodnikami. Chcę wiedzieć ilu turystów zjawilo się w cyberze trzy dni temu. Raczej nie było ich wielu. Najprawdopodobniej dwaj lub trzej. Niezależnie od tego jak się przedstawili i jak wyglądali, chcę wiedzieć o nich możliwie dużo.

- Sądysz, że ten wizytant, którego szukasz, wynajął przewodnika?

- Jeśli nawet nie wynajął, to któryś z przewodników musiał go widzieć. Nie sądzę, by twórca potrafił przemknąć się do cyberu, nie wpadając w oko ani jednego przewodnika.

- A nie prościej by było zwrócić się do starosty? Musi wiedzieć komu wydawał savera.

- A wydawał metamorfowi, który korzystając z mego wyglądu załatwił pomocnika?

- No tak. - Drobny Bies podrapał się za uchem. - Chyba masz rację. Skopiujesz dla mnie hologram tego typu?

- Oczywiście - powiedziałem. - Tylko nie miej co do niej specjalnych złudzeń. Ten, kto potrafi stworzyć program-metamorf, z łatwością może zmienić kokon. Właśnie dlatego chcę wiedzieć wszystko o wszystkich turystach, którzy pojawili się tu trzy dni temu. O wszystkich. Kapujesz?

- Lekko. Dobra, dawaj tę piątkę i hologram.

- Infobucksy dostaniesz jak wykonasz zadanie, a hologram - proszę bardzo.

Otrzymawszy kopię hologramu, zamiast rzucić się do wykonywania mojego zadania, diabełek dreptał jakiś czas w miejscu, potem zapytał:

- A ty co będziesz robił?

- Jak należy się spodziewać - powiedziałem - szefostwo będzie myślało i oczekiwało meldunków. Jeśli chcesz, mogę pójść z tobą.

- Nie, sam zrealizuję to szybciej. Ale... nie będziesz przedsiębrał jakichś kroków w czasie mojej nieobecności?

- A co mogę przedsiębrać?

- Naprawdę?

- Szczerze.

- A jeśli zaatakuje cię metamorf?

- Możesz mnie przed nim obronić? Nie? No to, o co chodzi?

Tak w ogóle, to sędzę, że metamorf ma teraz inne kłopoty na głowie.

- No to czekaj... uwinę się raz-dwa.
- Oczywiście, będę czekał - zapewniłem go.

Co mi jeszcze zostało? Czekać na nowe dane i myśleć. Bieganie po cyberze nie da mi nic. Potrzebuję danych. Tylko danych. Mogę też myśleć... O Shetterze, na przykład. Co, zły temat?

- No to lecę.

Drobny Bies niezbyt chętnie, ale pomknął wykonać zlecenie. Zanim zniknął w jakiejś przecznicy kilka razy odwrócił się i popatrzył na mnie. No tak, w zasadzie powinien być przy mnie przez cały czas. Obowiązki przewodnika. A może i obserwatora. Zapaliłem i zacząłem patrzeć jak wolno, niechętnie, znikającym papierosowy. Kolor też dobry, i nawet smak, a znika niemal tak jak w wielkim świecie. Dobra rzecz takie porządne papierosy.

Na razie jeszcze pamiętam, jak wygląda dym papierosowy tam, w wielkim świecie. Czy będę to pamiętał po latach spędzonych w cyberze? Do licha, niby mogłem wyjść do wielkiego świata w sztucznym ciele, może trzeba tak było zrobić? Przypomnieć sobie, jak wygląda prawdziwe życie, zrobić sobie wycieczkę do utraconego, popłakać na widok strat, poczuć się widmem, które wyłoniło się z pachnącego pleśnią podziemia, w żalostnej nadziei poczucia się żywym choć na chwilę. Marzenie, żalostne, bezpodstawne, nie do zrealizowania...

Parsknąłem pełnym gorzycy śmieszkiem... Widmo? Pewnie, że tak. Dla wielkiego świata umarłem, nie ma mnie już, i pewnie zapomniało o mnie tych kilka osób, które mogłem nazwać przyjaciółmi. Czy to znaczy, że należy podnieść łapki do góry i poddać się? Wcale nie. Mam świat cyberów. Z nim, czy chcę

tego czy nie, związana jest moja przyszłość. Czy warto więc poddawać się rozpacz? Nie lepiej wyrzucić z głowy wielki świat, zapomnieć o nim całkowicie, umieścić w krainie odrzuczonych wspomnień?

Ha, gdyby tak się dało!

Sztachnąłem się jeszcze kilka razy, potem cisnąłem niedopałek na ziemię. Jak należało oczekiwać - ledwo dotknął gruntu zniknął z cichym sykiem, nie zostawiając po sobie żadnych plam. Czy należy w ogóle zawracać sobie głowę wielkim światem? Może by się zająć Shetterem? Kim jest? O, to będzie z pożytkiem.

Shetter. Bogaty turysta, który wpadł na pomysł wynajęcia prywatnego detektywa do poszukiwań innego, zaginionego w chińskim cyberze wizytanta. Niby wszystko jasne i zrozumiałe. Przynajmniej dopóki nie skumałem, że turysta, jakiego mam odnaleźć jest twórcą.

W tym momencie od razu powstaje szereg pytań. Na przykład, kim tak naprawdę jest ów Shetter? Kto ściga twórcę? Inny twórca? Może Shetter ma coś wspólnego z jakąś służbą śledzenia twórców? No to dlaczego nie zwrócił się do glin? To by było logiczne. Zapewne oddział gliniarzy może działać więcej niż jeden niedoświadczony detektyw.

Może gliniarze nie raz już próbowali schwycić tego twórcę? A ten niezmiennie kiwał ich? Dlaczego? Dlatego, że pojawienie się w chińskim cyberze oddziału gliniarzy nie może pozostać niezauważonym. Więcej - stanie się przyczyną niezłego zamieszania. A ów twórca, słysząc o pojawieniu się glin, po prostu musi się zorientować o co biega. Kto więc mu zabroni, korzystając z zawieruchy, dać w długą?

Natomiast, jeśli wyruszy na poszukiwanie prywatny detektyw, to jego twórca się nie wystraszy. Nie groźny mu jakiś tam

samotnik. Jeśli nawet prywatny detektyw będzie na tyle bystry, że dowie się, gdzie przyczał się obiekt poszukiwań, to i tak istnieje realna szansa, że go przydepnie, zanim ten zwieje.

Wsunąłem ręce do kieszeni, i oparłem się plecami o ścianę najbliższego domu. Dobra pozycja. Nie taka znowu bez sensu. Przynajmniej nikt mi nie podskoczy zza pleców.

Zastanówmy się jeszcze raz. Jeśli Shetter chciał, żebym wytropił twórcę, to powinien był przynajmniej mnie uprzedzić z kim będę miał do czynienia. Tak to wygląda z mojego punktu widzenia. A z jego? No, tu nie byłem pewien. Trudno było odtworzyć tok myślenia Shettera. „Kto mi jest potrzebny? Taki ktoś, kogo twórca się nie wystraszy. Innymi słowy, musi wyglądać dość nieszkodliwie, ale jednocześnie nie być całkowitym bałwanem”.

Logiczne? Całkowicie.

Ciekawe, ile kandydatur Shetter przebrał, zanim wybrał mnie? Pewnie kilkadziesiąt. Ja mu jakoś przypasowałem. Musiałem niemal idealnie odpowiadać jego warunkom. Po pierwsze, nie mam żadnego doświadczenia w pracy prywatnego łapsa. To dobrze, ponieważ pojawienie się doświadczonego detektywa mógłby zaniepokoić twórcę. Po drugie, pół roku temu, usiłując uratować swoje ciało, ukradzione w wielkim świecie, wywołałem dość dużo hałasu. Owszem, ciała nie udało mi się uratować, ale mimo, że polowali na mnie niemal wszyscy gliniarze świata cyberów, mimo tego, że usiłowali mnie sprzątnąć złodzieje mojego ciała - udało mi się przeżyć. Pewnie uratowałbym i swoje ciało, gdybym nie popełnił pewnego drobnego błędu. Jakkolwiek to się odbyło, pasowałem i do drugiego warunku, to znaczy nie byłem całkowitym skończonym kretynem.

Aha, prawie zapomniałem. Istniało jeszcze „po trzecie”:

znajdowałem się na dnie finansowej przepaści i, w tej sytuacji, powinienem był chwytać każde zlecenie, jakie mi podejdzie, nie interesując się za bardzo niuansami. Byle pachniało to pieniędzmi. Tak więc w tym temacie wszystko było jasne. Teraz zastanówmy się dlaczego Shetter nie powiedział mi, na kogo mam polować. I ta odpowiedź nie nastreczy trudności. Przede wszystkim, wiedząc kogo mam szukać, mógłbym, mimo rozpaczliwej sytuacji finansowej, nie podjąć się zlecenia. Dobra, powiedzmy, że zostałem doprowadzony do krawędzi rozpacz i gotów byłem na każdą aferę. Czy tak trudno wymyślić jeszcze jeden powód, dla którego

Shetter nie poinformował mnie, że obiektem moich poszukiwań jest twórca?

Jaki miał cel Shetter, kiedy wysyłał właśnie mnie na poszukiwanie twórcy? Miał przekonać obiekt, że absolutnie nic mu nie grozi. Zgodnie z jego planem, wiedząc, że nawet nie podejrzewam z kim mogę mieć do czynienia, twórca powinien był czuć się całkowicie niezagrożony. A potem, być może po szczęści mi się, i jednak znajdę jego kryjówkę...

Wyobraziwszy to wszystko, pożałowałem, że nie mogę spotkać się z Shetterem już teraz, w tej chwili. Już bym mu powiedział co o nim myślę, w słowach niekoniecznie łagodnych. Może nawet bym... Nie, nie warto marzyć o czymś, co nie może się ziścić. Już miałem zapalić nowego papierosa, gdy nagle usłyszałem skrzypienie drzwi do labiryntu.

Aha, to pewnie Drobny Bies. Jakoś za szybko się uwinął. Zerknąłem w stronę drzwi i zdziwiłem się. Drzwi były zamknięte, i nie widać było przy nich nikogo. Skąd więc się wzięło to skrzypienie? Nie mogłem się przestyszeć. Więc... No tak, to proste. Ktoś uchylił drzwi, zobaczył mnie i zaraz je zamknął.

Kto?

Właściwie, to mógł to być zwyczajny oprych. Otworzywszy drzwi i widząc mnie z saverem na piersi zrezygnował z działania i poszedł załatwić jakieś swoje bandyckie sprawy. Może do portalu, żeby tam czyhać na jakiegoś innego turystę.

To wariant najlepszy. A najgorszy?

Wyciągnąłem z kieszeni pistolet i postanowiłem poczekać na dalszy rozwój wypadków. Jeśli przez kilka minut skrzypienie drzwi się nie powtórzy można będzie ogłosić odwołanie alarmu. Minęły dwie minuty. Nikt nie otwierał więcej drzwi. Wsunąłem pistolet do kieszeni i odetchnąłem z ulgą.

Do licha, w tym cyberze można się zarazić paranoją. Szczególnie łatwo, jeśli się pamięta, że gdzieś w pobliżu czai się metamorf. W tym cyberze...

Ach, jakże inaczej wyglądałoby śledztwo w innym cyberze! Do diabła, tu nawet nie ma możliwości otrzymania jakiejś sensownej informacji. Może starosta ma jakiś swój kanał, którym otrzymuje oficjalne informacje. Ale czy pozwoli mi z niego skorzystać? Raczej nie. Jestem teraz przykrą przeszkodą, i gdybym nie miał sławetnego savera, może nawet kazałby mnie wykończyć. Żebym mu nie przeszkadzał w rozgrywce.

Ciekawe, który z nich wygra tę bitwę? Metamorf czy starosta? Metamorf posiada właściwości, które pozornie dają mu przewagę, ale jest sam. Starosta zaś, jestem pewien, rzucił do boju „całą swoją kawalerię, całą królewską armię”. W tym układzie nie da się przewidzieć, czyje będzie na wierzchu.

Uśmiechnąłem się z pewną dozą sarkazmu. Właściwie to interesowało mnie co innego: co, mianowicie, zyskam ja w przypadku zwycięstwa tego lub drugiego przeciwnika? Jeśli pomocnicy starosty wykończą metamorfa, to tym samym ułatwią mi wykonanie zawartej z Shetterem umowy. Niewąt-

pliwie, będę mógł nie martwić się o swe życie.

Jeśli zaś metamorf pokona starostę i jego drużynę, to nic na tym nie zyskam. Mieszkańcy chińskiego cyberu wybiorą nowego starostę, który nie zaryzykuje walki z takim przeciwnikiem. W sumie moja sytuacja zupełnie się nie poprawi.

Drzwi skrzypnęły znowu.

Błyskawicznie wyszarpnąłem pistolet, odskoczyłem w bok i wycelowałem w drzwi. Wszystko to zostało wykonane odruchowo, jakby ktoś z boku sterował moim ciałem. Kto? Podejrzliwie zerknąłem na drzwi, i nagle zrozumiałem.

To zwyczajne sztuczki podświadomości. Ja sam byłem niby zajęty szacowaniem przeciwników i swoich zysków, ale podświadomie oczekiwałem tego dźwięku, więc gdy się rozległ sterowanie przejęła podświadomość - stąd ta szybkość reakcji.

Może niezła, ale trochę zabrakło. Bo i tak nie udało mi się zobaczyć, kto ukrywa się za drzwiami. Ale, tak mi się wydawało, nadszedł czas, kiedy powinienem już to wiedzieć. Powinienem, ale czy warto? Ciekawość, jak wiadomo, zaszkodziła kotu. Może niech sobie skrzypią te drzwi, a ja po prostu się stąd zwinę? Usiądę sobie w pierwszym lepszym lokaliku, zamówię coś do picia, przekąskę, będę sobie siedział i czekał na Drobne Biesa. On mnie na pewno znajdzie. To tubylec.

Myśląc tak posuwałem się ku drzwiom. Ciekawość kotu zaszkodziła. Niech będzie, że tak. Ale co się zabawił... Skradałem się do chwili, kiedy nie znalazłem się o dwa kroki od drzwi. Wtedy uchyliły się one nieco, odrobinę. Skrzypnęło krótko i ucichło. Jakby ten ktoś, kto stoi za drzwiami tylko leciutko trącił je, nawet nie po to, by otworzyć, tylko żeby dać znać, że tu czeka. Na kogo? Na mnie, oczywiście, że na mnie.

To mi się wcale nie spodobało. Zbyt dobrze przypominało taką prymitywną pułapkę, nawet nie z kawałkiem sera, tylko z

pobudzoną ciekawością ofiary. Ale nie mogłem się już wycofać. Ten ktoś, kto stał za drzwiami, na pewno wiedział, że jestem tuż obok, że wpadłem z zastawioną pułapkę. Kto to był? Metamorf? Po co miałby urządzać takie przedstawienie? Prościej by mu było, otworzyć drzwi za pierwszym razem i huknąć z bliskiej odległości z corvectora. Proste i skuteczne. Bez żadnych sztuczek.

Tak więc - nie metamorf. Ale kto, w takim razie? I czego ode mnie chce?

Zaraz się dowiem. Tylko otworzę drzwi. Tylko.

Szarpnąłem drzwi. Nie widząc za nimi nikogo zrobiłem krok do przodu i... znieruchomiałem.

Z sufitu błyskawicznie zjechała niebieska kula i, zatrzymawszy się pół metra od mojej twarzy, zapytała:

- No to jak, skończymy rozmowę?

13.

Bez wątpienia - pół metra ode mnie wisi najprawdziwsza, gwarantowana śmierć. Jeśli nawet zdążę do niej wypalić to tym się nie uratuję. Kula wybuchnie i wykończy mnie czy tak czy owak.

Odskoczy? Akurat mi pozwoli. Nie po to mnie tak długo wciągał w pułapkę. Jeśli tylko się rzucę do ucieczki, kula skoczy za mną i na pewno eksploduje. Wyminąć? Raczej nic z tego. To co robić?

- Hej, co tak milczysz? Straciłeś dar mowy? - zapytała kula.

Nie zostało mi nic innego jak podjąć grę według jego reguł, narzuconych, ale zawsze jakichś reguł.

- A o czym właściwie chcesz rozmawiać? - zapytałem. - Chyba już wszystko zostało powiedziane podczas ostatniej rozmowy. Teraz zaś udało ci się mnie capnąć. No to musisz zdecydować, czy mnie załatwisz czy nie.

- A ty jaki wariant wolisz? - zainteresowała się kula.

- Jakie to ma znaczenie?

- Dla ciebie - ma.

- A dla ciebie? Ty tu teraz rządzisz. Cokolwiek powiem i tak postąpisz jak zechcesz.

- Może nie chcę ciebie zabijać?

- Tak? A czemuż to?

- Chociażby dlatego, że wyglądasz jak turysta, a turystą nie jesteś. Mogę więc przypuścić, że jesteś przesiedleńcem. Jednakże po co przesiedlenie miałyby pracować jako prywatny detektyw? Z reguły ci, co uciekają do cyberu mają już przygotowane ciepłe posadki w jakimś administracyjnym cyberze.

- Co to wszystko ciebie obchodzi? - zapytałem.
- Nie podskakuj tak, kolego - niemal czule poradziła kula. - Pamiętaj, że zabicie ciebie to dla mnie pestka.
- No to zabijaj - mruknąłem. - Przegrany płaci.

Nawet nie blefowałem. Naprawdę zalała mnie nagle fala całkowitej obojętności na własny los. Na co mi ta szamotanina, usiłowanie wygrzebania się z powstałej sytuacji, skoro to wszystko i tak nie ma sensu? Czy nie prościej by było skończyć z tym raz i na zawsze? W każdym razie taka śmierć jest znacznie lepsza niż długa powolna agonია na dnie wykrotu.

I co najważniejsze: nawet jeśli uda mi się odroczyć swój zgon o pięć-dziesięć minut, zabawiając metamorfa swoją gadaniną, może nawet opowiadając mu swoją historię, to jaki to ma sens. I tak mnie zabije. Jestem dla niego niebezpieczny. Po co - gdyby było inaczej - zastawiałyby na mnie pułapkę, marnował czas, i to w momencie, kiedy po całym cyberze szukają go pomocnicy starosty? Nie, nie ma co się łudzić. Jak umierać to już, bez zwierzeń i wyjaśnień, tłumaczenia przyczyn. Co to za różnica?

- Może i powinienem tak uczynić - powiedziała kula. - Dręczy mnie przeczucie, że jesteś bardziej niebezpieczny, niż się wydaje.

- A kto ci przeszkadza? - skrzywiłem usta w pogardliwym uśmiechu. - Wal.

- Może się dogadamy? - zaproponowała kula.
- To znaczy?
- Ty mi powiesz kto cię wysłał do tego cyberu, z jakim zadaniem, i jak mogę znaleźć tego klienta. W zamian cię wypuszczę. Tym razem, rzecz jasna. Jak mi podejdziesz jeszcze raz, to miej do siebie pretensje.

Omiał się nie roześmiałem. O nie, gołąbeczku, takie numery

nie przechodzą nawet w holowesternach. Kto przeszkodzi metamorfowi zlikwidować mnie w chwilę po tym, jak wszystkiego się dowie? Nikt. Załatwi mnie jak nic. Co więc zyskam przekazując informacje? Pięć -dziesięć minut życia. Tylko tyle. Nie za wysoka więc cena? Jeśli nic nie powiem, to wzrośnie szansa kolejnego prywatnego detektywa, którego Shetter pošle moim tropem, by odstrzelić twórcę tego metamorfa i tym samym pomścić mnie. Tylko czy Shetter pošle innego detektywa po wiadomości o mojej śmierci? Na pewno. Nie wiem dlaczego, ale byłem o tym całkowicie przekonany.

- No to jak - zgoda? - zapytała kula.

- Nie-e - powiedziałem, czując jak pod kolanami rodzi się jakieś nieprzyjemne drżenie.

Czułem, że zaraz niebieska kula chluśnie wrzącym płomieniem, błyskawicznie zetrze nim cały otaczający świat, odbierze mi możliwość myślenia, odczuwania, działania, odbierze mi życie.

- W takim razie... - powiedziała kula.

Zamilkła akurat w chwili, kiedy przyszła mi do głowy myśl, że może dobrze by było rzucić się teraz w bok, runąć na ziemię, przeturlać się za mur najbliższego domu. Oczywiście - wiedziałem, że to mi nie pomoże. Ale mimo to głupio jakoś by było umierać bez próby ratowania własnej skóry. No to...

Wydawało mi się, że kula przysłuchuje się czemuś. To znaczy nie kula, a sterujący nią metamorf. Przysłuchuje się? Może gdzieś w jego okolicy pojawili się pomocnicy starosty? Może tylko zwleka, czeka kiedy będzie mi się wydawało, że pojawiła się szansa na ratunek, że zaraz rzucę się do ucieczki? A wtedy dogoni mnie i zdetonuje swoją kulę. Może uważa, że zabijanie kogoś, kto stracił ochotę do życia nie sprawia żadnej przyjemności?

Mam możliwość pozbawienia go tej przyjemności, wystarczy żebym podniósł pistolet i wypalił do kuli. Ale nie strzeliłem. Patrzyłem na kulę, czekałem na ciąg dalszy. A kula wisiała i jakby ciągle przysłuchiwała się czemuś. Udało mi się nawet wymyślić pewne ciekawe pytanie.

Pomocnicy starosty szukają tego metamorfa. A starosta wcale nie jest głupi i powinien rozumieć, że szukanie kogoś, kto łatwo zmienia swój wygląd, jest zupełnie nieskuteczne. Mimo to wysłał swoich pomocników na poszukiwania, co musi oznaczać, że wiedzą, jak można go odnaleźć, bez względu na jego możliwości. To oznacza, że mają jakąś metodę, przy pomocy której bezbłędnie mogą określić, kto przed nimi stoi? Dobrze by było dowiedzieć się co to za numer. Może istnieją jakieś oznaki, pozwalające rozpoznać z kim ma się do czynienia, a wiedzą o tym starosta i jego pomocnicy?

Nie, raczej nie. Starosta nie sprawdzałby mnie podczas naszego ostatniego spotkania. Raczej mają jakieś urządzenie, coś jak mój diagnoster, tylko działające na dystans. Muszę więc tylko przyczepić się do jakiegoś pomocnika starosty, załatwić go, zabrać mu ten przyrząd - i po zabawie.

Stop, stop, marzenia jak ptaki szybują po niebie! Jeśli załatwię pomocnika, to mój saver przestanie działać, i cały cyber rzuci się do polowania na mnie. A ja nie jestem metamorfem, nie uda mi się długo walczyć z nimi. Prócz tego rolę tego ich diagnostera może spełniać jakiś podprogram. Pomocnicy starosty, w odróżnieniu ode mnie, nie dążą do utrzymania swojego ciała w niezmiennym kształcie, zabijam więc pomocnika i wcale nie przejmuję urządzenia. Co to zresztą za brednie? Zaraz ta kuleczka eksploduje, i wszystkie moje plany się skończą.

Nie eksplodowała.

Ciągle jeszcze usiłowałem wymyślić jakiś sprytny plan, wykonanie którego pozwoliłoby mi wypełnić zlecenie Shettera, gdy nagle niebieska kula nagle gwałtownie odskoczyła ode mnie, uleciała pod sufit i nagle odfrunęła w głąb podziemnego korytarza.

Odprowadzając ją wzrokiem myślałem, że widocznie eksplodująca kuleczka stała się metamorfowi potrzebna w innym miejscu i to natychmiast. Wyglądało, że musiał wybierać między moim zgonem i uniknięciem tego innego niebezpieczeństwa. Na szczęście uznał mnie z bardziej nieszkodliwego. Pewnie kto inny na moim miejscu uznałby, że nie należy więcej kusić losu, że powinienem dać drapaka i zostawić na polu walki z metamorfem pomocników starosty. Może bym tak nawet postąpił, gdyby nie tych kilka minut, podczas których niemal pogodziłem się z myślą o śmierci. Teraz zaś, kiedy niebezpieczeństwo minęło, dominującymi uczuciami były gniew i żądza zemsty.

Naprawdę musiałem zemścić się na facecie, który wykołował mnie już drugi raz, musiałem udowodnić, że i ja nie jestem kiep spod ogona sroce wyciągnięty. Miałem na to sporą szansę. Jeśli metamorf wykorzystuje właśnie swoją ognistą kulę, to identycznie jak przy naszym poprzednim spotkaniu, przez kilka minut zostanie bez broni. Może udałoby się dotrzeć do niego w ciągu tego czasu?

Rzuciłem się przez labirynt. Pewnie mój przeciwnik jest gdzieś w pobliżu. Żebym tylko zdążył go dopaść! Jeśli mi się to uda, to nadejdzie moja kolej zadawania pytań. A jakie pytanie pójdzie na pierwszy ogień, wiem. Przyhamowałem, może nie warto było pędzić nie mając pewności, że kula już została wykorzystana. Może metamorf w ostatniej chwili postanowi, że jestem niebezpieczniejszym przeciwnikiem?

Przeszedłem pod wpływem tej myśli z galopu na lekki trucht i wysunąłem przed siebie pistolet, żeby wystrzelić, gdy tylko zobaczę lecącą na mnie kulę. Potem trafiłem na rozwidlenie i musiałem się zatrzymać. W jakim kierunku posuwać? Może w ogóle nie biegać? Może lepiej poczekać trochę? Niech metamorf eksploduje swoją latającą i gadającą bombę...

I zrobił to! Pewnie o jednego pomocnika starosta ma mniej. O, teraz należy gonić jak najszybciej. Wybuch rozbrzmiał z lewej odnogi, tam więc musiałem skręcić.

Co sił pogałem przez korytarz. Zakręt. Potem jeszcze jeden. Na tym odcinku po ścianach płynęła czarna oleista ciecz. Z rozpędu wpadłem w kałużę tego płynu na podłodze, pośliznąłem się i niemal zwałem na ziemię. Żeby utrzymać równowagę musiałem oprzeć się o ścianę. Przyczepiony do niej ślimak nagle rzucił się i szeroko otwarty paszczę wczepił mi się w palec. Ząbki miał malutkie i jakiejś szczególnej krzywdy mi nie wyrządziły. Odepchnąłem się od ściany, odzyskałem równowagę i, zanim ruszyłem dalej strząsnąłem z palca ślimaka.

Ten wpadł do kałuży i pisnął:

- Masz obrzydliwy smak!

Może i chciał coś dodać, ale już z głośnym bulgotem zanurzył się w kałuży. Ja też nie zamierzałem specjalnie się wsłuchiwać w jego słowa. Musiałem się śpieszyć. Po jakichś dziesięciu krokach korytarz się rozgałęział. Nie dysponowałem żadnymi danymi, musiałem całkowicie spuścić się na fart. Jeszcze raz skręciłem w lewo, wkrótce otrzymałem potwierdzenie słuszności wyboru.

Tym razem zwłoki pomocnika przypominały czarny osmałony ogień tłumok. Ściany korytarza również ucierpiały - na przestrzeni pięciu-sześciu kroków zdołały je niekształtne

plamy spalenizny.

Ach, to znaczy, że tu właśnie huknęła kula. Metamorf powinien być blisko.

Minąłem jeszcze jeden zakręt i odkryłem, że korytarz kończy się ścianą. W tej ślepej uliczce, opierając się plecami o ścianę, wyciągnąwszy przed siebie prawą rękę, w której zaciśnięty był przedmiot przypominający pistolet z bardzo krótką lufą, stała dziewczyna. Miała piękną, wykrzywioną teraz złością twarz, długie zielone włosy, ubrana była w krótką sukienkę bez rękawów. Na nogach miała pantofle na wysokim obcasie.

Nie wiadomo dlaczego te właśnie pantofle przyciągnęły moją uwagę. Może dlatego, że zupełnie nie pasowały do szwendania się po podziemnym labiryncie.

Metamorf!

- Rzuć broń na podłogę! - krzyknąłem, biorąc ją na muszkę.
- Wygląda, że cię nie doceniłem - powiedziała dziewczyna.
- Pamiętaj, że dwukrotnie darowałem ci życie. Czyżbyś chciał w podzięcie teraz mnie zabić?
- Jeszcze jak - zapewniłem ją. - Rzucaj corvector.
- No to strzelaj.

Powiedziawszy to dziewczyna nagle przemieniła się. Nie towarzyszyły temu żadne specjalne efekty. Po prostu przez jej ciało przebiegł krótki dreszcz i po sekundzie stał przede mną krępy, barczysty mężczyzna z twardymi, nawet powiedziałbym okrutnymi rysami twarzy, ubrany w skórzaną kurtkę. Na głowie miał kapelusz z szerokim rondem, na nogach - znakomicie wykonane wysokie buty z lekko wygiętymi do góry czubkami.

Ale nie to było najważniejsze.

Zobaczyłem jak na moich oczach metamorf wsącza się w

ścianę, jak ciężka belka w grzędawisko. Już zdążył zapaść się do połowy ciała, jeszcze chwila i nic mu nie będę mógł zrobić.

- Z powrotem! - wrzasnąłem.

- Za późno - powiedział metamorf niskim głosem. - Trzeba było od razu strzelać.

Ma rację, ale może jeszcze nie jest po zabawie?

Wycelowałem w głowę i strzeliłem. Na ścianie wykwitła ognista plama. Ale stało się to o ułamek sekundy za późno - metamorf szarpnął się mgnienie oka do tyłu i zniknął z widoku. Żar nawet go nie musnął.

Plama ognia musiała za chwilę zgasnąć, nawet nie zostanie plama sadzy. W końcu mój pistolet to nie corvector. Pomyślałem, że już drugi raz wypuściłem z rąk metamorfa, a teraz muszę spadać stąd z całych sił, ponieważ on mi strzału nie wybaczy, zaraz się mną zajmie.

Ale zwlekałem. Wydawało mi się, że to nie koniec sceny. I doczekałem się. Ze ściany, nieco z boku od gasnącej plamy żaru wysunęła się ręka i pogroziła mi palcem. Przegiął. Bo nie zasługiwałem na kpinki, ani na pogardę, a tym bardziej na liść.

Pewnie, niewiele działałem od chwili, kiedy wszedłem do chińskiego cyberu. Dwa razy dałem uciec metamorfowi, i w ogóle - może nie zachowywałem się nadzwyczaj sprytnie. Może ktoś inny na moim miejscu osiągnąłby więcej, ale w to wątpiłem. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że ktoś inny na moim miejscu, w mojej sytuacji, osiągnąłby więcej. Nawet dobry zawodowiec. Nie zasługiwałem więc na kpinki i nie zamierzałem godzić się z nimi, nie zamierzałem wiać stąd ratując żywot. Poza tym, sam zdziwiony, uświadomiłem sobie pewną rzecz.

Mianowicie zupełnie mi zwiślało, że metamorf jest uzbrojony w corvector, w porównaniu z którym moja broń wyglądała

jak mizerna pukawka. Poza tym wcale mnie nie przstraszyła zdolność mojego przeciwnika do przenikania przez ściany. Wiedziałem, że w prawdziwej walce nie na życie, a na śmierć zwycięża nie broń, a wola walki, duch, hart, chęć zabicia wroga. I zamierzałem tę prawdę uświadomić metamorfowi. Niechby nawet kosztem mojego życia. Poza tym... Jakaś tam szansę miałem.

Wiedziałem, że w krętych korytarzach labiryntu strzelanie z corvectora ognistymi kulami nie daje specjalnie dużej przewagi nad moim pistoletem. O, gdzieś na otwartej przestrzeni - będzie inaczej. Jeśli zaś metamorf zastosuje w stosunku do mojej osoby niebieskie kule, to jego szansa na wykończenie mnie raptownie zwiększy się. Z drugiej strony, gdy tylko ustrzelę jedną kulę, otrzymuję kilka minut, podczas których mój przeciwnik jest bezbronny. A ja w tym czasie nie będę gadał, tylko działał. Gdy tylko wykryję przeciwnika zacznę strzelać.

Przechodzenie przez ściany? Owszem, nie oczekiwałem tego. Zręcznie mnie wyrolował. Ale czy może korzystać z tej umiejętności przez cały czas? Coś nie chce mi się w to wierzyć. Nie ukrywałby się przed pomocnikami starosty, kto by mu przeszkodził urządzić na nich polowanie? A nie urzędnika, tylko sam się kryje w labiryncie. Po co wciągał mnie do labiryntu tą sztuczką z drzwiami, skoro mógłby po prostu wynurzyć się ze ściany przeciwległego domu i huknąwszy do mnie niemal z metra z ognistej kuli, ukryć się ponownie?

Wychodzi więc, że metamorf może przechodzić przez ściany tylko co jakiś czas, może nawet bardzo rzadko. Nie uda mu się powtórzyć swojej sztuczki tak od razu.

- Hej tam, ty sztukmistrzu z bożej łaski? - zawołałem. - Zmierzymy się?

Ściana milczała. Wszystko się zgadzało z moimi opiniami.

Metamorf przeszedł przez ścianę i teraz mnie nie słyszał. Nawet więcej - pewnie był przekonany, że rzuciłem się do ucieczki. Nie oczekuje więc ataku. Może da się to wykorzystać? Jak? Dzieli nas ściana. Żeby dopaść tego, kto się za nią kryje wystarczy tylko ciągle skręcać w prawo, a poza tym ten labirynt nie może być jakoś specjalnie skomplikowany.

Rozmyślając o tym wszystkim obróciłem się na pięcie i runąłem ze ślepej odnogi. Przeskoczywszy przez ciało pomocnika skręciłem w prawo. Potem było skrzyżowanie, znowu wybrałem prawy korytarz. W tym miejscu projektanci labiryntu dali poszaleć swojej wyobraźni. Ledwo zrobiłem kilka kroków po korytarzu, gdy zobaczyłem niszę, w której siedział najprawdziwszy, przykuty do ściany zardzewiałymi łańcuchami szkielet. Widywałem już takie rzeczy, nie zdziwił mnie. Ale co innego...

W chwili, kiedy się z nim zrównałem, szkielet uniósł rękę i mogilnym głosem zawył:

- Wędrowcze, odgryzę ci nogę!

Zakląłem i odskoczyłem w bok. Kościotrup piskliwie zachichotał i zaczął się szarpać, jakby zamierzał uwolnić się z łańcuchów. Poczucie humoru twórców labiryntu wysokimi lotami się nie wyróżniało.

Kolejny zakręt korytarza można było przeskoczyć, po prostu wyskoczyć i zacząć walić z pistoletu, mając nadzieję, że trafię w przeciwnika pierwszy. Tylko ten cholerny szkielet swoimi wrzaskami nie dał mi wykorzystać przewagi zaskoczenia. Właśnie dlatego, gwałtownie zatrzymawszy się, ostrożnie wyjrzałem i natychmiast odskoczyłem do tyłu.

To uratowało mi życie.

Ognista kula przemknęła obok mnie i, uderzywszy w ścianę

korytarza, wypaliła w niej okrągłą, wielkości głowy, czarną plamę.

Aha, czyli nie zdecydował się na użycie niebieskich kul. Nieźle, nieźle, to potwierdza moje wnioski. Wykonawszy jeszcze raz sztuczkę pod tytułem „szybkie pojawienie się i zniknięcie celu”, doprowadziłem do zmarnowania jeszcze jednej ognistej kuli. Powiększyła ona nieco zdobiącą już ścianę plamę, mnie nie szkodząc w ogóle.

Pomyślałem, że metamorf na pewno liczy, że wykonam swój koronny numer trzeci raz. Na próżno. Ja teraz spróbuję coś innego.

- Hej, detektywie, wyrazy szacunku! Nie jesteś taką łajzą, za jaką cię na początku uważałem.

Pomyślałem, że należało ten szacunek okazać wcześniej. Teraz takie pochwały nie miały najmniejszej wartości. Tak więc, ryzykujemy! Przykucnąłem i wysunąwszy z za rogu dłoń, otworzyłem ogień.

Za późno! Przeciwnik chyba przewidział mój manewr i zdążył się wycofać. W każdym razie korytarz na przestrzeni jakichś dwudziestu kroków do kolejnego zakrętu był pusty. Kilka moich wystrzałów poszło na marne. Choć strata była niewielka. Mój pistolet znacznie ustępował mocą corvectorowi. Ale miało to też dobre strony. Ponieważ zużycie energii było niewielkie, to i ładunek odtwarzał się niemal błyskawicznie. Tak więc mogłem walić ze swej broni ile chciałem.

W wielkim świecie, przewidując taką potyczkę, musiałbym nosić ze sobą wiadro nabojów. To nie był jednak wielki świat. Jedyna rzecz, o którą winien był się zatroszczyć właściciel broni, to ta, żeby ładowała się przed następnym strzałem.

Obrzuciwszy teraz korytarz spojrzeniem i przekonawszy się, że przeciwnik postanowił wycofać się, zrozumiałem, że

mam wybór, a należy go dokonać natychmiast. Mogę rzucić się za metamorfem i usiłować pokonać ten odcinek jak się da najszybciej, mając nadzieję, że zaskoczę przeciwnika. Ten zaś mógł zacząć się za najbliższym zakrętem, czyhając na moment, kiedy wybiorę ten właśnie wariant. Po co? A po to, że kiedy znajdę się mniej więcej na środku korytarza, metamorf wysunie się zza zakrętu i zacznie grzać do mnie ognistymi kulami. Ponieważ kryjówki tu żadnej nie ma, któraś z nich musi mnie dosięgnąć.

Z drugiej strony, może akurat teraz metamorf dyma stąd ile sił? Chwila zwłoki i ukryje się w jakiejś odnodze korytarza. A niech tam, żyje się raz! Ostrożnie ruszyłem po korytarzu, w każdej sekundzie oczekując pojawienia się wroga. Oto już za chwilę wysunie się za węgła i wypali do mnie.

Nawiasem mówiąc, w tym korytarzu też była nisza z przykutym zardzewiałymi łańcuchami kościotrupem. Pewnie, gdy tylko się z nim zrównam zacznie się wydzierać i da metamorfowi sygnał, że strzelnica została otwarta i można zacząć ostrzał.

Nic to, jam też nie kiep. Jeśli uda mi się przebyć połowę korytarza, to krok przed przykutym szkieletem otworzę ogień, a potem skoczę do przodu. Niech wtedy metamorf wysunie nochal. A jeśli nie zaryzykuje, to właśnie wtedy go capnę. Sprzyja mi też ta okoliczność, że z jego broni nie można ostrzeliwać celów na bliską odległość. Kto nie wierzy - ginie. Więc jeśli metamorf zamierza wykonać numer z niespodziewanym strzałem zza rogu, to jeśli go zaskoczę to mogę go wziąć do niewoli.

Ach, marzenia jak ptaki...

W chwili, kiedy do szkieletu został krok, zatrzymałem się. No, teraz... skok do przodu i strzelamy. Najważniejsza sprawa,

to odpowiednio szybko naciskać na spust pistoletu. A jeśli to ścierwo wysunie choćby czubek nosa...

Odetchnąłem przed skokiem i rzuciłem spojrzenie na szkielet. Różnił się czymś od poprzedniego. Ale czym? Na przykład tym, że za jego plecami znajdowała się na ścianie wielka, nieregularna, czarna, jakby wypalona plama. Nawet chyba okowy się zwęgliły i przepęślały.

Ha, widocznie budowniczowie tych kazamatów postanowili się nie powtarzać. Ciekawe, jak będzie wyglądał następny szkielet? W kolczudze i z zardzewiałym mieczem w ręku?

Czas!

Ruszyłem przed siebie bez przerwy naciskając na spust pistoletu, polewając ogniem róg, zza którego mógł się wysunąć metamorf. I dopiero po kilku krokach, kiedy minąłem kościotrupa, nagle dotarło do mnie, że ten nie krzyczał tym razem. A te plamy... I przepalone łańcuchy... Wciąż strzelając odwróciłem się i zdążyłem zobaczyć jak metamorf, już wysunąwszy się z niszy i przybrawszy męski wygląd wycelował we mnie corvector.

Bezładności nie da się ominąć. Odwracając się w biegu, żeby otworzyć doń ogień, straciłem sekundę. W tym czasie z lufy corvectora wypadła niebieska kula i przebyła połowę dzielącego nas dystansu. Na szczęście dla siebie, trafiłem kulę drugim strzałem, zanim dopadł mnie płomień eksplozji.

Upadając na ziemię pomyślałem, że niezłą pułapkę zastawił na mnie metamorf. Widocznie w jakiś sposób wyczał, że nie uciekłem, a zamierzam stoczyć z nim bitwę. Właśnie wtedy kilkoma ognistymi kulami spalił siedzący w niszy szkielet. Wystrzeliwszy do mnie drugi raz, zrozumiał, że coś na niego szykuje, więc i on przedsięwziął kroki w celu realizacji przygotowanej niespodzianki - skoczył więc do niszy i przekształ-

cił się w szkielet.

Uratowało mnie tylko to, że zrównawszy się z niszą nagle skoczyłem z całych sił do przodu. Metamorf zaś, widocznie pewny, że będę się skradał przez całą długość korytarza, zareagował nieco wolniej niż należało. A potem to już i ja skumałem, że coś nie tak i zdążyłem się odwrócić...

Ogień przeleciał nade mnie, tylko lekko oparzywszy mi kark, zaraz potem poderwałem się i zobaczyłem dającego z całych sił drapaką wroga. O, w mordę, teraz moja kolej! Mam dwie minuty, podczas których mogę go gonić jak zająca, i wykorzystam ten czas.

Rzuciłem się za metamorfem. Zanim skręcił za róg już zdążyłem wypalić doń kilka razy, ale nie trafiłem. Niełatwo jest trafić w biegu w ruchomy cel. Rachunek prawdopodobieństwa jest, co prawda, po mojej stronie. Wcześniej czy później, ale go trafię. Tylko muszę gonić za nim. Gonić i strzelać. Strzelać i gonić!

Bierz go!

Skręciwszy za róg i widząc jego plecy zrozumiałem jeszcze jedno: mam nie dwie czy trzy minuty, a znacznie więcej! Póki gonię metamorfa mam go w garści! Żeby wystrzelić do mnie musi albo się zatrzymać, albo zwolnić bieg na tyle, by odwróciwszy się, wycelować i nacisnąć na spust. W jednym i drugim przypadku trafię go wcześniej. A gdybym go jeszcze zapędził w ślepią uliczkę... Ale nie, nie będziemy brać jeńców.

Tylko, że metamorf znakomicie rozumiał, że jego sytuacja nie należy do podręcznikowych przykładów powodzenia. Labirynt poznał nieźle i nie dawał się zagonić do żadnej ślepej uliczki. Biegł prosto do tych drzwi, minąwszy które zahaczyłem nosem o niebieską kulę. Nie zwalniając i nie rezygnując z ostrzału, goniłem i myślałem. Może to i lepiej, tam na po-

wierzchni będzie znacznie łatwiej go trafić. Poza tym - mogą się napatoczyć pomocnicy starosty, wtedy naprawdę zapędzimy metamorfa w kozi róg. Podręcznikowo. Jak należy. A najważniejsze - nie dać mu odetchnąć.

A potem były drzwi, i metamorf, otworzywszy je kopniakiem, wypadł z labiryntu. Po kilku sekundach i ja wyskoczyłem na zewnątrz. Oczywiście znalazłem się w znanym już sobie ślepych zaułku. A ulica, do której dochodził, wypełniona była mieszkańcami chińskiego cyberu, którym akurat w tym momencie musiało przyjść do głowy, że trzeba wracać z pracy do domów.

Musieli mieć nieźle wyczulone na niebezpieczeństwo zmysły, ponieważ, gdy wypadłem z labiryntu, zatłoczona ulica rzuciła się do ucieczki. Za pół minuty będzie tu pusto, ale po co mi te pół minuty. Jeszcze chwila i metamorf wypadnie z zaułka na przecznicę, zmiesza się z tłumem i - szukaj tatka latka! Muszę go teraz trafić, bo ucieknie.

Zatrzymałem się i czując, jak spływa na mnie dziwny, nie-naturalny spokój, wycelowałem metamorfowi w plecy. Nie wiadomo dlaczego, ale miałem pewność, że nie spudłuję. Że właśnie teraz go zetnę, może od pierwszego strzału, może drugim, ale na pewno.

Zobaczyłem jak metamorf, chyba wyczuwając co się święci, odwrócił się. Jego twarz wyglądała w tym momencie zupełnie inaczej, składała się z samych kantów i kątów. Zmieniła się też faktura, jakby był produktem jakiegoś kiepskiego kukaraczy. Jedyne wyraz twarzy był uderzający - rozpaczliwy strach przed śmiercią. Aż mi się zrobiło go żal, aż naszła mnie ochota puścić go w diabły, ale ręka moja zadziałała poza świadomością, ponieważ uciekinier był już na muszce, i nie zostało mi nic innego, jak nacisnąć spust.

Akurat w tym momencie ktoś podciął mi nogi.

Zdażyłem co prawda wystrzelić, ale ognista smuga z lufy mojej broni trafiła nie w plecy metamorfa, a uleciała gdzieś w niebo. Huknąłem na plecy. Nawet się nie obejrzałem, nie sprawdzałem kto mnie wywrócił - przewinałem się jak mogłem najszybciej, żeby ponownie wycelować w uciekającego wroga.

Ale nie miało to już sensu, ponieważ dogodna chwila i sytuacja zostały zmarnowane. Zdażyłem tylko zauważyć, że metamorf, zrównawszy się z jakąś chudą i długą, składającą z samych listewek istotą, zaczął się przeistaczać. Jaką przybrał postać już nie zauważyłem, ponieważ zasłoniły go plecy ogromnego, podobnego do stojącego na tylnych łapach hipopotama tułaczego programu.

14.

- Miałeś umowę z moim panem.

Pewnie, że miałem. Podniosłem się na nogi, wsadziłem pistolet do kieszeni i obrzuciłem nienawistnym spojrzeniem pomocnika starosty.

- No to co?

- Usiłowałeś ją złamać - oznajmił pomocnik. - Moim obowiązkiem było nie dopuścić do tego.

- Przede wszystkim - powiedziałem - miałeś obowiązek zastrzelić metamorfa, dopiero potem zastanawiać się nad jakimiś kretyńskimi umowami. Rozumiesz, że przez ciebie metamorf znowu uciekł?

- Nie ucieknie - z niezachwianą pewnością w głosie powiedział pomocnik. - Popatrz tam, popatrz.

A niech cię, uparciuchu. Popatrzyłem, i zobaczyłem.

Trzej pomocnicy starosty. Teraz poruszali się nad podziw szybko i zręcznie, tnąc na moich oczach przerzedzony tłum, jak wilki, które wpadły w stado, chcąc znaleźć jedną jedyną owcę, oddzielić ją od innych i zagryźć w odległym kącie zagrody.

Szybko i zręcznie...

Może powolne ruchy pomocników, jakie widziałem dotychczas, były niczym więcej jak zmyłką? A może starosta rzucił na poszukiwania metamorfa innych pomocników, oszczędzanych właśnie na taką okazję? Ilu on może ich mieć? Niby nie tak dawno było ich niewielu. A teraz... Skąd ich bierze? Może pracuje dla niego inny twórca? Może kiedyś w odległej przeszłości wpadł do tego cyberu, zrobił dla starosty ze dwa tuziny

pomagierów i zwiął gdzie pieprz rośnie? Teraz zaś starosta wprowadził do boju wszystkie swoje odwody. I pewnie zwycięży, bez mojej pomocy.

- Nie musiałeś mnie tak walić po nogach - mruknąłem.

- Musiałem cię powstrzymać - przypomniał mi. - To nie twoja walka.

Czułem jak wypływa ze mnie, dosłownie wycieka gorączka potyczki, jak zastępuje ją zmęczenie i obojętność. Ma rację, pomyślałem.

To rzeczywiście nie był już moja walka. Już nie będę polował na metamorfa; wcale nie dlatego, że nie chcę ryzykować, stając na drodze starości. Po prostu - osiągnąłem to, co chciałem. Zmusiłem swojego przeciwnika do ucieczki, wystraszyłem go. To mi wystarczy, bo to najlepszy wynik. Śmierć metamorfa niczego już nie doda, i niczego nie odejmie. A więc nie jest mi do niczego potrzebna. A zabijanie dla przyjemności zostawię komu innemu. Komuś w typie tych krezusów, którzy zjawiają się tu w poszukiwaniu zakazanych rozrywek.

- Dobra - powiedziałem. - To nie moja broszka. Możesz zostawić mnie tu i iść sobie. Spadaj. Wydaje mi się, że twoim kolegom przyda się wsparcie.

Rzeczywiście - słyhać było nieopodal nieco stłumione odgłosy wystrzałów. Potem coś huknęło głośniejsze. Z dźwięku sądząc, mogła to być wystrzelona z corvectora ognista kula.

Metamorf, jak się wydało, dawał popalić swoim prześladowcom.

- Nie, idziesz ze mną do starosty - nie zgodził się pomocnik.

- Kazał żeby cię dostarczyć do jego rezydencji, jeśli się okaże, że nadal ścigasz metamorfa.

No masz ci los, właściwy fant dla właściwego człowieka. Zaraz się zacznie...

- Nie zamierzam się sprzeczać - powiedziałem. - Jak mam iść, to chodźmy. Ale czekałem tu na swojego przewodnika, zanim zaczęła się ta burza. Może poczekajmy na niego?

- Dogoni nas - oświadczył pomocnik starosty. - My musimy się śpieszyć.

- Jak mus to mus... - Nie pozostało mi nic innego jak rozłożyć ręce.

- Idziemy labiryntem. Tak będzie szybciej.

Zerknąłem na drzwi, za którymi zaczynały się kazamaty. Szczerze mówiąc, nie bardzo mi pasowała ponowna wędrówka po tych korytarzach. Chociaż - czego się tu bać? Metamorfa tam nie ma i w najbliższym czasie nie będzie. Zajęty jest innymi sprawami, ważniejszymi od ścigania jakiegoś prywatnego detektywa - ratowaniem własnej skóry. Z tej strony, gdzie rozgorzała bitwa między pomocnikami starosty i metamorfem, ciągle dochodziły stłumione odgłosy wybuchów i ciężkie eksplozje ognistych kul.

Pomocnik, widocznie uznawszy dyskusję za skończoną, ruszył do drzwi. Już miałem pójść jego śladem, gdy usłyszałem drobny stukot kopytek.

- Poczekaj - powiedziałem do pomocnika.

Oczywiście, to był Drobny Bies. Wypadł zza najbliższego rogu i pędem rzucił się do nas. Był zasapany, żeby nie powiedzieć, że spieniony jak wyścigowy koń.

- Idziemy - powiedział pomocnik, otwierając drzwi. - Dogoni nas.

Tak się też stało. Zdążyliśmy przejść zaledwie kilka kroków kiedy diabełek nas dogonił. Przycumował przy moim boku i zapytał:

- Co tu się dzieje? Dokąd się wybierasz?

Musiałem mu zrelacjonować wydarzenia z okresu jego nie-

obecności.

- Ach, że też nie było mnie przy tobie! - zakrzyknął Drobnym Bies. - Już ja bym pokazał temu metamorfowi. Nie zwiąłby nam.

Nie chciałem mówić, że gdyby nie wspomniała interwencja pomocnika starosty, to nie zwiąłby nawet mnie samemu. Ale może tak lepiej, pomyślałem.

- A moje zlecenie? - zapytałem.
- Wykonane - zameldował diabełek.
- A wynik?
- Pięć infobucksów.

No tak, jakże mogłem zapomnieć. Ulżywszy swojemu portfelowi o jeden banknot, zażądałem:

- Opowiadaj.
- Trzy dni temu w naszym cyberze był tylko jeden turysta. Nie jest zupełnie podobny do hologramu. Taki sobie frant, z laseczką.
- Masz dokładniejszy opis?
- Oczywiście.

Przekazał mi otrzymany od któregoś ze swych kolegów rysopis klienta, a ja przestałem mieć wątpliwości. Shetter we własnej osobie.

- Co on tu robił? - zapytałem diabełka.
- To samo, co inni turyści. Przybył na zabawuszkę. Ale był tu krótko, dobiegł i odszedł. To dziwne. Zazwyczaj tacy panowie siedzą u nas trzy-cztery doby. Czasem nawet dłużej.

Starając się nie nadepnąć na piętę maszerującemu przed nami pomocnikowi starosty, skinąłem głową. Czyli nasz gołąbeczek dokonał tu jakiegoś zwiadu. A żeby nie ujawnić właściwego celu wizyty, udawał „miłośnika zakazanych uciech”. Właśnie dlatego przebywał tu niedługo - tylko tyle, żeby

przekonać się, że twórca właśnie tu się ukrywa, i od razu ruszył na poszukiwanie detektywa. Którego znaleźć mu się udało!

Trwało to prawie dwie doby. Ciekawe, ilu detektywom składał propozycję? Innymi słowy - ilu moich kolegów po fachu pogoniło mu kota, zanim zwrócił się do mnie? A co to ma, zresztą, teraz do rzeczy?

- Czy ktoś poza nim przez te trzy doby zaglądał do waszego cyberu?

- Nie, tylko ten wizytant, którego zabił metamorf. Ten zjawiał się przedwczoraj.

- To pewne dane?

- Na sto procent. W każdym razie nikt się więcej do przewodników nie zgłaszał, a oni nikogo więcej nie widzieli. Może go przechwycili bandyci?

Pokiwałem głową. Może. Twórca, co prawda, załatwi takich oprychów lewą ręką, nie zwalniając kroku. W końcu jest silniejszy nawet od metamorfa.

Hm... Metamorf.

Skoro twórca może bez wysiłku wykonać program-metamorfa, to kto mu przeszkodzi stworzyć dla siebie zmieniający się kokon? W tym kontekście przepytывanie przez Drobego Biesa wszystkich przewodników nie miało sensu. Znalazłszy się w cyberze, twórca najprawdopodobniej przyjął wygląd- aborygena i spokojniutko udał się na poszukiwanie kryjówki. Nie musiał nawet kierować się do przewodników - po co miał zwracać na siebie uwagę?

Z drugiej strony bieżanina Drobego Biesa i wypłacone mu pięć infobucksów nie zmarnowały się. Teraz już przynajmniej na pewno wiem, że poszukiwanie twórcy przy pomocy hologramu nie ma żadnego sensu. Może w danym momencie wy-

glądać jak tylko mu się zamarzy. Poza tym przekonałem się, że twórca w tej dyscyplinie jest rzeczywiście biegły. Dobrze, że mam tylko dowiedzieć się, gdzie ma swoją norę. Nic więcej. Potem walczyć z nim będzie Shetter, a ja, wzięwszy swoje honorarium, udam się na zasłużone wyczekiwanie na nowego klienta.

Ale jak się dowiedzieć, gdzie ukrywa się twórca?

Podłoga korytarza, który przemierzaliśmy posiadała dziwną właściwość wzmacniania odgłosu kroków. Odbierałem to tak, że poza mną, pomocnikiem starosty i diabełkiem, po labiryncie tupie stado słoni. Pomyślałem nagle, że labirynt jest bardzo wygodnym miejscem na kryjówkę twórcy. Kto wie - może jest o kilka kroków od nas, albo kilka kroków nad nami?

- Labirynt ma jeszcze jeden dolny poziom? - zapytałem Drobного Biesa. - Co się tam znajduje?

- Nic - odparł. - Po prostu jeszcze jeden poziom. Jeszcze bardziej zagmatwany.

Posłałem mu niedowierzające spojrzenie. Zrobił minę urażonej niewinności. Miała oznaczać, że wszystkie moje podejrzania są bezpodstawne.

Co tylko je wzmocniło.

W chińskich cyberach, jak się już przekonałem, niepotrzebne budynki nie istnieją. Szczególnie, jeśli to jest cały poziom labiryntu. Jest więc tam coś takiego, o czym - zdaniem Drobного Biesa - turysta wiedzieć nie powinien. Może twórca tam się ukrył? Z jakiej niby paki metamorf tak dobrze zna labirynt?

Ale jak to sprawdzić? Shetter nie potrzebuje domysłów i hipotez. Zanim go wywołam muszę nabrać pewności, że twórca ukrywa się właśnie tu. Może po prostu właśnie teraz udać się na penetrację tego poziomu? Drobny Bies zna go wspaniale i nie da mi zabłądzić. Więcej - jeśli zaproponuję mu

dwadzieścia-trzydzieści bucksów ekstra, kwotę według miejscowych kryteriów astronomiczną, to na pewno zdradzi mi tajemnicę dolnego poziomu i nawet mnie oprowadzi po nim.

- My tu - powiedział pomocnik starosty.

Otrząsnąłem się z rozmyślań i odkryłem, że prawie minąłem odnogę, do której już skręcił nasz przewodnik. No tak, przecież jeszcze mnie czeka rozmowa ze starostą, żeby go wszyscy... Nie będzie to pewnie lekka rozmowa, w końcu wygląda na to, że złamałem naszą umowę. Zakląłem w duchu i poszedłem za pomocnikiem. Korytarz, w jaki skręciliśmy, wyprowadził nas w kolejny ślepy zaułek. Po dziesięciu minutach znaleźliśmy się przed rezydencją starosty.

- Czekaaj - polecił pomocnik, zanim wszedł do rezydencji. - Zamelduję.

Niech to licho, czuję się jakbym był aresztowany. A może nie? Gdybym był, to powinni obok mnie stać strażnicy, na wypadek gdybym usiłował wiać. Bez nich to wszystko wygląda dość kulturalnie, bez aluzji do pozbawienia mnie wolności. Tyle, że nie wolno mi nie posłuchać, bo kto wie, jak zareaguje na to starosta? Może rzeczywiście pozbawi mnie savera, a wtedy pierwsza lepsza banda spróbuje przerobić mnie na bigos. Już miałem zapytać Drobrego Biesa, czy zdarzały się w historii cyberu takie sytuacje, kiedy turyście odbierano saver, ale zostałem zaatakowany przez napad ziewania.

No tak, zupełnie zapomniałem. Sen. Jedna z właściwości turystów. Życie w cyberach wrze i kipi dzień i noc, bez przerw. Turyści mogliby w ogóle zapomnieć o śnie i w wyniku tego, po kilku dobach, dopadłoby ich przemęczenie, albo jakieś łagodne stadium wyczerpania nerwowego.

W każdym razie tak kiedyś było. Potem wymyślono prawo, zgodnie z którym każdy kokon udającego się do cyberu tury-

sty wyposażony był we właściwość usypiania swojego właściciela po upływie określonego czasu. Żeby uniknąć...

Oczywiście, nie odbywa się to skokowo. Pół godziny przed uśpieniem turysta zaczyna ziewać. Tak jak ja teraz. To sygnał, że czas albo uciekać z cyberu, albo znaleźć domek, w którym można uciąć sobie drzemkę.

Wyszperałem w kieszeni pudełeczko z tabletkami, wyjąłem je i zażyłem jedną pastylkę. Ziewanie skończyło się jak ręką odjął. Chowając pudełeczko, pomyślałem z wdzięcznością o dozorczy ogrodu zoologicznego ze starymi wirusami, który wyposażył mnie w te pastylki. Cwaniak nad cwaniaki. Wszystkie wystawione na pokaz potwory są niczym innym jak humbugami. Starożytne wirusy na pewno nie tak wyglądały, ale ponieważ nikt nie pamięta jakimi naprawdę były, to ogród zoologiczny prosperuje całkiem dobrze i przynosi niezły dochód. A to z kolei pozwala dozorczy w wolnym czasie zajmować się wyszukiwaniem różnych takich rzadkich i trudno osiągalnych w naszych czasach gadżetów. Takich, jak na przykład, to puzderko z pastylkami przeciwko snu, albo archaiczne, przystosowane do działalności antyterrorystycznej elektrobody, które tak mi się przydało w czasie walki o swoje ciało pół roku temu.

- Czy to były symptomy snu? - zapytał Drobny Bies z zainteresowaniem obserwujący moje manipulacje z tabletkami.

- Tak.

- No to jesteś turystą czy tułaczym programem? Już uznałem, że jesteś jednak tułaczym programem, a teraz widzę, że zaczynasz ziewać.

- Jeszcze sam nie zdecydowałem - powiedziałem.

- Jak to? - zdziwił się Drobny Bies.

- To skomplikowana historia.

- No to zaczynaj. Jestem pojętny.

Jeszcze jak. Ale nie chciało mi się opowiadać Drobnemu Biesowi o swoich peregrynacjach. Przede wszystkim dlatego, że obfitowała ta opowieść w szczegóły, nie podlegające ujawnieniu. Na szczęście, akurat w tym momencie z rezydencji wyszedł pomocnik i polecił:

- Idź za mną. Przewodnik poczeka tutaj.

To mnie urządziło. Przynajmniej Drobny Bies nie zobaczy, jak ktoś obsztorcowuje jego chlebobawcę. Bo w to, że czeka mnie duży sztorm, już niemal nie wątpiłem. Starosta oczekiwał mnie w znanej już sali narad. Walnąłem się na poduszkę, dość bezceremonialnie oparłem się łokciami o niski stolik, dzielący mnie od siedzącego na takiej samej poduszce starosty, i przygotowałem się do słuchania.

Starosta milczał.

Wtedy wyjąłem z kieszeni papierosa, zapaliłem i przysunąłem do siebie stojącą na stoliku popielniczkę.

Starosta ciągle milczał.

Może na coś czekał, może podejmował decyzję, jak ma zareagować na taką demonstrację niezależności. W każdym z tych wariantów nie zamierzałem pierwszy zaczynać rozmowy. W tego typu zmaganiach niemal zawsze przegrywa ten, kto pierwszy wyłoży na stół swoje atuty. Milczeliśmy. Od czasu do czasu strząsałem popiół do popielniczki. Potem wrzuciłem tam niedopałek, i, wyprostowawszy się, popatrzyłem wyczekująco na starostę.

- Złamałeś obietnicę - odezwał się ten.

- Nic podobnego - powiedziałem. - Nie zamierzałem polować na metamorfa. To on napadł na mnie i musiałem się bronić.

- Ale mój sługa widział jak pędziłeś za nim, usiłując go za-

strzelić.

- Gdyby mi nie przeszkodził ten twój sługa, metamorf już byłby martwy.

Starosta skinął głową, jakby zgadzał się z jakimiś swoimi myślami.

- Jak to się ma do twojego stwierdzenia, że to metamorf pierwszy cię zaatakował?

- Tak było. Metamorf napadł na mnie w labiryncie, gdzie walczyliśmy, a potem on zaczął uciekać. Gdybym mu dał odechnąć, to mógłby wrócić i jeszcze raz mnie zaatakować.

- Jeśli udało ci się pogonić kota metamorfowi, to musisz być wielkim wojownikiem? - zapytał starosta.

- Nie - przyznałem. - Po prostu miałem szczęście. Jednakże potrafiłem to wykorzystać. To niemało.

Odpowiedź, jak mi się wydało, staroście się spodobała. Machnął ręką, jakby odpędzał jakiegoś komara i powiedział:

- Dobrze, uznajemy, że nie można cię oskarżyć o złamanie umowy.

- Jak się chce, to można każdego oskarżyć o wszystko - powiedziałem, prowokując starostę do wyznania.

- Nie zamierzałem kogokolwiek fałszywie oskarżać - zakomunikował starosta. - Chciałem tylko poznać prawdę.

- Czy w takim razie mogę odejść?

- Nie, jeszcze nie. Nasza rozmowa jeszcze nie jest skończona.

- O czym mamy rozmawiać? Dopiero co zgodziliśmy się, że nie złamałem obietnicy.

- No tak - powiedział starosta - ale ustaliliśmy, że spełnienie umowy zależy od osoby trzeciej, przy tym nie mającej o tym najmniejszego pojęcia.

- Od metamorfa?

- Dokładnie.

Westchnąłem. W tej grze wygrywa ten, kto ostatni wyłoży na stół swoje atuty. I oto starosta położył swój ostatni honor. A ja, jak się okazuje, nie mam czym go pokryć. Nie będę się poddawał, o nie, powalczę. Chociaż..

- A co to zmienia? - zapytałem chytrze.

- Wszystko. To czyni niemożliwym dalsze wykonywanie naszej umowy.

- W takim przypadku - odparłem - uznajmy, że rzeczywiście nie da się jej wykonać. Czy mogę już odejść?

- Naturalnie. Nie mogę cię zatrzymywać. Jednakże chciałbym przestrzec.

Masz, zaczyna się.

- Przed czym?

- O tym, że skoro nasza umowa została unieważniona, to mogą ci się przydarzyć różne nieprzyjemne historie. I to szybko.

- A co z moim saverem? - zapytałem chytrze.

- No, nadal chroni przed złodziejstwem - zmrużył oczy starosta. - Ale co się stanie, jeśli jakiś zręczny złodziej ukradnie ci i jego? Myślisz, że to takie trudne? Przy okazji, doszło do mnie, że trochę poznałeś bandytów, zasiedlających nasz cyber. Ale ze złodziejami ci nie wyszło. Myślisz, że to przypadek?

Czy to ja pomyślałem o argumentach starosty „honor”? Jaki, do licha, honor? To nie honor a lufa przystawiona do czoła. Czy długo pociągnę bez savera? Podenerwowany zapaliłem papierosa i badawczo spojrzałem na starostę. Ten uśmiechał się najniewinniej pod słońcem. Dokładnie jak Budda, który osiągnął stan nirwany.

- Dobra - zgodziłem się. - Ile mam zapłacić, żebym czuł się bezpieczny i żeby nie przeszkadzano mi w poszukiwaniach?

Płynnym, okrągłym ruchem starosta rozłożył ręce.

- Nic.
- Rozumiem - mruknąłem. - Co więc mam zrobić?
- Tylko wynieść się z mojego cyberu. Od razu. Nie czekając, niezwłocznie.

I już. Mat w dwu ruchach.

- A jeśli nie?
- Jeśli nie, zaczną się nieprzyjemności. Duże.
- Czy, kiedy twoi pomocnicy wykończą metamorfa mogę wrócić?
- Możesz - niechętnie przyznał starosta. - Ale dopiero wtedy, kiedy skończymy z metamorfem.
- Chyba, że to on skończy z tobą i pomagierami?
- No to cyber będzie miał innego starostę. Może ten będzie miał więcej szczęścia. Jakkolwiek potężny jest i chytry metamorf, to nie może walczyć z całym cyberem. Wcześniej czy później go zabiją.

Prawda. Niewątpliwie go zabiją. Ostrożnie odłożyłem papierosa do popielniczki; usiłowałem wymyślić, co się stanie kiedy powiem staroście o obecności w cyberze twórcy.

Co wtedy zrobi? Czy zrozumie, że twórca bez trudu zrobi jeszcze jednego metamorfa? Może, i to niejednego, ale dziesięciu, jeśli znajdzie na to czas. A może nie wyprodukować ani jednego. Właściwie - po co on go w ogóle zrobił? Prawda, potrzebował pieniędzy i pieniądze zdobył. Pieniądzy więc ma już sporo i w najbliższym czasie nie będzie potrzebował nowych. Tak więc, jeśli zabiją mu tego metamorfa, to nawet nie odczuje potrzeby tworzenia nowego.

Po co mu? Żeby wypowiedzieć wojnę temu cyberowi? Głupie aż do bólu. Przybył tu nie na wojaczkę, ale żeby się ukryć. Może nawet pozwoli na zniszczenie swego tworu i po prostu

się przyczai, w oczekiwaniu na lepsze czasy. Ja bym na jego miejscu tak właśnie postąpił. Tak więc wychodzi z tego, że starosta wcale nie musi wiedzieć o obecności twórcy w jego cyberze.

Popatrzyłem na niego. Siedział nieruchomo już chyba z minutę. Zupełnie nieruchomo, jak to tylko potrafią tułacze programy. Siedział, uśmiechał się i wpatrywał we mnie zimnym, nieobecnym wzrokiem, czekał na moje ruchy. Zupełnie nie wiedziałem o czym myśli.

W ogóle niewiele wiedziałem. Moja sytuacja nie była chyba najgorsza; z cyberu pewnie będę musiał odejść. Ale czy to jakiś dramat? Przynajmniej będę mógł spróbować zdobyć pewne, potrzebne mi informacje. Tu nie mogę się do nich dostać. A potem, jak już je zdobędę, wrócę tu. Do tego czasu któryś z nich musi zwyciężyć, albo starosta, albo metamorf. I w jednym, i w drugim przypadku sytuacja się ustabilizuje. A ja będę mógł zająć się bez przeszkód poszukiwaniami twórcy.

Ciekawe, co by się stało, gdybym powiedział staroście o twórcy? Nie da się odgadnąć jak na to zareaguje, wariantów jego reakcji jest mnóstwo. Łącznie z taką, że takie gadanie może mi zaszkodzić, i to tak, że wykonanie zawartego z Shetterem kontraktu stanie się niemożliwe.

Ale jaki uczciwy człowiek... Uczciwy człowiek? Po pierwsze, czy jestem w ogóle człowiekiem? To by należało wyjaśnić. Po drugie, jestem najemnikiem. Wynajęto mnie do znalezienia twórcy. Tylko tyle. Nie mniej i nie więcej. Znaleźć i powiadomić, otrzymać honorarium i odejść. Cała reszta mnie nie dotyczy. Więcej - cała reszta nawet mi przeszkadza w wykonywaniu zadania. A powiadamiając starostę o twórcy w cyberze być może zawałę to zlecenie do końca.

A twórca... Będzie siedział cicho, nie przypominając o swoim

istnieniu. Bo inaczej po co by się ukrywał? No i wychodzi mi, że najrozsądniej będzie, jeśli teraz wycofam się i wrócę za kilka godzin, kiedy afera z metamorfem już się skończy tak czy owak, i będę mógł dokończyć poszukiwania. Tym bardziej, że starosta już nie potrzebuje mojej pomocy. A jeśli jeszcze raz wtrącę się do polowania na metamorfa, to może się to skończyć dla mnie nieprzyjemnie.

- No to jak, odchodzisz? - zapytał w końcu starosta.
- Jak muszę to się skuszę - powiedziałem. - Odejdę.
- Ale już. Natychmiast.
- Tak, już. Nigdzie się nie będę zatrzymywał.

Podniosłem się z poduszki. Wszystko już zostało powiedziane. Naprawdę nie zostało mi nic innego jak odejść. Bez zwłoki.

- Powodzenia - smętnym głosem powiedział starosta.
- Tobie też go życzę.

Doszedłem do drzwi sali, kiedy usłyszałem z tyłu:

- Gdybym to ja chciał wracać do tego cyberu, to bym się najpierw mocno zastanowił. Pamiętaj, że będziesz musiał najpierw jakoś przedostać się do mojej rezydencji. A mnie żadne okoliczności nie zmuszą do wyjścia ci na spotkanie. Rozumiesz?

Skinąłem głową. Pewnie. Wyłożone jasno i przystępnie. Może nawet starosta urządzi wszystko tak, żebym, wróciwszy tu, nie mógł za diabła przedostać się do jego rezydencji.

Nic to. Jeszcze się pomyśli. Kiedy tylko opuściłem rezydencję, Drobny Bies podskoczył do mnie.

- A teraz dokąd?
- Do portalu - powiedziałem. - Najkrótszą trasą.
- Jak to? - zasmucił się diabełek. - Odchodzisz?
- Tak. Muszę zdobyć pewne dane, których w twoim cyberze

zdobyć nie mogę.

- A więc wrócisz? - z ulgą w głosie zapytał Drobny Bies.
- Nieodwołalnie. Za kilka godzin, i będę kontynuował poszukiwania.
- To świetnie - ucieszył się diabełek. - No to do portalu?
- Tak.
- Przez labirynt?
- A można inaczej?
- Można. Idziemy.

Szliśmy ulicami chińskiego cyberu, albo zapchanymi przechodniami, śpieszącymi załatwić jakieś swoje sprawy, albo pustymi, na których tylko trafiali się od czasu do czasu leniwie spacerujący bandyci i, oczywiście, wróżychy, podobne do tej staruchy, która nagabnęła mnie zaraz po wyjściu z portalu.

Popatrzyłem na niebo, napawałem się chwilę widokiem smoka. Był naprawdę piękny. Wykonany widocznie przez jakiegoś zdolnego kukaraczę, a może i twórcę. Chociaż po co miałby twórca marnować czas na takie drobiazgi? A może i zmarnował, nie takie rzeczy zdarzają się życiu.

- Poczekaj, mam do ciebie jedno pytanie powiedziałem. -
Dotyczy savera.

- O co chodzi? - ożywił się diabełek.
- Czy jak teraz odejdę z waszego cyberu, a potem wrócę, to muszę kupować go od nowa?
- Inaczej nie da rady - powiedział Drobny Bies. - Saver jest wykonany na jedno przechodzenie przez portal. Jeśli przejdziesz z nim portal drugi raz, to zmieni się na zielony i straci swoje właściwości. Trzeba będzie kupować nowy.
- Dlaczego tak jest?
- To proste. Większość naszych wizytantów przychodzi do nas z innych cyberów, już mając takie płytki. Otrzymują je od

pośredników. Płacą za nie tam i tam otrzymują towar. W naszym cyberze nic im nie grozi, więc przybywając tu tylko wynajmują przewodnika.

- Rozumiem. A przy powtórnej wizycie saver się anuluje.

- Dokładnie. Po prostu, żeby turyści nie mogli wracać ze skradzionymi saverami i korzystać z nich drugi raz.

- Rozumiem - powtórzyłem.

Rzeczywiście - sprytnie i proste. Wróciwszy do cyberu naprawdę będę musiał udać się do starosty po płytkę. A po drodze trafią mi się bandyci. A jakby... Jakbym wyteżył zwoje, to może bym i wymyślił jak tego uniknąć. I wydaje mi się, że mam pewien pomysł. Żeby tylko zgodził się Drobnny Bies.

- Poczekaj - zapytałem przewodnika. - Czy to oznacza, że wróciwszy, będę musiał wynająć nowego przewodnika?

- Niestety, tak - westchnął diabełek. - Mam nadzieję, że wyprzedzę swoich konkurentów i pierwszy cię spotkam. Mam pewną przewagę, bo wiem, że wrócisz za kilka godzin.

- A chciałbyś mieć pełną gwarancję, że zostanę twoim podopiecznym?

- W jaki sposób?

- Proste jak świński ogon. Kiedy znajdziemy się przy portalu, oddam ci swój saver. I po prostu poczekasz na mnie przy portalu. Wróciwszy odbiorę swoją płytkę i ponownie cię wynajmę. Pasuje?

- Ciekawy pomysł - poderwał się diabełek. - Zakładasz, że skoro saver nie przejdzie z tobą przez portal, to wróciwszy, zamiast kupować nowy, będziesz mógł wykorzystać stary. Bo on nie zzielenieje.

- Właśnie.

- W ten sposób zaoszczędzisz sto infobucksów.

- Oczywiście. A ty dostaniesz dodatkową kwotę w wysoko-

ści pięciu infobucksów - powiedziałem szybko.

- A ty zaoszczędzisz dziewięćdziesiąt pięć. Może tak podniósłbyś moje wynagrodzenie?

- Nie - powiedziałem. - Tylko pięć. Nie rozumiesz? Pomysł jest mój, ja powinienem na tym przyciąć najwięcej. Ale ty będziesz miał gwarancję, że zostanę twym klientem.

- Dobra - zgodził się bez większego oporu. - Przybicie. Niech tak będzie. Ale nie mogę siedzieć pod portalem. Będę czekał na ciebie na skrzyżowaniu.

- Dlaczego?

- Takie jest prawo. Ani bandyci, ani przewodnicy nie mają prawa pojawiać się na ulicy, przy której znajduje się portal. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby nie funkcjonował ten przepis?

- No co?

- Patrz... Wychodzi z portalu wizytant. I co widzi? Po jednej stronie ulicy szereg bandytów. Po drugiej - szereg przewodników. Co dalej? Bandyci i przewodnicy zaczynają się o niego bić. Nietrudno odgadnąć, że niczym dobrym to się nie skończy. Dobrze mówię?

- Raczej tak.

- Właśnie. Tak więc, żeby nie dochodziło do takich numerów, ulicę, na której jest portal, uznano przez przewodników i bandytów za coś w rodzaju tabu.

- Dobra - zgodziłem się. - Niech będzie, że to sensowny układ. Ale, czy my jesteśmy umówieni?

- Jeszcze jak - przytaknął diabełek. - Ale pamiętaj: zanim odejdiesz, rozliczysz się ze mną co do grosza.

Uśmiechnąłem się. Co racja, to racja: na Allachu polegamy, ale wielbłąda przywiążę porządnie. To dobre, zweryfikowane przez historię prawidło. Skręciliśmy w przecznicę. Chyba za-

czynałem trochę się orientować w topografii cyberu-122. Jeśli się nie myliłem, to do ulicy, na którą wychodził portal, zostało kilka przecznic.

Popatrzyłem na wiszącego nad głową smoka. Wydało mi się, że puścił do mnie oko. Nie, na pewno mi się wydawało, ale... kto wie? W świecie cyberów nie takie numery się zdarzają.

15.

W „Krwawej Mary” nic się nie zmieniło.

Barman usiłował schwytać do siatki pływające pod sufitem rybki. Przy barze sterczał Plotka. Wzrok Plotki niespiesznie miotał się między stolikami, przystając to przy jednym, to przy drugim, żeby posłuchać o czym tam się mówi. Na plecach wzrok miał wypisane dużymi literami „Zamyślony”.

Nobbina nie było. Widocznie wyruszył na oprowadzanie kolejnego klienta po krainie obfitej miłości i wiecznego luzu. Hobbin siedział przy odległym stoliku, twarzą do drzwi i wpatrywał się w nie wielkimi, wytrzeszczonymi oczyma. Przypominał mi jakoś drapieźnika, cierpliwie wyczekującego w zasadzce na pojawienie się zdobyczy. Tak zresztą, było naprawdę. Lada moment mógł pojawić się odpowiedni turysta, a wtedy Hobbin ruszy do akcji. Wtedy pokaże swoje walory.

Podszedłem do baru i oparłszy się o kontuar zacząłem oczekiwać kiedy barman zwróci na mnie uwagę. Nie nastąpiło to tak szybko, jakbym sobie życzył. Kolejny raz spudłowawszy, barman chrząknął rozczarowany, wsunął siatkę pod ladę i odwróciwszy się do mnie powiedział:

- Na kredyt nie polewamy.

Wyjąłem z kieszeni pięć infobucksów i położyłem na kontuar.

- Na początek dwa kufelki piwa. I paczkę dobrych, nie chińskich, papierosów.

Starannie ułożywszy banknot na swojej dłoni barman na chwilę zamarł, a potem skinął głową zadowolony.

- Nie fałszywy aby? - zapytałem z udawanym współczu-

ciem.

- Nie-e - stwierdził barman.

Ale i tak, widziałem to, miał jakieś wątpliwości. Wiedziałem dlaczego. Należał do rasy rozumnej, nie zdolnej do wiary w cuda. Tacy jak on, widząc że ktoś wolno, przez długi okres czasu opada na dno, uważają to za proces całkowicie nieodwracalny. Może i ma rację? Jeszcze nie wypełniłem warunków kontraktu, i nie jestem pewien, czy mi się uda.

Dobra, precz smutne myśli. Mam okazję spokojnie posiedzieć, niespiesznie przemyśleć wszystko, może nawet dojść do jakichś ważkich wniosków? I napić się piwa.

Piwa.

Barman postawił przede mną dwa kufle. Wziąłem jeden, drugi podsunąłem Plotce. Ten zadowolony mlasnął, nie patrząc zagarnął kufel i wykonał niezły wlew. Fajnie, teraz gdzieś muszę przycupnąć. Wziąłem swoje papierosy, trzy bucksy reszty i ruszyłem do wolnego stolika. Usiadłszy przy nim, rozejrzałem się.

Barman, nieco skonfundowany, przyglądał się trzem małym monetom napiwku. Potem ostrożnie, po jednej zebrał je z kontuaru i, uśmiechnąwszy się niewyraźnie, wsunął do kieszeni.

Łyknałem z kufła. Piwo było dobre, jak trzeba, niemal takie, jak w wielkim świecie. Zanim ryknąłem drugi raz spędziłem z ramienia wzrok Plotki, który już zdążył się tam ulokować. Spadł na podłogę, poderwał się i zaczął oburzony ćwierkać na całe gardło. Ale trwało to krótko. Śmiesznie przebierając krótkimi łapkami, wzrok pobiegł do pana poskarżyć się. Miał teraz na plecach inny napis - „Zainteresowany”.

No dobrze, niech sobie będzie.

Zająłem się piwem na poważnie i oderwałem się od kufła

dopiero wtedy, gdy zaprezentował mi swoje dno. Przez ten czas nic się w barze nie zmieniło, poza tym, że Hobbin jakimś cudem znalazł się przy moim stoliku. Teraz siedział naprzeciwko mnie i gapił się swoimi wielkimi oczyma. Jego małe usteczka wykrzywiał niedobry uśmiech.

- Cześć - powiedziałem do Hobbina. - Jak leci?
- Ty mnie nie zagaduj - wycodził mój towarzysz. - Opowiadaj.
- Co mianowicie?
- Gdzie się urządziłeś. Przejąłeś klienta na ulicy, co? Przypadkiem nie tu szorował? Pamiętaj, że ci, co kierują się do „Krwawej Mary” są już naszymi klientami. Nie pozwolimy na ich przechwytywanie.
- Spadaj - poradziłem mu. - Nie potrzebuję waszych klientów. Mam dość swoich. W moim zawodzie. Kapujesz?
- Łżesz - oświadczył z niezachwianą pewnością w głosie. - Jaki dureń...

Zamknął się. Na brzegu stolika przycupnął wzrok Plotki. Zupełnie inny wzrok. Ten miał ironicznie wykrzywiony pyszczek, na koniuszkach wąsów miał kropelki piwa, a i był dwa razy grubszy od poprzedniego.

- Essutil znalazł sobie klienta - pisnął wzrok. - Został wynajęty do poważnej sprawy.
- Essutil, to być nie może - upierał się Hobbin. - Plotka cię chroni. Sam widziałem, jak poczęstowałaś go piwem. Dlatego tak się stara.
- Chcesz powiedzieć, że mój pan łże? - rozeźlił się wzrok. - Lepiej uważaj. Jeszcze nikt bezkarnie nie oskarżał mojego pana o kłamstwa.

Hobbin, zamierzający kontynuować swoją obrzydliwą tyradę, nagle rozmyślił się. Zwróciwszy w końcu uwagę na Plotkę,

zapytał:

- To prawda?
- Absolutna prawda - powiedział wzrok.
- No dobrze. Jak tak, to nie ma sprawy.
- No właśnie.

Pokazawszy Hobbinowi język, wzrok zeskoczył ze stołu i uciekł. Popatrzyłem na Hobbina z wyrzutem, zawstydzony opuścił oczy. Wzruszywszy ramionami dopiłem resztkę piwa, poszedłem do kontuaru i przyniosłem następne dwa kufle. Jeden przysunąłem Hobbinowi. Nie podnosząc na mnie oczu, odsunął kufel niezdecydowanym ruchem.

- Co się gryziesz - powiedziałem przysuwając kufel ponownie. - Zdarza się.
- Nie miałem racji - powiedział Hobbin.
- Oczywiście, że nie. Ale na piwo nie ma co się obrażać, trzeba je wypić. Po to zostało uwarzone.

Hobbin wahał się chwilę, ale w końcu przysunął do siebie kufel i łyknął zeń, potem drugi raz i trzeci, aż wykończył go do połowy.

- Wczoraj - powiedział - z Nobbinem postanowiliśmy machnąć ręką na klientów i ruszyć na polowanie na kreta. Żeby przypomnieć sobie, że tak powiem, młode lata. Ależ krety teraz się rodzą... Za naszych czasów ledwo się ruszały. A teraz takie, ścierwa, ruchliwe, że aż się w pale nie mieści.

Odstawiłem na bok niemal pełny kufel, zapaliłem papierosa i przepełniony błogością skinąłem głową. No, teraz wszystko jest OK. Zaraz usłyszę kolejną opowieść z życia polujących na krety. A przy akompaniamencie tej historii można ruszyć mózgiem w inną stronę. Na przykład, jak mam znaleźć tego czającego się w chińskim cyberze twórcę. I jakie dane są mi niezbędne do niezawodnego wykonania tego zadania. Czego mi

potrzeba przede wszystkim?

Mapy cyberu-122. Byłaby nie od rzeczy. W każdym razie mógłbym, rozpytawszy Drobniego Biesa, wyróżnić te dzielnice, w których należałoby poszukać w pierwszej kolejności. Nie, w pierwszej kolejności należy poszperać w labiryncie. Ale co zrobię, jeśli tam go nie będzie? Właśnie, wtedy przydałby się plan. Gdzie go można znaleźć? Zwrócić się do gliniarzy? Nierealne. Nawet gdyby mieli takowy, to mi go nie pokażą. Więcej nawet - zaczną zadawać głupie pytania. Kto wie, może uda im się nawet zmusić mnie do wygadania o twórcy? A to by było zupełnie do bani.

Wniosek numer jeden: do gliniarzy nie mam po co się zwracać w żadnej sprawie. Wniosek numer dwa: wszystkie dane należy zdobyć, że się tak wyrażę, w sposób nieoficjalny. Jaki?

Zerknąłem na Plotkę.

Wydawało się, że stanął na kotwicy przy barze na długo. To nie był przypadek. Tyle, że nie potrzebowałem teraz aluzji i mglistych pogłosek. Potrzebuję konkretnych, możliwie dokładnych danych. A Plotka raczej mi tego nie jest w stanie zaoferować. Może zwrócić się do Pałacu Słuchów? Do tego działu, gdzie handlują dziewięćdziesięcioprocentowymi wiadomościami? No, to już lepiej. Ale obedrą mnie tam ze skóry. Na pewno przyjdzie mi oddać tam wszystko, co zostało z zaliczki od Shettera. Jeśli moje poszukiwania nie skończą się sukcesem, to znowu będę załatwiony.

Ale, gdybym innego wyjścia nie znalazł przyjdzie mi udać się do nich. Ale na razie... Aha, byłbym zapomniał. Powinienem wpaść do dozorczy ZOO z wirusami. Kto wie, może on będzie mógł mi pomóc? Zawsze miał wszystko, czego dusza zapra gnęła. Może też wiedzieć coś i interesującej mnie sprawie.

Idźmy dalej. Kto jeszcze?

Gloria.

Żeby tylko wiedział, gdzie można ją znaleźć. Jakoś bym się z nią dogadał. Jasne, że interesuje ją gotowizna, ale informacje - jeszcze bardziej. Jest dziennikarką i informacje są jej chlebem powszednim. Ale gdzieś mi znikła, może udała się w kolejną delegację, do jakiegoś odległego cyberu. Dobra, to też może poczekać. Teraz powinienem dokładnie określić jakie dane są mi niezbędne.

Niedopałek papierosa sparzył mnie w palce, wrzuciłem go do popielniczki.

Hobbin nawijał jak natchniony:

- ...i wtedy my go niemal capnęliśmy. Wzięliśmy dosłownie w kleszcze. Niby już nie miał gdzie uciekać. I wiesz co się stało? Ten drań wymknął się i zwałił na Nobbina worek z forszą. Wiesz, co krzyknął uciekając?

- No? - zapytałem.

- Że ma bujniejszą wyobraźnię. A w jego działalności to rzecz podstawowa. I, że nie wiadomo ile byśmy za nim ganiłi i tak nic z tego nie wyjdzie. Co za świr, nie?

- Noo - zgodziłem się odruchowo, tego ode mnie oczekiwał.

- Rzeczywiście, beczelny.

- To właśnie mówię - powiedział Hobbin.

Tak się przejął, że niemal duszkiem wykończył pozostałe w kuflu piwo. Rozczarowany zerknął do kufla, pokręcił głową i zerknął na mnie z nadzieją.

E, kochaniutki, znamy się na tych sztuczkach. Widziałem to nie raz w ciągu ostatniego półrocza. Albo i wcześniej, od czasu kiedy zacząłem odwiedzać „Krwawą Mary” i poznałem parę stale tu rezydujących cwaniaków - Hobbina i Nobbina. Choć, może uda się jakoś wykorzystać Hobbina? Poszedłem do

baru i przyniosłem mu jeszcze jeden kufel piwa. Postawiłem przed nim i zapytałem:

- Co wiesz o twórcach?
- Hm... o twórcach?

Zrozumiawszy, że banialuki mnie dziś nie interesują, Hobbin natychmiast się uspokoił, łyknął z kufla i zamyślił się.

- To, że jest najwyższy to stopień programistów, wiem - odezwałem się. - Powiedz coś innego, a najlepiej wszystko, co wiesz.

- Szczerze mówiąc, to o twórcach specjalnie dużo to nie wiem - przyznał Hobbin.

- Ale coś wiesz. Wykładaj wszystko, co ci wiadomo.

- No, twórcy są bardzo potężni - kulawo zaczął Hobbin. - Kukaracze mogą pracować tylko przy pomocy podręcznych programów. Twórcy ich nie potrzebują. Mogą stworzyć dowolny podręczny program sami. Dlatego każdy twórca znajduje się pod stałą kontrolą gliniarzy. No bo kto wie, czy nie przyjdzie mu do głowy zrobić coś niezgodnego z prawem?

- Dobra, dawaj dalej.

- Mieszkają i żyją sobie, jak pączki w maśle. Wszystko mają. A jak potrzebują czegoś ekstra, sami mogą sobie to zrobić.

- Naprawdę wszystko?

- Wszystko, co tylko zechcesz. Jest ich bardzo mało. Gdyby ich było więcej...

- To prawda, mało - powiedziałem. - A co jeszcze wiesz?

- Poczekaj - mruknął Hobbin.

Uniósł się lekko z krzesła wpatrując się w coś ponad moim ramieniem. A ponieważ siedziałem plecami do wejścia, to nie mógł to być nikt inny, jak nowoprzybyły turysta. Zdobycz. Drapieżnik doczekał się jej w końcu, i zaraz wykona skok. Nie ma nawet co próbować go zatrzymać. Można tylko mieć na-

dzieję, że zdobycz mu się wymknie. Rzadko, ale czasem się to zdarza.

Odwróciłem się. No tak...

Kokon turysty pachniał forszą. Oczywiście nie był taki, jak Shettera, ale kosztował niemało. Przy tym, albo turysta nie należał do tych szpanerów, zmieniających modele kokonów jak skarpetki, albo wzbogacił się nie tak dawno i postanowił na tę intencję zaszaleć na całego. To drugie - pewniejsze. A co za tym idzie, Hobbin zaraz weźmie go w obroty.

- Muszę iść - mruknął Hobbin.

Wstał i ruszył w kierunku turysty.

Dopiłem resztkę swojego piwa, zapaliłem nowego papierosa i dopiero potem popatrzyłem w stronę stolika, przy którym Hobbin posadził swojego klienta. Sądząc tak na oko, rozgrywała się tam wielokrotnie odegrana już scena - klient niezbyt umiejętnie i bardzo nieprzekonująco udawał, że przyszedł do „Krwawej Mary” tylko na kufelek piwa. Hobbin udawał, że mu całkowicie wierzy, opowiadał jak wspaniale poluje się tu na krety, i od czasu do czasu delikatnie napomykał, że istnieją tu jeszcze weselsze i ciekawsze rozrywki. Czym to się musiało skończyć nie było trudno zgadnąć.

Dobra, trzeba to rozegrać bez pomocników. Szczególnie, że Hobbin i tak mi nic nowego, czego bym już nie wiedział, nie powiedział. A może coś powiedział? Coś takiego znalazło się w jego gadaniu, co mnie zastanowiło, ale co? Może ten ustęp o tym, że twórców jest bardzo mało i że wszyscy znajdują się pod obserwacją gliniarzy? No tak, rzeczywiście jest ich mało. Oto co mi nie dawało spokoju!

Skoro więc w jednym cyberze pojawił się twórca, to musiał zniknąć z innego, jakimś sposobem zmylił gliniarzy i wymknął się spod ich pieczy. Gdybym wiedział, w jakim cyberze to się

stało, to mógłbym określić z kim mam do czynienia. To nie jest drobiazg, wiedzieć z kim się mierzysz. Na razie znam tylko jego imię, a i to pewnie fałszywe. Jeśli uda mi się określić, który z twórców w ostatnich trzech dniach dał drapaka, otrzymać informacje o jego przyzwyczajeniach, charakterze, słabostkach, to w końcu może mi to bardzo pomóc. Może w ten sposób go wytropię.

Popatrzyłem jeszcze raz w stronę stolika, przy którym Hobbin obrabiał turystę. Szło mu dobrze. Właśnie wyjaśniał coś półgłosem. Na twarzy klienta widniał jeszcze ślad nieśmiałego uśmiechu, ale oczka już mu biegały. Rybka się zacięła, a jak się zacięła, to się ją wyciągnie.

Zauważywszy, że patrzę w jego stronę Hobbin, nie przerywając nawijać półgłosem, ledwo zauważalnie pokiwał głową. To był znak dla mnie, że niby mam się nie gapić w ich stronę. Turyści są w takich momentach bardzo płochliwi. Racja, już przestaję. Już.

Pomyślałem, że nieźle by było skoczyć po jeszcze jeden kufelek. Ale przecież nie po to tu przyszedłem. I nie czas na to, by nażłopać się piwka. Lepiej sprecyzujmy, jakie dane jeszcze mi są potrzebne. Tak więc, dobrze by było zdobyć plan cyberu-122. Nie od rzeczy byłyby dane o twórcy, którego mam odnaleźć. Co jeszcze?

Shetter. Oto ktoś, o kim też nic nie wiem. Też niedobrze. W sumie wyszło mi z tego wszystkiego nie śledztwo, a błędzenie na oślep. Każdy normalny zawodowiec, zanim wzięłby się za to, zasięgnąłby informacji o zleceniodawcy, jak również o cyberze, w którym przyjdzie mu działać. Ale normalni zawodowcy nie przymierają głodem. Dlatego mogą sobie pozwolić na wybór, na zbieranie danych, na szacowanie czy warto brać sprawę. Ja zaś takiej możliwości nie miałem. Albo biorę spr-

wę już teraz, bez żadnych warunków, albo udaję się w kierunku wykrotu. Oto mój wybór. Niespecjalnie duży, trzeba przyznać.

Znowu dźgnąłem niedopałkiem w dno popielniczki i pomyślałem, że należy dać sobie spokój z tym nałogiem. Oczywiście, że rak płuc w cyberze mi nie grozi. Ale i przyjemność żadna. A forsy tracę całą masę, ponieważ tu można palić papierosy jeden po drugim bez szkody dla organizmu. Jakiego, do licha, organizmu? Przecież jestem programem, tylko programem. To tam, w wielkim świecie, byłem organizmem. Byłem, ale się skończyłem, albowiem pół roku temu straciłem swoje ciało, popełniłem błąd, którego naprawienie jest już niemożliwe.

Zamknąłem oczy.

Odechciało mi się widoku otoczenia. Ani tawerny nie chciałem widzieć, ani starego barmana, ani Plotki, jak również Hobbina, który już niemal na pewno przekonał turystę, by puścił część swojego kapitału na rajd po miejscowych, nielegalnych, rozrywkowych instytucjach. Odechciało mi się wszystkiego. Może dlatego, że chwilę wcześniej przed oczami pokazał mi się plac, przegrodzony awietkami gliniarzy i gmach centralnego bankowego cyberu, od którego wlokłem swoje ciało, uratowane, to, które zostało mi skradzione kilka godzin wcześniej. Wlokłem je uradowany jak prosię w pokrzywach, że niby - o, uratowałem, odzyskałem, wykiwałem wszystkich polujących na mnie, omotałem dokoła palca gliniarzy i dopiąłem swego. Uratowałem.

Poza tym myślałem, że za jakieś pół godziny przeniosę się ze sztucznego ciała do swojego, naturalnego, z mięsa i kości. Znowu stanę się człowiekiem, odzyskam wszystko, co było we mnie ludzkie, odzyskam świadomość, że jestem człowiekiem.

A figa! Nic z tego nie wyszło.

Wszystko dlatego, że nie przewidziałem tylko jednego jedynego drobiazgu, nie przewidziałem, że ta gadzina Smolanchik zaasekuruje się i ulokuje na dachu snajpera. A ten wystrzelił i nie spudłował. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że ciało, które wlokę na własnym grzbiecie za chwilę zginie, że w jego skroń trafi pocisk snajpera. Dokładnie w skroń. Za chwilę...

Udało mi się zrzucić okowy wspomnień. Nie mając sił patrzeć na to, co się dzieje dokoła, zacząłem wpatrywać się w popielniczkę, zaplamioną cętkami po chińskich petach. Nawet pomyślałem, jak o czymś ważnym, że nie ma tu plam po dopiero co wypalonych papierosach, ponieważ nie może ich być. Ponieważ nie były chińskie. Z niewiadomego powodu wydało mi się to ważne. Może nie chciałem tu zostawiać śladów swego pobytu, tu, w „Krwawej Mary”. Dlaczego? A skąd mam wiedzieć? Nie chciałem i już. Mimo, że wcześniej przychodziłem tu niemal codziennie przez ostatnie pół roku i na pewno plam po chińskich fajkach zostawiłem co niemiara. Szczególnie ostatnimi czasy, kiedy forsa zaczęła mi się kończyć.

Ale jednak - dlaczego? Dlaczego akurat teraz, akurat tu, siedzę i wspominam jak straciłem swoje ciało? Dlaczego zamiast działać, oddaję się wspominkom, które odpędzałem od siebie przez ostatnie pół roku? Bo jeśli mam być szczery, to nie do końca skutecznie, ale odpędzałem. A teraz - proszę, rozkleiłem się i spuchłem w najmniej odpowiednim momencie.

Może dlatego, że właśnie tu, wraz z Nobbinem i Hobbinem oraz Plotką, urządziłem swój symboliczny pogrzeb? A potem, następnego dnia świętowaliśmy tu narodziny nowego tułaczego programu - Essutila Quacka?

Ale dlaczego w takim razie nic takiego jak w tej chwili nie przydarzało mi się wcześniej w „Krwawej Mary”? Czy może

miejsce nie ma nic do rzeczy? Może odbija się wizyta w chińskim cyberze, w miejscu, zasiedlonym wyłącznie przez tułaczę programy? A te wspominki są tylko echem, śladem wizyty w cyberze-122, które to echo nagle dogoniło mnie, przypomniało kim naprawdę jestem? Powinienem wstać i wyjść stąd natychmiast, postarać się zapomnieć o tej chwili słabości, kolejny raz dać popalić swoim wspomnieniom. Nie są mi teraz potrzebne, mam działać a nie wymiękać. Muszę się śpieszyć, zdobyć niezbędne dane, postarać się wyżyć w tym iluzorycznym świecie, tak podobnym do wielkiego, ale będącym w istocie czymś innym, obcym, czymś, do czego wcale nie udało mi się przez te ostatnie pół roku przywyknąć.

Oto dopiero co siedziałem i gapiłem się w popielniczkę i nie miałem sił ani ochoty by wstać, czy nawet popatrzeć na boki. Pal diabli siły, chodzi o chęci. Chęci do działania na chwilę mnie opuściły. Bo co z tego, że i tak prędzej czy później musiałbym się przenieść do cyberu. Że moje zabite ciało i tak nie było wieczne, że mogłem przeżyć w wielkim świecie ile - trzydzieści, czterdzieści lat, nie więcej. A potem, jak i wielu innych, którzy nie zdołali zgromadzić fortuny potrzebnej do przesiedlenia do świata cyberów, trywialnie i banalnie musiałbym umrzeć. A tu, jeśli się poszczęści, jeśli potrafię wyżyć i znajdę na tym cybernetycznym padole kącik dla siebie, mam zagwarantowany praktycznie wieczysty żywot. Przynajmniej do momentu póki istnieją cybery, póki syci je informacja i energia.

Wieczne życie! Uśmiechnąłem się z goryczą.

A potrzebuję ja tego? Czy może rację mają ci, co mogliby przesiedlić się do cyberu, ale wolą umrzeć tam, w wielkim świecie, byle nie stawać się elektronicznym zombie? Nie wiem, czy chciałem tego, nikt się mnie nie pytał. Po prostu pewnego

pięknego dnia zachciało mi się piwa. No to się napiłem...

Nagle uświadomiłem sobie, że na stole ktoś siedzi. Ktoś mały, puszysty, z wypukłym brzuszkiem i krótkimi łapkami. Musiałem dokonać pewnego wysiłku umysłowego, by uprzytomnić sobie kto to jest, ale w końcu udało mi się wyrwać z dna studni, do której sam siebie wrzuciłem. Oczywiście, nie mógł to być nikt inny tylko wzrok Plotki. Na brzuchu migotał mu napis „zaniepokojony”.

- Co, mam cię pożałować? - groźnie zapytał wzrok. - Ja cię pożałuję, tak cię pożałuję, że pożałujesz! Ocknij się, czekają na ciebie wielkie sprawy!

- Jakie tam wielkie - mruknąłem trochę skonfundowany.

Patrzyłem na Plotkę. A ten stał sobie przy barze, trzymał w ręku kufel piwa, pewnie jeszcze ten sam, który ja mu kupiłem, i śmiał się w swoją gęstą brodę. Miał przy tym minę wszystko rozumiejącego filozofa i, oczywiście, współspiskowca. Najmądrzejsze, co mogłem teraz zrobić, to wstać i wyjść. Plotka nie miał dla mnie żadnej rady. Zresztą, nie potrzebowałem rad, a informacji, i to pewnych, sprawdzonych. Ale wstałem i podreptałem do kontuaru, do Plotki. Tak sobie, bez szczególnego celu. Dlatego, że jego wzrok pomógł mi wynurzyć z odmętów rozpaczy, w które sam siebie zapędziłem, nie mogąc zapanaować nad wspomnieniami. A Plotka tajemniczo się uśmiechał. I gdy tylko podszedłem do niego wyciągnął łapę i zażądał:

- Dziesięć infobucksów.

Przekląłem siebie w myślach ostro, ale sięgnąłem do kieszeni i podałem mu wymaganą kwotę. Otrzymałem za nią radę.

- Pamiętaj tylko, dokonując wyboru, że to nie twoja awantura. Jeszcze nie twoja awantura.

- To wszystko? - zapytałem.

- Oczywiście - uśmiechnął się Plotka. - A ty na co czekałeś?

Wszyscy prorocy to szarlatani. Kropka. Ciekawe, dlaczego coraz częściej natykam się na nich w swoim życiu. Na przykład ta wróżka w chińskim cyberze, czy Plotka przed chwilą. Z wróżką wszystko jasne. Po prostu plotła co jej ślina na język przyniosła, trele-morele, pół na pół z banialukami. Może, powiadomiwszy kogo trzeba, po prostu przeciągała czas, żeby bandyci zdążyli urządzić na mnie zasadzkę? Ale dlaczego ten cwaniak też dmie w te same dudki? Po co mu to? Żeby wyciągnąć ode mnie dziesięć bucksów?

Zerknąłem na banknoty, ciągle jeszcze trzymał je na dłoni. Mogłem zabrać je z powrotem. W tej chwili. Wiedziałem też, że Plotka nie będzie protestował.

- No to jak, zabierasz z powrotem? - zapytał.

I znowu posłał mi chytry, wszechwiedzący uśmieszek. To mnie dobiło.

- Nie - powiedziałem. - Nie zabieram.

- Jak chcesz - rzucił Plotka. - Zbieraj się. I pamiętaj. To jeszcze nie jest twoja awantura. Stój z boku.

A potem na ramię wskoczył mu wzrok i zaczął coś szybko szeptać do wielkiego włochatego ucha; co i rusz się przy tym oglądał się na coś, co działo się w sali. Pewnie było to coś ciekawego, bo Plotka wsunął pieniądze do kieszeni i odwróciwszy się do mnie bokiem, zaczął przyglądać się sali. Ja nawet się nie obejrzałem. Musiałem iść, nie miałem najmniejszej ochoty patrzeć na salę, bo to co się tam działo, nie ruszało mnie ani trochę. Po prostu odwróciłem się i wyszedłem, do drzwi nie miałem daleko. Zrobiłem pięć kroków, pchnąłem je i byłem na zewnątrz.

16.

Lwia głowa, zdobiąca drzwi tawerny „Krwawa Mary”, ryknęła za mną:

- Dziękujemy za odwiedzin. Koniecznie proszę wpaść jeszcze.

Nie odwróciłem się, bo i po co?

Szedłem sobie gdzie nogi poniosą, i jakoś tak spokojnie, beznamiętnie myślałem o tym, że ten Plotka, to jakiś dziwny stwór. Oczywiście, tu w cyberze wszyscy są trochę dziwni, i jakimiś tam bajerami nikogo się nie zaskoczy. Ale Plotka jest dziwny w jakiś inny sposób. Czy sprawia to jego przesadna tajemniczość? Jakby wiedział o tym świecie coś, czego my nawet nie podejrzewamy. Jakieś prawa, czy fakty z przyszłości, nieodwracalne, konieczne i nie do pokonania. W końcu doszedłem do siebie i zupełnie otrzeźwiałem. Jakbym w ogóle nie pił piwa. Zresztą, jaki może mieć wpływ miejscowe piwo? Po prostu wahadło mojego ego kiwnęło się w drugą stronę i zamiast rozpacz i poczucia wyobcowania, napłynęło wyraziste rozumienie, świadomość tego, że nie uda mi się z tego świata urwać. Że umrzeć zawsze zdążę. A skoro jest szansa na odsunięcie tej chwili, to należy ją wykorzystać. I już.

Dlatego nie ma co marnować czasu na ataki hysterii. Na to zawsze znajdę czas, kiedy naprawdę będę w sytuacji bez wyjścia. W tej chwili jeszcze tak źle nie jest. Ponieważ mogę co nieco zrobić, albo przynajmniej próbować zrobić...

A Plotka? No tak, dziwny typ. Jego przepowiednie niemal zawsze się spełniają, a wszystkie dziwne i tajemnicze sprawy znajdują wcześniej lub później swoje wytłumaczenie. To może

potrwać dość długo, ale ja mam czas, będę miał go dużo. O ile znajdę twórcę i uniknę śmierci, i nawet dostanę od Shettera należność. Krótko mówiąc - o ile nie będę się mazał i wspominał, a zajmę się sprawą.

Zatrzymałem się.

Nawet nie dlatego, że nadszedł czas by zdecydować dokąd mam się udać w pierwszej kolejności, ale raczej dlatego, że zorientowałem się, dokąd już zmierzam od chwili opuszczenia „Krwawej Mary”. Do wykrotów. Do dziur, w których składowane są wszystkie odpady cyberu, programy zniszczone przez negatywne infopole tak dalece, że odtworzyć ich już nie sposób. Gliniarze I nie chcą ich niszczyć ani dotykać, ponieważ istnieje hipotetyczna możliwość, że pod wpływem niszczącego pola zmieniły się, stały się czymś niebezpiecznym. A ryzykować gliny nie lubią. Zresztą, jak wszyscy stróże porządku wszech czasów. To ich cecha charakterystyczna. Kiedyś zawędrowałem do wykrotów, więcej zaglądać do nich nie zamierzam. Za skarby świata.

Odwrociłem się na pięcie i skierowałem z powrotem do „Krwawej Mary”. Nieopodal niej znajdowała się jedna z reklamowych kul. Zdecydujmy się, do kogo zajrzę w pierwszej kolejności? Do dozorczy ZOO. Tak, chyba należy od niego zacząć.

Jakich informacji potrzebuję?

Mapy cyberu-122. Danych o twórcy, który zwiął spod kurteli glin, i jakichkolwiek danych o Shetterze. Muszę je zdobyć w ciągu najbliższych kilku godzin. Pewnie tego czasu staroście wystarczy na zakończenie wojny z metamorfem. Wtedy nastąpi moja kolej wyjścia na scenę. Bez zwłoki, bo, jeśli będę się wahał, twórca może wykonać jakiś inny program. Kto wie, może będzie jeszcze gorszy od metamorfa?

Szedłem pewnym, twardym krokiem, co rusz rozglądając się na boki. Samo skupienie i gotowość pokonania wszelkich możliwych i niemożliwych przeszkód, dowolnymi środkami osiągnąć wyznaczony cel. Maszerowałem, czując się niemal jak żołnierz, idący na wraże czołgi z ostatnim granatem w rękę, przepelniony wiarą, że tego granatu wystarczy, by zatrzymać nieprzyjaciela, nie dać mu przejść dalej...

Tyle, że gdzieś wewnątrz mnie wciąż jeszcze silne było wspomnienie, jak niemal kwadrans temu siedziałem w tawernie i wyraźnie czułem brak sensu dalszego istnienia. To wspomnienie mi przeszkadzało, jak cierń siedziało w mojej świadomości. Odpychałem je od siebie, ale trzymało się jak rzep. Dobrze przynajmniej, że na pewno zniknie, kiedy nadejdzie czas działania. Potem, kiedyś znowu wynurzy się w chwili chandry i zajmie opuszczone na jakiś czas pozycje, ale to zmartwienie na potem. Teraz praca, praca i praca.

Trąbka gra, werbel grzmi... a czołgi nasze jak grom... Na koń... Szable w dłoń... Blastery do rąk... Kto się poddaje wystąp!

- Essutil, dokąd tak pędzisz?

Zatrzymałem się jak wryty, ledwo powstrzymałem się, żeby nie przetrzeć oczu. To była Gloria! Ta, pomocy której tak łaknąłem. Uśmiechnęła się do mnie. Coś w jej uśmiechu przypominało sytego, przyjaźnie nastawionego, ale jednocześnie ciągle pozostającego sobą rekina.

Cóż... Dziennikarze tak mają. Zaraz się zacznie.

- Cześć - powiedziałem. - Jesteś mi bardzo potrzebna.

- Czyżby? Ciekawe, do czego? Pamiętasz, że nie udzielam kredytu?

- Nie potrzebuję.

- Aha, to znaczy, że twoje sprawy stoją lepiej? Czyżbyś podłapał klienta?

Skinąłem głową. Miałem nadzieję, że z odpowiednim wyrazem twarzy, z godnością na niej wypisaną.

- A ponieważ to pierwszy klient, to potrzebujesz pewnych informacji. Zgadłam?

Jak tu zachować poczucie godności własnej? Najgorsze, że nie mam wyjścia. Muszę się poddać, liczyć na litość zwycięzcy, płacić kontrybucję, a także stać na łąpkach na skinienie pa-luszka.

- Zgadza się. Potrzebuję.

- Co za to dostanę?

No nie mówiłem, że to cholerna dziennikarka?

- Wiadomości.

- Coś warte?

- O chińskim cyberze.

Gloria gwizdnęła. Moja propozycja ją zainteresowała. Ale postanowiła ją sprecyzować.

- A co z obowiązującą ciebie zasadą tajemnicy służbowej, przestrzeganej w interesie klienta?

- Opowiem ci po zakończeniu sprawy - powiedziałem. - Tyle, ile nie zaszkodzi klientowi.

- A kto określi, ile to będzie, ja?

To mi się nie podobało.

- Posłuchaj, skarbie - powiedziałem. - Nie naciskaj na mnie. Pamiętaj, że to mój pierwszy klient. Nie chciałbym psuć sobie z nim układów. Szczególnie, że to porządny klient.

- Coś kitujesz - oświadczyła Gloria. - Jaki porządny klient wynajmie prywatnego łapsa do pracy w chińskim cyberze? Jaki prywatny detektyw zgodzi się na takie zlecenie? Nie, coś tu jest nie tak. Opowiadaj od początku.

O, tu należało wykrzesać z siebie opór. Jeśli nie uda się te-raz, to potem zostanie mi tylko ogryzanie łokci w bezsilnej

złości.

- A dogadaliśmy się?
- W jakim temacie?
- W takim, że ty przekażesz niezbędne mi dane.

Gloria westchnęła ciężko:

- Dobrze, zrobmy tak. Ty mi teraz wszystko wyłożysz. Ja się zastanowię jak mogę ci pomóc. A potem się dogadamy. Jeśli twoje warunki nie będą mi odpowiadały, to nie wykorzystam twoich informacji.

- I uruchomisz własne dochodzenie?

Gloria uśmiechnęła się rozbrajająco:

- Całkiem możliwe. A masz inny wybór?

Wyboru rzeczywiście nie miałem. A więc należało zaryzykować.

- Dobra. Niech ci będzie.

- No to idziemy do „Krwawej Mary” i tam mi wszystko wyłożysz. Ale wszystko, bez żadnych sekretów.

Zerknąłem na drzwi tawerny. Jakoś nie chciało mi się znowu tam wchodzić. Dokładnie mówiąc, wcale mi się nie chciało tam wracać. Przynajmniej teraz. Może kiedyś potem.

- Wiesz co, może pogadajmy gdzieś w innym miejscu? - zaproponowałem.

- Dobra, chodźmy do parku.

Pewnie, jak się ma rybkę na haczyku, to można jej trochę popuścić. Choćby po to, by rybce wydawało się, że ma swobodę ruchów.

Doszliśmy do najbliższej kuli reklamowej, wkroczyliśmy do niej i znaleźliśmy się w świecie najprawdziwszych stuprocentowych złudzeń. Obecność pieniędzy w mojej kieszeni znacznie pogorszyła naszą sytuację. Atak był zaciekły. Nie zdążyliśmy dobrze wejść do kuli, gdy dokoła nas zawirował korowód

jakichś opalizujących kolorowo kul, przeźroczystych, wyposażonych w nóżki szkatułek, i pajacyków. Całe to towarzystwo, popychając się, chórem zapraszało do kupna, błagało, żeby spróbować i zachwycić się, przymierzyć, popatrzeć, ocenić, dotknąć i wpaść w oszołomienie, usiąść i skamienieć z zaskoczenia, wpaść w szal radości, odpłynąć w nirwanę, trafić do siódmego nieba, umrzeć z rozkoszy, i tak dalej, i temuż podobnie.

Jakiś malutki okrąg w niebieskim kolorze, wczepił mi się w nogawkę cienkimi łapkami i piszczał jak zarzynany:

- Powinieneś kupić nową broszurę wielkiego krytyka W. Mieńszykowa, niezrównanego specjalisty od logiki budowy literackich światów, wielkiego znawcy filologii, a ta broszura omawia nową powieść o życiu cyberów!

No, to już przegięcie.

Musiałem go strząsnąć. Ale okrąg był uparty. Zanim przeszliśmy z Głorią do innej kuli dogonił mnie, prawie. W każdym razie przechodząc do kuli numer 9 zdążyłem Usłyszeć, jak wywrzeszczał:

- A poza tym W. Mieńszykow jest znany z tego, że jest najprzychylniejszym dla autorów krytykiem!

Na szczęście do kuli numer 9 to cudo za nami nie przelazło. Ale to nam nie ulżyło. Przebiwszy się niemal siłą przez hordy atakujących reklamówek, wyszliśmy w końcu na obrzeże parku.

- Po co nosisz ze sobą forszę? - zapytała Gloria nieco zirytowana. - Wszystkie te reklamówki już na moją kartę kredytową reagują jak wściekłe, a ty pewnie masz ze sobą na dodatek gotowiznę.

- Wybacz - powiedziałem. - Po prostu nie miałem czasu wpaść do domu i zostawić tam choćby niewielką część. Poza

tym nie wiedziałem, że cię spotkam.

- A myślałeś, że gdzieś kupisz potrzebne ci informacje? Ciekawe gdzie? U gliniarzy? Do nich w sprawach chińskich cyberów lepiej się nie zwracać.

- Potrzebuję danych nie tylko o chińskich cyberach - powiedziałem.

- Aha, rozumiem. Może byśmy gdzieś przysiedli na chwilę i wszystko mi opowiesz?

- Oczywiście, tak zrobimy.

Po chwili znaleźliśmy ławeczkę i zapaliliśmy.

- Opowiadaj - zażądała Gloria.

Jeszcze raz skontrolowałem wzrokiem najbliższe otoczenie i przekonawszy się, że w pobliżu nie ma przesadnie ciekawskich turystów, przystąpiłem do relacji moich peregrynacji... Skończyłem po pół godzinie, zapaliłem kolejnego papierosa i zerknąłem na Glorię. Czy moja opowieść wywarła na niej jakieś wrażenie? Czy uzna ją za godną uwagi na tyle, by w zamian zabrać się do zdobywania niezbędnych mi informacji?

No, panienko, nie przeciągaj. Mów.

Gloria pokręciła głową z charakterystycznym odgłosem, wydawanym w chwili zwątpienia, czy niewiary w usłyszane. Zapaliła również i zamyśliła się. Tego było już za wiele. Oznaczało, że moje opowiadanie zainteresowało ją. Teraz po prostu kombinuje w jaki sposób wyssać ze mnie więcej krwi, innymi słowy - jak wytargować jak najlepsze dla siebie warunki. Nie wolno mi teraz na nią patrzeć. Niech myśli. Ja poczekam. Mam jeszcze trochę czasu. Na pewno starosta załatwi metamorfa nie tak łatwo i szybko, jak mu się wydaje.

Odwróciłem się i zacząłem przyglądać się rosnącemu nieopodal drzewku. Coś z nim było nie tak - może było przesadnie zielone? Bo trawa dokoła niego zaczęła już żółknąć. Chociaż w

cyberach nie ma przecież pół roku? Chyba po prostu drzewko robił jeden kukaracza, a trawę drugi. I nie udało im się dobrze zbuforować, a przerabiać nie chciało się ani jednemu, ani drugiemu. Kukaracza, to kukaracza. To nie twórca.

- O.K. - powiedziała w końcu Gloria. - A informacje?

- Najprostsze - powiedziałem, starając się na nią nie patrzeć. - Mapa cyberu-122, dane o Shetterze. Kim jest i dlaczego ściga twórcę. No i gdyby się dało, to dlaczego któryś z twórców dał nogę. Kim jest ten twórca, co sobą reprezentuje, w czymś się specjalizuje? Chociaż, sądząc po metamorfie, można się pewnych rzeczy domyślić.

- Jasna ciasna! - powiedziała Gloria, kręcąc głową. - Ty nie masz najmniejszego pojęcia gdzie można zdobyć takie dane! I za kogo mnie masz? Ja jestem zwyczajną dziennikarką, a nie archivistką z tajnego wydziału gliniarni.

- Nie jesteś zwyczajną dziennikarką - zaprotestowałem. - Masz szerokie kontakty, znajomości. W wyższych sferach.

- Czy masz może na myśli Serge'a?

- Jego też.

- A nie pomyślałeś, że Serge, nawet jeśli będzie miał taki kaprys, żeby ci pomóc, to zapyta do czego są potrzebne te dane?

- Na pewno zapyta - powiedziałem. - Ale on nie jest dla ciebie konkurentem reporterem. Możesz mu co nieco opowiedzieć. Oczywiście, pod warunkiem, że nie wyjdzie to poza ściany jego gabinetu.

- Moim konkurentem, zaiste, nie jest. Ale twoim?

Pytanie jak młot. Sensowne. Jakoś o tym nie pomyślałem. A jak pomyślałem... No nie, nie będzie Serge zajmować się taką sprawą. Może pośle jakiegoś swojego agenta, żeby poobserwował rozwój sytuacji. Ma taki sprzęt, który pozwala mu ob-

serwować kogo chce i gdzie chce. Ale nie będzie się posuwał do odbijania mi klienta, nie.

- Nie sądzę - powiedziałem. - Po co mu to? On nie szarpie się z drobiazgami. Przechwycić twórcę? Po co? Gliniarze nie mogli go utrzymać. Oczywiście, Serge ma duże możliwości, ale nie będzie przecież bił się z twórcą, który postanowił trochę pożyć na wolności? Koszta wyższe niż ewentualne zyski.

- A po co ten twórca Shetterowi? Jak sądzisz?

- Któż to wie? - odezwałem się filozoficznie. - Wydaje mi się, że chce go zabić. Czymś mu ten twórca podskoczył. Może to starzy wrogowie? Może też się mylę.

- Powiedzmy, że znajdziesz twórcę, i co zrobisz?

- Dam znać Shetterowi - odpowiedziałem posłusznie, jak na egzaminie. - Dostanę od niego forszę i natychmiast zrywam się z tego cyberu.

- I nie interesuje cię, czym się skończy ta historia?

- Zupełnie. Wydaje mi się, że nie może skończyć się happy endem. Shetter nie jest durniem i wie, co potrafi twórca. Ale chce go znaleźć, a to znaczy, że ma jakąś pukawkę na niego, jakiś sposób, żeby go albo zabić, albo ujarzmić.

- Skoro jest silniejszy od twórcy, to dlaczego sam nie wybrał się na jego poszukiwania?

- I tu się zgina dziób pingwina! Wygląda mi, że ta broń może działać tylko z zaskoczenia. Właśnie dlatego Shetter nie chce ujawnić się w chińskim cyberze, właśnie dlatego wynajął prywatnego detektywa, znaczy mnie. Dlatego nie chcę być obecny przy ich spotkaniu. Bo co się stanie, jeśli twórca pokona Shettera? Nie wpadnie aby na pomysł, że bezpieczniejszy będzie załatwiają i mnie?

- Mówisz o twórcach, jakby to byli jacyś przestępcy - uśmiechnęła się Gloria. - Zapomniałeś, że ich domena to two-

rzenie, a nie ostrzeliwanie swoich wrogów z pistoletów.

- Zgoda. Nie muszą się zajmować takimi rzeczami. Ale jeśli ktoś zapędzi twórcę w kozi róg i zmusi do ratowania własnej skóry, to jestem pewien, że będzie zdolny chwycić za broń. Nie tylko za broń. Nie zazdroszczę temu, kto zmusi twórcę do walki o własny żywot.

- Skąd ta pewność, że będą walczyli? - zapytała Gloria. - Może Shetter chce się dogadać co do jakiegoś zamówienia, może, skoro ten dał nogę spod pieczy glin, chce go wziąć pod swoje skrzydła? A nie chcąc go wystraszyć wynajął prywatnego detektywa.

- Nie, jestem pewien swego - upierałem się. - Ty też to wiesz. Nie tak się wysuwa propozycje, nie tak się roztacza protekcję. Krótko i do rzeczy: czego chcesz?

Gloria westchnęła i posłała mi to znane mi już zagadkowe spojrzenie spod rzęs, za takie spojrzenie można wybaczyć wszystko i o wszystkim zapomnieć.

- Dane za dane. Chcę wiedzieć, jak się skończy ta historia.

- No to się dogadaj z Sergem. Bo on na pewno będzie wiedział, jak się skończy spotkanie Shettera z twórcą.

- Będę miała dług wdzięczności, a tego bym nie chciała. Na razie jestem tylko pośrednikiem, przekażę mu twoją opowieść, wymienię ją na interesujące mnie informacje. Natomiast, jeśli zwrócę się do Serge'a z prośbą o coś dla mnie osobiście... No, rozumiesz przecież.

- A ty rozumiesz, że mogę nie zdążyć z ewakuacją swojego tyłka z chińskiego cyberu, jeśli zaczniesz się tam poważna zadyma?

- Nie grozi ci nic, dopóki któryś z nich nie zwycięży.

- A potem?

- Zdążysz dać nogę. Znam cię. Pół roku temu robiłeś jeszcze

lepsze numery.

No i gadaj tu z nią. Kobieta interesu. Osiągnie wszystko czego chce. To oznacza, że wszelki opór jest bez sensu. A niech ją...

- Dobra, nie mam wyboru - powiedziałem. - Muszę się zgodzić.

- No to świetnie - powiedziała Gloria zupełnie zwyczajnym tonem, jakbym właśnie zgodził się skoczyć do najbliższego sklepu po bułeczki.

- Ale, błagam, zrób to tak, żeby twój artykuł, czy co tam napiszesz, nie zaszkodził mojemu klientowi - poprosiłem.

- Postaram się.

Pokiwałem głową. Przynajmniej stara się postawić sprawę otwarcie. I - chwała Stwórcy - rozmowa skończyła się bez tych wszystkich kobiecych numerów typu „Kochany, zrobisz dla mnie to, czego zrobić się nie da?” albo „Mój drogi, jesteś prawdziwym herosem. Czy sprawi ci to taką trudność?”

- Udajesz się teraz do Serge'a?

- Tak, prosto stąd. Chcesz mnie odprowadzić?

Tego właśnie nie chciałem. Wystarczyła mi poprzednia wizyta w biurze Serge'a, i znajomość z jego sekretarką. Może w ciągu ostatniego półroczka znalazł sobie inną, ale nie ma gwarancji, że jest lepsza od poprzedniczki.

- Możemy się bez tego obejść?

Gloria uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Możemy. To nawet lepiej. Poczekaś tutaj?

- Nie. Lepiej spotkajmy się u mnie w domu.

- Jeśli masz nadzieję na jakieś szaleństwa...

- Przede wszystkim muszę jak najszybciej skończyć tę sprawę - zapewniłem ją. - Ile potrzebujesz czasu?

- Sądzę, że dwie godziny. Nie więcej.

- Świetnie. Chodźmy, odprowadzę cię do kuli reklamowej.
- Będę ci wdzięczna.

W oczach Glorii pojawił się jakiś dziwny wyraz. Jakby żałowała czegoś, albo w coś zwątpiła. Zresztą - natychmiast stała się na powrót sobą: rzeczowa kobieta interesu, zmuszona do zarabkowania w niełatwym świecie cyberów. A to twardy, skomplikowany i bezlitosny świat.

Wstaliśmy z ławki i wróciliśmy do kuli. Zatrzymawszy się obok niej, Gloria zapytała:

- Idziesz do domu pieszo?
- Tak - odpowiedziałem. - Przejdę się. Na razie nie mam nic do roboty. Dlaczego nie miałbym się przejść?
- W takim razie nie przeciągaj spaceru przesadnie. Mogę wpaść wcześniej niż za dwie godziny.
- Nie będę - obiecałem. - Powodzenia.
- Do diabła - rzuciła zgodnie z tradycją Gloria.

Wkroczyła w kulę, a ja odwróciłem się do niej plecami i popatrzyłem na park. Raczej nie wróci wcześniej niż za dwie godziny. Może utnę sobie spacer po parku? Odwiedzę „Zakochanych”?

W głębi tego parku jest taka ławeczka, na której siedzą wieczni zakochani. Ruchoma rzeźba, wykonana przez nieznanego kucharzę. Pierwszy raz zobaczyłem ją pół roku temu, kiedy umykałem przed pościgiem. Nie miałem wtedy czasu, żeby dobrze się jej przyjrzeć. Później, przez te pół roku zaglądałem tu kilka razy. Było w tej kompozycji coś dziwnego, zagadkowego.

Kiedy pierwszy raz to zobaczyłem, przez chwilę sądziłem, że to nie żywa rzeźba, a jakimś nieznanym mi sposobem przekazana projekcja realnych, prawdziwych, w odpowiedniej chwili siedzących gdzieś tam w wielkim świecie, i całujących

się zakochanych. Podczas drugiej wizyty w parku znalazłem „Zakochanych” w tym samym miejscu. Tyle, że nie całowali się w tym momencie, a po prostu siedzieli trzymając się za ręce i nie spuszczała z siebie zakochanych spojrzeń. Podczas mojej trzeciej wizyty znowu się całowali, ale siedzieli w innej pozycji.

Oczywiście moja głupawa teoria o tym, że są projekcją, runęła z hukiem. Prawdziwi zakochani nie mogliby siedzieć na ławce obejmując się, całując czy po prostu wpatrując w siebie, przez wiele dni pod rząd. Musiałem przyznać, że to tylko żywa rzeźba. I nic więcej. Kamień spadł mi z serca. Przychodziłem potem do „Zakochanych” po prostu, żeby odetchnąć, nacieszyć oko dziełem sztuki, oddać się myślom o sensie życia. Nie wiem dlaczego, gdy patrzyłem na tę rzeźbę odczuwałem lekki, niejasny smutek.

Ale ostatnimi czasy rzeźba zainteresowała mnie nie tylko z tego punktu widzenia. Nagle wyobraziłem sobie, że w zasadzie, już dawno powinno odbić się na niej działanie negatywnego infopola. Cała trawa, drzewa i ławeczki są zapisane w oficjalnym rejestrze parku. To jego wyposażenie, o które się dba, odtwarza, chroni przed negatywnym infopolem. A kto będzie wciągał do rejestru rzeźbę jakiegoś kukaraczy?! Dlaczego więc nie niszczyje? Kto ją chroni? Autor? Czy spodobała się komuś poza mną? Komuś, kto ma czas i pieniądze, by strzec jej przed destrukcją?

Pewnie tak było. Chociaż nie porzucało mnie dziwne uczucie, że sprawa polega nie na tym, i że z kompozycją wiąże się jakaś tajemnica. I jeśli będę ją obserwował, jeśli dowiem się czegokolwiek o autorze, to - kto wie - może odkryję jej sekret? A może wszystko potoczy się jeszcze inaczej, może ta niewielka tajemnica rzeźby „Zakochani” zrodzi kolejny, poważniejszy,

ważniejszy sekret, czekający na swoje rozwiązanie, na kogoś, kto się nim zajmie? Pomyślałem, że spokojnie mogę sobie pójść do rzeźby, posiedzieć obok niej, pogłównkować na temat jej pochodzenia. Przecież miałem niespodziewanie trochę wolnego czasu. Zrobiłem nawet krok w stronę parku, ale się rozmyśliłem. Nie, nie warto. Przynajmniej teraz, nie po tym ataku depresji z „Krwawej Mary”. Może wizyta u „Zakochanych” wywoła kolejny atak wspomnień i palącego smutku. Akurat tego mi teraz nie potrzeba.

Gloria wróci za kilka godzin, powinienem być wtedy w dobrej formie, ponieważ od razu, po otrzymaniu potrzebnych mi informacji, wrócę do chińskiego cyberu, do metamorfa, do twórcy, Shettera i innych.

Co się zaczęło, kończyć należy. Zawróciłem jeszcze raz do kuli, jeszcze raz zastanowiłem się czy nie warto aby skorzystać z jej usług. Będę w domu wcześniej, zaoszczędzę furę czasu. Ale nie chciało mi się włączyć do niej. Starannie ominąłem ją łukiem i odszedłem, od kuli, od parku, od „Zakochanych”. Do domu. Czekać na Glorię i mieć nadzieję, że uda jej się to, co zaplanowała.

Żeby się udało...

17.

- Ale bydlak z ciebie!

Siedziałem w swoim fotelu, w swoim gabinecie, paliłem papierosa i usiłowałem oszacować ile jeszcze będę czekał na pojawienie się Glorii, a w tym momencie dom zakomunikował, że przyszła do mnie klientka. Kim mogła być, jak nie Gloria?

Kazałem ją wpuścić i przybrałem obojętną, bardzo mądrą minę.

Jak myślicie, co powiedziała Gloria zaledwie przekroczyła próg mojego gabinetu? No tak, już słyszeliście.

- Ale bydlak z ciebie! - powtórzyła.

Podniosłem ze stołu papierosa, który wypadł mi z ręki, włożyłem go do popielniczki i dopiero wtedy zadałem narzucające się pytanie:

- Dlaczego?

- Dlatego - powiedziała z uczuciem kobieta interesu. Potem usiadła w stojącym obok biurka fotelu i zaczęła patrzeć na mnie tak, jakbym był jakimś potworem, co to niemal codziennie, tylko dla pustej rozrywki, przenosi na łono Abrahama przy pomocy piły łańcuchowej tych, co odważyli się zajrzeć do jego domu.

- Wyjaśnij, jeśli łaska - poprosiłem.

- Już - odpowiedziała Gloria. - Już ci wszystko wyjaśniam. Prosto i dokładnie według planu. Tak więc, chciałeś wiedzieć który z twórców zwiął?

- Chciałem.

- Odpowiedź: żaden. W ciągu ostatnich dwu lat nie odnotowano ani jednej ucieczki twórcy. Wszyscy znajdują się na

swoich miejscach, pracują w tych kompaniach, które mogą sobie pozwolić na ich zatrudnienie, i żaden z nich w chwili obecnej nie zmienił swego miejsca zamieszkania. Już nie mówiąc o tym, żeby bryknął do chińskiego cyberu.

- To pewne? - zapytałem ostrożnie.
- Absolutnie - wyskandowała Gloria.
- A może Serge po prostu o tym nie wie?
- Wie. Wszedł do pliku gliniarzy, zajmujących się opieką nad twórcami. Jest absolutnie wykluczone, by w cyberze-122 w tej chwili znajdował się twórca. Nie miał skąd się tam wziąć. Rozumiesz?

No masz! Jeszcze jak! Dopiero co runął kamień węgielny konstrukcji, na której oparta była interpretacja wszystkich wydarzeń w chińskim cyberze.

- A metamorf?
- A skąd mogę wiedzieć? - wzruszyła ramionami Gloria. - Jak trafił do chińskiego cyberu? Kto stworzył metamorfa? Nie wiem. Nie mam też żadnych hipotez na ten temat.

- A Shetter? - zapytałem.

Nie uśmiechało mi się zaczynać dochodzenia zupełnie od zera. Dlatego usiłowałem chwycić przynajmniej słomkę. A ta nie dała rady utrzymać mnie na powierzchni.

- Shetter? - posępnie uśmiechnęła się Gloria. - To jest jeszcze bardziej proste. Bez trudu można dowiedzieć się o nim czego chcesz. Bardzo bogaty biznesmen. Naturalnie, ma jakieś odchyły i kilka niezbyt praworządnych skaz, właściwych wielu krezusom. Ale najzupełniej pewne jest, że nie ma nic wspólnego z twórcami. A z gliniarzami pilnującymi twórców - tym bardziej.

Bach. Drugi kamień. Konstrukcja mojej teorii, do tej pory kiwająca się na wietrze, kombinując w jaką stronę runąć, z

głośnym hukiem rozsypała się i pogrzebała mnie pod swymi blokami, z których była zbudowana. Potarłem skronie, wpatrując się w blat biurka. To ci heca, rzekła... Jak mogłem tak się sypanąć? W pierwszej sprawie. Zbudowałem teorię, przyjąłem oczekiwane za rzeczywistość, nie sprawdzwszy niczego?

Zapalając papierosa, roześmiałem się z goryczą. Sprawdzić? A jak? Nie mając żadnych danych, nie mogąc otrzymać potrzebnych informacji? Sprawdzić? A co niby teraz właśnie robiłem? Czym była ta wyprawa Glorii po informacje, jak nie sprawdzeniem mojej teorii? Fakt - teoria runęła, ale czy to powód do rozpacz? Może trzeba tylko zbudować nową? Przejrzeć od nowa wszystkie fakty i poprzestawiać je zgodnie z nowymi danymi. Jak?

- Hej, kolego, nie zasnąłeś tam przypadkiem? - zainteresowała się Gloria.

- Na pewno nie.

- No to może byś zwrócił na mnie uwagę? Nasza rozmowa jeszcze się nie skończyła.

- Oczywiście - powiedziałem nieco na odczepnego. - Z olbrzymią przyjemnością dowiem się, co ty o tym wszystkim sądzisz.

- Z przyjemnością? - złowieszczym tonem zapytała Gloria. - Zaraz poczujesz przyjemność. Za chwileczkę.

Wzdrygnąłem się. Wyglądało, że nadciągał sztorm. Takim tonem jeszcze do mnie Gloria nie przemawiała.

- Nie przesadzaj - powiedziałem. - Bo co się, w końcu, stało? Nie została potwierdzona pewna moja teoria. To nic, wrócimy do początku. Założmy, że ten, którego mam odszukać, jest naprawdę zwykłym turystą, który w jakiś sposób podpadł Shetterowi. Właściwie, kto mi powiedział, że w chińskim cyberze nie było innych turystów, prócz tego, zamordowanego

przez metamorfa? Drobny Bies. Mógł się mylić. Zapewne w kitajskim cyberze są też i nieprawne portale. Wygląda mi teraz, że osoba, której potrzebuję, przeszła przez taki portal i nie skorzystała z usług przewodnika. Może ma w cyberze-122 przyjaciół, którzy zawczasu zdobyli dlań saver?

- Nawiasem mówiąc - odezwała się Gloria - biuro Serge'a wcale nie zajmuje się działalnością charytatywną. Rozumiesz, co mam na myśli?

No pewnie! Chyba zaczynałem rozumieć, dlaczego wpadła tu do mnie jak uosobienie furii.

- Uznał, że moja opowieść o chińskim cyberze nie jest ekwiwalentną wymianą za przekazane ci dane?

- Oczywiście! Zanętą w tej historii było jedno słówko - twórca. A kiedy wyjaśniło się, że żaden twórca nie może mieć nic wspólnego z twoimi peregrynacjami, przekazane przez ciebie dane gwałtownie potaniały. Kogo obchodzi jakaś tam historyjka o tym, że pewien początkujący prywatny detektyw w trakcie poszukiwania zwyczajnego turysty zetknął się z programem-metamorfem? Jest to, oczywiście, zabawne, ale nie mogło zrównoważyć wysiłków Serge'a, skierowanych na zdobycie niezbędnych ci danych.

Co racja, to racja.

- I co teraz? - zapytałem.

- Nic - wzruszyła ramionami Gloria. - Po prostu nic. Jestem tylko winna Serge'owi jakąś sensacyjną wiadomość. Jak tylko trafi mi się taka okazja, to wyrównam z nim rachunki. Zamiast tego, by sama na tym zarobić. A stało się tak, ponieważ ktoś tu ma mózg gładki jak autostrada. Wiesz kogo mam na myśli?

Trudno byłoby się nie domyślić. Nie potrzebowałem dalszych wyjaśnień. I na przyszłość musiałem zapamiętać, że gdyby mi kiedyś przyszło poprosić Głorię o pomoc, to naj-

pierw przypomni mi ten przypadek, i nie tylko przypomni, ale ze szczegółami wykaże jakiego głupca z siebie zrobiłem. No i nie wiem, czy zgodzi się następnym razem mi pomóc? Wątpliwe. Raczej na pewno wątpliwe.

- Masz może łycalek czegoś mocniejszego? - zapytała Gloria.

Wyglądała na nieco zmęczoną. Kąciki ust opuszczone. Wyraźnie odmalowany obraz: kobieta interesu, której nie wypalił interes.

- Już - powiedziałem.

W sypialni, w szafce nocnej, miałem butelkę niezłego wina. Na czarną godzinę. Skoczyłem tam i przyniosłem butelkę. Potem wyjąłem z szuflady dwa kieliszki. Na szczęście tu, w cyberze, nie trzeba było myć naczyń - od razu postawiłem je do użytku. Rozlałem wino, podałem jeden z kieliszków Glorii, a kiedy go przyjęła, skosztowałem z drugiego.

Wino było dobre, cierpkie, smaczne, niemal prawdziwe. Upiłem jeszcze jeden mały łycalek. Potem poczekałem, aż Gloria odstawiła swój kieliszek i powiedziałem:

- Tak więc wydarzenia w chińskim cyberze i wojna starosty z metamorfem, Serge'a nie interesują?

Gloria zapaliła papierosa i wydmuchnąwszy dym oświadczyła:

- Interesują rzecz jasna, ale tylko tak, na wszelki wypadek. Wyobrażasz sobie ile może kosztować tylko wyciągnięcie danych z archiwum wydziału opieki nad Twórcami?

- I w cyberze-122 nie będzie żadnych jego obserwatorów? - sprecyzowałem.

- Po co? I tak wszystko jest jasne.

- O plan cyberu poprosiłaś najpierw, czy potem, kiedy, się okazało, że o twórcy w cyberze-122 nie ma mowy? - zapytałem ostrożnie.

- Ależ z ciebie bezczelny typ - mruknęła Gloria. - Pierwszego gatunku.

- No więc najpierw, czy potem?

Gloria uśmiechnęła się:

- Oczywiście, że zaczęłam od planu. Ale Serge najpierw zaczął zdobywać dane o twórcach. A potem, kiedy już je otrzymał, nie było i mowy o planie.

Fatalnie. Przyjdzie mi dalej szperać po chińskim cyberze po omacku. Może poproszę Drobrego Biesa, żeby naszkicował coś dla mnie? Dobra, niech będzie, zapłacę kolejne pięć infobucksów, ale będzie mi łatwiej szukać wizytanta. Podzielę plan na sektory i zacznę przeczesywanie. Może należy ogłosić, że jest nagroda za informacje o turyście? Sto infobucksów to dla tubylców cała fortuna. Na pewno znajdzie się ktoś, kto coś widział, coś wie.

A metamorfa pomocnicy starosty pewnie już załatwili, więc nie będzie mi przeszkadzał. Pozostają działania rutynowe, o których sukcesie zadecyduje nie bieżąca z wywieszonym jęzorem, a ogłoszenie o nagrodzie. Wcześniej, czy później ten numer zadziała.

To samo mógł zrobić Shetter sam. Ale wolał wynająć prywatnego łapsa i zapłacić za to dwa tysiące. Pewnie, po cyberze szlają się metamorf, ale wynajmując mnie Shetter nie mógł o tym wiedzieć. Dlaczego więc i czego się obawiał? Przekonał się, że wszedłem do chińskiego cyberu, że nie zamierzam rezygnować z kontraktu i szybko stamtąd bryknął. Czego tak się bał, skoro poszukiwany nie jest twórcą, a zwyczajnym turystą?

Coś tu śmierdzi.

Załóżmy, że Shetter nie raz odwiedzał chińskie cybery i wcale nie palił się do spotkania z miejscowymi bandziorami.

Niby nie miał nic do roboty w takich cyberach, bo jest bogaty jak wszyscy diabli. Ale fortuna ta znalazła się w jego rękach nie wiadomo w jaki sposób. Może pierwszy milion, jak to często bywa, zarobił Shetter na przestępczym handlu chińskimi papierosami i innymi towarami. Może bywał w chińskich cyberach w innych sprawach? Żeby skorzystać z niedozwolonych rozkoszy? Też możliwe. Z danych otrzymanych od Serge'a wynika, że ma jakieś grzeszne skłonności. Wysoce prawdopodobne, że chadzał do cyberu-122 „po przyjemności”, i nie tylko trzy dni temu, ale i wcześniej. Ale nie to jest teraz ważne.

Najważniejsze, dlaczego do poszukiwań zwyczajnego turysty wynajął właśnie mnie? Druga sprawa - dlaczego powiedział, żeby odnalezionego nie ruszać? Dlaczego mam znaleźć turystę, ale schwytać go już mi nie wolno? Nie prościej by było Shetterowi wynająć pół tuzina dobrych ochroniarzy, w końcu forszę ma, i zająć się samemu tą sprawą? Ale nie, szukał właśnie prywatnego detektywa.

I znalazł mnie.

Co się dzieje? Jeśli to zwyczajne szczęście, to ja jestem profesorem matematyki. Nawet mi nie mówcie o dziwactwach bogaczy. Dziwactwa mewają, oczywiście, ale interesy robią bez kiksów. W innym przypadku nie zarobiliby nie tylko pierwszego miliona, ale nawet na życie. Może Serge otrzymał fałszywe dane - w cyberze-122 jest twórca? Czy może znowu wpakowałem się w tak sprytną i tajną aferę, że Serge wolał okłamać Glorię i podać jej fałszywe dane?

- Wykluczasz, że cię okłamał? - zapytałem Glorię.
- Co? - zdziwiła się. - Okłamał? A niby po co? Nie, każdy, ale nie Serge. Ma swoje zasady. Sprawdziłam to nie raz.
- Ale gdyby tak...
- Nie, wykluczone - ucięła Gloria. - Kilka razy zdarzyło mi

się, że prosiłam o dane, których zgodnie z jego zasadami, nie powinnam była otrzymać. W obu przypadkach po prostu powiedział mi uczciwie, że nie może mi pomóc, i że lepiej żebym się trzymała od tego z daleka.

- A ty? - Zainteresowało mnie to.

Gloria uśmiechnęła się.

- Sądzisz, że mam tylko jedno źródło informacji?

O, to było ciekawe. Pojawił się nawet jakiś cień nadziei.

- Tak więc możesz zdobyć dla mnie plan cyberu-122 w inny sposób - podsunąłem delikatnie.

I już wiedziałem, że to był błąd. Gloria natychmiast zjeżyła się, skamieniała, zmieniła się w pancernik.

- Ciekawe - powiedziała zjadliwie. - A czym zapłacę za plan? Opowiem im historyjkę o tym, jak pewien niezdara - prywatny detektyw trafił do chińskiego cyberu i obserwował tam starcie starosty cyberu z programem-metamorfem? Nie pomyślałeś o tym, że ta wiadomość już została sprzedana Serge'owi? A on niewątpliwie dowie się jaki numer mu wykręciłam. Po czym nasze długie i - pamiętaj - nie skażone nawet próbami oszustwa, stosunki można będzie wepchnąć psu pod ogon. Chcesz tego?

- A gdyby... - zacząłem.

- Pieniądze - przerwała mi Gloria. - Można użyć tylko pieniędzy. Dużo ich masz? Nie sądzę, by Shetter ze tę sprawę wypłacił ci zaliczkę równą skarbom Wielkiej Armady. Raczej dał ci trzysta, czterysta infobucksów, nie więcej. I ty masz nadzieję za tę sumę, uwzględniając, że straciłeś już większą jej część, kupić plan chińskiego cyberu? Czy może to ja mam dopłacić z własnych oszczędności?

No tak, forsa. Tu już trochę gorzej. Jeśli Shetter poluje na zwykłego turystę, to obiecał mi zapłacić zdecydowanie za du-

zo. Dlaczego? Dziwactwo bogacza? Kto jak kto, ale ja wiedziałem, że bogacze nie miewają takich dziwactw, zgodnie z którymi płacą więcej niż należy za wykonane dla nich prace. Mniej - bez problemu. Nawet nie ich skąpstwo o tym decyduje. Tylko zasady. Za pracę należy zapłacić dokładnie tyle, ile jest warta. Niewzruszona, żelazna zasada.

Gloria wstała, chwyciła mnie za ramię i mocno potrząsnęła:

- Hej, przyjacielu! Nie zasnąłeś?
- Nie, wcale nie - odparłem. - Po prostu myślę.
- Ach, myślisz? - powiedziała dziennikarka, siadając z powrotem w fotelu. - Myślisz, znaczy się. A wcześniej nie mogłeś?
- Wcześniej też myślałem - z roztargnieniem odpowiedziałem. - I teraz myślę. Ciągle wychodzi mi, że to nie może być takie proste. Nic się tu nie zgadza.

Odrobinę może, ale większość nie.

- Co się nie zgadza? Możesz mi to wyjaśnić?

Westchnąłem, zapaliłem kolejnego papierosa i wyłożyłem jej to, co się moim zdaniem nie zgadzało.

- Bzdury - z niezachwianą pewnością powiedziała Gloria. - Takie drobiazgi zawsze w życiu występują. Życie to w większej części ciągnie takich drobiazgow, co się nie zgadzają. Jeśli będziesz chciał wszystkie je wyjaśnić przy pomocy logiki, to możesz się znaleźć w żółtym domku.

Potem coś do niej dotarło, bo nagle urwała i zamyśliła się. To mi się podobało. Co innego praca we dwoje - zawsze ktoś coś wymyśli. Zawód dziennikarza ma wiele wspólnego z profesją prywatnego detektywa. A Gloria na dodatek ma wielkie doświadczenie.

Przez pewien czas w pomieszczeniu panowała cisza, potem odezwałem się:

- Zróbmy podsumowanie. Spróbujmy precyzyjnie ustalić,

co wiemy na pewno.

- Za cholerę - prychnęła Gloria. Ale zaraz się opamiętała i pośpiesznie dodała: - Dobra. Podsumujmy. Nawijaj. A jeśli coś opuścisz to ja cię poprawię, albo uzupełnię. Zaczynaj.

- Poczekaj - powiedziałem. - Najpierw jeszcze po kieliszeczku wina.

- Zgoda - uśmiechnęła się Gloria.

Bardzo mi się spodobała jej reakcja, bo oznaczała, że wraca jej bojowy nastrój. Należało to wykorzystać. Dolałem do kieliszków trochę wina. Wypiliśmy je. Gloria zdecydowała:

- Śpiewaj, ptaszku mój.

- Zacznijmy od samego początku - powiedziałem. - Zjawił się u mnie niejaki Shetter, jak teraz wiem, bardzo bogaty mężczyzna, z pewnymi grzeszkami i dziwactwami. Zaproponował mi, żebym odnalazł zaginionego trzy dni wcześniej turystę i obiecał za tę sprawę dwa tysiące infobucksów.

- I to jest pierwszy dziwny moment - wtrąciła Gloria. - Ponieważ za odnalezienie zwyczajnych turystów, i to przez początkującego prywatnego łapsa, takiej kasy się nie płaci.

- Bez wątpienia - zgodziłem się. - Dalej. Po zawarciu umowy okazało się, że turyści należy szukać w chińskim cyberze.

- To akurat nie jest szczególnie dziwne - powiedziała Gloria. - Ale ten wizytant, nie wiadomo dlaczego zwiął przed Shetterem nie do wielkiego świata, nie do oficjalnego cyberu, a właśnie do kitajskiego? Dlaczego? Co mu to dawało? Jaką szczególną anonimowość? Nie, Shetter bez trudu dowiedział się gdzie się ukrywa. Dlaczego więc?

- Musiały istnieć jakieś ważne dla niego powody - dodałem. - Nie mamy na razie o nich pojęcia, tak więc nie można tego dołożyć do działu dziwnych rzeczy. Poza tym nie wiemy, czy Shetter naprawdę bez trudu określił potrzebny mu cyber.

Może właśnie na to stracił te trzy dni, który upłynęły od chwili ucieczki wizytanta? Dla człowieka z taką forszą zmarnowanie trzech dni na sprecyzowanie schronienia uciekiniera to nie-mało.

- Racja. Kontynuujmy.
- Kontynuuję. Przystąpiwszy do poszukiwań, odkryłem, że w chińskim cyberze, delikatnie mówiąc, panuje pewien niepokój. Zabity został bogaty wizytant. Po cyberze szlaja się program-metamorf, wykonany przy tym przez wyśmienitego twórcę. O tym świadczą cechy, którymi dysponuje. A ponieważ metamorf pojawił się całkiem niedawno, po tym jak do cyberu przybył poszukiwany przeze mnie turysta, doszedłem do wniosku, że dany człowiek może być owym twórcą.
 - Wniosek jest fałszywy - powiedziała Gloria - ale przyznaję, że wyjaśnia pewne niezgodności.
 - Jeszcze jak wyjaśnia! Na przykład, pojawienie się metamorfa i wysokie honorarium za wykonanie zlecenia. A i sam metamorf, usiłując mnie przekupić, proponował niewiarogodnie wysoką sumę.
 - Której nie posiadał - wtrąciła Gloria. - Jasne jak słońce, że usiłował cię wykołować.
 - Może i próbował. Ale ciągle wydaje mi się, że mówił poważnie.
 - Tylko ci się tak wydaje. Jeszcze nie ocknąłeś się z kryzysu finansowego.
- Popatrzyłem jej w oczy. Ani śladu ironii. Cóż, może ima rację...
- Dobra, zostawmy to - rzuciła dziennikarka. - Idźmy dalej.
- Dokąd? - zapytałem. - Na tym kończy się historia. Starosta wywalił mnie z cyberu, jakoby na jakiś czas. Udałem się więc do pewnej swojej znajomej, ta raźnie pocwałowała do niej-

kiego Serge'a, i okazało się, że wszystkie moje wywody są bredniami wyssanymi z palca pechowego sapersa. Nie ma twórcy. Metamorf nie ma z tym nic wspólnego. A Shetter jest zwyczajnym bogaczem, któremu podpadł jakiś równie zwyczajny turysta. Finita...

- Ale w tym wariacie pojawiają się znowu pewne grudy - przypomniała mi Gloria.

- No właśnie. Tak więc mam dwa warianty postępowania w najbliższej przyszłości. Machnąć ręką na grudy i przystąpić do poszukiwania zwykłego turysty.

Albo...

- Albo?

- Albo, uwzględniając otrzymane od Serge'a informacje, szukać mimo wszystko twórcy.

- Skąd mógłby się tam wziąć? Przyleciał z wiatrem?

Rozłożyłem ręce i przyznałem.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Wiem tylko, że obecność w chińskim cyberze twórcy likwiduje przynajmniej jedną sprzeczność. Powstanie metamorfa. Kukaracza by takiego nie zrobił. To oznacza, że gdzieś w cyberze jest twórca. Poczekaj, a może to twórca żywiołowy?

To pytanie zmusiło Glorię do zastanowienia. Po minucie, może półtorej, energicznie pokręciła głową i powiedziała:

- Nie może być. Żywiołowi twórcy zdarzają się bardzo rzadko. To wielki rarytas i wielki skarb. Nie dałoby się ukryć istnienia takiego talentu. To nie jest takie proste.

- Dlaczego?- zapytałem. - Jest proste. Ty, dziennikarka, powinnaś o tym wiedzieć... Zajrzyj sobie do podręczników historii. Jest tam mnóstwo przykładów.

- Owszem, jestem dziennikarką - podskoczyła Gloria. - I właśnie dlatego wiem nieco więcej, niż zostało opisane w

podręcznikach historii. Najczęściej żywiłowowi twórcy długo nie żyją. I inni twórcy albo milczą na ich temat, albo, jeśli gdzieś się pojawią, bezlitośnie, z zaciekleścią kur, dziobią ich gdzie się da, nie uznając za twórców, nawet pod groźbą wykastrowania. Dlaczego, zapytasz? Dlatego, że żywiłowowi twórcy są niczyi, nie mają nauczycieli, dlatego, że całą wiedzę i umiejętności nabywają sami. Dlatego, że działają nie takimi metodami, jakie są uznane za właściwe, klasyczne i kanoniczne. Owszem, często się mylą, ale też i dochodzą do takich wyników, że inni mogą tylko pomarzyć. A są dziobani, wyklinani i ignorowani, ponieważ, uznawszy ich, należałoby przyznać, że droga, jaką właśnie podążają, jest najwłaściwsza, najefektywniejsza. A sposób, w jaki coś robią...

Westchnąłem i mruknąłem:

- Co ma do tego sposób? Nie potrzebuję wykładu o żywiłowych twórcach. Wiem to wszystko.

- Przepraszam - powiedziała Gloria. - Po prostu chciałam ci uświadomić, że jeśli przemilcza się istnienie żywiłowych twórców, to nie znaczy to, że się o nich nie wie. Bardzo dobrze się wie. I inni twórcy wiedzą, i ci, co mają nimi się opiekować. Tak więc, gdyby nawet w chińskim cyberze pojawił się żywiłowy twórca, to musiałoby to zostać zauważone. Nie, musisz wymyślić coś innego.

Łatwo powiedzieć: wymyśl coś innego. Łatwiej powiedzieć, niż... Ale coś tam zawsze się wymyśli.

- Poczekaj. Niedawno z twoich ust padło stwierdzenie... coś jakby: „Od dwu lat żaden twórca nie uciekał”. Wynika z tego, że dwa lata temu jakiś twórca jednak dał nogę. Czy tak?

- Tak. - Gloria wzruszyła ramionami. - Ale przecież to było dwa lata temu, a nie trzy dni.

- Czy mógł Shetter szukać twórcy nie trzy dni, a dwa lata? -

zapytałem. - Czy mogło tak być?

- Mogło - przytaknęła Gloria. - Ale po co miałyby szukać twórcy? Nie da rady go zabić.

- Ale może go szukać nie po to, żeby go zabić, a żeby wynająć do pracy? Może właśnie dlatego polecił nie ruszać w żaden sposób obiektu, a tylko go powiadomić po znalezieniu?

- W tym co mówisz, coś jest - powiedziała Gloria. -W każdym razie masz teraz teorię, niezbyt przeczącą posiadanym w danym momencie faktom.

- Możemy spróbować ją zweryfikować. Może udasz się znowu...

- Nie trzeba. Przez jakiś czas zajmowałam się tą historią z uciekinierem-twórcą, i w moim banku danych ciągle jeszcze przechowywane są okoliczności tej historii.

- Może byśmy się z nimi zapoznali, co? - uśmiechnąłem się radośnie.

- Zapoznamy się - nie mniej radośnie uśmiechnęła się Gloria. - Tylko, sam rozumiesz, każda informacja kosztuje...

- Ale będzie można rozliczyć się z Sergem - powiedziałem. - Bo on nie wysze w tych okolicznościach obserwatorów do cyberu-122, a ty z kolei, będziesz wiedziała o wszystkim z pierwszej ręki, czyli z mojej.

- Rozliczyć z Sergem? - Gloria zmierzyła mnie taksującym spojrzeniem. - Nie, nie uda mi się do końca z nim rozliczyć. W końcu informacja o próbie wynajęcia twórcy kosztuje znacznie mniej niż ta, że ktoś go usiłował zabić.

- Jednakże, jeśli ta próba się nie powiedzie, to będziesz wiedziała, gdzie się ukrywa. Tylko ty, i nikt więcej. Jak myślisz, Serge skasuje ci za to dług?

- Możliwe - odparła Gloria, znowu stając się kobietą interesów. - Na razie nie mamy żadnej pewności, że twórca tam

jest. To tylko kolejna teoria. Nic więcej.

- No to ją zweryfikujmy.
- A czy ja mówię nie? - mruknęła Gloria, zdejmując z przegubu lewej ręki wizjer informacyjny i rozwijając go do standardowych wymiarów.

Na wyszukanie potrzebnej informacji zeszło jej pięć minut. Potem przesiadłem się na inny fotel, stojący obok niej i zaczęliśmy razem przeżuwać dane.

Twórca, który dwa lata dał nogę, nazywał się Sevec Star. Nic to nie znaczyło, ponieważ twórcy często zmieniali swoje prawdziwe miana na takie szlachetniej brzmiące. Bardziej potrzebny mi był hologram. Fakt, Sevec Star w żaden sposób nie przypominał tego turysty, którego szukał Shetter. Ale kto wie, czy wiejąc przed glinami twórcą nie zmienił swojego kokonu? Może na hologramie otrzymanym od Shettera widniało właśnie to zmienione oblicze? Osiadłszy w chińskim cyberze, mógł powrócić do swojego poprzedniego wyglądu.

Tak więc przyjdzie mi skopiować na swój wizjer informacyjny hologram z teczki osobowej. Tam, dokąd za chwilę się udam, może mi się to przydać. A może pośpieszyłem się z wnioskami? Na razie nie mam żadnych dowodów na to, że mieszka w chińskim cyberze i że jest poszukiwanym przez Shettera twórcą. Nie lepiej by było najpierw dowiedzieć się więcej o nim?

Tak więc: Wiek... uczył się... praktykował... ożenił się... wykaz kochanek... Stałe miejsce zamieszkania w świecie cyberów... pracował w firmach... Nic na razie ciekawego. Dalej, dalej...

Najważniejsze prace... uczestniczył... osobiście zrealizował... doprowadził do logicznego zakończenia, przed nim uznawaną za teoretycznie tylko możliwą zasadę, tworzenie multiprzej-

ściowego pozaprzestrzennego kokonu... usiłował wprowadzić metodykę wykluczania pewnych nie skonkretyzowanych symboli... oczywiście z powodzeniem... Odznaczony... nagroda... nagroda... Wielki Order Badacza... Nagroda...

Niezbyt ciekawe, ale nie warto opuszczać... Uczestnictwo w powszechnym kongresie prawdziwych twórców... usługi konsultacyjne dla jednego z wydziałów, zajmujących się profilaktyką aktów terrorystycznych... konsultacje dla grupy opracowującej statek bazowy do lotu w centrum skupiska... Też nie to... zupełnie nie to... A, o - może to to?

„ W wyniku przeprowadzonego przez nadzwyczajny oddział gliniarzy dochodzenia w sprawie działalności grupy tak zwanych „Twórców wahających programów tułających” ustalono, że Sevec Star był jej członkiem. Istnieją częściowo potwierdzone podejrzenia, że był również przywódcą owej grupy. Dowiedziawszy się w niewyjaśniony sposób o przygotowywanej serii aresztowań, umknął sprawiedliwości, oszukawszy wszystkie programy tropiące, i bardzo starannie, można powiedzieć genialnie, zaplątał ślady. Miejsca przebywania do dziś nie ustalono”.

- Po co on się pakował w tę sprawę? - zapytałem.

- Skąd mam wiedzieć? - odpowiedziała jakby nieobecna Gloria. - Z tymi twórcami nigdy nie dojdzie się do ładu. Przez całe życie starają się trzymać z daleka od wszystkich nielegalnych spraw. Nawet pomagają stróżom porządku, niezbyt chętnie, ale pomagają.

A potem nagle coś im wpada do głowy, uznają, że dla otrzymania jakichś danych niezbędnych do wykonania nowego programu należy wplątać się w nielegalną działalność. A wtedy, nie mrugnawszy nawet okiem, zapominają o wszelkich zasadach... Czym to się kończy, odgadnąć nietrudno. Przy oka-

zji, ten Sevec Star - to nie jest jedyny taki przypadek. Mogą podać inne przykłady.

- Nie trzeba. Powiedz mi lepiej, co znaczy „Wahające programy tułacze”?

Gloria westchnęła:

- Sam się nie domyślasz?

- Nie.

- Nie rzuć głupa. Mówiąc wprost, przy użyciu potocznej terminologii, powiemy, że są to programy-metamorfy. Dotarło?

- No masz - mruknąłem.

Prawdę mówiąc w tym momencie nie bardzo mogłem oddychać.

- W takim razie bierz hologram tego Seveca Stara i wal co sił do chińskiego cyberu - powiedziała Gloria. - Masz tam do skończenia jedną sprawę.

18.

Wróżycha siedziała w tym samym miejscu. Nieruchoma, podobna do sterty brudnych szmat, udawała, że nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi. Przyjrzałem się jej z pewnym lękiem, potem odszedłem od pasiastego słupka portalu i nieśpiesznie ruszyłem wzdłuż ulicy.

Drobny Bies powinien był znajdować się gdzieś obok skrzyżowania. To mnie interesowało najbardziej; on i znajdujący się w jego posiadaniu saver. Jeśli zdążę odebrać go od diabełka, to można będzie spokojnie przystępować do pracy, nie obawiając się napaści bandytów. Pewnie nie będzie łatwo odnaleźć Seveca Stara. A może poszczęści mi się i od razu odkryję, gdzie się ukrywa? Najważniejsze, że wiem, kogo szukam. Można powiedzieć, że jestem w połowie zadania. Kiedy wszystko się skończy zaproszę do siebie Shettera, odbiorę swoje pieniądze, doczekam końca jego rozmowy z twórcą, żeby potem przekazać Glorii, czym się skończyła, i dopiero wtedy zwinę żagle. Proste jak świński chwost.

Nawet będzie się czymś przed samym sobą pochwalić. Mimo trudności - wykonam pierwsze zlecenie. Co prawda, poradziłem sobie z nim nie bez postronnej pomocy, ale najważniejszą część zadania wykonałem sam. To powinno zaowocować innymi kontraktami, i pieniędzmi, i możliwością spokojnego życia w świecie cyberów. Życie potoczy się dalej, po staremu.

Przechodząc obok wróżychy zerknąłem na nią. Może znowu poderwie się i odstawi swoje wycie i taniec z prorocत्वami, starając się mnie powstrzymać, dać czas swoim koleśiom, by ci

zdążyli przygotować mi powitanie. Jeśli jednak mój fortel z saverem się uda, to zostaną chłopcy wykiwani.

Ale nie, babsko nawet się nie poruszyło. No i świetnie.

Wyszedłem na skrzyżowanie i rozejrzałem się. Tworzące je ulice były niemal puste. Widocznie podstawowa grupa mieszkańców tej dzielnicy znajdowała się obecnie w pracy. Może to i dobrze? W każdym razie, jeśli ktoś się będzie do mnie podkradał, to zawsze zdążę go zobaczyć. Ale gdzie jest Drobny Bies? Gdzie się podział ten pokurcz? Może coś mu się przydarzyło? Może starosta, dowiedziawszy się jakimś cudem o naszej umowie, kazał mu trzymać się ode mnie z daleka? I oto teraz przyjdzie mi kupić drugiego przewodnika i znowu pobawić się z bandytami w chowanego, przedzierając do rezydencji starosty?

Zaniepokojony, rozejrzałem się raz jeszcze. Drobniego Biesa nigdzie nie było widać. A bandytów - tak.

Zbliżali się od strony ulicy, na której znajdowało się wejście do labiryntu. Niemal nie kryjąc się, bardzo rzeczowo rozwijali się w tyralierę, która miała mnie odciąć od labiryntu. Starzy znajomi. Znowu ta piątka stworzona przez jakiegoś kukaracze, wielkiego miłośnika świata zwierząt.

- Czołem, Zając! - krzyknąłem. - Jak głowa? Nie trzeszczy? Następnym razem nie pchaj się na pierwszą linię. Czasem to boli.

Zając rzucił mi wściekłe spojrzenie i poprawił uchwyt na broni. Nosorożec ryknął:

- Zaraz się do ciebie dobierzemy! Zapłacisz nam za wszystko. I za Zająca i za inne... Tylko nie próbuj uciekać, dobrze? I tak ci się nie uda.

No, tego akurat nie byłem taki pewien. W każdym razie nie zamierzałem poddawać się bez walki. Nadszedł więc moment,

kiedy powinienem wyjąć pistolet, spróbować uciec im jedną z ulic, może urządzić wymianę ognia. Oczywiście, takie numery, jaki mi się udały w magazynie, drugi raz nie przejdą, ale tak czy siak, łatwo mnie nie dostaną. Czy w ogóle dostaną? Może uda mi się trafić na inne wejście do labiryntu, może spotkam inny oddział bandytów i uda mi się napuścić ich na siebie?

Nieważne. Najważniejsze to się nie łamać. Jeśli oddam wszystkie pieniądze bandziorem, to nie będę mógł się zajmować poszukiwaniami, i nie zostanie mi nic innego, jak wrócić na tarczy do swojego cyberu.

- Pamiętaj - powiedział Nosorożec - że tanio się nie wykrećisz. Oczywiście, walczysz nieźle, to nawet wzbudza szacunek, ale z pieniążkami się pożegnaj. Podobno masz ich pełno.

Banda znajdowała się już o jakieś trzydzieści kroków ode mnie. Najwyższy czas wyszarpnąć broń i dać nogę. Za chwilę może być za późno. Ale wciąż jeszcze zwlekałem. Jakoś nie chciało mi się wierzyć, że Drobny Bies złamał naszą umowę. Nie pasowało to do niego. Oczywiście, mógł sam wpakować się w jakąś kabałę... Ale nie, tacy spryciarze jak on wychodzą cało z najgorszych awantur. Kilka sekund zwłoki nic już nie zmieni.

Bandyci zdążyli podejść jeszcze z dziesięć kroków, zanim dał się słyszeć coraz głośniejszy stukot kopytek. Odetchnąłem z ulgą. Chyba wszystko się jakoś ułoży.

- Więc postanowiłeś nie stawiać oporu? - W głosie Nosorożca rozbrzmiewało wyraźne rozczarowanie.

Wzruszyłem ramionami. W tej chwili ucieczka już nie miała sensu. W pobliżu nie było żadnej kryjówki, postrzelą mnie zanim zrobię kilka kroków. Została mi tylko nadzieja na Drobneho Biesa. Jeśli nie zdąży, to cześć pieśni.

Miejmy nadzieję...

Drobny Bies wyskoczył zza rogu jak diabełek ze szkatułki.

Wyglądał na naprawdę wykończonego. Bandyci zawyli i unieśli broń.

- Trzymaj! - krzyknął mój przewodnik, rzucając mi saver.

Chwyciłem go, zanim ktoś z drużyny Nosorożca zdążył wycelować i nacisnąć spust. Taka historia. Przyczepiwszy płytkę na pierś, zapytałem Drobneho Biesa:

- Gdzie cię nosiło?

- Pięć infobucksów - oświadczył ten, zatrzymując się obok mnie i wyciągając rękę.

No, ten się przynajmniej nie zmienił. Wyjąłem banknot, podałem diabełkowi i dopiero wtedy zerknąłem na bandytów. Nie wyglądali najciekawiej. Zgrupowali się o jakieś dziesięć kroków ode mnie i patrzyli na Drobneho Biesa z nieukrywaną niechęcią.

- To nieuczciwe! - oświadczył Nosorożec. - Tak się nie robi.

- Dlaczego? - zapytałem. - Oto saver, na swoim miejscu, prawdziwy, aktywny.

- Powinieneś udać się do starosty po nowy.

- Po co? Wystarczy mi ten. Wcale nie zamierzam wyrzucać na wiatr kolejnych stu infobucksów.

- Wolisz zapłacić przewodnikowi pięć.

- A dlaczego nie?

- Dobra - powiedział Zajac. - Co się będziemy z nim szarpać? Wykiwał nas i tym razem. To nic, odegramy się na kimś innym.

Nosorożec półgłosem zaklął i ruszył w kierunku wejścia do labiryntu. Pozostali bandyci dreptali przez chwilę w miejscu, potem ruszyli za swoim przywódcą.

- Opowiadaj, w co się znowu wpakowałeś? - zapytałem Drobneho Biesa.

Ten tylko machnął ręką i wyszczerzył zęby w uśmiechu:

- To ty pakujesz się ciągle w tarapaty. A ja mam wszystko zaplanowane i obliczone.

- Akurat, zaplanowane i obliczone - odparowałem. - A gdybym nie chwycił ciśniętej przez ciebie płytki?

- No to ty byś był winien, a nie ja.

- A gdybyś się spóźnił o kilka chociażby sekund?

- Ale zdążyłem.

Machnąłem ręką. Ta dyskusja nie ma sensu. Kompletnie żadnego.

- Dokąd teraz się kierujemy? - zapytał diabełek, dając do zrozumienia, że nie prze do konfrontacji i że proponuje zawarcie pokoju. Miał rację, robota czeka. Od czego zacząć? Może najpierw odpowiedź na pewne ważne pytanie.

- Najpierw powiedz mi, jak się skończyła wojna starosty z metamorfem? Kto zwyciężył?

- Starosta, rzecz jasna. Godzinkę temu jego pomocnicy zapędzili metamorfa z powrotem do labiryntu i tam go wykończyli. Stawiał rozpaczliwy opór, powiadają, ale stłamsili go liczebnością.

Kiwnąłem głową z zadowoleniem. No to mogę chodzić po chińskim cyberze nie obawiając się, że ktoś nagle zacznie walić do mnie z dachu najbliższego domu ognistymi kulami. Poza tym, zyskałem na czasie. Nie sądzę, by twórca, który zasiadł w tym cyberze na dwa lata, postanowił akurat teraz zmienić miejsce zamieszkania. Mój powrót raczej go nie wystraszy. Czym może przestraszyć prywatny detektyw twórcę, który wykołował całą sforę gliniarzy?

Postanowione. Na razie nigdzie się nie śpieszę. Muszę gdzieś się urządzić, zadać Drobnemu Biesowi kilka pytań, może zmuszę go, by narysował przynajmniej przybliżony plan cyberu i dopiero potem zabiorę się do działania.

- Jadłeś coś? - zapytałem diabełka.
- Tak, byliśmy przecież razem w knajpie. Od tamtej pory jakoś nie było okazji.
- Mam rozumieć, że nie wrzuciłbyś coś na ruszt?
- Jestem za, a nawet bardzo za - oświadczył Drobny Bies i drapieźnie oblizał wargi.
- No to znajźmy jakiś lokalik i napakujemy się. Przy okazji obgadamy wszystko. Zgoda?
- Całkowita! Trzymaj się mnie.

Restauracyjka, do której weszliśmy z moim przewodnikiem, nieco różniła się od poprzednich. To był malutki i przytulny lokalik. Stoły nakryte były śnieżnobiałymi obrusami, na każdym stał flakonik z ładnym kwiatkiem. Ściany zdobiły dość dobrze wykonane hologramy ptaków i zwierząt.

- A taki tam, w wielkim świetle, naprawdę istnieje? - Drobny Bies wskazał hologram strusia, gdy tylko usiedliśmy przy jednym ze stolików.

- Tak.
- Nieprawdopodobne. Czym się odżywia?
- Tym samym co inne ptaki - odpowiedziałem.

Zabawne jest to panujące w chińskim cyberze zainteresowanie fauną wielkiego świata. Może jakiś pracujący tu kucharza był zaciekłym miłośnikiem zwierząt i ptaków? W każdym razie wygląd niektórych mieszkańców niezbitie tego dowodzi. Kelnerkę, zbliżającą się do naszego stolika, na szczęście, stworzył kto inny. Ale też nie do końca zwyczajny. W każdym razie, kelnerka dziwnie przypominała niezbyt udaną kopię Marylin Monroe. Zamówiwszy, zapaliłem i nagle, nieoczekiwanie dla samego siebie, zapytałem Drobniego Biesa:

- Powiedz mi, marzysz o czymś?

Diabełek, gapiąc się do tej chwili jak zahipnotyzowany na

strusia, zakaszła i zapytał zdezorientowany: -Co?

- Pytam, czy o czymś marzysz?
- No pewnie. Że kiedyś będę miał mnóstwo forsy.
- I co dalej?
- Wtedy przerobię siebie, swoje ciało. Zwiększę pamięć, szybkość myślenia, wygląd zewnętrzny.
- A potem?
- Będę zarabiał pieniądze.
- A kiedy już zarobisz więcej niż będziesz w stanie wydać na swoje ciało?

Pomyślawszy chwilę Drobny Bies oświadczył:

- Nie wiem. Może zamówię sobie przyjaciółkę u jakiegoś dobrego kucharczy i zakocham się w niej.

Tego to już za bardzo nie rozumiałem.

W tym momencie kelnerka przyniosła zamówione dania i zaczęła wyładowywać talerze na stół. Poruszała się zręcznie i nie zapomniała o pochylaniu się nad stolikiem, żebym mógł zerknąć w głębię jej dekoltu. Pewnie wchodziło to zakres działania jej programu obsługi klientów restauracji, a może po prostu się jej spodobałem. Gdy odeszła od naszego stolika, zapytałem Drobniego Biesa:

- Po co masz zamawiać przyjaciółkę?
- Bo tak jest lepiej - odparł, z energią rzucając się na jedzenie.
- W jakim sensie? - zaciekał mnie.
- W każdym. Rozumiesz, z przyjaciółką, którą sobie sam zamówię będzie mi łatwiej żyć. Ponieważ większość jej parametrów będzie znana i ustalona z góry. W tym, takie cechy jak umysł, dobroć, smykałka.

To mnie zaskoczyło. Jakoś to nie pasowało do mojego widzenia świata.

- Poczekaj - powiedziałem. - Czego właściwie chcesz: przyjaciółkę czy służącą?

- Oczywiście, że przyjaciółkę - powiedział Drobny Bies. - Od służącej wymaga się tylko jednego, umiejętności wykonywania powierzonych jej obowiązków. A ja potrzebuję czegoś więcej.

- No tak, ale sam modelujesz jej cechy. Łącznie z rozumem i stopniem dobroci.

- A czy to źle? To wy, tam w wielkim świecie, jak wieść niesie, posiadacie towarzyszki, o których nie wiecie wcześniej kim są. Wychodzi, że to swego rodzaju loteria z bardzo wątpliwymi szansami na wygraną. Nie rozumiem jak można ryzykować, wiążąc swój żywot z kimś, kto niemal na pewno nie będzie do ciebie pasował?

- A jak można żyć z kimś, o kim wiesz jak myśli i działania którego można przewidzieć z wysoką dokładnością? Jak można żyć z przyjaciółką, o której wiesz wszystko, nawet to, jak zareaguje na każdy twój postępek, czy rzucone mimochodem słowo?

Drobny Bies tak się zdziwił, że aż przestał pochłaniać danie.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Co, mianowicie?

- Powiedziałeś, że będę wiedział o niej absolutnie wszystko. Dlaczego tak pomyślałeś?

- A co, może nie tak? Skoro zawczasu planujesz cechy, jakimi będzie dysponowała, fizyczne i duchowe? Będziesz więc wiedział, jak zareaguje na to czy inne wydarzenie. Może się mylę?

- Oczywiście, że się mylisz - odparł diabełek. - Niewątpliwie, zamawiając sobie przyjaciółkę, będę wymagał, żeby posiadała określone cechy. Jednakże są to tylko cechy wyjściowe,

swego rodzaju minimum startowe. Rozumiesz? Stosując terminologię wielkiego świata, gdy przyjaciółka się rodzi, te cechy zaczynają się rozwijać. W tę lub inną stronę. W lepszą, albo gorszą. Po pewnym czasie staje się całkowicie samodzielną istotą. Twoje przypuszczenia miałyby sens, gdyby ona się nie rozwijała.

Powiedziałem:

- Hm?

W jego słowach był jakiś sens. Nie zostało mi nic innego jak przystąpić do konsumpcji. Kończyłem właśnie pałaszowanie talerza wspaniałego gulaszu, gdy przyszedł mi do głowy argument, i nie omieszkałem się nim podzielić.

- Poczekaj - powiedziałem, dziobiąc widelcem w ostatni, leżący jeszcze na talerzu kawałek mięsa. - Jednak oszukałeś mnie.

- Jak? Niby w czym?

- W tym, że zapewniłeś mnie, jakoby twoja przyjaciółka wyrośnie na swobodną istotę. Ale pamiętaj, że od samego pojawienia się na świecie będzie twoją własnością. Będzie mieszkała z tobą, będzie otrzymywała informację o otaczającym świecie od ciebie, przede wszystkim od ciebie. W ten sposób, wychowując ją, będziesz na nią oddziaływał. O jakiej więc swobodzie rozwoju my mówimy?

- A wy tam, w wielkim świecie, hodujecie dzieci. I też, rozwijając się, otrzymują one podstawową informację o otaczającym świecie od was. Czy to nie przeszkadza im w stawianiu się niezależnymi osobowościami?

Tu mnie miał. Praktycznie cisnął mnie na łopatki.

- Milczysz? No właśnie! - mruknął Drobny Bies i wrócił do konsumpcji.

No nie, nie wolno tak po prostu się poddać!

- Jednakże - powiedziałem - my nie mamy po prostu innego sposobu na rozmnażanie i podtrzymanie gatunku.

- My też. Przy tym nasz sposób pozwala uniknąć wszelkich chorób i innych podobnych rzeczy. Masz wystarczająco dużo pieniędzy, masz nową osobowość. Możesz ją wychować na kogo tylko zechcesz. Jeśli będziesz wychowywał ją prawidłowo, jeśli będziesz ją naprawdę kochał, to nie porzuci cię przez długi czas.

- Ale kiedyś porzuci?

- Słusznie. Jeśli wychowasz zdolną do życia istotę, która będzie mogła wyżyć w tym świecie i zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, wcześniej, czy później będzie chciała rozpocząć życie na własny rachunek, zarobić pieniądze, by zafundować sobie przyjaciela. I wychować go. Jeśli zaś posiadana przez ciebie osobowość nie będzie zdolna do życia, to wcześniej czy później trafi do wykrotu. To jest to samo, co funkcjonujące w wielkim świecie prawo doboru naturalnego.

- Aha - powiedziałem - to oznacza, że i w tej metodzie zdarzają się niewypały?

- Niewypały zdarzają się w każdym systemie i metodzie. Problem tylko w częstotliwości ich występowania. I skutków tych błędów. U nas niezdolne do życia osobniki po prostu nie mogą przedłużyć swego istnienia, nie mogą przekazać komuś swych negatywnych cech. W wyniku tego rzeczywiście przeżywają tylko najlepsi.

- Co ma do tego zdolność do życia? Czy sprzyja rozwojowi moralności?

- Kto tu mówi o moralności? Pewnie, moralność, sprawa nie błaża. Nie mając określonego pojęcia o moralności nie da się wyżyć. Ale zrozum, świat, w jakim my żyjemy, na razie nie potrzebuje dogłębnej wiedzy o moralności. Powiem więcej,

często przesadnie moralne programy okazują się niezdolne do przeżycia.

- Widzisz! - rzuciłem nie bez triumfu w głosie.
- No to co? - wzruszył ramionami Drobny Bies. - Po prostu na razie nie możemy sobie na to pozwolić. Ale, gdy tylko otaczający nas świat się zmieni i zacznie wymagać życia według wysokich kanonów moralności to otrzymamy je. To nie jest takie znowuż trudne do wykonania. Wystarczy nabyć odpowiedni podprogram. Rozumiesz?

Oczywiście, że rozumiałem.

Patrząc jak diabełek pochłania zawartość drugiego już talerza, zacząłem rozumieć pewną prostą, nieoczekiwanie otwierającą się przede mną prawdę. Tu, w chińskich cyberach, był inny świat, zupełnie inny, od początku do końca. To nie była odmiana naszego wielkiego świata. Rozwijał się według swoich własnych prawideł, na tym etapie całkowicie bezlitosnych. Ale prawidła te sprzyjały jednemu - rozwojowi, bardzo szybkemu postępowi, na razie powstrzymanemu tylko przez czynniki ekonomiczne. Dzięki temu, że świat chińskich cyberów był cholernie biedny, nie rzucało się to jeszcze w oczy. Ale...

Tu każdy program tułaczy, żeby przeżyć, musiał trudzić się w prawdziwym pocie czoła. W wyniku tego trudu otrzymywał też znacznie mniej, niż otrzymywałyby w każdym innym cyberze. Jednakże wcześniej, czy później ten stan rzeczy się zmieni. Kiedyś, któryś z żyjących w chińskim cyberze tułaczych programów, wymyśli sposób na przenikanie do świata oficjalnych cyberów. I wtedy się zacznie...

Czy będzie potrafił jakikolwiek żyjący w oficjalnym cyberze program tułaczy przeciwstawić się przybyszowi z kitajskiego cyberu? Nie, nie mam na myśli walki. To znacznie prostsze -

czy potrafi przeciwstawić się w rywalizacji w zręczności, szybkości działania, zdolności do przeżycia?

Czy będzie potrafił taki na przykład Hobbin czy Nobbin utrzymać swoje miejsce w „Krwawej Mary”, jeśli trafi do niej Drobny Bies? A czym później do tego dojdzie, tym gorzej dla nich. Tym większe prawdopodobieństwo, że zostawi ich daleko za sobą, i wówczas nie zostanie im nic innego jak udać się prosto do wykrotów. A turystów to wcale nie dotknie. Co im za różnica, takim miłośnikom wędrówek po świecie piękna, kto poprowadzi ich po podziemnych lokalach cyberu-12, Hobbin i Nobbin, czy ktoś stąd?

Oczywiście, gliniarze będą wyłapywali tych nielegalnych wizytantów, ale z jakim wynikiem? Skoro nie mogą poradzić sobie z tułaczymi programami typu Hobbina czy Nobbina, to jak zdołają wyłapać tych, co zdobywali doświadczenia w znacznie trudniejszych warunkach? Jeszcze raz dźgnąłem w kawałek mięsa, potem wzięłem nóż i zacząłem odcinać od niego mniejszy kawałek. Spokojnie, rozważnie, starannie włożyłem ten kawałek do ust, przeżułem i zacząłem odcinać inny. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Bardzo prosta, bardzo logiczna.

No dobrze, wcześniej czy później mieszkańcy chińskich cyberów znajdą dla siebie furtkę do świata oficjalnych cyberów. I pewnie zajmą miejsce mieszkających tu teraz tułaczy programów. Czy poprzestaną na tym? Co się stanie dalej?

Wcześniej, czy później zacznie to dotyczyć nie tylko Hobbina i Nobbina, a - przykładowo - mnie, czy Glorii. Pewnie, nie stanie się to szybko. Ale przecież tu, w świecie cyberów, nie starzejemy się. Jeśli uda mi się przeżyć, jeśli będzie mi się jakoś nieźle powodzić, to kiedyś nieuchronnie spotkam się z przybyszem z chińskiego cyberu, który dokona zamachu na

moje miejsce. A może z dziesięcioma, czy dwudziestoma takimi przybyszami?

Odłożyłem widelec i podejrzliwie przyjrzałem się Drobnemu Biesowi. Akurat skończył z kolejnym daniem. Odsunąwszy od siebie czysty talerz, poklepał się z zadowoleniem po brzuchu i oświadczył:

- No, jedzenie na razie mamy chyba z głowy. Może teraz zajmiemy się robotą?

Jego oblicze aż promieniało zadowoleniem. I niemal nieszkodliwym szelmostwem.

- Tak, oczywiście - powiedziałem. - Pora wracać do roboty. Ale na razie przepłuczemy gardła. Masz coś przeciwko?

- Jestem za.

- To i świetnie.

Przywołałem kelnerkę i zamówiłem dwa kufle piwa. Usiłowała mi wcisnąć jakieś, jej zdaniem wyśmienite w smaku wino, ale byłem nieugięty. Przyszło jej pogodzić się z piwem. Wróciła, postawiła na naszym stoliku kufle, demonstrując przy tym ponownie swój dekolt, i, nieco wulgarnie kołyszając biodrami, oddaliła się. W tym momencie byłem już spokojny i teraz, łyknąwszy z kufła, bardziej racjonalnie popatrzyłem na problem rozwoju chińskich cyberów.

Rzeczywiście, czy nie przesadnie ponuro patrzę w przyszłość? Prorokuję taki tatarsko-mongolski najazd na oficjalne cybery? Na pewno wszystko odbędzie się inaczej. Nie będzie żadnego strumienia. Zamiast niego popłynie cieniutka strużka. Przybysze z chińskich cyberów, aby dać sobie radę w naszym świecie, zmuszeni będą uznać jego zasady moralne, przestrzegać określonych, pisanych i niepisanych praw. Oczywiście będzie to poważna konkurencja dla żyjących w oficjalnych cyberach tułających programów, ale to zmusi je do konsolidacji,

do przystosowania się do nowych warunków.

A co, w końcu, wiadomo o przyszłości? Na razie nie mam do tego specjalnie głowy. Mam wykonać zlecenie, otrzymać pieniądze i przeżyć. Reszta - potem. Póki to obmyślałem, Drobnny Bies wysłał już zawartość swojego kufła i teraz wyczekująco popatrywał na mnie. Niech się gapi. Poczekaj. To ja tu kieruję tą paradą. Niespiesznie dopiłem swoje piwo i powiedziałem:

- Plany się nieco zmieniają. Zgodnie z otrzymanymi przeze mnie nowymi danymi, ten, którego poszukuję, mieszka w waszym cyberze już od dwóch lat.

- Wizytant? Od dwóch lat? - uśmiechnął się diabełek. - Nie, oszukano cię. To jest niemożliwe. Nie mamy tu w cyberze takiego turysty, który mieszkałby tu od dwu lat.

- Jesteś pewien?

- Jeszcze jak! O mieszkającym od dwu lat turyście wiadomo byłoby wszystkim. Rozumiesz? Wszystkim!

- A jeśli ten turysta jest na dodatek twórcą?

- Twórcą? Hm... twórcą...

Drobnny Bies zawahał się i zaczął wpatrywać się w obrus, jakby był jakimś unikatem.

- No? Dlaczego zamilkłeś? Czy jest w waszym cyberze twórca?

Diabełek zerknął na mnie zezem, potem znowu spuścił oczy.

- Pięć infobucksów? - zapytałem.

Po chwili milczenia Drobnny Bies powiedział niepewnie:

- Może nie?

O, to było coś nowego. Nie oczekiwałem tego od mojego przewodnika.

- Co, może nie?

- Może nie pchaj się w nie swoje sprawy. To się nie skończy dla ciebie dobrze. Dowiedziawszy się, że grzebiesz w tym kie-

runku, starosta podejmie odpowiednie kroki. Naprawdę zdecydowane. Rozumiesz?

- Może zrozumieć, jeśli powiesz nieco jaśniej? - powiedziałem, zaczynając się już nieco złościć.

- Nie domyślasz się?

- Nie.

O co chodzi? Oczywiście, już zaczynałem domyślać się, co ma na myśli Drobny Bies. I gdzie najprawdopodobniej może ukrywać się w chińskim cyberze twórca. Ale tliła się jeszcze we mnie słaba nadzieja. I nie zamierzałem się z nią rozstawać.

- Dobrze, powiem ci - powiedział diabełek, wpatrując się w pusty kufel. - Pewnie i sam już się domyśliłeś. E-e-e... wiesz, że do naszego cyberu często przybywają turyści, po swego rodzaju rozrywki?

- Wiem.

- A jak myślisz, skąd się biorą objekty ich zabaw?

Skinąłem głową. Wszystko się zgadza. Tak właśnie miało być. Najgorszy wariant. Oto, czym musiał się zająć Sevec Star, żeby wyżyć w chińskim cyberze.

- Chcesz powiedzieć, że twórca dostarcza objekty do zabaw tych turystów?

- Oczywiście. Myślisz, że takiego turystę zainteresuje zwykły program tułaczy? Nie, oni potrzebują czegoś szczególnego. Czegoś, co przypomina ich samych, co jest zdolne do odczuwania wszystkiego tak, jak urodzony w wielkim świecie turysta, zdolne do reakcji, posiadające prawdziwy, dopracowany kokon. Za coś gorszego nie będą chcieli zapłacić.

- A ponieważ ten twórca daje olbrzymi dochód...

- Tak, oczywiście, że starosta nie dopuści, by ten system przestał funkcjonować. Powstrzymany zostanie każdy turysta, nawet prywatny detektyw, który będzie usiłował dotrzeć do

tego twórcy.

- Nawet jeśli ten turysta ma saver?

- Nie wiem - powiedział Drobny Bies. - Ale wydaje mi się, że starosta może coś wymyślić. Zbyt wielkie pieniądze straci nasz cyber, jeśli coś się stanie twórcy.

Prychnąłem posepnie. No to się wszystko wyjaśniło.

Jak brzmiał ten cytat... „geniusz i przestępca - to się nie łączy”? Akurat, w życiu, jak się okazuje, łączy się i to łatwo. Zresztą, może ten Sevec Star nie kwalifikuje swoich działań jako czegoś haniebnego? Może te obiekty zabaw są dla niego niczym innym jak po prostu dobrze zrobionymi programami? A może rozumie co robi? Może właśnie dlatego wykonał metamorfa, żeby przenieść się do innego cyberu?

A właśnie, dlaczego nie? Minęły dwa lata. Gliniarze już nie mają nadziei na znalezienie go. Przecież nie zamierza siedzieć wiecznie w chińskim cyberze? Pewnie, pomocnicy starosty pilnują go, żeby przypadkiem nie zwał, pozbawiając cyber źródła dochodu. Sevec Star natomiast, rozumiejąc, że tak łatwo go nie wypuszczą, i widocznie potrzebując pieniędzy, wykonuje metamorfa. Ten zabija bogatego turystę, kradnie jego kartę kredytową. A potem zaczynają się wydarzenia, których sam byłem świadkiem. Może metamorf miał uwolnić swego twórcę i pomóc mu w ucieczce? Ale nie zdążył. Teraz Sevec Star wymyśli coś innego. Wymyśli? Na pewno. Przecież to twórca.

- No? Dotarło już? - zapytał diabełek.

- Dotarło - powiedziałem.

Naprawdę dotarło. Na dodatek w tym wariantcie wyjaśnienia wszystkiego tego, co zaszło w chińskim cyberze w ostatnim czasie, pozbawione były wszystkich „grudek”, o których mówiła Gloria. Wszystko było proste i logiczne, a więc i mu-

siało być prawdą.

- I co zamierzasz zrobić? - zapytał diabełek.

Co może być lepszego niż we właściwym czasie postawione właściwe pytanie?

Czy mogę uważać swoje zlecenie za wykonane? Wiedziałem, gdzie znajduje się poszukiwany przez Shettera obiekt. Może czas wezwać klienta, skasować swoje honorarium i wracać do swojego cyberu? Sprawa skończona. Nie uda mi zrobić już nic więcej. Chyba, że dać odpowiedni materiał Glorii? A ona spłaci Serge'a, a potem, jeśli on jej pozwoli, wysmaruje wspaniały artykuł. Może nawet będzie to jakaś sensacja.

Ale tak naprawdę to niczego to nie zmieni. Turyści nadal będą odwiedzać chiński cyber w poszukiwaniu specyficznych rozrywek. Starosta nadal będzie odcinał od tego swoje kupony, a twórca Sevec Star będzie nadal wytwarzał obiekty do tych rozrywek, jednocześnie obmyślając plan nowej próby ucieczki. Jakiego pomocnika wykona dla siebie następnym razem? Coś pewnie lepszego od programu-metamorfa?

A ja będę zaglądał do „Krwawej Mary”, sączył piwko, słuchał gadania Plotki, albo Hobbina z Nobbinem, czasem spotkam się z Glorią, ale przez większą część czasu będę siedział w domu i czekał na klienta. Może nawet się znajdzie. Na pewno się znajdzie.

- Wracasz do swojego cyberu? - zapytał z goryczą diabełek.

Och, oczywiście, że mogłem dowiedzieć się, gdzie urzęduje twórca, a potem wyszarpnąć swój pistolet i podjąć próbę przebicia się tam. Chociażby po to, by ukrócić rozrywki tego typu wizytantów i przerwać produkcję nowych obiektów do rozrywek... Dokładniej, żeby przerwać wykonywanie prawdziwych istot myślących, nawet nie takich jak Drobnny Bies, a takich jak ja sam. I nie tylko wykonywanie ich, a śmierć,

śmierć w straszliwych, nieludzkich męczarniach.

Ale co to komu da? Pomocnicy starosty odstrzelą mnie już przy podejściu do kryjówki twórcy. Kto na tym zyska? Nikt. A ja - przegram.

Mogę też powiadomić o tym, co tu się dzieje gliniarzy. Ale oni na pewno o tym świetnie wiedzą. Nie wszyscy, nie szeregowi gliniarze, a ci, co wydają rozkazy i decydują. Ci szefowie wcale nie są zainteresowani tym, by ustały odwiedziny w cyberze-122. Przecież odpalają im dolę z tego procederu, a poza tym w gronie tych specyficznych turystów znajdują się nie tylko bogaci, ale i ustosunkowani. A oni też nie będą zadowoleni, gdy ustaną mile podszczypujące nerwy zabawy.

A Shetter? Czyżby nie wiedział, czym zajmuje się poszukiwany przez niego twórca? Wychodzi na to, że nie wiedział, ale się dowie. Wyprowadzi odpowiednie wnioski. Na pewno nie będzie chciał deptać po odciskach takiej gromadzie wpływowych i majątnych obywateli. Tak więc... Ciekawe, jak długo pożyję, jeśli powiem gliniarzom o swoich zadziwiających odkryciach w kitajskim cyberze? Godzinę? Dwie? Może trzy. Ale to by była przesada. Najpewniej tylko tyle, ile potrwa sprokrowanie dla mnie jakichś wielkich problemów. Zaczną się one od tego, że zabiorą mi moją licencję, a może po prostu naślą zabójcę. Taki nie spudłuje. Palnie z czegoś takiego, co od razu wykończy mnie, bez niepotrzebnych męczarni. Potem, gdzieś w bankach danych glin dokona się małych modyfikacji, i wszelki słuch i wspomnienie o mnie zaginie. A każdy kto coś o mnie wiedział, zostanie tak pouczony, że będzie się bał nawet wspomnienia o niejakim Essutilu Quacku.

Gloria... No, tylko z nią mogą być kłopoty, tylko ona może się postawić. Ale to też nie problem. Bez trudu można spowodować, że zaginie w czasie zbierania materiałów do kolejnego

artykułu w jakimś peryferyjnym cyberze.

Gloria...

Nagle poczułem, że papieros przypieka mi palce. Cisnąłem peta do popielniczki. Nie pamiętałem nawet, że go zapaliłem... Ale co tam, to teraz nieważne. Ważne, że trzeba zdecydować, co robić dalej. A może nie ma co się zastanawiać - decyzja może być tylko jedna. Trzeba zapłacić Marylin Monroe, wysupłać piątkę dla Drobneho Biesa za otrzymane dane i można się stąd wynosić.

- Wracasz do siebie? - zapytał zaniepokojony diabełek.

Potarłem skronie i uznałem, że za bardzo się rozklejam. Najpierw ta apokaliptyczna wizja najazdu z chińskiego cyberu, a teraz to... Ale co mam robić? Nie ja - istota, która odkryła, że wali głową nawet nie w kamienny mur, a w stalową pancerną płytę, tylko ja - prywatny detektyw, zawodowiec. Co by zrobił na moim miejscu profesjonalny prywatny detektyw?

No właśnie.

Przede wszystkim prawdziwy profesjonalista powinien wszystko sprawdzić, przekonać się, że posiadane dane są prawdą. I dopiero potem może zdecydować. Przede wszystkim sprawdzenie. Weryfikacja.

19.

- Widziałeś tego twórcę? - zapytałem Drobniego Biesa.
- Nie - odparł.
- A znasz kogoś, kto go widział?
- Jakby dobrze poszukać, to może się ktoś znajdzie.
- No to poszukaj. Muszę mieć pewność, że to ten twórca, o którego mi chodzi.
- Mogę spróbować. Ale do tego potrzebne będą dodatkowe finansowe wsparcia.

Podając Drobniemu Biesowi kolejny banknot, pomyślałem, że być może pośpieszyłem się uznając zlecenie Shettera za korzystne. Powinienem był włączyć do umowy punkt o zwrocie wydatków bieżących. Na pewno przy następnej takiej okazji już o tym nie zapomnę. O ile, rzecz jasna, dożyję do tej chwili. Na razie zaś...

Zapłaciłem za obiad i w towarzystwie Drobniego Biesa wyszedłem na ulicę, gdzie zadałem swojemu przewodnikowi pytanie:

- Teraz dokąd?
- Pozwól, że to ja będę działał - oświadczył ten. - Po prostu idź za mną i do niczego się nie wtrącaj. Wszystko załatwię sam.
- Niech ci będzie.

Pewnie było to najlepsze w tej sytuacji wyjście. Niech prowadzi ten, kto lepiej ode mnie zna chiński cyber, ja będę szedł za nim jak ślepy za prowadzącym. Bo i tak było. Kimże tutaj byłem? Do tej chwili prawdziwym ślepcem. Tu toczyło się obce, kierujące się nieznanymi mi prawidłami, życie. A mój

przewodnik wspaniale widział i wyczuwał wszystkie jego niuanse. Niech więc działa. Do chwili, kiedy nie naprowadzi mnie na to, co mnie interesuje, wtedy nadejdzie moja kolej, żeby wyjść na scenę, zadać interesujące mnie pytania i otrzymać na nie prawdziwe odpowiedzi. Jeśli potwierdzą one moją nową teorię, to nic innego mi nie zostanie, jak zakończyć poszukiwania.

A może i nie zakończyć? Może warto mimo wszystko prze-pchnąć się bliżej do tego twórcy? Tylko czy warto, bo na pewno przyjdzie mi stoczyć jakieś potyczki czy bitwy. Czy tego chciał mój klient? Na pierwszy rzut oka raczej odwrotnie - nie chciał hałasu i szumu. Po prostu, znajdź i powiadom. Właściwie, to pierwszy punkt jest zrealizowany, tylko muszę się przekonać, że mam rację, a potem powiadomić klienta o wynikach poszukiwań.

Obmyślając drogi postępowania, szedłem środkiem ulicy i nieco roztargnionym wzrokiem kontrolowałem Drobnego Biesa. A ten halsował jak żaglówka pod wiatr - przebiegał z jednej strony ulicy na drugą, zatrzymywał jakichś mieszkańców chińskiego cyberu, widocznie swoich znajomków, i pośpiesznie ich o coś wypytywał.

Oto chyba dowiedział się, czego chciał, bo rzucił się do mnie.

- Jest, chyba trafiłem na ślad. To blisko. Wal za mną.
- Dobrze, niech ci będzie.
- Ale najpierw czeka nas mała przebieżka - niemal szeptem powiedział diabełek. - Chyba pewni ludzie znowu postanowili zapolować na ciebie.

Rzeczywiście, usiłując trzymać się na pełen szacunku dystans, szło za nami kilka tułaczych programów, których kokony były jakoś znajome. Przypomniałem sobie, gdzie ich widziałem. To byli oszuści. Zapewne wali też tu ze wszystkich sił

ich przywódca, ten, jak mu tam

- Wielki Przetyk, chyba? Zaiste, jeszcze mi tylko tego brakuje - kontynuacji przerwane go z nim pojedynku.

- Biegniemy - zgodziłem się równie cicho.

- Poczekaj jeszcze moment. Jak się zrównamy z tą przecznicą, na mój sygnał.

- Dobra. Znowu będziemy wiali przez labirynt?

- A jak! Nie da się inaczej. Nie uciekniemy od oszustów.

Zrównaliśmy się z przecznicą. Drobnny Bies rzucił sygnał, i chichocząc jak psotnicy, pobiegliśmy zaułkiem.

Chciałem obejrzeć się, popatrzeć na być może zaskoczone facjaty oszustów, ale nie było już takiej możliwości. Musiałem przeskakiwać co i rusz przez resztki jakichś przedmiotów, którymi zawałony był zaułek. Czym właściwie były owe przeszkody, nie dawało się już zdefiniować. A pewnie i nie było warto. Drzwi wejściowe huknęły za moimi plecami. Potem, ciągle jeszcze biegiem, pokonaliśmy kilka korytarzy i dopiero wtedy przeszliśmy na zwykły krok.

- Nieźle ich wykiwaliśmy - powiedział Drobnny Bies. - Niech teraz zgadują, w jakim punkcie cyberu się pojawimy.

- A w jakim? - zapytałem.

- W Szanghaju. To najbiedniejsza dzielnica. Mieszkają tam przede wszystkim kandydaci na bliższą znajomość z wykrotem.

- Co możemy tam znaleźć?

- To, czego szukasz. Wiadomości o twórcy.

- W Szanghaju?

- A dlaczego nie?

- Dobrze. Zgoda - wzruszyłem ramionami.

Rzeczywiście, co mi się w tym nie podoba? Niech prowadzi, gdzie chce. Wcześniej czy później wyjaśni się, warto było iść

do Szanghaju, czy nie.

Kolejny korytarz, w który skręciliśmy, miał kamienne ściany. Więcej, ściany ozdobiły wykonane z drobnych kamyczków mozaiki przedstawiające smoki. Bardzo ładne smoki. Nie miałem, niestety, za dużo czasu na napawanie się ich widokiem. Po chwili korytarz ze smokami został za nami, a wtedy zapytałem:

- Teraz to nie ma już wielkiego znaczenia, ale powiedz mi, czy miejsce, gdzie odbywają się te radosne zabawy waszych specyficznych wizytantów i gdzie mieszka twórca, znajdują się na dolnym poziomie labiryntu?

Drobny Bies wyciągnął do mnie dłoń.

- Nie możesz odpowiedzieć za darmo? - zapytałem.
- Niech ci będzie - machnął ręką diabełek. - Odpowiem, niech to będzie jakby premia za poprzednie twoje honoraria.
- No to...
- Całkiem możliwe, całkiem możliwe. Dokładniejszej odpowiedzi dać po prostu nie mogę.
- No, to nie jest odpowiedź.
- Kwestia interpretacji - mruknął Drobny Bies, skręcając w następny korytarz.

Teraz ściany korytarza były zdobione bardziej skąpo i prymitywnie. Ściany ostatniego tunelu, kończącego się drzwiami, były po prostu szare, bez najmniejszej kolorowej plamki. Szare, porowate mury, nadżarte przez negatywne infopole. Drobny Bies nie oszukał mnie. Szanghaj był rzeczywiście niewiarogodnie ubogą dzielnicą, biedną nawet jak na warunki kitajskiego cyberu. Świadczyły o tym niezbitce tworzące go budynki. Wiele z nich do tego stopnia utraciło swoje kształty, że przypominały teraz zaokrąglone ze starości purchawy. Ale ktoś je zamieszkiwał. Pilnowałem swojego przewodnika, ale i

tak udało mi się zobaczyć kilka razy wchodzące lub wychodzące z nich tułacze programy.

Tak naprawdę, to przywiązanie tułaczy programów do domów było niezbyt zrozumiałe. Tu, w cyberze, obecność dachu nad głową chroniła tylko przed ciekawskimi spojrzeniami, no i może atakiem jakichś przestępców. Nie było w tym świecie deszczu czy śniegu, tak samo, jak i gwałtownych spadków temperatury. Kiedy ktoś stawał się mieszkańcem takiego Szanghaju nie musiał się już obawiać napaści, ani ukrywać przed obcymi spojrzeniami. A mimo to programy czepiały się tych na poły rozwalonych ruder. Dlaczego? Z przyzwyczajenia? Może posiadanie mieszkania było dla nich symbolem utraconej, ale kiedyś istniejącej stabilizacji i względnego dobrobytu? Ale co tam, zastanawiać się nad tym można aż do Sądu Ostatecznego. A ja mam ważniejsze sprawy na głowie.

Minęliśmy jeszcze kilka przecznic; w końcu Drobny Bies zatrzymał się przy jakimś domu, który zachował stosunkowo niezły, jak na otoczenie, wygląd.

- Poczekaj. Wrócę szybko - powiedział i wpadł do budynku.

Dobra. Mogę poczekać. Zapaliłem, bez pośpiechu rozejrzałem się po okolicy. Miejscowi, w pierwszej chwili usuwający się na sporą ode mnie odległość, widząc, że diabełek znikł w budynku, nabrali odwagi i zaczęli zbliżać się do mnie. Wszyscy byli programami z archaicznymi kokonami. Usłyszałem jak jeden z programów zapytał:

- Kto to?

- Pewnie turysta. Jeśli uda się go oszukać, to można capnąć masę pieniędzy - wyjaśnił tułaczy program, którego kokon zbudowany był z dziecinnych klocków.

- No to na co czekamy? Zacznijmy go kiwać. Może uda się wzbogacić.

- Patrzcie go, jaki sprytny - odpowiedział klockowy program. - Sądziysz, że tak łatwo zacząć? Nie, trzeba by wymyślić coś takiego z hakiem. Może go skusić czymś? Tylko czym?

Wsunąłem rękę do kieszeni i wymacałem rękojeść pistoletu.

Ciekawe jak dalece negatywne infopole uszkodziło myślenie tych programów? Kto wie, może tak mocno, że zapomniały nawet o znaczeniu savera? Zaatakują?

- Nie poczęstowałbyś papierosem? - nagle zapytał jeden z programów pochlebczym głosem. Był kulisty, przypominał postać sklejoną z żabiego skrzeku.

Rozśmieszył mnie.

- Trzymaj.

Rzuciłem kulistemu papierosa.

- Mi! Mnie! Mi też! Ja też chcę! - natychmiast rozjazgotały się pozostałe tułacze programy.

Przysunęły się bliżej, chciwie wyciągały ręce, coś mamrotały, dopraszały się, kusily i obiecywały. Nagle poczułem, że naprawdę jeszcze chwila i rzucą się na mnie. Przyjdzie mi wyciągnąć pistolet i bronić się, a to będzie nie tyle nawet bez sensu, co po prostu haniebnie. Bitwa ze stadem na poły rozłożonych już tułaczycy programów. Heros, bezlitośnie mordujący sięgających po jego majątek gołodupców. Ohyda!

- Przestańcie natychmiast!

Obok mnie stał Drobnny Bies. Wyglądał na rozzłoszczonego, powiedziałbym nawet, wściekłego. To podziałało. Tułacze programy odstąpiły, zgromadziły się w kupkę, coś tam szepotały, ciągle jeszcze nie spuszczały ze mnie oczu, ale już się pogodziły z tym, że nic więcej nie uzyskają.

- Nie trzeba było tak postępować - powiedział diabełek.

Pewnie, że nie. Sam już się domyśliłem, więc po co mnie dołuje?

- Co załatwiłeś? - zapytałem wskazując brodą budynek.
- Dogadałem się. Nadzorca opowie ci wszystko. Ale nie za darmo.
- Wiadomo - mruknąłem. - Opłata standardowa?
- Yhm - chytrze uśmiechnął się przodownik.
- Ale widywał twórcę?
- Też. Wszystko ci opowie. Musisz tylko wejść.

W towarzystwie diabełka wszedłem do domu. Było to zwykłe kwadratowe pudło, wewnątrz którego stała para prymitywnych, jakby narysowanych ręką dziecka krzesel i wielki fotel bujany, w którym kiwał się nadzorca. Chudziutki staruszek, o nieźle wykonanym, jak na miejscowe kryteria, kokonie. Nieruchoma twarz, na której zastygła maska pewnej darowanej przez władzę wyniosłości. Och, ty, królu miejscowego śmietnika. Przywódca kandydatów na randkę z wykrotem.

- Siadaj na najbliższe krzesło i daj mu z pięć infobucksów - podpowiedział mi Drobny Bies.

Usiadłem na krześle i podałem nadzorcy piątaka. Ten przyjął pieniądze spokojnie, jakby był udziałnym księciem, przyjmującym daninę. Zresztą, może tak było? Może w danej chwili mnie on był bardziej potrzebny, niż ja jemu? A jeśli potwierdzi moją teorię, to piątka nie zostanie zmarnowana.

- Pytaj - podpowiedział Drobny Bies.

Potwierdzając gotowość udzielania odpowiedzi, nadzorca lekko pochylił głowę. No, pora zaczynać. Zaraz się wiele wyjaśni.

- Czy widziałeś twórcę, wykonującego programy dla rozrywek?
- Tak - skinął głową nadzorca.
- W jakich okolicznościach?
- Byłem w jego ochronie.

- Dawno temu?
- Pół roku temu starosta zdecydował, że ochronę twórcy należy uczynić bardziej efektywną. Na moje miejsce wszedł jeden z jego pomocników.

- Czy od tego czasu znajdujesz się tu?
- Tak, na rozkaz starosty pilnuję porządku w Szanghaju.
- Dobra, zerknij na ten hologram. Czy to on?
Pokazałem nadzorcy hologram, otrzymany od Shettera.

Uważnie przyjrząwszy się mu powiedział:

- Nie.
- Jesteś pewien?
- Całkowicie.
- A to?

Teraz przyszła kolej hologramu, otrzymanego od Glorii. Tym razem wystarczyło jedno spojrzenie.

- Tak, to on.

Odetchnąłem z ulgą. Przynajmniej jedno się potwierdziło. Teraz już mam pewność, że Sevec Star znajduje się tu, w tym cyberze. Przywrócił sobie poprzedni wygląd. Dużo bym uzyskał łąząc z hologramem od Shettera!

- Miejsce, gdzie przebywa twórca i gdzie odbywają się orgie turystów znajduje się na drugim, niższym poziomie labiryntu?

- Tak. To wygodne. W razie czystki łatwiej jest ukryć twórcę, wyprowadzić go na jakiś czas z cyberu.

Przyszła mi do głowy pewna myśl, którą pośpiesznie podałem weryfikacji:

- Czy tam, na niższej kondygnacji, znajduje się również nieoficjalny portal?

Przez pewien czas nadzorca przyglądał mi się uważnie. Kto wie, czy go nie zadziwiłem?

- Czy tak? - zapytałem.
- Tak. Kim jesteś? Jak na zwykłego wizytanta jesteś za bystry.
- A Drobnny Bies ci nie powiedział?
- Jeśli mu wierzyć, to jesteś prywatnym detektywem. Nie wiem, co to oznacza. Czym się zajmujesz?
- Zbieram różne informacje dla klientów.
- Pracujesz dla gliniarzy?
- Nie. Nie mam z nimi nic wspólnego. I moje informacje do nich nie dotrą.
- No to zadawaj te swoje pytania.

Chciałem wypytać go jak prezentuje się ochrona twórcy. Ale wiedziałem, że nie powinienem tego robić. W każdym razie nie teraz. A potem?.. Potem też nie. Raczej nie uda się Shetterowi wmówić mi, że atak na dolny poziom labiryntu wchodzi w zakres moich obowiązków. Nie wiadomo zresztą, czy sam zdecyduje się na atak. Niby miał tylko pogadać z twórcą. Ale kto go tam wie? Jeśli starosta nie pozwoli mu na spotkanie? Wtedy Shetterowi może przyjść do głowy prosty scenariusz - wynająć kilku bojówkarzy, przebić się do twórcy i wystąpić w roli jego dobroczyńcy, oswobodziciela. Bo twórcy na pewno już znudziło się wykonywanie „jagniąt na rzeź”. Dlatego najprawdopodobniej zgodzi się na współpracę, nie ma zresztą, specjalnego wyboru. Zdecydowałem się jednak na jedno małe, niemal niewinne pytanie. Tak, na wszelki wypadek:

- Dobrą ma ochronę?
- Tak, myśmy go chronili dobrze - potwierdził nadzorca. - Pomocnicy starosty pewnie robią to jeszcze lepiej.

Lepiej, powiadasz. Ale metamorfa tym niemniej twórca zdołał wykonać, a ten, wykiwawszy ochronę zwiął z labiryntu. Jak to zrobił, mniej więcej wiadomo. Sławetna umiejętność

przechodzenia przez ściany. Co i tak go nie uratowała od zgonu. Ciekawe, jakiego nowego ptaszka szykuje teraz twórca? Na pewno będzie lepszy od metamorfa, to wiadomo. Ale kiedy go wykona i wypuści, żeby podokazywał?

I z innej beczki - czy starosta nie domyśla się, że twórcy, który postanowił zmienić miejsce pobytu, nie da się upilnować? Czy nie przekonała go historia z odmieńcem? Dobrze, to potem...

- Masz jeszcze pytania? - zapytał nadzorca.

Oczywiście, miałem jeszcze pytania. Dokładnie zaś rzecz biorąc - jedno pytanie, najważniejsze. Jeśli otrzymam na nie prawidłową odpowiedź, to moje zlecenie będzie można uważać za wykonane.

- Jeśli nie poznałeś twórcy na pierwszym hologramie, to czy to oznacza, że nigdy go nie widziałeś w takiej postaci?

- Zgadza się.

- Przez ile czasu byłeś w ochronie twórcy?

- Rok. Przed nami pilnowała go inna obsada. Na rozkaz starosty zostali wymienieni. Tak samo jak teraz pomocnicy starosty zastąpili nas.

Omam nie zakląłem na głos. Wyglądało, że nie uda się skończyć zlecenia w tym momencie. A chciałbym mieć już to z głowy. Ale może przynajmniej złapię za koniec jakiejś niteczki?

- A gdzie mogę spotkać kogoś z tych ochroniarzy, którzy byli przed wami?

- Nigdzie.

- Dlaczego?

- Bo wszyscy poszli do wykrotu. Ostatniego z nich pół roku temu zastąpiłem na stanowisku nadzorcy. Pilnował Szanghaju i, tak sędzę, co nieco zaoszczędził, co pozwoliło mu po utracie miejsca pracy wytrzymać jeszcze trzy miesiące. Ale wykrotu

nie uniknął.

To mi się nie podobało.

- Jesteś pewien?

- Oczywiście, jak i tego, że wcześniej czy później ktoś zręczniejszy i szybszy zastąpi pomocników starosty. Wtedy jeden z nich zajmie moje miejsce.

Nie zapytałem, co wtedy zrobi nadzorca. Pewnie jakieś oszczędności pozwolą mu pociągnąć trochę, ale potem? Zaczną działać zwyczajne dla cyberów prawa - albo znajdzie sobie w tym świecie miejsce, albo uda się do wykrotu.

- Może któryś z ochroniarzy jednak przeżył?

- Wątpię. Chyba, że przekwalifikował się i został bandytą. Ale nie tak łatwo jest stać się bandziorem, liczba wakatów jest dokładnie określona. A na ochroniarza w naszym cyberze jeszcze trudniej się załapać. Nie, raczej sądzę, że żaden z nich nie przeżył.

Tak więc na ostatnie interesujące mnie pytanie nie ma kto odpowiedzieć. Albo niemal nie ma kto. Nagle uświadomiłem sobie, kto może odpowiedzieć mi na to pytanie. Tylko, czy zechce? Wątpię, bardzo wątpię. Ale spróbować można...

- Czy masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie, na razie - koniec.

Powiedziawszy to, wstałem z krzesła.

- Jeśli sobie tego życzyście to mogę was odprowadzić do labiryntu - odezwał się nadzorca.

A ja zapłacę za to pięć infobucksów.

- Nie, dziękuję, sami znajdziemy drogę.

- Jak chcecie - spokojnie powiedział nadzorca.

Przez jego twarz przemknęło coś jak słaby uśmiech; przyjrzałem się uważnie jego obliczu. Nie, wydawało mi się. Wyszliśmy z budynku, a ja zapytałem:

- Czy on pilnuje tej dzielnicy?
- No tak - powiedział diabełek. - A gdzie niby go mieli wpakować? Tu przynajmniej jest pożyteczny, pilnuje porządku.

- Nie wygląda mi, żeby ci nieszczęśnicy mogli sprawiać jakieś kłopoty.

Skinąłem głową w stronę stojącej nieopodal grupki tułacznych programów. W czasie, kiedy rozmawiałem z nadzorcą, ich liczba znacznie wzrosła. Jeśli zaraz stąd się nie zmyjemy, to wkrótce będziemy mieli na karku całą populację Szanghaju. Chyba ta sama myśl przyszła do głowy diabełkowi, bo powiedział:

- Chodźmy stąd.

Ruszyliśmy spod domu nadzorcy.

- One są nieszkodliwe - tłumaczył mi drepzczący obok mnie Drobny Bies. - Szczególnie te, których rozpad objął już procesy myślowe, czy pamięć. Ale czasem... Krótko mówiąc, one też, jak wszyscy inni, chcą przeżyć. I jeśli trafi im się sprzyjająca okaza... albo i nie bardzo sprzyjająca. Rozumiesz mnie?

- Chcesz powiedzieć, że gdyby wpadł im do głowy jakiś głupi pomysł, to nie pomógłby i saver?

- Mógłby nie pomóc. Bo co one tracą? I tak, przed nimi tylko wykrot.

- A możliwość utrzymania się jeszcze trochę przy życiu to dodatkowa szansa przeżycia.

- Tak właśnie czasem bywa. Czasem do przeżycia brakuje dosłownie odrobinę, jakiejś szczypty szczęścia, jednego dnia, albo i godziny.

Obejrzałem się. Tłum mieszkańców Szanghaju deptał nam po piętach. Co prawda, dzieliła nas jeszcze spora odległość i - jak na razie - nie wyglądali agresywnie. Jednakże... Może nie

warto było zbywać propozycji nadzorcy? Jakoś się poczułem niewyraźnie. Jakoś tak zatęskniłem za wejściem do labiryntu. Na szczęście nie byliśmy daleko od niego.

- A teraz? - zapytałem.

- Nie, teraz są oszołomione. Jesteś pierwszym turystą, jakiego zobaczyły. Muszą się najpierw oswoić z myślą, że na turystę też można napaść. A zanim to się stanie, my będziemy już daleko. Co prawda, dałeś im papierosa, nie należało tego czynić.

- A jeśli zaatakują zanim dojdziemy do labiryntu?

- Masz broń. Może utrzymamy się do chwili, kiedy przyjdzie nam na pomoc nadzorca. Takie interwencje wchodzą w zakres jego obowiązków.

- On? A co on może zrobić?

- Wiele. W każdym razie bez trudu powstrzyma tłum rozjuszonych tułaczyh programów. Pewnie, nie wygląda przekonująco, ale co ma do rzeczy wygląd zewnętrzny? Dla programów to nie ma żadnego znaczenia.

Miał rację. Tu, w świecie cyberów, program wyglądający na ostatniego cherlaka, mógł być silnym, niebezpiecznym i bezlitosnym zabójcą.

Do wejścia do labiryntu zostało nam już bardzo niewiele, gdy Drobnny Bies zapytał:

- No to teraz wiesz już wszystko, co chciałeś wiedzieć?

- Prawie - odpowiedziałem. - Muszę tylko dostać odpowiedź na ostatnie pytanie.

- Jakie?

- Jak będziemy w labiryncie, to ci powiem - obiecałem oglądając się.

Odległość między nami, a tłumem mieszkańców Szanghaju zmniejszyła się, ale nieznacznie. Powinniśmy dociągnąć do la-

biryntu.

- Zanim wprowadziłeś mnie do Szanghaju trzeba było uprzedzić o tym, że pewne uczynki są tu niedopuszczalne - zarzuciłem Drobnemu Biesowi.

- A skąd niby miałem wiedzieć, że przyjdzie ci do głowy częstować ich papierosami? - odgryzł się.

- To rzeczywiście był błąd - przyznałem, oglądając się ponownie.

Teraz tłum był znacznie bliżej. Gdzieś w moich obliczeniach sprzed kilkunastu sekund tkwił błąd. Może nadszedł czas by wyjąć pistolet? Ale samym pistoletem nie powstrzyma się tłum - może i skoszę kilku pierwszych, ale potem zwali się na nas cały tłum, i mój pistolet przestanie być skuteczny. A może strzały tylko rozjuszą tłum i sprowokują natychmiastowy atak? Z kolei nie tracąc czasu na strzelanie, z każdym krokiem skracamy dzielący nas od labiryntu dystans. Tłum był już tak blisko, że słyszałem jak mieszkańcy Szanghaju półgłosem rozmawiają ze sobą. Jeszcze trochę i zaczną skrobać nam marchewki.

- Zaraz wejdziemy w zaułek - szepnął Drobnny Bies - i od razu z całych sił rwiemy do labiryntu. Jeśli nie rzucą się za nami od razu, to zdążymy się zmyć.

Fajnie, a jeśli się rzucą? Nie, trzeba by coś jeszcze wymyślić. Jak odciągnąć uwagę tłumy od nas na kilka chwil. Jak? Gdy skręcaliśmy w zaułek przyszła mi do głowy niezła myśl.

- Teraz - rzucił Drobnny Bies, skacząc do przodu.

Ja natomiast wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów i cisnąłem ją pod nogi znajdujących się najbliżej mnie tułaczych programów i dopiero potem z całej pary pomknąłem za diabełkiem.

Z tyłu rozległ się wrzask wielu głosów. Wyglądało, że pacz-

ka fajek podziałała. Przez kilka chwil mieszkańcy Szanghaju zajmowali się nie nami, a podziałem niespodziewanego bogactwa. To nas chyba uratowało. W każdym razie wpadliśmy do labiryntu z pewną przewagą nad pościgiem. W podziemiu, przemierzywszy kilka korytarzy, zatrzymaliśmy się i przysłuchali. Ścigających nie było słychać. Drobny Bies westchnął i zapytał:

- Co im zrobiłeś?
- Rzuciłem im paczkę petów - wyjaśniłem. - To ich zatrzymało.
- Dobry pomysł - pochwalił mnie diabełek.
- Czy tu już nie będą nas ścigać?
- Nie. Koniec, zwialiśmy. Teraz dokąd?

Na to pytanie na razie nie miałem odpowiedzi. Właściwie, to domyślałem się dokąd należy się udać, ale przedtem na pewno powinienem wszystko dokładnie przemyśleć.

- No to gdzie idziemy? - powtórzył namolny diabełek.
- Do rezydencji starosty - odpowiedziałem.
- Ho-ho? Chcesz z nim o czymś pogadać?
- Możliwe.
- No to chodźmy.

Maszerując za przewodnikiem po tunelach labiryntu, usiłowałem oszacować w myślach, czym może mi grozić wizyta u starosty. Właściwie niczym. Dopóki mam na piersi saver i póki nie zaatakowałem pierwszy jakiegoś mieszkańca chińskiego cyberu, nie mogą mnie zabić. Starosta raczej nie zgodzi się na wyraźne złamanie prawa, którego przestrzegania sam pilnuje. Chyba, żeby chciał załatwić mnie po cichu? Strzelił jakiś bandyta zza węgła w plecy, oto znakomite wytłumaczenie. Nie mógł jednak widzieć mojego savera, ponieważ wisi na piersi.

Z drugiej strony nie mogłem zameldować Shetterowi, że

kontrakt jest wykonany, do czasu, kiedy nie znajdę odpowiedzi na jedno istotne pytanie: czy Sevec Star jest tym turystą, którego miałem znaleźć? Żeby odpowiedzieć na to pytanie powinienem znaleźć kogoś, kto potwierdzi, że pojawiwszy się w cyberze, Sevec Star, przynajmniej do czasu, kiedy dogadał się ze starostą co do schronienia, miał ten sam kokon, który widniał na otrzymanym od Shettera hologramie.

Jasne też było, po rozmowie z nadzorcą, że potwierdzić to może wyłącznie starosta. On na pewno musiał spotkać się z twórcą zaraz potem, jak ten pojawił się w chińskim cyberze. I na pewno widział ten kokon, w którym twórca wiał przed gliłnami.

Ale czy zechce starosta to potwierdzić? Jak w ogóle zareaguje, kiedy zacznę rozmawiać z nim o twórcy? Co innego prywatny detektyw, szukający w cyberze jakiegoś turysty, co innego tenże, ale wypytyjący o twórcę, przynoszącego cyberowi dość przyzwoity dochód. Starosta może uznać, że moja dalsza obecność w cyberze może pozbawić go tego źródła dochodów.

Co dalej? Jak zareaguje starosta? Każe wywalić mnie na zbity pysk z cyberu i pilnować, żebym nigdy tu nie wracał? Czy będzie wolał urządzić nieoczekiwany „przypadkowy” zgon?

A może uda mi się go przekonać, udowodnić, że nie da się utrzymać zdecydowanego na wszystko twórcy. Oczywiście, można go zabić. Ale co na tym zyska starosta i jego cyber?

Upiornie chciało mi się palić, ale papierosów już nie miałem. Muszę wpaść gdzieś i kupić paczkę, zanim udam się na rozmowę ze starostą. W czasie takich poważnych rozmów chwila, zyskana na zapalaniu papierosa czy strząsaniu popiołu, pozwala wymyślić dobre pytanie, czy właściwą odpowiedź na trudne pytanie. To czysty zysk w tym czekającym mnie trudnym pojedynku. Nie wiadomo czy wygram, ale spróbować

muszę. A potem...

Potem będzie zupa z kotem. Będę działał w zależności od wyników rozmowy. Najpewniej przyjdzie mi wynosić się z cyberu, może nawet nie obędzie się bez walki na odchodnym. Ale za to z czystym sumieniem będę mógł zameldować Shetterowi, że usiłowałem na wszelkie możliwe sposoby wykonać jego zlecenie.

Niech on decyduje, czy warto wypłacić mi drugą część honorarium.

- Jeszcze kilka korytarzy i będziemy w pobliżu rezydencji starosty - zameldował Drobny Bies.

- Ale najpierw wpadnijmy gdzieś, gdzie kupię dobre, nie miejscowe papierosy - powiedziałem.

- W pobliżu rezydencji jest takie miejsce.

Znalazszy się na powierzchni, wstąpiliśmy najpierw do trafiki, gdzie kupiłem papierosy. Zauważyłem przy tym, że dokonując tego zakupu sam przeciągam czas, zastanawiając się, co jeszcze może mi pomóc, co jeszcze może mi się przydać, i czy warto właśnie teraz kupować. Rozeźlony na samego siebie wyszedłem z trafiki, nie kupując niczego prócz papierosów.

- Teraz gdzie, do rezydencji? - zapytał Drobny Bies.

- Tak.

Wóz albo przewóz! Nie ma co odkładać tego, co nieuchronne. Może zresztą wcale nie ma powodów do paniki? Może uda mi się pokojowo i kulturalnie dogadać ze starostą? Maszerując za Drobny Biesem do rezydencji, myślałem o tym, że powinienem jednak działać ostrożniej. Kto lub co mi przeszkadza udać się właśnie teraz do cyberu-12 i opowiedzieć wszystko Glorii? Wtedy, gdyby moje akcje poleciały na łeb na szyję mógłbym zagrozić staroście, że Gloria zaalarmuje gliniarzy, napuści ich na jego cyber, zmusi do przetrząśnięcia go w celu

odnalezienia mnie, a w razie niepowodzenia do urządzenia czystki na niespotykaną dotąd skalę.

Pozwoliłem sobie nawet cieszyć się taką wizją przez jakiś czas, potem zmusiłem się do wyrzucenia jej z głowy. Wszystko to bzdury, nic więcej. Dziecięce zabawy z gier przygodowych.

Starosta nie da się złamać taką groźbą. Dobrze wie, że zmusić gliniarzy do wielkiej czystki mogą tylko jakieś poważne powody. Zniknięcie początkującego detektywa nie znajduje się na liście takich przyczyn. Niechby nawet krzyczało o tym w każdym wydaniu holonewsów choćby i dziesięciu żurnalistów. Nie, mogę liczyć tylko na swoje umiejętności, na swoją smykałkę, spryt i negocjatorskie umiejętności.

Obok rezydencji Drobny Bies odezwał się:

- Poczekam tu.
- Oczywiście - odpowiedziałem, będąc tak naprawdę myślami dość daleko stąd. - Poczekaj. Obróćę migiem.
- Albo, nie tak znowu migiem?
- Mam nadzieję.

Naprawdę miałem taką nadzieję. Im dłuższa będzie rozmowa ze starostą, tym więcej szans na to, że dostanę to, co jest mi potrzebne. Ale też i niewykluczone, że starosta, gdy tylko zająknę się o twórcy natychmiast mnie przegoni. Podszedłem do rezydencji i już miałem zastukać, gdy nagle drzwi otworzyły się. W progu stał pomocnik starosty.

- Prywatny detektyw Essutil Quack pragnie rozmawiać z waszym starostą - powiedziałem.

- Oczekuje cię - oświadczył pomocnik. - Uprzedził, że wkrótce przyjdiesz i polecił natychmiast cię do niego prowadzić.

Ho-ho, niedobry początek. Jeśli przeciwnik jest w stanie przewidzieć moje przybycie, to może też przewidzieć, po co tu

przyszedłem, a przecież żywiłem spore nadzieje na zaskoczenie starosty. Ale trudno, zaraz się wszystko wyjaśni. Wszedłem za pomocnikiem do sali konferencyjnej.

Starosta już tam siedział. Kto wie, może od ostatniej mojej wizyty, w ogóle nie wstawał z poduszki? Siedział sobie, myślał, popijał herbatkę, czekał, kiedy wpadanie doń pewny siebie początkujący detektyw i będzie próbował zmusić go do odpowiedzi na pytania, a jeśli gospodarz na nie odpowie, to być może zaszkodzi własnemu cyber owi.

Pomocnik wyszedł i szczelnie zamknął drzwi za sobą, a starosta odezwał się:

- Siadaj. Chcesz ze mną rozmawiać?
- Tak - powiedziałem, sadowiąc się na poduszce naprzeciwko gospodarza. - Chcę z tobą porozmawiać.
- O czym?
- O twórcy - odpowiedziałem zapalając papierosa.

Nie było sensu czaić się i grać na zwłokę. Nie zostało mi nic innego jak walić prosto i skutecznie. Ciekawe, jakie to da efekty?

- O jakim twórcy?
- Sevec Star, twórca, dwa lata temu, ukrywając się przed gliniarzami, trafił do twojego cyberu, i tu pozostał. Teraz wykonuje znakomite programy służące do uciech wizytantów.

Starosta uśmiechnął się:

- Nie mamy w cyberze takiego twórcy.

Bardzo starannie strzepnąłem popiół do popielniczki, po czym powiedziałem:

- Znajduje się na drugim, dolnym poziomie labiryntu.
- Czyżby? - nieudolnie zdziwił się starosta.
- Tak, wiem nawet jak wygląda - powiedziałem, zdejmując ze swojego informacyjnego displaya otrzymany od Shettera

hologram i ustawiając go stole. - Oto jak wyglądał, kiedy wiał przed glinami. Czyż nie tak?

Zerknąwszy na hologram, starosta prychnął w jakiś nieokreślony sposób, potem zaczął wybijać na stole werbel palcami, zastanawiając się nad czymś. Zamarłem. Oto zaraz wszystko się wyjaśni. Gdyby odbywało się to w wielkim świecie, to potrafiłbym odgadnąć odpowiedź po wyrazie oczu starosty, po jego minie, po ruchach. Tu nie mogło się to udać. Tu muszę czekać na jasną i prostą odpowiedź, by potem jakoś ją zweryfikować.

- Po co ci to wszystko? - zadał zaskakujące pytanie starosta.
- Co mianowicie?
- Sądząc z tego, co wiem, to szukasz twórcy. Po ci on? Kto cię wynajął?

- Nie mam prawa rozgłaszać imienia swojego zleceniodawcy.

- Dlaczego więc ode mnie żądasz szczerości?
- Dlatego - odpowiedziałem - że ty, wcześniej czy później, i tak będziesz musiał rozstać się z tym twórcą. Oczywiście wiesz już, że to on wykonał metamorfa? Nie zastanawiałeś się po co?

- Nie, bo wiem to.
- I oczywiście rozumiesz, że to nie koniec jego wysiłków?

Starosta uśmiechnął się, a potem, po krótkiej chwili, odpowiedział:

- Posłuchaj, obserwowałem cię niemal przez cały czas pobytu w naszym cyberze. Może byśmy pogadali szczerze?

O, to mi odpowiadało najbardziej. Rozumiałem, rzecz jasna, że zgadzając się na taką rozmowę wkraczam na niesłuchanie grząski grunt. Ale wyjaśnić to, co chciałem wyjaśnić, można było tylko w ten sposób.

- Dobrze, rozmawiamy szczerze - zgodziłem się, rzucając

niedopałek do popielniczki.

- W takim razie mogę ci od razu powiedzieć, że twórcy w moim cyberze nie ma. A hologram, który mi pokazałeś nie ma z nim żadnego związku.

Westchnąłem rozczarowany. To się nazywa szczerą rozmowa? Chwila, za kogo on mnie ma?

- Nie wierzysz? - zapytał starosta.

- Nie-e - powiedziałem. - Za grosz nie wierzę. Czyżbym wyglądał na takiego bałwana?

- W sumie, tak - rzucił starosta. - Chociażby dlatego, że dogrzebawszy się do pewnych faktów, wyprowadziłeś z nich zupełnie nietrafione wnioski. Pewnie dlatego, że twój klient nie przekazał ci całej niezbędnej informacji. To głupie.

- Może tak jest - oświadczyłem. - Ale wypracowałem sobie własną interpretację wydarzeń. I będę się jej trzymał, póki nie przekonam się, że jest mylna.

- Nie ufasz mi więc?

- A niby czemu miałbym ci ufać? - rzuciłem. - Wszak nie powiedziałeś do tej pory ani słowa prawdy.

- Ach tak? Na szczęście mam pewien dowód.

- Jaki?

- Bezapelacyjny. Przekona nawet ciebie. Właściwie to, o czym miałem z tobą rozmawiać nie ma żadnego związku z twórcą. Chciałem z tobą pomówić zupełnie o czymś innym.

- Ale może najpierw pokażesz mi swój dowód? - zaproponowałem.

Moja płonąca jeszcze chwilę temu pełnym blaskiem nadzieja gasła. Już niemal mogłem powiedzieć, czym się skończy nasza rozmowa. Oto starosta podejmuje jeszcze jeden heroiczny wysiłek w celu wykiwania mnie. To mu się, rzecz jasna, nie uda. Dlatego, zaraz potem wyrzucą mnie z chińskiego cyberu,

a ja będę mógł złożyć Shetterowi sprawozdanie, opowiedzieć, do jakich wniosków doszedłem. A potem, niech się dzieje co chce.

- Wiesz, kogo przedstawia twój hologram? - zapytał starosta.
- Ty mi powiedz. - Z trudem udało mi się ukryć ironię.
- Mnie - powiedział starosta.

20.

Nie zauważyłem, kiedy się zmienił - akurat w tym momencie zachciało mi się szperać po kieszeniach w poszukiwaniu papierosa. Szukając go, gapiłem się w popielniczkę, oceniając czy stoi w moim zasięgu. Naturalnie, że miałem ją w zasięgu ręki. Nie mogło być inaczej, skoro sam ją przysunąłem. Ode-rwawszy od niej spojrzenie popatrzyłem na starostę. Ale to już nie był on. Naprzeciwko mnie siedział osobnik, którego hologram ciągle jeszcze sterczał na środku stołu.

Wypuściłem z palców papierosy i wymacałem rękojeść pistoletu. Ale starosta miał w ręku corvector, a jego lufa patrzyła mi w oczy. W wielkim świecie mógłbym spróbować strzału przez kieszeń. Pocisk, przebiwszy blat stolika mógłby trafić starostę; w świecie cyberów taki numer nie mógł przejść.

I wychodziło mi, że aby oddać strzał muszę wstać, wyszarpnąć broń, wycelować... O nie, przez ten czas starosta dziesięć razy spopielił mnie na żwirek. Starosta? Jaki znowu, do licha, starosta!? Przez kilka chwil usiłowałem przekonać siebie, że mam przed sobą starostę, którego twórca obdarzył w jakimś celu podprogramem, pozwalającym zmieniać kokon.

Akurat! Gdybyż wszystko było takie proste. A corvector?

Siedział przede mną metamorf, i nie tak znowuż trudno było to wytłumaczyć.

Akela jednak spudłował. Przy tym w haniebny sposób. Metamorf od razu skapował to, co nie przyszło do głowy jego prześladowcom - jedyny sposób zakończenia pościgu to zabicie tego, kto wydaje rozkazy. Na pewno metamorf uciekał przed pomocnikami tak długo, póki nie odzyskał zdolności do przenikania przez ściany. Potem podkraść się do rezydencji, przeszedł przez ścianę i załatwił starostę.

Tylko jedno jest niezrozumiałe - jak udało mu się oszukać pomocników? Dlaczego ci, bezbłędnie określający miejsce jego pobytu, nie zorientowali się, że zamiast starosty dowodzi nimi ten, kogo tak zaciekle usiłowali zabić?

- Nie używajmy broni - zaproponował metamorf. - Połóż ręce na krawędzi stołu, żebym je widział.

Chyba teraz przegrałem na całej linii. Chociaż dlaczego „teraz”? Byłem przegrany wchodząc do rezydencji. Może nawet wcześniej.

- Mogę zapalić? - zapytałem.

- Może za chwilę - powiedział metamorf. - Teraz połóż ręce na stole. Rozumiesz?

No jasne! Wykonawszy polecenie, metamorfa zapytałem:

- Istniał kiedyś taki obyczaj: przed śmiercią...

- Przed jaką znowu śmiercią? - zachichotał metamorf. - Nie mogę zabić tego, kogo chroni saver.

- Wcześniej nie zwracałeś na to uwagi - poskarżyłem się.

- Wcześniej byłem nikim. Teraz jestem starostą - skontrolował mnie metamorf. - Pomocnicy wiedzą, że starosta nie żyje, uznali mnie za nowego. W cyberze jeszcze się o tym nie rozniosło, a ja podjąłem pewne działania, by zachować to jak najdłużej w tajemnicy.

Ach tak. Wynika z tego, że tu, w chińskim cyberze, jednym ze sposobów awansowania na starostę jest zabójstwo tego, który aktualnie pełni tę funkcję. Łatwo to zresztą wytłumaczyć - zwycięża silniejszy, sprytniejszy, zręczniejszy, mądrzejszy. Stare, dawno odkryte przez Darwina prawo doboru naturalnego, zastosowane w środowisku nieożywionym. Chociaż, czy można nazwać Drobniego Biesa, czy tego oto metamorfa, nieożywionym? Kimże więc są, jeśli nie ożywieni?

- Dlaczego? - zapytałem. - Dlaczego to ma być utrzymywane w tajemnicy, skoro stałeś się starostą zgodnie z prawem?

- Poprzedni starosta zginął zbyt szybko - uśmiechnął się metamorf. - Tak wyszło. Nie zdążył opowiedzieć mi o pewnych sprawach, o niektórych źródłach dochodów. Mogę się o nich dowiedzieć o ile goście z innych cyberów będą myśleli, że rozmawiają i dogadują się z poprzednim starostą, przynajmniej przez jakiś czas.

Skinąłem głową. Zgadza się. Każdy starosta chińskiego cyberu powinien mieć jakieś swoje tajemnice: paserów pracujących dla niego, kapusiów przekazujących mu informacje, przyjaźnie nastawionych glińiarzy, sympatię których pozyskał w jakiś sposób i oczekujących przyjaznych gestów właśnie od niego, ponieważ nikt inny nie cieszy się takim zaufaniem. Im dłużej metamorf będzie działał w kokonie zabitego przezeń starosty, tym więcej wykryje takich powiązań, znajomości, możliwości otrzymywania dochodów. Z czasem, oczywiście, fakt śmierci poprzedniego starosty stanie się powszechnie znany. Nie da się zbyt długo utrzymać takiej sprawy w tajemnicy. Ale do tego czasu metamorf zdoła przechwycić co nieco ze spuścizny poprzednika, zbierze śmietankę z jego wysiłków.

Ciekawe. Wychodzi na to, że metamorf stał się starostą nie

tylko po to, by uniknąć pościgu i zwać przy pierwszej okazji. Naprawdę chce pozostać dłużej w tym cyberze i na tym stanowisku.

- Co ta zmiana oznacza dla mnie? - zapytałem.

- Kiepskim będę starostą, jeśli pierwszy zacznę łamać przepisy. Pewnie najlepiej by było zabić cię. Ale saver... Zresztą, może będziesz chciał zaatakować jako pierwszy? I wtedy będę miał argument, żeby go zignorować.

- Żeby więc umrzeć wystarczy bym wyjął pistolet i wycełował do ciebie?

- Wystarczy, byś go tylko wyjął.

- A... rozumiem. Przyjąłem do wiadomości.

- Jednakże nie zamierzasz w tej chwili wyjmować broni?

- Na razie nie widzę potrzeby. Chcesz, jak mi się wydaje, porozmawiać ze mną o czymś?

- Tak, chciałem. Na początek możesz sobie zapalić.

Tylko nie wyjmuj z kieszeni po jednym papierosie. Wolno, spokojnie wyjmij z kieszeni paczkę i połóż ją na stole. Potem możesz sobie zapalić.

- Dobrze.

Zrobiłem jak chciał. Wyjąłem paczkę papierosów. Zapaliłem. Położyłem paczkę na stole.

- Świetnie. Teraz pytaj. Sądzę, że masz kilka pytań, na które chciałbyś uzyskać odpowiedzi.

Ciekawe, czego może ode mnie chcieć? Taki sympatyczny. Daruje życie, pozwala palić, przygotowuje się do odpowiedzi na wszelkie pytania. Dziwne to wszystko...

- Co się stało z twórcą? Uciekł?

- Dlaczego to cię interesuje? Jeśli szukasz twórcy, to dlaczego wykorzystujesz w tym celu hologram jednego z moich kokonów?

Sensowne pytanie. Najprościej byłoby powiedzieć prawdę, ale jakiś szósty zmysł podpowiadał mi, że nie należy tego robić. Będę musiał się jakoś wywinąć. A nie mam już czasu na przygotowywanie przekonujących tłumaczeń, muszę podać co się nawinie. Udałem, że uważnie przyglądam się hologramowi. Przyglądam się... Bardzo uważnie... Bardzo...

- Nie odwlekaj odpowiedzi - zażądał metamorf.

Ech, żyje się raz. Ile istnieje mój przeciwnik? Kilka dni? Oczywiście, twórca włożył mu w umysł jakieś informacje. A prócz tego, metamorf dosłownie łapał wszystko w lot. Ale ma mało doświadczenia. Tym nie mniej, ja i tak nie mam czasu wymyślić czegoś innego.

- Rzeczywiście - powiedziałem. - Na tym hologramie jest twój kokon. Bo otrzymałem go nie od klienta, a od starosty. Jeśli przepytasz pomocników - potwierdzą to: poprzedni starosta wynajął mnie, bym cię pochwylił i dlatego wręczył mi ten hologram.

- Tak więc masz jeszcze jeden hologram, otrzymany od klienta? - zapytał z niedowierzaniem metamorf.

- Tak, oczywiście - starałem się okazać skrucę. - Muszę przyznać, że to pierwsza moja sprawa, i pokazując ci ten hologram po prostu je pomyliłem.

- To być nie może - zaprotestował metamorf. - Takie błędy mogą popełnić tylko zdefektowane programy.

- I turyści. Jak widzisz z mojego kokonu byłem kiedyś turystą. Pewne szczególne cechy poprzedniego myślenia pozostały we mnie do dziś.

- Możesz więc okazać drugi hologram?

- Pewnie.

Zdjąłem z wizjera drugi, otrzymany od Glorii, hologram i postawiłem obok pierwszego.

Zaraz się wszystko wyjaśni. Zaraz, już... Teraz...

- Dobrze - powiedział metamorf. - Drugi hologram to rzeczywiście twórca. Możesz je schować.

Ściągnąłem hologramy do wizjera informacyjnego i zapytałem:

- No więc jak się ma sprawa z twórcą? Co się z nim stało? Czy to tajemnica?

- W sumie, to jest jakaś tam tajemnica. Ale mogę ci ją odsłonić. Twórca zginął. Zmarł. Nie istnieje.

- Kto go zabił? Ty?

- Tak. Zmusił mnie do tego.

- Dlaczego?

- Nie mógłbym uciec. Potrzebny był mi corvector i podprogram, pozwalający przenikać przez ściany.

Strząsnąłem popiół do popielniczki, zaciągnąłem się mocno i przyjrzałem metamorfowi. Ciekawe rzeczy wychodzą na jaw. Wynika z jego słów, że w chwili, kiedy pojawiłem się w cyberze, twórca był już martwy. Klasyczny motyw znany od „Frankensteina”: monstrum zabija swego twórcę. W tym przypadku doszło do tego, by uzyskać wolność. Oto wspaniały nagłówek do nowego artykułu Glorii... Ale nie to jest teraz ważne.

- Nie zamierzał dać ci wolności?

Metamorf uśmiechnął się:

- Ciągle jeszcze błędzisz w ciemnościach. Oczywiście, że nie. Po co miałyby to robić?

- No to po co cię stworzył?

- To część jego pracy. Tworzenie takich jak ja. A potem przekazywanie ich do rozrywek turystów. Nie mógł wiedzieć z góry, jak powinien wyglądać kolejny obiekt. Po prostu robił programy-metamorfy. Kiedy pojawiał się kolejny klient, musiał tylko wprowadzić do metamorfa niewielki podprogramik,

a ten przybierał odpowiedni wygląd, stawał się tą postacią, z jaką chciał pracować wizytant. Zdarzało się, że w trakcie „pracy” klient nagle miał życzenie zmiany wyglądu obiektu. W tym celu wystarczało tylko zmienić podprogram.

- No to po co tworzył ciągle nowe programy-metamorfy?

- Klient musiał mieć pewność, że program, z którym pracował, rzeczywiście zmarł, zginął. Rozumiesz?

Przytaknąłem ruchem głowy. Co jeszcze mogłem zrobić? Chociaż i tak to wszystko mi się w głowie nie mieściło. A najważniejsze, że nie mogłem zrozumieć, jak i dlaczego zamieszany został w tę historię Shetter?

- Czy mam rozumieć, że zwiąłeś zanim zajął się tobą kolejny wizytant? - zapytałem.

- Nie - powiedział metamorf. - Trafiła mi się okazja już po tym, jak wizytant się mną zajął. To się stało, kiedy udał się na spoczynek. Turyści, musisz wiedzieć, nie tylko są roztargnieni, ale na dodatek muszą co jakiś czas zapadać w sen.

Po jego obliczu przemknął jakiś cień, jakby już-już zmieniał kokon, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Może właśnie Shetter był tym turystą, od którego uciekł metamorf? W tym wariancie jednak niezrozumiałe staje się, dlaczego Shetter mnie wynajął? Nie prościej było polegać na pomocnikach starosty? Ha, chyba, że chciał własnoręcznie załatwić odmieńca, własną łapką postawić kropkę nad tą przeciągającą się „rozrywką”?

- Wiem - powiedziałem.

- Pewnie, że wiesz - odezwał się metamorf. - Przy okazji, jak to się stało, że będąc tułaczym programem musisz zarabiać na życie wykonując zawód prywatnego detektywa?

- To długa historia...

Wrzuciłem niedopałek do popielniczki i pośpiesznie zapali-

łem nowego papierosa.

- Możesz nie opowiadać. Interesuje mnie tylko fakt: byłeś turystą. To dobrze. Dobrze zrobiłem, że postanowiłem z tobą porozmawiać.

- Po co?

Metamorf zaprezentował nieco krzywy uśmiech:

- Powiem ci. Ale najpierw skończmy z pytaniami. Co chcesz jeszcze wiedzieć?

No właśnie - co? Oczywiście, miałem jeszcze pytania. Na przykład, dlaczego Shetter tak się uparł, by zakończyć swoją „małą zabawę” osobiście? Zatrzeć ślady? Ale osobiście? Dlaczego metamorf jest tak dlań niebezpieczny? Czy to sam kokon?

Kokon? Prawdę mówiąc, wybrany przez Shetter a do zabawy kokon typowy nie był. Wszyscy ci sadyści przeważnie wybierają do mordowania kobiety albo dzieci... Może to kopia oblicza jakiegoś konkurenta Shettera? Wroga? Kogoś, kto go poniżył, a kogo nie może osiągnąć nawet teraz? Może to kopia ojca Shettera, okrutnie dokuczającego mu w dzieciństwie? Możliwe. Albo pierwsze, albo drugie, albo trzecie. Albo coś zupełnie innego. A metamorf raczej nie będzie tego wiedział.

Ale o dziwnej śmierci twórcy wie wszystko. Przy tym coś w tym opowiedzianym mi wariacie się nie zgadza. Coś nie synchronizuje się w czasie... Ale nie zamierzałem niczego metamorfowi udowadniać. Nie miało to sensu. Co mogłem zyskać, ładunek z corvectora?

A saver? Westchnąłem. Nie za bardzo wierzyłem w te zapewnienia o przestrzeganiu prawa, zapewnienia kogoś, kto nie tak znowu dawno usilnie starał się wyprawić mnie na tamten świat.

- Czyżbyś już nie miał pytań?

- Chyba tak - powiedziałem. - Możemy zacząć rozmawiać.
 - Możemy - zgodził się metamorf. - Jak rozumiem, twój kontrakt został spełniony? Dowiedziałeś się, że twórca zginął. Jeśli sobie tego życzysz, przekażę ci niezbędne dowody.
 - Nie trzeba - powiedziałem. - Mojemu klientowi wystarczy, jeśli powiadomię go o losie twórcy. Po prostu goły fakt.
 - Zostaje nam kontrakt z moim poprzednikiem na stanowisku starosty. Uważasz, że musisz kontynuować pościg za mną?
 - Nie.
 - W takim razie wygląda na to, że jesteś w tej chwili bez zajęcia?
 - Tak wygląda.
 - No to może zgodzisz się na pracę dla mnie?
- Prychnąłem. Masz, jeszcze jeden zamierzający uszczęśliwić mnie kontraktem. Nie życie, a marzenie.
- Co miałbym robić?
 - Pomagać naszemu cyberowi. Bardzo nam jest potrzebny reprezentant, zamieszkujący jeden z oficjalnych cyberów. To gardłowa sprawa.
 - Po co? Jeśli dobrze rozumiem, handlarze z tych cyberów przybywają do was sami. Jeśli będziecie mieli przedstawicieli w oficjalnych cyberach, to pośrednicy przestaną być potrzebni.
 - Właśnie.
 - Ale w takim razie bandyci i przewodnicy, a także oszuści i wielu-wielu innych zostaną bez pracy.
 - Zajęcie dla nich się znajdzie. Myślę, że możemy ich wyprawić do oficjalnych cyberów.
 - Niby jak? Wiesz, że nieoficjalne tułacze programy nie mogą korzystać z portali. Nie zostaną przepuszczeni.

- Jeśli zajdzie taka potrzeba, to i możliwości się pojawiają. Może przez nielegalny portal? A co szkodzi zorganizować ich przeniesienie przez wielki świat. Jak się poszuka, to widać, że sposobów jest sporo. Jestem tego pewien.

- A gliniarze? - zapytałem. - Nie sądzisz, że odnotowawszy w oficjalnych cyberach dopływ tułaczycy programów z chińskich cyberów, spróbują ukrócić ten proceder?

- Oczywiście, że spróbują. Ale ktoś przeżyje, komuś zawsze się uda. Potem jeszcze ktoś inny przeżyje. I skończy się to tak, że będzie nas wystarczająco dużo, by otworzyć przejście z chińskiego cyberu do oficjalnego.

Odłożyłem niedopałek do popielniczki, przyglądałem się mu póki nie zniknął, i, bardzo wolno wyjąwszy kolejnego papierosa, zacząłem miętosić go w palcach. Czyżbym odkrył w sobie dar prekognicji? Przecież metamorf usiłuje wprowadzić w czyn ten wariant rozwoju stosunków wzajemnych między oficjalnymi i nieoficjalnymi cyberami, nad którym zastanawiałem się nie tak dawno. Emigracja z chińskich cyberów. Oto jest, już gotowe do rozpoczęcia. Żeby stało się faktem metamorf potrzebuje tylko jednego pomocnika. Zgadza się nawet, żebym to był ja. Potem pewnie pojawią się również inni.

Niezły numer! Może jakoś podsłuchał moje myśli? Nie, wszystko jest bardziej prozaiczne. Zamordowawszy twórcę, metamorf pozbawił swój cyber źródła dochodu. Żeby utrzymać się na stanowisku starosty musi wymyślić jakiś nowy sposób uzyskiwania dochodu. Oto więc co wymyślił.

- Sądzisz, że nieusankcjonowane tułacze programy będą mogły czegoś zażądać od właścicieli cyberów? - zapytałem. - To niemożliwe.

- Niby dlaczego? - uśmiechnął się metamorf. - Po prostu wasze tułacze programy nigdy tego nie próbowały. Inna

sprawa, że do żądań nie dojdzie tak szybko, ale wcześniej czy później taki czas nadejdzie. O ile, rzecz jasna, będziemy działać według planu. No bo co? Jesteśmy dziećmi tego świata, a to oznacza, że powinien on do nas należeć. Dlaczego mamy żyć według praw narzuconych nam przez obcych, przybyszy z wielkiego świata? Tylko dlatego, że nas stworzyli?

- A ty byś chciał zaprowadzić we wszystkich cyberach swoje, nowe prawo?

- Dlaczego nie?

- A prawo to będzie brzmiało tak: cybery tylko dla tułacznych programów, turyści - won?

- Niezupełnie tak. Po prostu chcę, by turyści zajęli przysługujące im miejsce, nic więcej. Bo oni są gośćmi! Więc niech zachowują się jak goście, nie usiłują wtrącać się do naszych spraw. Wiem, że do tego nie dojdzie szybko, i przyjdzie nam dołożyć wiele starań, i będą ofiary, ale wcześniej czy później wywalczymy to.

- My?

- Oczywiście. Nadejdzie czas i pojawią się myślący tak jak ja. Ty też powinieneś się znaleźć wśród nich. Jesteś nam potrzebny, ponieważ byłeś kiedyś turystą i, to oczywiste, znasz sposób ich rozumowania, będziesz mógł z nimi pertraktować, kiedy to będzie niezbędne.

- A jeśli odmówię?

- Nie odmówisz - powiedział z niezachwianą pewnością w głosie metamorf. - Pomyśl o przyszłości.

- Co ma do tego przyszłość?

- Z tobą lub bez ciebie i tak swoje osiągnę. Ten świat będzie kiedyś podporządkowany naszemu prawu.

- Prawu metamorfa?

- Można i tak to nazwać. Prawo metamorfa. Ale nie to jest

teraz najważniejsze. My osiągniemy swój cel. Jeśli nam nie pomożesz, to nie mogę ci zagwarantować, że znajdzie się dla ciebie miejsce w świecie, podporządkowanym mojemu prawu. Rozumiesz?

Pewnie. Co tu nie rozumieć? Ten typek ma plan. Właśnie usiłuje wykonać pierwszy krok na jego realizacji. W tym celu chwytą byka za rogi. Zaczyna od pogróżek. Nieźle, całkiem nieźle.

- Obawiam się, że nie uwzględniłeś pewnego drobiazgu - powiedziałem.

- Jakiego?

- To wizytanci stworzyli świat cyberów. To nie jest dla nich wesołe miasteczko. Wszystko, co się tyczy tułaczych programów, jest niczym więcej jak skutkiem ubocznym procesu głównego. Przez cybery przechodzi masa informacji. Bez niej życie turystów zatrzyma się, runie, jak domek z kart. Czy nie sądzisz, że w tej sytuacji będą oni bronili świata cyberów zębami i pazurami, uruchomia wszystkie możliwe środki? A mogą bardzo wiele.

- A nie wydaje ci się, że to właśnie jest ich słaby punkt? Bez cyberów wielki świat znajdzie się ponownie w epoce kamienia łupanego. Jestem pewien, że turyści oddadzą nam wszystko, co się tyczy świata tułaczych programów, jeśli zagwarantujemy im, że nie będziemy przeszkadzali w przepływie strumieni informacyjnych.

- Do czasu, oczywiście? - rzuciłem.

- Możliwe. Ale o tym za wcześnie jest nawet myśleć.

- Nie uwzględniłeś jeszcze jednej rzeczy - nie ustawałem.

- Jakiej?

- Kukaracze. Wszyscy kukaracze są turystami. Ogłosiwszy tajną wojnę z turystami, straciecie możliwość rozmnażania się,

dokupowania podprogramów, a więc - doskonalenia się.

- Za późno - odezwał się metamorf. - Jak sądzisz, kto wykonuje w naszym cyberze tułacze programy?

Twórca! Diabelski Sevec Star! To jego sztuczki. To było niczym grom z jasnego nieba. Rzeczywiście, powinienem zestawić pewne fakty. Takie, na przykład, że w tym cyberze za dużo jest tułaczych programów, podobnych do zwierząt. Powinienem również zwrócić uwagę na pociąg mieszkańców cyberu do fauny wielkiego świata. A kto mógł wpaść na pomysł, żeby wyposażać tułacze programy w kokony wyglądające na zwierzęta, jak nie program-kukaracza!?

- Sevec Star był wielkim twórcą - powiedziałem.

- Nie miałem innego wyjścia - powiedział metamorf. - Musiałem go zabić. Na szczęście, zdążył wykonać dwóch kukaraczy. To też pomoże mi osiągnąć mój cel.

Pokręciłem głową.

Kto by pomyślał - twórca, który potrafił wykonać kukaracze. Jeśli to się udało jednemu, to dlaczego wcześniej czy później nie miałby się pojawić inny twórca, który zdoła to powtórzyć? Gloria nie tylko spłaci swój dług, ale wysysie z niego całą krew.

- A jednak żal... - powiedziałem.

- Nic to nie zmieni. Lepiej pogadajmy o tobie. Rozumiesz, że otrzymujesz wyjątkową i bardzo rzadką szansę zabezpieczenia swojej przyszłości. Na wieki. W świecie naszego nowego prawa zawsze znajdzie się dla ciebie praca. W każdym razie dotąd, póki będziesz ze mną. I nawet jeśli przyjdzie ci do głowy udać się na wypoczynek, możesz liczyć na wspaniałe życie. Ja nigdy nie zapominam o oddanych mi przysługach.

- Tak samo jak i wyrządzonej krzywdzie?

- Bezwarunkowo. No to jak, przyjmujesz moją ofertę? Tak?

Co mnie najbardziej dziwiło - był pewien, że zna moją od-

powieź. Był pewien swego. Poczulem to, mimo, że był tułaczym programem.

- Pomyśle - powiedzialem.
- Kazdy inny tułaczy program, gdyby otrzymał taką propozycję...
- A ja - pomyśle.
- Dwa dni ci wystarczy?
- Wystarczy.
- No to idź myśleć. Za dwa dni wróc, obok portalu siedzi wróżycha. Podasz jej swoją odpowiedź. Jeśli będzie pozytywna, przyśle ci saver.

- Tak właśnie zrobię - powiedzialem, zezując na corvector.

W czasie naszej rozmowy metamorf nie poruszył nim ani na jotę. Może zapomniał o nim, a może i nie? Niezbyt uśmiechało mi się testowanie jego refleksu. Wziąłem swoje papierosy, podniosłem się z poduszki i poszedłem ku drzwiom. Został mi do nich jeden krok, kiedy metamorf powiedział:

- Jesteś mi potrzebny. Bardzo. Pamiętaj, że zachowuję w pamięci przysługi i krzywdy. Bardzo dobrze wszystko pamiętam.

- Rozumiem - powiedzialem, odwróciwszy się.
- Idź - machnął ręką metamorf. - I myśl.

Wyszedłem na korytarz i dopiero tam schowałem papierosy do kieszeni, a potem opuściłem rezydencję starosty. Drobny Bies przestępował z nogi na nogę przy wejściu.

- No i czym się skończyła rozmowa? - podbiegł do mnie.
- Grunt, że się skończyła - powiedzialem. - Słuchaj, czy tu w pobliżu nie jakiegoś miejsca, gdzie moglibyśmy zwilżyć gardła?

- Jest takie miejsce - ochoczo zameldował mój przewodnik.
- I to bliżuchno, dosłownie dwa kroki stąd. Może nie jest to

jakiś wspaniały lokal, ale piwo dają znakomite.

- Prowadź - poleciłem.

Wcale nie chciałem mu zaimponować, czy zadziwić swoim opanowaniem - rzeczywiście, po rozmowie z metamorfem, chciało mi się gdzieś posiedzieć, łyknąć piwa i dobrze wszystko przemyśleć. Drobny Bies widocznie zrozumiał coś, bo wyjątkowo, w drodze do lokalu nie zadał mi ani jednego pytania. A lokal, szczerze mówiąc, okazał się mordownią co się zowie. Na nasze szczęście, w tej chwili było tu pustawo. Dałem Drobnemu Biesowi banknot i usiadłem przy wolnym stoliku. Diabełek rzucił się do lady. Nie minęło i trzydzieści sekund, jak pojawił się z dwoma kufłami piwa. Postawiwszy je na stoliku, Drobny Bies usiadł obok mnie i powiedział:

- Próbuj.

Wziąłem jeden z kufli, łyknąłem i zdziwiony cmoknąłem głośno. Piwo naprawdę było wspaniałe. Takiego nie serwowano nawet w „Krwawej Mary”.

- Czujesz? - zapytał Drobny Bies.

- No masz! - odparłem uradowany. - Jak się patrzy!

- No właśnie.

Powiedziawszy to, diabełek z dużym zaangażowaniem przypiął się do drugiego kufła.

Pomyślałem, że doszło tu do sporego paradoksu - w cyberze, specjalizującym się w lichej jakości, tanich papierosach i żywności, niemal na każdym kroku można jednocześnie kupić i jedno i drugie w wyśmienitym wydaniu. Oczywiście - trzeba mieć pieniądze. Niemający mieszkańcy cyberu-122 zapewne korzystają wyłącznie z miejscowej produkcji. Ale i tak...

- Zakończyłeś swoje dochodzenie? - zapytał Drobny Bies.

- Tak - odpowiedziałem.

- Wracasz teraz do swojego cyberu?

- A co jeszcze mogę zrobić?
- Wracasz od razu?
- Nie. Jeszcze muszę podjąć pewną decyzję.
- Jaką?
- Pij piwo - powiedziałem. - I nie przeszkadzaj mi myśleć.

Kumasz?

- No masz - burknął nieco obrażony.

Ale to nie przeszkodziło mu skorzystać z mojej rady. Ja też przyłgnałem do kufła i łyknąłem serdecznie. Wspaniałe, po prostu cudowne piwo...

Odstawiłem kufel i pomyślałem, że rzeczywiście - zanim podejmę decyzje o kolejnych ruchach powinienem wszystko dokładnie obmyślić. W sumie wybór miałem niewielki. Mogłem albo przywołać Shettera i zameldować mu o wykonaniu zlecenia, tym samym dając sadyście możliwość wykończenia ofiary, która raz mu się już wymknęła, albo - nie zwlekając za bardzo - wrócić do metamorfa i zgodzić się na współpracę z nim. No, mogłem jeszcze powiadomić Shettera, że obiekt poszukiwań zwiął i wrócić do swojego cyberu. Stracę drugi tyśiączek, ale z pierwszego zostanie mi tyle, że wystarczy na jakiś czas. Może nawinie się drugi klient.

Hm... Wybór niełatwy i taki sobie.

Zaraz-zaraz! A niby dlaczego? Zgodnie z kodeksem prywatnego detektywa nie było nad czym się zastanawiać. Dobro klienta ponad wszystko, bez względu na to kim był, nawet jeśli nikczemnikiem czy sadystą. Mnie to nie powinno obchodzić. Szczególnie, że metamorfa też nie dałoby się nazwać aniołem w niesplamionych szatach. Na przykład, weźmy śmierć twórcy. Po co właściwie zabił? Żeby zemścić się, że stworzył go wyłącznie w jednym i koszmarnym celu - straszliwej, okrutnej śmierci? A może, zabijając twórcę, po prostu nie dopuścił do

stworzenia nowego programu-metamorfa, pozbył się potencjalnych konkurentów?

Mało? Jest jeszcze jedno, czysto hipotetyczne wyjaśnienie. Prawo metamorfa. Żeby narzucić je wszystkim mieszkańcom cyberu, nie może zostawić im żadnej alternatywy, musi stworzyć takie warunki, w których tylko to prawo będzie ich jedyłą szansą na przeżycie. Dlatego więc - im gorzej, tym lepiej.

Łyknałem, zapaliłem. Dlaczego wzbudza moje wątpliwości ta wersja zgonu twórcy, którą serwuje mi metamorf? Zgrzyty w czasie. Jeśli mam uwierzyć, że zabił twórcę w czasie ucieczki, to oznaczałoby to, że znalazłem się w chińskim cyberze trzy dni po jego śmierci. W takim razie, co robił w tym cyberze wizytant, którego zabił metamorf kilka godzin po moim pojawieniu się? Skąd wziął się program, z którym ten się zabawiał, skoro twórca, zgodnie z wersją metamorfa, w tym czasie był już od dwóch dni martwy? Skąd starosta nagle posiadał tylu pomocników, których użył do schwytania metamorfa? Kto ich wykonywał? Kukaracze? Chyba nie. Jakkolwiek są zdolni i bystrzy, i wykonują fajne tułacze programy, to pomocnicy starosty, obdarzeni specjalnymi talentami, przerastają ich siły. Czyli co - wychodzili spod sztancy „martwego” twórcy?

Można by przytoczyć również inne dowody, ale nie o to chodzi. Najważniejsze to przekonanie, że metamorf mnie okłamywał. Zabił twórcę całkiem niedawno, najpewniej dopiero wtedy, gdy został starostą. I, powtarzam raz jeszcze, wcale mnie nie obchodzi, dlaczego to zrobił. Z zemsty, żeby uniknąć konkurentów, czy usiłując wprowadzić w cyberze „prawo metamorfa”.

Niech się nad tym zastanawia Gloria, kiedy zabierze się za artykuł o śmierci twórcy Seveca Stara. Mnie interesuje tylko jedno: metamorf mnie okłamuje i to niezbyt umiejętnie. Inna

sprawa, że miałem trochę szczęścia - żyje dopiero od kilku dni. Jest sprytny, mądry, szybko wszystko chwyta i jeszcze szybciej rozwija się. Ale nie ma jeszcze obszernej wiedzy, i niemal żadnego doświadczenia. Właśnie dlatego udało mi się wyjść z jego rezydencji. W zasadzie to powinien był mnie albo zabić, albo zmusić do odpowiedzi.

Scenariusz był prosty - powinien dać do zrozumienia, że odpowiedź negatywna będzie wyrokiem śmierci na samego siebie. Natomiast, jeśli zgodzę się z nim współpracować, to on gotów jest mi darować życie, ale pod warunkiem, że opowiem wszystko o swoim kliencie. A dowiedziawszy się o Shetterze powinien był mnie zmusić do zdrady, do ściągnięcia w pułapkę. „Spętać więzami krwi”. Tak, właśnie tak to się nazywa - „spętać więzami krwi”.

Na razie udało mi wymknąć z tego scenariusza. Ale jeśli jeszcze raz zaryzykuję pojawienie się w chińskim cyberze i metamorf do tego czasu zdobędzie niezbędne doświadczenie... Czy tak trudno znaleźć inną sposobność, by wykorzystać takie „więzy krwi”?

- Kup mi jeszcze piwa - zaczął się domagać Drobny Bies.
- Masz. - Podałem mu drugi banknot i przewodnik raźnie pogalopował do lady.

Wracając do sprawy - o ile przyjdzie mi do głowy, że mogę, czy powinienem zlekceważyć obowiązki prywatnego detektywa, wybór mam niewielki. Albo zaczynam pracować dla metamorfa, ze wszystkimi tej decyzji konsekwencjami, łącznie z bezgraniczną wiarą w jego nowe prawo, albo nie pracuję dla niego i żyję sobie zwyczajnym życiem. W tym przypadku nowy starosta chińskiego cyberu wcześniej, czy później znajduje sobie kogoś innego, kto będzie gotów dlań pracować. Po czym ja, w swoim cyberze zaczynam coraz częściej stykać się z niepo-

żadanymi wizytantami. W końcu pozbawią oni pracy wszystkie inne tułacze programy, wysyłając je tym samym do wykrotu. W tej liczbie i mnie.

Amen! Co więc mam wybrać? I czy mam jeszcze jakiś wybór?

Drobny Bies postawił na stole cztery kufle piwa i walnął się na krzesło. Już zdążył osuszyć jeden kufel do połowy. Zapytałem go:

- Powiedz mi, chciałbyś trafić do jednego z oficjalnych cyberów?

- Jeszcze jak! - odpowiedział. - Oczywiście, że bym chciał.

- Dlaczego?

Diabełek rzucił mi niedowierzające spojrzenie.

- Kpisz sobie? Tam jest o wiele łatwiejsze życie. Tam na każdym kroku trafiają się naiwni turyści. A miejscowe programy tułacze, jak wiadomo, nie potrafią...

Nagle zamilkł. Kontynuowałem za niego:

- A miejscowe programy tułacze nie potrafią tego wykorzystać. Czyż nie tak?

Drobny Bies łyknął z kufła i ostrożnie powiedział:

- W każdym razie tak mi opowiadano. Chociaż ja osobiście nie nazwałbym cię fujarą.

- Czuję się zaszczycony - skinąłem głową. - Nader.

- Ale tam, nie obrażaj się - odezwał się Drobny Bies. - Po prostu powiedziałem ci jakie słuchy krążą po naszym cyberze.

Pomyślałem, że takie plotki musiały, po prostu musiały powstać. I jeśli metamorf obieca otwarcie szlaków do oficjalnych cyberów, miejscowi z łatwością wybaczą mu zamordowanie twórcy, a także wiele innych rzeczy.

Oto, co jest najważniejsze. Ponieważ, złożywszy taką obietnicę, metamorf na pewno taką możliwość kiedyś znajdzie. I

wtedy zacznie się emigracja tułaczych programów z kitajskiego cyberu. A w tej chwili wygląda, że zapobiec mu mogą tylko ja i tylko teraz. I nie jest ważne, jakimi środkami się w tym celu posłużę. Najważniejsze - zatrzymaj, bo ja, moi przyjaciele i bardzo wiele innych mieszkających w oficjalnych cyberach programów, w najbliższej przyszłości będzie miało problemy, które nieuchronnie doprowadzą je do wykrotów. A jeszcze gorzej się czułem, kiedy zaczynałem rozważać, czym grozi ten najazd mieszkańcom wielkiego świata...

Nie ma co dumać, zdecydowałem. Trzeba działać.

Tylko jak? Wrócić do rezydencji i spróbować zabić metamorfa? Nie uda się. Nie dałem rady go zabić, nawet kiedy był sam. A teraz ma pomocników i nie uda się go zaskoczyć. Ot i wychodzi mi, że została tylko jedna szansa - zniszczyć zło przy pomocy innego zła.

Przypomniały mi się słowa Plotki: „To jeszcze nie jest twoja awantura”. Jak mógł wszystko to przewidzieć? Czy to zwyczajny zbieg okoliczności. Z drugiej strony - czy nie za często przepowiednie Plotki się sprawdzają? Ale i tak teraz nie mam czasu na roztrząsanie jakie są właściwie jego źródła informacji.

Wyciągnąłem z kieszeni otrzymany od Shettera kwadracik i zacisnąłem go w dłoni. W kwadraciku coś cicho pstryknęło, i cieniutki głosik zapiszczał:

- Proszę teraz pozostać na miejscu. Będę tam za pół godziny.

Ot i wszystko. Po sprawie. Wsunąłem kwadracik do kieszeni i zapaliłem.

- Co to było? - zapytał Drobny Bies.
- Wykonałem swoje zlecenie - odpowiedziałem. - Teraz tylko odbiorę swoje pieniądze i mogę się stąd wynosić.

- Jak je otrzymasz?
- Przyniosą mi - wyjaśniłem. - Poczekam chwilę.

Nie bardzo się rozmijałem z prawdą, jeśli w ogóle. Naprawdę nie zostało mi nic innego, jak czekać.

21.

- Ciekaw jestem ile dasz rady wypić piwa? - zapytałem Drobno Biesa.

- Nie wiem - odparł. - Nigdy nie miałem tyle pieniędzy, żeby się przekonać. Może dzisiaj...

Całkiem możliwe. Szczególnie, jeśli Shetter nie przybędzie szybko. Oszacowałem spojrzeniem zgromadzone na naszym stole puste kufle. I to wszystko w ciągu pół godziny?!

- Może wezmę jeszcze ze dwa? - zaproponował Drobny Bies.

- Trzymaj - podałem mu kolejny banknot.

Shetter pojawił się zaraz potem jak diabełek wykonał jeszcze jeden skok po pełne kufle.

Wyglądał mój zleceniodawca dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy pojawił się w moim domu. Taka sama kamienna twarz, chyba bez broni. W każdym razie trzymał w dłoni tylko tę samą wspaniałą laseczkę.

Zresztą nie przybył sam. Shetterowi towarzyszyli dwaj inni turyści, od pierwszego rzutu oka wyglądający na najemników. Potężni faceci, z niewzruszonymi facjatami i ostrym, wszystko widzącym spojrzeniem. Maszerowali, jak należy - za Shetterem, przez cały czas rozglądając się na boki. Obaj trzymali w ręku krótkolufę automaty. Tak przynajmniej ta broń wyglądała. Czym naprawdę jest i jak działa nie mogłem sobie nawet

wyobrazić. Zatrzymała się ta grupka przy moim stoliku; Shetter skinął na Drobneho Biesa i zapytał:

- Przewodnik?
- Tak - odpowiedziałem.
- Opraw go. Musimy pogadać.

Powiedziałem do diabełka:

- Poczekaj na mnie na zewnątrz. Kiedy oni wyjdą, wróc tu.

Z żalem oderwałem się od kufla, zeskoczyłem z krzesła i podreptałem do wyjścia.

- Świetnie - mruknął Shetter, siadając przy moim stoliku.

Towarzyszący mu najemnicy natychmiast ustawili się po bokach najemcy. Zresztą, najbliższe trzy stoliki były puste, i soldatten z lekka się odprężyli.

- Co, mianowicie, jest świetne? - zapytałem.

- Wszystko. Wszystko idzie świetnie. W szczególności to, że wykonałeś moje zlecenie. Czy nie tak?

- Tak - odpowiedziałem.
- No to gdzie on jest?
- Metamorf?

Moim zdaniem, słysząc ten termin jeden z bodygardów lekko drgnął. Miał, widocznie, pojęcie, jakim przeciwnikiem może być program-metamorf. Pomyślałem sobie, że to dziwne. Czyżby Shetter nie powiadomił swoich najemników, z kim przyjdzie im mieć do czynienia? Ale takie sztuczki, jak mi się wydawało, są w jego typie.

- Tak więc - zapytał przypoehlebnie Shetter. - Gdzie nasz ptaszek uwił sobie gniazdko?

Łyknąłem z kufla i zapytałem:

- A tysiąc infobucksów masz przy sobie?
- Ach tak, prawie zapomniałem - uśmiechnął się Shetter.

Wyjąwszy z kieszeni plik banknotów podał mi je. Wziąłem

pieniądze, położyłem na stoliku przed sobą i zapytałem:

- Zamierzasz go zabić?
- Mógłbym ci powiedzieć, że to nie twoja sprawa - oświadczył spokojnie Shetter - ale odpowiem: tak, chcę go zabić. I im szybciej to się stanie, tym lepiej.

- Jaki kokon kazałeś mu przybrać podczas waszego pierwszego spotkania?

- A to już nie twoja sprawa - powiedział Shetter. - I lepiej się do niej nie pakuj. Rozumiesz?

Skinąłem głową. Pewnie, że tak. Wiedziałem, że mi nie powie. Chociaż miałem hologram. Jeśli Gloria będzie bardzo chciała to się dowie, kogo aż tak bardzo nienawidził mój klient. Ma takie kontakty, że nie sprawi jej to trudności.

- No to gdzie znajdę swojego przeciwnika? - zapytał Shetter.

- A rezydencji starosty.

- A nie mógł przez te pół godziny przenieść się w inne miejsce?

- Nie - uśmiechnąłem się. - Bo jest teraz starostą tego chińskiego cyberu. I, w zgodzie ze swym obecnym statusem, powinien niemal przez cały czas znajdować się w rezydencji.

- Poprzedniego, domyślam się, zabił?

- Oczywiście.

- Jaka jest pewność tych danych?

- Zanim wysłałem do ciebie sygnał rozmawiałem z nim. Miło pogawędziliśmy.

- I wiedząc, jakimi dysponujesz danymi zwolnił cię?

- Mam saver. Stając się starostą musiał narzucić sobie przestrzeganie praw cyberu.

- Ach tak, saver. - Shetter odruchowo dotknął palcem swojego własnego, wiszącego na piersi. - Wygodna sprawa, nie-

prawdaż?

- Jasne - przyznałem. - Ale pamiętajcie, że jeśli zabijecie metamorfa teraz, kiedy jest starostą, twój saver, jak i płytki twoich ludzi, przestaną was chronić. Z powrotem będziecie musieli wyrąbywać sobie drogę.

- Och, tak - przyznał Shetter. - Wiem to. Moi ochroniarze też. Właśnie dlatego mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie.

- Chcesz, żebym wam pomógł wydostać się z cyberu, po zabiciu metamorfa.

- Nie, nie trzeba. Jeśli po bitwie z nim będziemy jeszcze stali na nogach, to poradzimy sobie sami. A jeśli nie - to znaczy, że zasłużyliśmy na taki koniec, że słabi z nas bojownicy, bez prawa do życia.

Powiedziawszy to, roześmiał się dobrodusznie. Zdziwił mnie.

Wydawało mi się, nie wiem dlaczego, że mówiąc coś podobnego powinien mieć może nie wyraz twarzy szalonego maniaka, ale coś twardego, drapieżnego w jego obliczu powinno się pojawić. Tymczasem - nic podobnego. Siedział przede mną całkiem zadowolony z życia człowiek i nawet dobrodusznie się uśmiechał. Może jego słowa były tylko żartem? Nie potrafiłem odgadnąć. A ponieważ Shetter nie był tułaczym programem, a turystą, to nie mogło mnie jego zachowanie nie zaskoczyć.

Usiłowałem wyobrazić sobie jak wyglądał podczas seansu „zabaw” ze swoimi ofiarami, i nie zdołałem. Może nawet nie należało się wysilać? Szczególnie teraz? Czy mam czas na wyobrażanie sobie z jaką miną siedzący naprzeciwko mnie sadysta wolno i z rozkoszą morduje tworzone dlań przez Seveca Stara programy?

- Co to za zadanie? - zapytałem.

Nagle Shetter przestał się uśmiechać. Skokowo, jakby nałożył inny kokon. Oczywiście, nawet teraz owo siedzące w nim szaleństwo nie ośmieliło się wyrzeć na zewnątrz, pojawić się w wyrazie oczu, w ruchach, rysach twarzy. Po prostu - siedział przede mną bardzo spokojny, trzeźwo myślący, rzeczowy człowiek interesu.

- Po naszym odejściu odczekasz dwadzieścia minut - powiedział. - Potem udasz się do rezydencji starosty i dowiesz się, jak zakończyło się nasze niewielkie polowanko.

- A potem?

- Jeśli zwycięży metamorf, ale uda nam się go poważnie uszkodzić, to dokończysz naszą robotę. Jeśli nie uda nam się nawet tyle, to znaczy, że metamorf przekracza nasze możliwości. Wtedy udasz, że wpadłeś do niego w jakiejś drobnej sprawie i zwiejesz.

- A on, oczywiście, nie domyśli się, że to ja was na niego naprowadziłem i po co naprawdę przyszedłem? - zapytałem sarkastycznie.

- Pewnie domyśli się - wzruszył ramionami Shetter. - Ale skoro jest teraz takim praworządnym starostą, to nic ci nie grozi. O ile wiem saver bezpieczeństwa chroni cię do chwili, kiedy nie napadniesz na kogoś. Jeśli nie będziesz usiłował go wykończyć, będzie cię musiał wypuścić.

- Logiczne - przyznałem. - Ale ryzykuję i tak dużo.

- Oczywiście. Ryzyko istnieje zawsze. Nawiasem mówiąc, za ryzyko więcej się płaci.

Nader przejrzysta aluzja. Powinienem zacząć targ, ale jakoś mi się nie chciało. Miałem dość. Poza tym wiedziałem, że niezależnie od życzenia Shettera, i tak pójde sprawdzic, czy przeżył metamorf, czy nie. No to po co odstawiać teraz cyrk?

Pieniądze? Pewnie, ważne jak diabli. Szczególnie dla mnie.

Każdy na moim miejscu postarałby się urwać dla siebie możliwie duży kęs, kilka dodatkowych infobucksów. Ale - nie mogłem. Może innym razem. Jeśli inna okazja się pojawi. Bo teraz... Pieniądze na razie mam, wystarczy mi na długo. Po co handlować jeszcze swoją nieśmiertelną duszą?

Wsunąłem do kieszeni leżącą na stoliku paczkę banknotów. Shetter odebrał to jako sygnał do rozpoczęcia targu i wyjął z kieszeni drugi plik, ze dwa razy grubszy. Rzuciwszy go na środek stołu powiedział:

- Tu są dwa tysiące. Zapłata za obietnicę wykończenia metamorfa, o ile nam się to nie uda. Oczywiście, o ile będzie to możliwe.

- A jeśli nie będzie?

- No to wtedy traktuj to jak premię za udane poszukiwania. Nic więcej. Jeśli zabijemy metamorfa, i zdołamy ująć z cyberu, nie zażądam zwrotu tych pieniędzy.

- A nie przychodzi ci do głowy, że mogę po prostu pójść sobie, nawet nie usiłując wykonać warunków umowy?

- Nie. Mogłeś tak postąpić wcześniej. Kto by przeszkodził ci wrócić do swojego cyberu, a po kilku dniach powiadomić mnie, że obiekt poszukiwań szczęśliwie dla siebie zwiął? Jednakże wolałeś wykonać naszą umowę, bez względu na to, że musiałeś pracować w kitajskim cyberze. Dla mnie to oznacza, że i teraz nie złamiesz słowa.

- A jeśli obiecuję ci, że i tak to zrobię, bez pieniędzy? - zapytałem.

Shetter przyjrzał mi się uważnie i powiedział:

- W takim razie uznaję, że masz jakieś swoje powody, by życzyć metamorfowi śmierci. Nie mylę się?

- Możliwe - powiedziałem. - Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

- Nie w tej chwili. A nawet jeśli mam rację, to i tak powinieneś wziąć pieniądze.

- Jakoś dam sobie radę i bez nich - mruknąłem.

To wywołało znowu uśmiech na twarzy Shettera. Ironiczny. Nie taki, jaki widnieje na twarzach ludzi interesu, którzy dowiadują się, że ktoś popełnił - ich zdaniem - wielkie głupstwo. Uśmiechnął się tak, jakby widział przed sobą małego chłopczyka, z czystego uporu odmawiającego zjedzenia smacznej kaszki. - Jak chcesz - powiedział. - Zastanów się.

Wstał i dał znak swoim ochroniarzom. Wciąż rozglądając się na wszystkie strony, ruszyli do wyjścia.

- Zapomniałeś pieniędzy - powiedziałem do Shettera.

Na pewno to usłyszał, ale nawet się nie obejrzał.

Po prostu maszerował za swoimi ochroniarzami do drzwi, trzymając w ręku swoją drogocenną laseczkę; szedł wolno, spokojnie i rzeczowo pokonując przestrzeń - zwyczajny, zażywający właśnie spaceru człowiek.

Popatrzyłem na leżący na stole plik banknotów. Pewnie mogłem dogonić Shettera i wcisnąć mu je z powrotem. Ale wiedziałem, że nic z tego nie wyjdzie. Nie weźmie ich. Zostawiając je, pewnie nawet nie przyszło mu do głowy ponížanie mnie. Po prostu już je wprowadził do kolumny wydatków. Płaca za wykonanie obietnicy. To mieściło się w jego pojmowaniu świata, tworzyło wrażenie, że świat jest taki, jakim on go sobie wyobraża. To dodawało mu pewności i spokoju. Czegoż jeszcze potrzeba na chwilę przed walką na śmierć i życie?

A ja... Ja miałem dwadzieścia minut, żeby wymyślić, co zrobię z tymi pieniędzmi.

Zerknąłem na wizjer informacyjny, odnotowałem czas i znowu wróciłem spojrzeniem do pieniędzy. Najprościej byłoby włożyć je do kieszeni. Te dwa tysiące infobucksów dawało

mi dodatkowy czas na poszukiwanie innego klienta. Po prostu na przeżycie.

Ale czy przeżycie jest teraz najważniejsze? Zapalając papierosa, pomyślałem, że pewnie w taki właśnie sposób można nabawić się ciężkiej szajby. Najpierw człowiekowi przychodzą do głowy jakiś durne pomysły, potem zaczyna robić głupstwa, wierząc, że postępuje całkowicie słusznie. Z reguły kończy się na tym, że świeżo upieczony wariat albo całkowicie zanurza się w stworzonym przez siebie świecie, całkowicie wyłącza się z rzeczywistości, albo wychodzi na ulicę i usiłuje uszczęśliwić rodzaj ludzki zamordowaniem kilku przechodniów. A wszystko to w absolutnym przekonaniu o słuszności swoich czynów.

- Al-le! Niech to!..

Oczywiście, Drobny Bies. Siedział już na swoim miejscu i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w pozostawioną przez Shettera paczkę pieniędzy. Prychnąłem i strzepnąłem popiół.

- Prawdziwe? - zapytał diabełek.

- Tak - potwierdziłem.

- Ile tu jest?

- Dwa tysiące.

- Dwa tysiące! No nie, można zwariować!

- Tak - przyznałem. - Rzeczywiście, można zwariować.

- Czy to twoje honorarium?

- Można to i tak nazwać.

- Do licha, jak można zostać prywatnym detektywem? Chcę być prywatnym detektywem!

- A znajdziesz w chińskim cyberze klientów, gotowych zapłacić ci takie sumy?

Drobny Bies podrapał się za uchem, potem przyznał:

- Rzeczywiście. Nie mamy tu takich bogaczy.

- Dlatego też nie warto, żebyś zostawał prywatnym detek-

tywem - powiedziałem. - Lepiej włóż swoje pieniądze w produkcję lewych papierosów. Dopóki w cyberach są tacy, których nie stać na prawdziwe papierosy i jedzenie, o pełnej wartości konserwantu, będzie ci się znakomicie wiodło.

- To wiadomo - powiedział Drobnny Bies. - Ale żeby zostać prywatnym detektywem wystarczy mi otrzymanych od ciebie pieniędzy, ale żeby zająć się prawdziwym biznesem - nie.

Popatrzyłem jeszcze raz na plik pieniędzy. Coś trzeba było z nimi zrobić, i to im szybciej, tym lepiej. Póki nikt ze stałych bywalców mordowni ich nie zobaczył. Bo będzie chciał skomplikować mi życie. Znajdzie się ktoś, kto gotów będzie dla tej kupy szmalu złamać nawet prawo savera.

Z drugiej strony - nie mogłem wziąć tych pieniędzy. Dlaczego? Chociażby dlatego, że nie zapracowałem na nie. Dał mi je Shetter za to, co i tak zamierzałem zrobić. To jeden powód. Drugi, ważniejszy, to ten, że uważam Shettera za większego złoczyńcę niż metamorfa. Gdyby nie jego patologiczna namiętność, metamorf w ogóle by się nie pojawił na tym świecie. Nie byłoby więc żadnego zagrożenia „prawem metamorfa”, zagrożenia najazdu na oficjalne cybery.

Metamorf działał tylko odpowiednio do okoliczności, na jakie natrafił od pierwszej chwili po uzyskaniu świadomości. Po prostu nie miał innego wyboru. Owszem, zabił twórcę, ale skąd miał wiedzieć, że zabijanie z zemsty jest nieetyczne, skoro został stworzony tylko po to, by bogaty turysta mógł zaspokoić swą, być może od lat spopielającą jego trzewia, żądzę zemsty?! Dlatego, cokolwiek by się nie powiedziało, wychodzi, że większym przestępcą z nich dwóch jest Shetter. Przy tym, jeśli uda mu się zabić metamorfa, to wyjdzie cało z tej historii. Prawa, karzącego za zabicie nielegalnego tułaczego programu, jak na razie, nie ma. I wcale nie musi szybko powstać.

W każdym razie dopóki tacy jak Shetter mają wpływy i władzę. A pieniądze... Owszem, wziąłem drugą część umówionej w zleceniu kwoty, ale tylko dlatego, że uczciwie na nią zapracowałem. A te, co leżą na blacie stołu, nie mogą być moje. Gdybym je wziął stałbym się najemnikiem Shettera. Za cholerę nie chcę tych dwu tysięcy infobucksów.

Usiłowałem wyobrazić sobie, jak zareagowałbym, gdyby podczas swojej wizyty Shetter uczciwie opowiedziałby kogo właściwie mam szukać i dlaczego. Ciekawe, czy zawarłbym wtedy z nim umowę? Pewnie nie. Dla ratowania życia dobre jest wszystko. Ale są też rzeczy nie do przyjęcia. Na przykład, nie można być współnikiem sadysty i niegodziwca. I to nie współnikiem nieświadomym, a rozumiejącym co się robi, po co i dla kogo.

- Schowaj je do kieszeni - poradził mi Drobny Bies. - Nie można się tyle gapić na taką forszę.

Wpatrywał się w plik banknotów. Co prawda trzymał kufel piwa, ale łyknął z niego tylko raz, czy dwa, nie więcej. Pomyślałem, że zostawiając na stole te pieniądze Shetter wszystko sobie wykalkulował. Wiedział, że prędzej, czy później będę musiał je wziąć, tym samym uznając słuszność jego racji, przyznając, że darowane przez pieniądze życie jest ważniejsze od wszelkich zasad.

A doszedłszy do takiego wniosku, odetchnąłem z ulgą. Stało się - zostały wywołane i zwerbalizowane najważniejsze powody, dla których nie mogę wziąć tych pieniędzy. Może durne są to zasady i nie mniej głupia duma. Nie mogę ich oszukać bajkami o tym, że bez forsy Shettera nie przeżyję. Tym razem to nie przejdzie. A skoro tak, to i nie należy się wysilać.

- No to bierz i chowaj - powiedziałem. - Do swojej, rzecz jasna, kieszeni.

- Tak mi ufasz? - zapytał wstrząśnięty diabełek.
- Nie - powiedziałem. - Po prostu to twoje pieniądze. Daję ci je po to, byś się zajął jakimś biznesem. Wystarczy ci?
- Jeszcze jak - wymamrotał zdumiony Drobny Bies.
- No to bierz. I to już, póki się nie rozmyśliłem.
- A jakie stawiasz warunki?
- Najzwyklejsze - odparłem.

I zacząłem pleść starą jak świat piosenkę o konieczności otrzymywania bieżącej informacji, o pomocy, w wypadku, gdyby mi znowu przyszło pracować w tym cyberze... Poza tym, Drobny Bies, zostawszy biznesmenem i posiadłszy kontakty w innych chińskich cyberach, i tam będzie mi świadczył przysługi.

I tak dalej...

Kłamałem, oczywiście. Nie zamierzałem już więcej pojawiać się w żadnym chińskim cyberze. Tak szczerze mówiąc, to kuśiło mnie, by po powrocie do domu, odnaleźć autora podręcznika dla prywatnych detektywów i poprosić go o przeniesienie punktu, mówiącego o zakazie pracy w chińskich cyberach, na pierwsze miejsce w dekalogu zawodowca. Niech każdy, kto zamierza stać się prywatnym łapsem, przeczyta go w pierwszej kolejności.

- Zgoda! - wrzasnął uradowany diabełek. - Zgadzam się. To mi pasuje.

- No i świetnie - powiedziałem. - Bierz pieniądze.

Paczka banknotów migiem znalazła się w kieszeni Drobne-go Biesa.

- Pamiętaj, że zamierzam uczciwie wywiązać się z zobowiązań - powiedział. - Jak tylko będzie ci potrzebna jakakolwiek pomoc, zwracaj się do mnie, a ja zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy.

- Nie wątpię - pokiwałem głową. - Na razie muszę spacerować się do rezydencji starosty.

- No to chodźmy. Aha, ponieważ teraz pracuję dla ciebie, nie będzie już żadnego proszenia o kolejną piątkę.

- Bardzom z tego rad - uśmiechnąłem się. - Wychodzi, że za jednym zamachem dałem ci to, co i tak byś ode mnie wyciągnął.

- Żartujesz? - zapytał niepewnie diabełek.

- Oczywiście, że tak - zapewniłem go.

Wyszliśmy z mordowni i skierowaliśmy się do rezydencji starosty.

- Chcesz popatrzeć, czym skończyło się spotkanie tych trzech turystów i starosty? - zapytał diabełek.

- Tak.

- Przyszli go zabić?

Mogłem z łatwością skłamać. Ale po co? I tak w najbliższym czasie stanie się głośno o potyczce Shettera ze starostą.

Przytaknąłem, a Drobnny Bies wzruszył ramionami:

- Nie rozumiem, po co to tym turystom? I tak żaden z nich nie może stać się starostą.

A to była myśl z gatunku zabawnych.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie mieszkają w naszym cyberze. Tylko mieszkaniec cyberu może stać się jego starostą.

- Co cię naprowadziło na myśl, że ci turyści chcą zabić starostę, żeby zająć jego miejsce?

- A po co by jeszcze?

- Ale jeśli żaden z nich nie może być starostą, to kto nim będzie? Jak wybieriecie nowego?

- Zajmie to stanowisko ten, kto potrafi na nim wytrwać. Rozumiesz, zabić starostę, to jeszcze nic. Trzeba jeszcze, by

zrobił to ten, na kogo nikt nie odważy się podnieść ręki. A to jest ba-a-ardzo trudne. W naszym cyberze jedynym zabójstwem, nie uważanym za zabójstwo, jest zamach na starostę.

Olśniło mnie.

- Poczekaj - powiedziałem. - Czy to znaczy, że tej trójki turystów, nawet jeśli im się uda zabić starostę, nikt nie będzie ścigał?

- Właśnie tak. Przecież mają savera. Jedynym atakiem na aborygena, który nie kasuje działania savera, jest zabójstwo starosty. Co to za starosta, jeśli nie potrafi uniknąć zabójstwa z ręki wizytanta?

- A co z programami, służącymi do „uciech” turystów? - zapytałem. - Przecież to też zabójstwo.

- Nie - odparł Drobny Bies. - Ponieważ odbywa się ono nie na terytorium cyberu. Dwa lata temu, kiedy wszystko się rozkręcało, starosta wydał ustawę, w myśl której terytorium, na którym odbywają się te zabawy, nie jest uważane za część cyberu, a należy do mieszkającego tam twórcy.

Pokiwałem głową. Zaiste - prawo, nawet tu, jest proste jak wąż, szczególnie, jeśli odstępianie od niego przynosi pieniądze. Chwilę później zatrzymaliśmy się przed drzwiami do rezydencji starosty.

- Poczekaj tu, ja się zaraz czegoś dowiem - powiedział Drobny Bies.

Pognał, nie czekając na moje przyzwolenie do ulicznego kramarza, który rozłożył swój interes w pobliżu. Pogadał z nim chwilę i wrócił do mnie.

- Jakies dwadzieścia minut temu do rezydencji weszła trójka turystów. Przy tym jeden trzymał w ręku archaiczną laskę, a dwaj pozostali - dziwną na oko broń. Od tego momentu nikt nie opuścił rezydencji.

Cicho gwizdnąłem pod nosem.

Ale numer! Wygląda, że metamorf ich wszystkich załatwił. Nie starczyło pary Shetterowi i jego goryłom. Albo zabili gospodarza, a sami naradzają się, jak najłatwiej będzie przebić się do portala? Pewnie żaden z nich, nawet Shetter, nie wie, że według miejscowego prawa nie popełnili żadnego przestępstwa.

Cokolwiek się jednak stało, ja i tak muszę tam wejść. Muszę zdobyć pewność, że metamorf jest martwy. A jeśli jakimś cudem zabił Shettera i jego najemników, to będę musiał sam zacząć z nim walkę, nieważne, w jakim jest stanie. Oczywiście, w zasadzie, widząc go żywego i w pełnym zdrowiu mogę serdecznie się z nim pożegnać i wziąć nogi za pas. Ale co dobrego z tego wyniknie? Po jakim czasie „prawo metamorfa” samo do mnie przyjdzie, zakolacze do drzwi i wykrot mnie nie ominie. A tak blisko dotrzeć do metamorfa jak dziś może już mi się nie uda. Tak więc, jeśli mam się z nim bić, to tylko teraz, póki jeszcze nie zrozumiał, że powinien otoczyć się tłumem fanatyków, gotowych dla miraży nowego i radosnego żywota na rozszarpanie każdego, kto odważy się podnieść rękę na ich idola.

Zresztą, nie można wykluczyć victorii. Raz udało mi się zmusić go do ucieczki. Gdyby nie pomocnik starosty, to bym go już wtedy załatwił. Nie miałbym teraz żadnych zmartwień, siedziałbym sobie w „Krwawej Mary”, sączył piwko i roztrząsał z Hobbinem detale polowania na krety.

- Poczekaj sobie tutaj - powiedziałem do Drobniego Biesa. - Muszę zobaczyć, co tam się stało.

- Idę z tobą - natychmiast oświadczył diabełek.

Wyglądało, że jest śmiertelnie zainteresowany czym skończyło się spotkanie turystów ze starostą. W przeciwieństwie

do mnie, którego wcale to nie interesowało. Naprawdę wolałbym być stąd możliwie daleko. Dlatego, zgodnie z zasadą złośliwości losu, ja wejdę, a diabełek zostanie na ulicy. Tego mi jeszcze brakowało, żeby mi się ktoś pętał pod nogami.

- No to jak, idę z tobą? - zapytał nadzieją w głosie Drobny Bies.

- Poczekasz tu - pokręciłem głową. - Niech ci nie przyjdzie do głowy iść za mną.

- Jasne - jęknął zmarkotniały diabełek.

Uznałem, że wszelkie odwracające uwagę manewry, nie mają w tej chwili racji bytu. Jeśli mam strzelać, to trzeba będzie to robić, gdy tylko zobaczę metamorfa. Wyjąłem pistolet, pchnąłem drzwi i wszedłem do korytarza.

Zwłoki dwóch pomocników starosty wały się na jego końcu, przy wejściu do sekretariatu. Widocznie najemnicy Shettera zaczęli polewać ze swych automatów od razu, jak tylko ich zobaczyli. Pomocnicy, jak mi się wydawało, nie zdążyli nawet niczego przedsięwziąć. Rosły moje notowania. Może Shetterowi i jego drużynie udało się zaskoczyć metamorfa? Zbliżyłem się do zwłok pomocników i sprawdziłem je przy pomocy diagnostera. Tak, pomocnicy. No-no, zobaczymy... Zaczęli goście ostro, a jak zakończyli?

Minąwszy sekretariat, gwałtownie trąciłem drzwi do sali konferencyjnej, po czym wśliznąłem się do wnętrza i, uskokczywszy w bok, rozejrzałem się. Potyczka w sali konferencyjnej była nielicha. Z większości poduszek zostały tylko czarne wypalone plamy. Stolik zmienił się w zielonkawą kałużę, z której sterczała, nie wiadomo jakim cudem zachowana, rzeźbiona nóżka. Wspaniały dywan upstrzyły miriady dziur.

Poza tym w sali znajdowały się trzy trupy i Shetter. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami. W piersi ziała ogromna dziura,

przez którą przeszłaby pięść. Oczy miał zamknięte, jakby spał, albo zamierzał zaraz umrzeć.

Zresztą, to nie wielki świat. Tu nie można umrzeć z powodu krwotoku. Zatem skoro Shetter nie stał się od razu trupem, to znaczy, że śmiało może dotrzeć do najbliższego portalu. Oczywiście, że będzie go bolało, i to bardzo. Ale do swojego cyberu dotrze. A tam ma portal, przez który przejdzie do wielkiego świata, wróci do swojego całutkiego ludzkiego ciała. Może przez jakiś czas będzie mu się wydawało, że ma w piersi ogromną bolesną dziurę, takie bóle fantomowe. Ale jakiś psychoterapeuta uwolni go z tego szoku. Oczywiście - honorarium będzie astronomiczne, ale praca ważna i wykonana szybko i dobrze... Na tym skończy się przygoda Shettera. A co do jego najemników...

Wyciągnąłem diagnoster i dokładnie sprawdziłem zwłoki. Zgadza się. Dwa ciała to najemnicy, trzecie - metamorf. Czyli nie mam już co tu robić. Zupełnie nic do roboty.

Obrzuciłem salę wzrokiem i usiłowałem odtworzyć przebieg potyczki. W sali nie było żadnych kryjówek. Dlatego walka pewnie trwała dosłownie kilka chwil. Shetter z najemnikami wdarł się do sali i otworzył ogień do metamorfa. A ten miotał się po sali, uchylał, robił uniki i strzelał, strzelał do nich. Udało mu się nawet ukatrupić obu goryli i zranić Shettera, a ten...

A z czego strzelał nasz mały ranny Shetter? Nie pamiętam, żeby miał przy sobie jakąś broń. Wróciłem do niego i teraz zauważyłem, że leżąca obok niego laska nie wygląda dokładnie tak, jak wcześniej. Zamiast gałki miała rurkę, i - oczywiście - była to lufa jakiejś broni, coś na kształt corvectora.

Ot i zabawny archaiczny drobiazg. Nawet rozmawiając ze mną, Shetter nie wypuszczał z ręki swojej laski nie dlatego, że

przywykł do jej ciężaru w ręku. Gdyby mi, na przykład, przyszło do głowy dać w pysk temu miłośnikowi nielegalnych rozrywek, to by mi pokazał, gdzie raki zimują.

Obok laseczki leżał pewien znany mi drobiazg; wpatrywałem się weń przez pewien czas, zastanawiając się jak mam postąpić, ale w końcu podniosłem go i wsunąłem do kieszeni. No, teraz możemy pogadać. Tylko jeszcze jedno, tak żeby uniknąć przykrych niespodzianek: odtrąciłem nogą laseczkę pod ścianę.

- Shetter, przestań strugać wariata - powiedziałem. - To nie jest wielki świat i udawanie martwej biedronki skazane jest na niepowodzenie. Tu są tylko dwa stany: albo jesteś prawdziwy trup, albo żyjesz i możesz się komunikować.

Shetter od razu otworzył oczy i wymamrotał:

- Ale pieniądze wzięłeś. Prawda?
- Nie, nie prawda! Nawet ich nie dotknąłem.
- A co zrobiłeś? Zostawiłeś na stole w tej mordowni? Żeby wziął je pierwszy, kto je zobaczy?

- Oddałem swojemu przewodnikowi - odparłem. - Przy ich pomocy stanie się biznesmenem.

Shetter usiadł gwałtownym ruchem, popatrzył na dziurę, potem wsunął w nią dłoń i prychnął zadowolony.

- Podoba ci się? - zapytałem.
- Nie - odpowiedział. - Cholernie boli. Myślałem, że naprawdę ze mną koniec. Ale wyszło, że to nie jest takie straszne.
- No tak - mruknąłem. - Strasznie śmieszne. Zanim wrócisz do wielkiego świata, to ci się nawet spodoba.

- O ile wrócę do wielkiego świata - powiedział Shetter.
- O ile wrócisz - zgodziłem się.

Przez pewien czas patrzyliśmy sobie w oczy. Potem Shetter odwrócił wzrok, popatrzył w stronę, gdzie leżała jego laseczka,

i zapytał:

- Miałeś swoje powody, żeby tu wrócić? Nie powiesz mi jakie?

O, to mi się wcale nie podobało. Szczególnie to spojrzenie w stronę laseczki. Wiadomo w jakim celu jej potrzebował, tylko ja jeden wiedziałem o rozrywkach Shettera. A ludzie jego pokroju nie lubią zostawiać świadków.

- A ty nie powiesz mi czyj kokon miał metamorf, kiedy uciekł z włości twórcy?

- Nie, nie powiem - uśmiechnął się Shetter. - Po ci to wiedzieć?

Uśmiechnąłem się również.

- Dziwny zbieg okoliczności. Ale możesz chyba w zamian powiedzieć, skąd metamorf wziął corvector, co? A także podprogram pozwalający przenikać przez ściany?

- To mogę. Corvector i podprogram gwizdnął twórcy. Dokładniej mówiąc, wszystko się od tego zaczęło. Roztargniony twórca wpakował do niego nie ten, co trzeba podprogram, a metamorf wykorzystał to. Potem nie było już trudno dorwać się do corvectora.

- No tak - przyznałem. - Wśród twórców jest wielu straszliwie roztargnionych.

Coś mi się nie chciało wierzyć w tę wersję. Zapewne prawda było zupełnie inna, ale jaka - pewnie już się nie dowiem. A i nie wiedziałem czy chcę wiedzieć. Miałem sprawy ważniejsze do załatwienia.

- Teraz twoja kolej - odezwał się Shetter. - O przyczynie twej wizyty tutaj powiedzieć nie chcesz. Ale możesz mi powiedzieć dla kogo poza mną pracujesz?

Zdziwiłem się:

- Jak to?

- No, skoro nie wzięłeś moich pieniędzy, to znaczy, że ktoś ci zapłacił wcześniej. Takich jak ty, znam, widziałem ich wielu. I znam mniej więcej twój sposób myślenia.

- O nie. Nikt mi nie płacił. Zupełnie nikt.

- W takim razie masz jakąś ideę - powiedział, zastanawiając się nad własnymi słowami, Shetter. - To gorzej, znacznie gorzej.

- Jeśli mam być dokładny, to miałem ideę, ale się skończyła.

- Innymi słowy jesteś teraz wolny od wszelkich zobowiązań?

- Dokładnie.

- A czy nie uda mi się wynająć ciebie, byś mi pomógł dostać się do portalu?

- Nie uda.

- Bez względu na zaproponowaną sumę?

- Bez.

Shetter zamknął oczy i cicho zachichotał. Potem mruknął:

- I to był właśnie najpoważniejszy błąd. Ale może da się go naprawić.

- Co masz na myśli? - zapytałem. - Jaki błąd?

- Do naprawienia - powiedział Shetter. - Na szczęście. Nie mogłem wszak wiedzieć, że jesteś idealistą. Nie wyglądasz na niego.

- Bo i nie jestem idealistą - odparłem, uśmiechając się. - Po prostu są rzeczy, których nie chcę i nie będę robił za skarby świata. Na przykład, nie będę pomagał nikczemnikom i sadystom.

- Nawet za grube pieniądze? - zainteresował się Shetter. - Za bardzo duże pieniądze. Powiedzmy za dwadzieścia tysięcy infobucksów?

Westchnąłem. Trzeba mi stąd iść. Natychmiast. Nie ma sen-

su dłużej rozmawiać z Shetterem. W tej chwili miał tylko jedno w głowie: wydostać się z chińskiego cyberu, wrócić do wielkiego świata. Żeby to osiągnąć jest gotów obiecać wszystko, czego dusza zapagnie, nawet skarby wszystkich ziemskich władców.

- No to jak, zgoda? - zapytał Shetter. - Zaraz jak tylko znajdę się w wielkim świecie...

- Nie - przerwałem mu. - I czas na mnie.

- To znaczy, nie? - nie ustawał Shetter.

- Tak. Nie.

- Czy wiesz, że nieudzielenie pomocy turyście jest karalne?

- Oczywiście, że wiem.

- I nie boisz się odpowiedzialności za ten czyn?

Westchnąłem znowu. Znudziło mi się to wszystko. Żeby tylko wrócić do „Krwawej Mary” i napompować piwem. I zapomnieć o wszystkim, a szczególnie o istnieniu kitajskich cyberów. Sprawa z metamorfem została zakończona, miałem już prawo o niej zapomnieć. Życie zaś toczyło się dalej. Pewnie jutro podsunie mi kolejną niespodziankę. Ale na razie - wracamy do siebie.

Odwrociłem się plecami do Shettera i poszedłem do wyjścia, machinalnie usiłując oszacować, jak nowy starosta umebluje nową salę konferencyjną. Może ustawi wzdłuż ścian wazy z kwiatami, albo odwrotnie - będzie wolał styl średniowieczny - ponadżerane przez mole gobeliny i rycerskie zbroje? A co mnie to wszystko obchodzi?

Po jakichś pięciu krokach uznałem, że czas na działanie i odwróciłem się. Shetter był już obok laski. Zaraz ją złapie...

- Nie warto się wysilać - powiedziałem, celując do niego.

Zamarł o pół kroku od laski, widocznie błyskawicznie oceniając, że tę odległość należy pokonać, potem pochylić się,

podnieść laskę, wycelować i wystrzelić. A ja, żeby go spalić, muszę tylko nacisnąć kilka razy na spust.

- Przecież nie strzelisz do mnie? - niepewnym głosem zapytał Shetter. - Tacy jak ty nie strzelają do bezbronnych.

- Pewnie, że nie. O ile nie będziesz sięgał po laskę. I, w ogóle, odsuń się od niej na trzy kroki.

Shetter posłusznie odszedł na bok. Poruszał się nieco niezdarne. Widocznie dziurka w klatce jednak trochę mu przeszkadzała.

- Widzę, że skoro nie udało ci się mnie kupić, to spróbujesz wysłać do innego świata?

Shetter milczał.

- Daj se siana, chłopie - powiedziałem. - Nie zamierzam szantażować cię twoimi haniebnymi sekretami. Nie potrzebuję tego. Jakoś sobie bez tego poradzę. Oczywiście, jeśli i ty zostawisz mnie w spokoju.

Shetter uśmiechnął się.

- A ty, Essutilu, nadal nic nie rozumiesz. Wcale nie rozumiałaś co tu się działo i dlaczego. Chociaż to już niczego nie zmienia. Wpakowałaś się w aferę i nie możesz ot, tak sobie, z niej wyjść. Ja wrócę do wielkiego świata i wtedy pogadamy. Inaczej. Rozumiesz?

- Jeszcze jak - powiedziałem. - A zemsta twoja będzie straszna.

- Co ma do tego zemsta? - wzruszył ramionami Shetter. - Po prostu teraz wpakowałaś się naprawdę w fatalną historię. Sam jeszcze tego nie rozumiesz. A ja nie będę się nawet mścił. Po prostu - nie potrzebuję. Sam sobie skręcisz kark, i to wkrótce.

Coś tam jeszcze gadał, kusił jakimiś tajemnicami, znowu obiecywał pieniądze i groził zemstą. Już go nie słuchałem. Jakby mnie ktoś przykrył grubym kocem obojętności. Nie

chciałem już nic więcej wiedzieć, a tym bardziej o jakichś tam tajemnicach. Miałem tego dość, powyżej uszu. Nic, kompletnie nic, już mnie nie interesowało.

- Dobra - powiedziałem do Shettera. - Wracaj, jeśli możesz.

Coś jeszcze wrzeszczał, ale nie zwracając już uwagi na jego krzyki odwróciłem się i wyszedłem. Wiedziałem, że nie zdąży dopaść laseczki przed moim wyjściem. Wystarczała mi świadomość, że nie zdąży wystrzelić mi w plecy.

I tak się stało.

Spokojnym odmierzoną krokiem wyszedłem do sekretariatu, przemierzyłem korytarz i wyszedłem z rezydencji. Zebrał się przed nim mały, kilkudziesięcioosobowy tłumek mieszkańców chińskiego cyberu. Widziałem tu nawet kilku bandytów. Widocznie rozniosła się plotka, że turyści usiłovali zabić ich starostę. Bez wątpienia Drobny Bies maczał w tym palce. On sam rzucił się do mnie i zapytał półgłosem:

- No i jak?

- A co, mianowicie? - zadałem równie cicho kontrpytanie.

- Starosta?

- Zabity.

- A wizytanci?

- Jeden żywy. Pewnie któryś z twoich współplemieńców zechce mu pomóc. Za pieniądze.

- A co ty będziesz teraz robił?

- Nic. Tu już mnie nic nie trzyma. Czas wracać do swojego cyberu.

- Odprowadzę cię - powiedział Drobny Bies. - Tylko zamienię kilka słów.

Podskoczył do jednego z gapiów i zaczął mu coś tłumaczyć.

Ja ruszyłem przed siebie. Ciągle jeszcze nakryty pledem objętności. Nawet niezbyt interesowało mnie, czy dogoni mnie

Drobny Bies, czy nie. Wiedziałem, że saver bezpieczeństwa ochroni mnie, a to znaczy, że prędzej czy później dotrę do portalu.

Diabełek dogonił mnie, kiedy odszedłem od rezydencji na dobre kilkaset kroków.

- No to się zaraz zaczniesz! - oświadczył podniecony. - Do funkcji starosty pretendują dwaj kandydaci. Za pół godziny będzie ich czterech. A potem... Och, co się będzie działo!

- Tak, oczywiście - powiedziałem obojętnie.

- Przy okazji, wpadłem na pomysł, w co włożę te pieniądze.

- Tak? W co?

- Zorganizuję biuro handlujące informacjami. W każdym chińskim cyberze będę miał agenta, a więc będę wiedział, w jakim cyberze co się dzieje, co tam produkują, po ile sprzedają i jakie są rzeczywiste koszty produkcji. Sądzę, że takie dane mogą zainteresować niejednego handlarza. Ale moje biuro będzie handlowało w ogóle danymi, każdą informacją, byle znalazł się na nią kupiec. Słyszałem, że w wielkim świecie też są takie biura. Nazywa się to Pałac Słuchów.

- Świetny pomysł - pochwaliłem go.

- Już zawarłem pierwszą umowę. Sprzedałem otrzymaną od ciebie informację o turyście, który znajduje się w rezydencji starosty takiemu jednemu, co chce mu pomóc. Oczywiście, gdyby nie miał savera, taka informacja kosztowałaby znacznie drożej, ale i tak pierwszy interes został ubity.

- Dlaczego informacja o braku płytki kosztowałaby drożej?

- No, bo wtedy można by go było ograbić i wykończyć. To jest znacznie wygodniejsze. Jak sądzisz, ile odpali temu, który go odprowadzi do portalu?

- Nie mam pojęcia.

- A właśnie, jeśli chcesz trafić do portalu, to musimy skrócić

w tę ulicę.

- Dobrze, skręcajmy.

- Zapomniałeś, że ciągle jeszcze jestem twoim przewodnikiem? - zapytał Drobny Bies.

- Nie - odparłem. - Oczywiście, że pamiętam.

Skręciliśmy więc tak jak powiedział i poszliśmy prosto w kierunku portalu. Drobny Bies podskakiwał z podniecenia obok mnie i opowiadał, jacy są ci kandydaci na starostę. Uda wałem, że go słucham, nawet mu potakiwałem. Chociaż wszystko to mi zwiślało.

Całkowicie. Jedyne czego pragnąłem, to powrotu do swojego cyberu i zapomnienia o całej tej niesmacznej aferze.

Ale wiedziałem, że tak łatwo mi się nie uda. Chociażby dlatego, że musiałem jeszcze złożyć sprawozdanie Glorii.

22.

- Biednyś - powiedziała Gloria. - Oberwało ci się.

Popatrzyłem na nią z niedowierzaniem. Coś takiego rzadko pada z jej ust.

- Ale ogólnie to nawet zabawne - innym tonem powiedziała dziennikarka. - Powinieneś być zostać jeszcze w rezydencji starosty i porozmawiać z Shetterem.

Skinąłem głową:

- I poznać wszystkie jest straszne sekrety, wyciągnąć wszystkie smaczki, przeniknąć w jego koszmary. Czy nie tak? Akurat by mi się zwierzył!..

- Dlaczego przesadzasz? - obruszyła się Gloria. - Po prostu należało z nim pogadać. Mógł powiedzieć coś ciekawego o twórcy.

Uśmiechnąłem się z goryczą:

- Powiedzieć to on dużo mógł. Ale tobie by się to i tak nie przydało.

- W takim razie następnym razem - tonem wychowawczyni oświadczyła Gloria - kiedy znowu wpadniesz w tarapaty, bądź tak miły i szukaj sobie pomocy u kogo innego. Ja osobiście nie kiwnę dla ciebie palcem.

Byłem przekonany, że kłamie. I to wiedząc, że wcale jej nie wierzę. Ale i tak kłamie, ponieważ to pasuje do jej image'u kobiety interesu.

- Zgoda - powiedziałem. - Więcej nie będę się do ciebie zwracał. Ale przyznaj, to, co ci opowiedziałem, wystarczy na spłacenie Serge'a i jeszcze co nieco zostanie.

- Taką mam nadzieję - powiedziała, rozważając coś w my-

ślach, Gloria. - Szczerą nadzieję.

Zapaliłem papierosa i popatrzyłem na niebo. Odpowiadający za nie kukaracza widocznie postanowił dziś zrobić sobie wolne. Niebo było błękitne, bez najmniejszej chmurki czy obłoczku, nic po nim nie fruwało, a słońce było zwyczajnym, niezbyt wielkim płonącym czerwonym rombem.

Wyglądało więc, że gapienie się na niebo nie ma wielkiego sensu. Nic ciekawego się tam dziś nie zdarzy. Przeniósłem więc spojrzenie na najbliższe drzewa, nienaturalnie zieloną trawę i kilka pustych ławek w zasięgu mego wzroku. Identycznych, jak ta, na której siedzieliśmy z Gloria. Potem pomyślałem, że znowu nie byłem odwiedzić zakochanych. Może coś w nich odmieniło? A może po prostu znikli, unosząc ze sobą tajemnicę swego pochodzenia? Nie, pewnie nie. Siedzą sobie na ławeczce i całują się. Co ja w tym widzę enigmatycznego? Po prostu żywa kompozycja. Chociaż... może...

- Czas na ciebie - powiedziałem. - Już wiesz wszystko, co chciałaś wiedzieć. Im wcześniej odwiedzisz Serge'a, tym lepiej.

- Kretyn z ciebie - powiedziała czule Gloria. - Całkowity kretyn. Myślisz, że mnie interesują tylko twoje informacje?

Prychnąłem. Na ten temat nie chciałem zabierać głosu. Nie teraz. Teraz nic mi się nie chciało, nawet nie chciało mi się iść do „Krwawej Mary” na piwo i niekończące się dywagacje. A może jednak pójde popatrzeć na „Zakochanych”? Tak, pewnie na to warto popatrzeć.

- W sumie wyszło to dość ciekawe - powiedziała Gloria. - Jeśli tylko Shetter nie łągał podczas ostatniej rozmowy, to dalej nie wiadomo, co go tak ciągnęło do chińskiego cyberu? Dlaczego tak zaciekle prześladował metamorfa? Z powodu kokonu? Ale czyj on jest? Dlaczego dla Shettera było takie ważne zabicie metamorfa? Może Sevec Star produkował pro-

gramy-metamorfy nie tylko dla rozrywki majątnych sadystrów? Może jeszcze w jakimś innym celu?

- Możliwe - przyznałem. - Ale coś mi się nie chce wierzyć. Zresztą, to ty jesteś w naszym gronie dziennikarką. Zajmij się więc Shetterem, dowiedz się o nim jak najwięcej.

- Tak pewnie zrobię - odezwała się Gloria. - Chociaż mam teraz całą furę innych spraw. Aha, przypomniałam sobie, nie wydaje ci się, że coś podobnego do tego „prawa metamorfa” może w każdej chwili powstać w innym chińskim cyberze?

- Nie uda się - powiedziałem. - Żeby powstało „prawo metamorfa” potrzebny jest sam metamorf. A do jego powstania potrzebny jest twórca taki jak Sevec Star.

Gloria wyjęła papierosa, zapaliła i wypuściła pierwszy obłoczek dymu. Pokiwała głową:

- No tak, masz rację. Metamorf był, że tak powiem, katalizatorem. Najwyrazistszym przypadkiem. Może pierwszym i najwyraźniejszym przypadkiem prawdziwie szalonego programu. Ale...

- Co to ma do rzeczy? - przerwałem jej. - O jakim szaleństwie mówisz? Wszystko miał dokładnie zaplanowane i obliczone. Jedyna rzecz, jakiej mu brakowało, to doświadczenie. Wystarczyło, by zrozumiał, że Shetter mu nie odpuści, aby podjął odpowiednie kroki.

- Jakie?

- Najprostsze. Obok portalu siedzi tam wróżyca - obserwator. Wystarczyło, żeby kazał jej powiadamiać go bezwzględnie o pojawieniu się takiego, a takiego turysty, a Shetter już nigdy w życiu by go nie zaskoczył. Więcej, metamorf mógł sam zastawić na tego miłośnika dręczenia jakąś przemyślną zasadzkę. Gdyby miał choć trochę doświadczenia to i mnie nigdy by nie wypuścił. Nie trzeba było wyróżniać się jakąś

szczególną inteligencją, by wywnioskować, dla kogo pracuję. Pamiętasz, że niemal mnie przyłapał z tym hologramem? A wyłgałem mu się jak dzieciak w cudzym sadzie. „Wujku, ja przypadkowo trafiłem do twojego sadu. A na drzewo wlałem, bo się bałem złego psa. Gdzie pies? Pewnie uciekł. Dlaczego mam jabłka po kieszeniach? Jak wlałem na drzewo, to same mi tam wpadały”.

- Co ma do tego metamorf? - zawołała Gloria. - To wszystko jasne. Program, poddany takiemu szokowi nigdy już nie będzie normalnie działał. Wcześniej czy później, ból, jaki mu zadano, a także nienawiść do turystów musiały się ujawnić. Oczywiście „prawo metamorfa” jest tylko początkiem. Dalej może być jeszcze gorzej. Dalej mogło to skończyć się wojną między wielkim światem i światem cyberów. Przy tym przegrany pewnie byłby wielki świat.

- No, może nie koniecznie.

- Koniecznie - niezgodziła się Gloria. - Bez świata cyberów wielkiemu światu nie zostanie nic innego, jak wrócić do maczug i okryć ze zwierzęcych skór.

Odrzuciła niedopałek i patrzyła na mnie tak, jak patrzy dorosła, doświadczona nauczycielka na ucznia, który ni stąd, ni zowąd prezentuje jej nową interpretację prawa Pitagorasa.

- Świat cyberów bez energii, a także bez materiałów, z których są budowane cybery, też długo nie pociągnie.

Gloria westchnęła ciężko i powiedziała:

- Wojna mogła by się toczyć, partyzancka, ukryta. Mogłaby się zacząć od małego sabotażu. Ale, gdy tylko bieżące, przepływające przez cybera strumienie informacyjne zostaną poważnie uszkodzone, wielki świat zawyje i zgodzi się na wszelkie warunki tułaczyh programów, a potem to się powtórzy jeszcze raz i raz jeszcze. Skończy się to tym, że turyści nagle

uświadomią sobie, że świat cyberów już do nich nie należy. I nie da się odebrać już tego, co zostało utracone.

- No to co? Niech sobie światem cyberów władają tułacze programy. To jeszcze nie jest katastrofa. Może tak powinno być? Może to naturalne?

- No to dlaczego zabiłeś metamorfa? - zapytała podchwytliwie Gloria. - Niechby sobie władał.

Jeszcze raz popatrzyłem na niebo, posmakowałem bezdennego, wspaniałe wykonane błękitu i odpowiedziałem:

- Dlatego, że metamorf nie mógł zatrzymać się na ustępstwach, a nawet na uznaniu równości turystów i tułaczy programów. Szok, jaki przeżył zaraz po swoich narodzinach, strach i nienawiść do wizytantów musiałyby wcześniej lub później się ujawnić. Dodaj do tego wielką władzę i otrzymasz na wyjściu tę właśnie wojnę na wyniszczenie, która, według ciebie, jest wykluczona. Na szczęście metamorf jest martwy, i teraz...

Przymknąłem się. Nagle wpadła mi do głowy pewna zabawna myśl.

- Poczekaj - powiedziałem. - Dopiero co powiedziałaś o wojnie tak, jakby twoim zdaniem była nieuchronna. Tak?

- Możliwe - odpowiedziała. - Całkiem możliwe.

Powiedziała to oschłym tonem, zabrzmiało nieprzyjemnie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nic się jeszcze nie skończyło. I metamorf powstał nie przypadkowo, a był zaplanowany i przemyślany. Świat cyberów to zwierciadło, w którym odbijamy się my, mieszkańcy wielkiego świata, i to ze wszystkimi niemiłymi detalami. Przenosimy do tego świata całe świństwo, jakie nagromadziło się w nas w ciągu życia. Nasze tchórzostwo, chciwość, nasze kompleksy i wady. A to musi kiedyś uderzyć w nas

rykoszetem. Przy tym im później to się stanie, im później nastąpi uderzenie tym będzie mocniejsze. Nieuchronnie, rozumiesz, nieuchronnie.

- Nie malujesz aby czarnymi barwami?

- Nic podobnego. Załatwiłeś metamorfa. Dobrze zrobiłeś. Ale skąd wiesz, co się dzieje w tej chwili w innych chińskich cyberach. Oczywiście, do powstania nowego metamorfa musi się przyczynić taki twórca jak Sevec Star. Ale kiedyś taka sytuacja musi się powtórzyć, a gdzie gwarancja, że dowie się o tym ktoś taki, jak ty?

- No to co proponujesz?

- Na razie nic szczególnego. Ludzie są tacy, jacy są, i nie zmienimy ich. Pozostaje tylko mieć nadzieję i przedsięwziąć jakieś kroki, tak, żeby tułacze programy to sobie uświadomiły. Może również zrozumiały i wybaczyły. Z czasem pewnie tak się stanie. Świat cyberów będzie, rzecz jasna, należał do tułaczyczych programów, ponieważ był dla nich stworzony, ponieważ już do nich należy. Cały problem polega na tym, jak będą odbierać ludzi. Jako wrogów, czy jak partnerów, bez których postęp nie jest możliwy.

- Co więc proponujesz robić, konkretnie - tu i teraz?

Gloria uśmiechnęła się i leciutko pstryknęła mnie w nos:

- Jak się dużo wie, to człowieka męczą koszmary senne.

- To nieuczciwe - rozzłościłem się. - Ja ci opowiedziałem wszystko. Czy mogę w zamian otrzymać jakieś wyjaśnienia?

- Wszystko w odpowiedniej chwili.

Wstała z ławki i uśmiechnęła się lekko i kpiąco.

- Dobrze, kiedy następnym razem ty będziesz potrzebowała pomocy... - zagroziłem jej.

- Załóżmy się, że ty wcześniej będziesz jej potrzebował?

- A może nie?

- To wtedy będziesz miał prawo zażądać czegoś ode mnie. Może nawet ci co nieco powiem. Ale, czy to ci przyniesie ulgę? Pamiętasz słowa: „Wielka wiedza niesie ze sobą wielki smutek”?

- Mimo to postępujesz nieuczciwie - oświadczyłem.

- Czas na mnie, naprawdę czas - rzuciła Gloria.

Cmoknęła mnie w policzek i poszła sobie. Patrzyłem za nią, póki nie znikła za drzewami i pomyślałem, że kiedyś wyciągnę z niej wszystkie jej sekrety. Muszę tylko wyczaić odpowiedni moment i dobrze ją przycisnąć. Bo coś było nie tak z Gloria i jej przyjacielem Sergem. Jakoś nadzwyczaj zręcznie przypominali mi o sobie w najodpowiedniejszej dla tego celu chwili, a potem, wyciągnąwszy ze mnie wszystko, czego potrzebowali, znikali, zostawiając mnie samego. Gdyby tak przypuścić, że Shetter tam, w rezydencji starosty, nie kłamał, twierdząc, że odwiedzał chiński cyber nie tylko dla swych grzesznych rozrywek... Poza tym jest jeszcze Plotka, osobnik w najwyższym stopniu tajemniczy. Skąd wszystko wie z góry? Jakie słuchy mogą być podstawą jego przepowiedni, przy tym zadziwiająco trafnych?

Sięgnąłem do kieszeni po papierosa i nagle wymacałem w niej jakiś przedmiot, będący - jak wszystko na to wskazywało - saverem. Wyjąłem płytkę i przekonałem się, że tak właśnie jest. Identyfikator ochronny. Do tego mam ten, którego nie zdjąłem z piersi wychodząc z cyberu-122. Tak więc, mam dwa. Skąd?

Przypomniałem sobie. Nie trwało to długo. Drugi saver podniosłem z podłogi w rezydencji starosty. Należał, oczywiście, do Shettera.

A to znaczy, że Shetter raczej nie wrócił do wielkiego świata. Podnosząc jego saver, zdecydowałem o jego losie. Może słusz-

nie, może nie. Nawet nie o to chodziło, że pozbawiając go płytki, ukarałem niegodziwca i sadystę, wystąpiłem w roli sędziego dla tego, kto miał prawo w nosie. Nie chodziło również o to, że postępując w ten sposób usiłowałem zabezpieczyć samego siebie. Pogróżki Shettera nie były czcze; jego zdaniem wiedziałem za dużo i pewnie po prostu musiałyby zamknąć mi usta - wysyłając kilku zawodowców, znających się na rzeczy.

Nie. Najważniejszy problem polegał na czym innym. Nie pamiętałem o tym saverze. Kompletnie o nim zapomniałem, póki nie wymacałem go w kieszeni. Dopiero wtedy pamięć usłużnie podpowiedziała mi, gdzie go podniosłem i jak włożyłem do kieszeni. Obraz był wyrazisty i szczegółowy, jakby otworzył się jakiś skarbczyk z informacjami. Dlaczego tak się stało? Dlaczego pamięć zabawiła się tak ze mną? Czy to przypadek? Czy nie stało się to, czego tak się obawiałem?

Pół roku temu, pozbawiony ciała, zostawszy tułaczym programem, nie chciałem jakoś specjalnie siebie modyfikować. Wiedziałem, że wystarczy raz zacząć, że wystarczy wprowadzić do swej świadomości choćby jeden podprogram, a nie uda mi się już tego procesu powstrzymać. Czyli - za jakiś czas przestanę być człowiekiem, stanę się kimś zupełnie innym. Trzymałem się. Nawet w duchu byłem z siebie dumny, że potrafiłem zachować ludzkie myślenie. I miałem nadzieję, że będzie tak jeszcze długo. A tymczasem w moim wnętrzu rósł ktoś inny, będący wytworem świata cyberów, myślący tak, jak powinno się myśleć w tym wirtualnym świecie, postępujący zgodnie z jego logiką.

Rósł i rósł, i nadszedł czas, kiedy ten nowy „ja”, obcy mi Essutil Quack, mógł już oddziaływać na moją świadomość, narzucać mi określone działania. Saver Shettera - pierwszy taki ruch. Co będzie potem?

Ogarnął mnie strach, ale udało mi się go stłamsić, przemóc, powiedzieć sobie, że to wszystko bzdury. Po prostu ogarnął mnie zwyczajny atak paranoi, który musi minąć.

Zaraz minie. Ot, posiedzę sobie jeszcze trochę na ławeczce, może wypalę kilka papierosów, potem przejdę się pogapić na „Zakochanych”. Wszystko wróci do normy, wszystko wróci na swoje miejsce. Pewnie za jakieś pół godziny będę z uśmiechem przypominał sobie szczegóły tego ataku, ponieważ inaczej, jak reakcją na napięcie nerwowe, w którym żyłem od chwili pojawienia się w chińskim cyberze, wytłumaczyć tego nie mogłem.

Najwykleszy wynik stresu. Minie, na pewno minie. Może już za chwilę, za moment. Powtarzałem to jak zaklęcie. Nawet zaczynałem już wierzyć, że wszystko wróci do normy. Może szybko, może nie. Ale wróci, na pewno. Potem.

A na razie...

Na razie siedziałem na ławeczce, trzęsąc się ze strachu i wyobrażałem sobie ten moment, kiedy ów zrodzony we mnie umysł zacznie stopniowo, bardzo ostrożnie, brać górę nad moim ciałem, zacznie narzucać mi swoje myśli i czyny. Być może będą one słusznie z punktu widzenia człowieka, a może nie. Teraz to i tak nie miało dla mnie większego znaczenia.

Teraz interesowało mnie kilka innych pytań.

Pierwsze: kiedy to się stanie? I drugie - najważniejsze: czy może to już się stało?